„Śmiała, czarująca i zapadająca w pamięć opowieść o stracie, nadziei, i wybawczej sile przyjaźni."

LAUREN OLIVER, autorka bestsellerowej powieści *7 razy dziś*

NASZ OSTATNI DZIEŃ

BESTSELLEROWY AUTOR NEW YORK TIMESA

ADAM SILVERA

NASZ OSTATNI DZIEŃ

NASZ OSTATNI DZIEŃ

ADAM SILVERA

Przekład: Agnieszka Brodzik

we need YA

SPIS TREŚCI

DROGI CZYTELNIKU

Część pierwsza. PROGNOZA ŚMIERCI

MATEO TORREZ
RUFUS EMETERIO
MATEO
RUFUS
MATEO
RUFUS
MATEO
RUFUS
MATEO
RUFUS
MATEO
RUFUS
MATEO

Część druga. OSTATNI PRZYJACIEL

ANDREA DONAHUE
RUFUS
MALCOLM ANTHONY
MATEO
RUFUS
AIMEE DUBOIS
MATEO
RUFUS
MATEO

DELILAH GREY
MATEO
RUFUS
MATEO
RUFUS
PATRICK „DZIOBAK” GAVIN
RUFUS
AIMEE DUBOIS
MATEO
RUFUS
MATEO
LIDIA VARGAS
RUFUS
TAGOE HAYES
KENDRICK O’CONNELL
MATEO
RUFUS
MATEO
DELILAH GREY
MATEO

Część trzecia. POCZĄTEK
MATEO
RUFUS
DELILAH GREY
VIN PEARCE
MATEO
RUFUS
MATEO

RUFUS
DEIRDRE CLAYTON
MATEO
RUFUS
DAMIEN RIVAS
MATEO
ZOE LANDON
MATEO
DZIOBAK
MATEO
RUFUS
FUNKCJONARIUSZ ANDRADE
DZIOBAK
RUFUS
DZIOBAK

Część czwarta. KONIEC
MATEO
HOWIE MALDONADO
GANG BEZ NAZWY
DELILAH GREY
RUFUS
MATEO
RUFUS
DALMA YOUNG
MATEO
PLUTONI
RUFUS
MATEO

RUFUS
MATEO
RUFUS
LIDIA VARGAS
DELILAH GREY
VICTOR GALLAGHER
RUFUS

PODZIĘKOWANIA

„Leah gubi rytm” (fragment)
„Zostawiłeś mi tylko przeszłość” (fragment)
„Piękno, które pozostanie” (fragment)
Polecamy również

Tytuł oryginału: *They Both Die at the End*

Copyright © 2017 by Adam Silvera
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2019
Copyright © for the Polish translation
by Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2019

Redaktor prowadząca: Milena Buszkiewicz
Redakcja: Natalia Szczepkowska
Korekta: Joanna Pawłowska
Skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl
Zdjęcie Adama Silvery: K. W. Strauss
Ilustracje na okładce: Simon Prades
Projekt okładki: Erin Fitzsimmons
Adaptacja okładki i stron tytułowych: Daria Górecka
Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-7976-116-6

Niniejsza praca jest dziełem fikcji. Wszelkie nazwy, postaci, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni autorki. Wszelkie podobieństwo do osób prawdziwych jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone.

WE NEED YA
Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
fax: 61 853-80-75
redakcja@weneedya.pl

DROGI CZYTELNIKU,

Zawsze pisałem bardzo osobiste książki, a *Nasz ostatni dzień* nie jest wyjątkiem. Jednak w przeciwieństwie do dwóch poprzednich, historia w tej powieści nie jest jakimś dziwnym przetworzeniem moich własnych doświadczeń, lecz czymś, co narodziło się z mojego niedoświadczenia. Jestem jeszcze młody, ale już straciłem wiele lat życia. Straciłem mnóstwo czasu, wybrzydzając przy jedzeniu, nie wygłaszając swoich opinii, kłamiąc zamiast tworzyć głębsze relacje, nie przyznając się do swojej orientacji przed skończeniem dziewiętnastu lat, nie odzywając się do wielu fajnych chłopaków w metrze, nie śpiewając przy znajomych w obawie przed fałszowaniem i tak dalej, i tak dalej.

Właśnie przy tworzeniu tej książki stałem się odważniejszy. Zainspirował mnie taki jeden chłopiec, który burzył swoje mury, cegła po cegle, aż nie uwolnił się od licznych kompleksów i lęków. A także przez innego chłopca, który namówił mnie, bym wyzbył się nieśmiałości i naprawił wszystko, dopóki wciąż mam na to czas. Spróbowałem mięsa z krokodyla i nigdy więcej tego nie powtórzę. Jestem gotów bronić swoich przekonań. Mówię prawdę, nawet jeśli jest niewygodna, wiedząc, że z niej bierze się trwalsza przyjaźń. Przyznałem się do swojej orientacji absolutnie przed wszystkimi, w tym – co chyba najważniejsze – przed uczniami

w konserwatywnych stanach, w których mam spotkania w szkołach, bez względu na to, jak bardzo może to wkurzać ich rodziców. Nigdy nie zagadywałem do ładnych chłopaków w metrze, ale to ja wykonałem pierwszy ruch w kierunku gościa mojego współlokatora, który ciągle ze mną flirtował, a teraz jest moim chłopakiem. Śpiewałem karaoke z innymi twórcami YA w barze o trzeciej nad ranem, w środku tygodnia, i było to w równym stopniu okropne, co cudowne.

Naprawdę uważam, że należy jak najszybciej zacząć żyć pełnią życia i najlepiej, jak potrafimy, bo w przeciwieństwie do postaci z tej książki nie wiem, ile mi jeszcze zostało czasu w tym wszechświecie. I Wy też nie wiecie. Dlatego nie zwlekajcie zbyt długo ze staniem się takimi, jakimi chcecie być – zegar tyka.

Ściskam mocno,

Część pierwsza
PROGNOZA ŚMIERCI

„Żyją tylko nieliczni. Większość jedynie istnieje, to wszystko”.

— Oscar Wilde

5 września 2017

MATEO TORREZ

00:22

Prognoza Śmierci dzwoni z najpoważniejszym ostrzeżeniem, jakie można dostać – dzisiaj umrę. Nie, cofam to, ostrzeżenie to zbyt mocne słowo, ponieważ ostrzeżenia sugerują, że można czegoś uniknąć. Na przykład jak kierowca samochodu zatrąbi na kogoś przechodzącego na ślepo przez ulicę. W tym przypadku raczej zostałem uprzedzony. Moja komórka rozdzwoniła się po drugiej stronie pokoju, z charakterystycznym i niekończącym się dźwiękiem gongu. Już zaczynam panikować, sto myśli zalewa mi umysł i nie pozwala skupić się na niczym innym. Założę się, że właśnie taki chaos słyszy spadochroniarz podczas pierwszego skoku z samolotu. Chociaż nigdy nie będę miał pewności.

To szaleństwo. Minutę temu czytałem wczorajszy wpis na blogu Odliczaczy – gdzie Zgonersi rejestrują swoje ostatnie godziny za pomocą statusów, zdjęć i live'ów, a ten konkretny dotyczył studenta pierwszego roku college'u, który próbował znaleźć dom dla swojego golden retrivera – a teraz sam umrę.

Dzisiaj… Nie… Tak. Tak.

Czuję ucisk w piersi. Dzisiaj umrę.

Zawsze bałem się śmierci. Głupie z mojej strony było myśleć, że ten lęk w jakiś sposób mnie przed nią uchroni. Oczywiście nie ostatecznie, ale na dość długo, żebym naprawdę mógł dorosnąć. Tata kładł mi do głowy, że powinienem udawać, że jestem głównym bohaterem historii, któremu nigdy nic złego się nie dzieje, a już na pewno nie umiera, ponieważ bohater musi trwać, żeby przybyć na ratunek. Jednak hałas w mojej głowie cichnie i teraz po drugiej stronie czeka na mnie herold, by powiedzieć mi, że umrę dzisiaj, w wieku osiemnastu lat.

Rany, ja naprawdę…

Jest tak wiele rzeczy, które wolałbym w tej chwili robić zamiast odbierać to połączenie, na przykład mógłbym pobiec do łóżka taty i przeklinać w jego poduszkę, że wybrał sobie zły moment, by wylądować na oddziale intensywnej terapii. Albo walić pięścią w ścianę, bo mama skazała mnie na wczesną śmierć, umierając przy moich narodzinach. Telefon dzwoni już chyba trzynasty raz i nie mogę go dłużej ignorować, tak samo jak nie mogę uciec przed tym, że dzisiaj umrę.

Zsuwam laptopa ze skrzyżowanych nóg i wstaję z łóżka, zataczając się trochę, bo naprawdę mi słabo. Podchodzę do biurka z prędkością – i energią – zombiaka.

Połączenie przychodzące od Prognozy Śmierci, oczywiście.

Trzęsę się, ale naciskam zielony przycisk. Nic nie mówię. Nie jestem pewien, co powinienem powiedzieć. Oddycham tylko, bo mam w sobie mniej niż dwadzieścia cztery godziny oddechów – tyle ile średnio wykonuje w ciągu dnia nieumierająca osoba – i równie dobrze mogę już zacząć je wykorzystywać.

– Timothy, z tej strony Andrea z Prognozy Śmierci. Jesteś tam?

Timothy.

Wcale nie nazywam się Timothy.

Zadzwoniła do niewłaściwej osoby.

– Wybrała pani zły numer – informuję Andreę. Moje serce się uspokaja, chociaż bardzo mi żal tego całego Timothy'ego. Naprawdę. – Nazywam się Mateo. – Dostałem imię po ojcu i wiem, że chciałby, bym je kiedyś przekazał synowi. Teraz mogę, o ile faktycznie kiedyś dorobię się dziecka.

Słyszę stukanie w klawisze po drugiej stronie, kobieta pewnie poprawia wpis w bazie danych.

– Och, proszę wybaczyć. Timothy to mężczyzna, z którym dopiero co rozmawiałam; nie przyjął wieści zbyt dobrze, biedaczysko. Nazywasz się Mateo Torrez, zgadza się?

I tak oto ostatnia nadzieja pryska jak bańka mydlana.

– Mateo, proszę, potwierdź, że to ty. Obawiam się, że mam jeszcze dzisiaj wiele telefonów do wykonania.

Zawsze wyobrażałem sobie, że mój herold – to ich oficjalny tytuł, nie ja go wymyśliłem – okaże mi współczucie i przekaże wieści łagodnie, może nawet zacznie opowiadać o tym, jak to moja śmierć będzie wyjątkowo tragiczna, bo jestem jeszcze taki młody. Szczerze mówiąc, nie przeszkadzałoby mi, gdyby była radośniejsza, może poradziłaby mi dobrze się bawić przez resztę czasu i wykorzystać go jak najlepiej, skoro przynajmniej wiem, co się stanie. W ten sposób nie utknąłbym w domu, układając puzzle z tysiąca elementów, których nigdy nie skończę, albo masturbując się, bo seks z drugim człowiekiem mnie przeraża. Jednak ta kobieta sprawia, że czuję się źle, bo marnuję jej czas, a ona, w przeciwieństwie do mnie, ma go bardzo dużo.

– Okej. Mateo to ja. Jestem Mateo.

– Mateo, z przykrością powiadamiam cię, że w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin spotka cię przedwczesna śmierć. I chociaż nie jestem w stanie w żaden sposób temu zapobiec… – Heroldka ciągnie swoją przemowę

o tym, jakie to życie czasami jest niesprawiedliwe i nic się nie da z tym zrobić. Nie powinienem się na nią wściekać, ale słyszę, że jest znudzona recytowaniem tekstu, który wyrył się w jej pamięci po setkach, może tysiącach takich rozmów. Te pozbawiły ją również resztek empatii. Podejrzewam, że może nawet w tej chwili piłuje sobie paznokcie albo gra sama ze sobą w kółko i krzyżyk.

Na Odliczaczach Zgonersi publikują wszystko, od relacji z samej rozmowy z heroldem, aż po plany na spędzenie Dnia Ostatecznego. To, w skrócie, taki Twitter dla Zgonersów. Przeczytałem setki postów, w których Zgonersi przyznawali się do wypytywania heroldów o okoliczności śmierci, ale wszyscy wiedzą, że takie szczegóły nie są dostępne dla nikogo. Nawet dla prezydenta Reynoldsa, który cztery lata temu został zabity przez jednego ze swoich agentów w bunkrze, w którym próbował ukryć się przed nieuniknionym. Ludzie z Prognozy Śmierci mogą podać jedynie datę śmierci, a nie dokładną godzinę czy też sposób, w jaki się to stanie.

– …czy wszystko jest dla ciebie zrozumiałe?

– Tak.

– Logując się na naszą stronę, możesz wypełnić formularz i podać specjalne życzenia co do swojego pogrzebu, a także wpisać inskrypcję, jaka powinna znaleźć się na nagrobku. Albo może wolałbyś zostać skremowany, w takim wypadku…

Byłem tylko na jednym pogrzebie. Moja babcia umarła, kiedy miałem siedem lat, a potem wpadłem w szał, bo nie chciała się obudzić. Pięć lat później pojawiła się Prognoza Śmierci i nagle nikt nie spał na własnym pogrzebie. To niesamowite, że teraz możemy pożegnać się z najbliższymi przed śmiercią, ale czy nie lepiej ostatnie godziny spędzić na prawdziwym życiu? Może miałbym inne zdanie na ten temat,

gdybym faktycznie liczył, że na moim pogrzebie ktoś się zjawi. Gdybym miał więcej przyjaciół niż palców.

– I Timothy, w imieniu całego zespołu Prognozy Śmierci składam ci serdeczne kondolencje. Przeżyj ten dzień najlepiej, jak się da, dobrze?

– Jestem Mateo.

– Przykro mi, Mateo. Strasznie mi głupio. To była długa noc, a te rozmowy potrafią być takie stresujące i…

Rozłączam się bez słowa, co jest niegrzeczne, wiem o tym. Ale nie mogę słuchać gadania o tym, że ktoś miał ciężką noc, skoro ja sam mogę umrzeć na Bóg jeden wie co w ciągu najbliższej godziny, a może nawet za dwadzieścia minut: mógłbym zakrztusić się kroplami na kaszel; mógłbym wyjść po coś i spaść ze schodów albo złamać sobie kark jeszcze przed wydostaniem się na zewnątrz; ktoś mógłby się włamać i mnie zamordować. Jedyne, co mogę zdecydowanie wykluczyć, to śmierć ze starości.

Opadam na podłogę, na kolana. Wszystko się dzisiaj skończy, a ja nie mogę nic z tym zrobić. Nie mogę udać się w podróż po opanowanej przez smoki krainie, by zdobyć berło zdolne powstrzymać śmierć. Nie mogę wskoczyć na latający dywan w poszukiwaniu dżina, by życzyć sobie prostego, szczęśliwego życia. Mógłbym spróbować odnaleźć jakiegoś szalonego naukowca, który by mnie zamroził, ale są duże szanse, że umarłbym w połowie tego wariackiego eksperymentu. Śmierć jest nieunikniona dla każdego, a dla mnie dzisiaj jest pewnikiem.

Lista ludzi, za którymi będę tęsknić – o ile zmarli w ogóle mogą za kimś tęsknić – jest tak krótka, że nie powinienem nazywać jej listą: na pewno za tatą, bo starał się, jak mógł; Lidią, bo nie tylko nie ignorowała mnie na korytarzu, ale nawet siadała ze mną w czasie lunchu, została moją

partnerką na nauce o Ziemi, a nawet opowiadała mi o tym, że chce zostać ekolożką i że powinienem wyświadczyć sobie przysługę, żyjąc na świecie, który ona będzie szturmem ratować. I tyle.

Gdyby kogoś interesowała moja lista osób, za którymi nie będę tęsknił, i tak nie podam żadnych nazwisk. Nikt nie zrobił mi nic złego. I nawet rozumiem, dlaczego niektórzy ludzie nie dali mi nigdy szansy. Naprawdę rozumiem. Jestem chodzącą paranoją. Nie pozwalałem ludziom robić nic fajnego – na przykład jeździć na rolkach po parku albo samochodem w nocy – bo ktoś z nich mógłby w ten sposób narazić swoje życie. *Mógłby.* Za to będę tęsknić za straconymi szansami, by żyć pełnią życia i naprawdę zaprzyjaźnić się z ludźmi z klasy. Będę tęsknić za tym, że nigdy nie zbliżyłem się do nich w trakcie wspólnego nocowania, w czasie którego nikt nie śpi, tylko gra całą noc na konsoli albo w planszówki. A wszystko dlatego, że za bardzo się bałem.

Najważniejsza osoba, której będzie mi brakowało, to Mateo z Przyszłości, który może wreszcie by trochę wyluzował i zaczął żyć. Trudno mi go sobie dobrze wyobrazić, ale myślę, że próbowałby nowych rzeczy, na przykład zapaliłby trawkę z przyjaciółmi, zrobiłby prawko i wskoczył w samolot do Portoryko, żeby poznać lepiej swoje korzenie. I może zacząłby się z kimś spotykać, może spodobałoby mu się takie towarzystwo. Pewnie grałby na fortepianie dla przyjaciół, śpiewałby dla nich, a już z pewnością na jego pogrzeb przyszłoby mnóstwo ludzi i stypa przedłużyłaby się na cały weekend – byłoby pełno nowych osób, które nie miały szansy przytulić go ten ostatni raz.

Mateo z Przyszłości pewnie przedstawiłby dłuższą listę osób, za którymi będzie tęsknił.

Ale ja nigdy nie dorosnę, by stać się Mateo z Przyszłości. Nikt nigdy się ze mną nie upali, nikt nie posłucha mojej gry na fortepianie i nikt nie usiądzie obok mnie w aucie taty, gdy już zrobię prawko. Nigdy nie pokłócę się z przyjaciółmi o to, kto weźmie lepsze buty na kręgle albo kto może wybrać Wolverine'a w grze wideo.

Kładę się z powrotem na podłogę, słucham muzyki i myślę o tym, że teraz naprawdę warto zaryzykować życie. Skoro i tak umrę.

00:42

Tata, gdy jest zdenerwowany, bierze gorący prysznic na uspokojenie. Zacząłem go naśladować mniej więcej wtedy, gdy skończyłem trzynaście lat, ponieważ pojawiły się konfundujące Myśli Mateo i potrzebowałem mnóstwa Czasu z Mateo, żeby je jakoś ogarnąć. Wszedłem teraz pod prysznic, ponieważ czuję się winny za żywienie nadziei, że świat, a przynajmniej jakaś jego część poza Lidią i tatą, przyjmie moje odejście ze smutkiem. Ponieważ jednak nie chciałem żyć niezwyciężenie, tak jak ci wszyscy, którzy nie dostali swojego powiadomienia, zmarnowałem te wszystkie wczoraj i skończyły mi się wszystkie jutra.

Właściwie to nikomu o tym nie powiem. Może tylko tacie, bo on i tak jest nieprzytomny i mnie nie usłyszy. Nie chcę spędzić ostatniego dnia życia, zastanawiając się, czy ludzie są szczerzy, gdy wyrażają przy mnie smutek. Nikt nie powinien w ostatnich chwilach doszukiwać się u innych fałszu.

Muszę jakoś wyjść do świata, oszukać samego siebie, że to tylko kolejny zwyczajny dzień. Odwiedzić tatę w szpitalu i po

raz pierwszy od dzieciństwa potrzymać go za rękę. Po raz ostatni też… Rany, to naprawdę będzie ostatni raz.

Odejdę, zanim zdążę przyzwyczaić się do swojej śmiertelności.

Muszę też zobaczyć Lidię i jej roczną córeczkę, Penny. Lidia wybrała mnie na ojca chrzestnego małej, kiedy ta urodziła się w marcu zeszłego roku, i szkoda, że akurat ja zostałem wpisany jako jej opiekun na wypadek śmierci Lidii, skoro jej chłopak, Christian, odszedł trochę ponad rok temu. Pewnie, jak niby osiemnastolatek bez dochodu miałby wychowywać dziecko? Krótka odpowiedź: nie będzie tego robił. Ale miałem przecież dorosnąć i opowiadać Penny historie o jej matce ratującej świat i wyluzowanym ojcu, i powitać ją w swoim domu, gdy już stałbym się wystarczająco niezależny finansowo i przygotowany do tej roli. Teraz zniknę z jej życia, zanim zdążę w ogóle stać się kimś więcej niż gościem w albumie ze zdjęciami. Może Lidia będzie opowiadać o mnie jakieś historie, a Penny będzie kiwać głową, może zażartuje z moich okularów, a potem przewróci stronę w albumie, by obejrzeć zdjęcia osób, które naprawdę zna i na których jej zależy. Dla niej nie będę nawet duchem. Nie ma jednak powodu, żeby nie połaskotać jej po raz ostatni albo nie zetrzeć z jej buzi groszkowo-dyniowej papki, albo dać Lidii chwilę odpoczynku, żeby mogła się skupić na nauce albo umyć zęby czy włosy, a może się zdrzemnąć.

Kiedy jednak jakimś cudem oderwę się od najlepszej przyjaciółki i jej córeczki, będę musiał iść i żyć.

Zakręcam kran i woda przestaje na mnie płynąć; to nie jest najlepszy dzień na godzinny prysznic. Zabieram okulary z umywalki i zakładam je. Wychodzę z wanny, ślizgam się na kałuży wody i gdy upadam do tyłu, spodziewam się sprawdzić tę teorię o życiu przelatującym przed oczami, ale w ostatniej

chwili chwytam wieszak na ręczniki i odzyskuję równowagę. Oddycham głęboko, wdech i wydech, ponieważ umrzeć akurat w ten sposób byłoby strasznie niefajnie; ktoś dodałby mnie na bloga „Głupie śmierci" w kategorii „nokaut pod prysznicem". Ta strona brzydzi mnie na tak wielu poziomach.

Pragnę wyjść i żyć – najpierw jednak muszę wydostać się z tego mieszkania w jednym kawałku.

00:56

Wypisuję podziękowania dla moich sąsiadów spod 4F i 4A, informując ich, że to mój Dzień Ostateczny. Elliot z 4F sprawdzał, co u mnie, odkąd tata trafił do szpitala. Przynosił mi obiady, bo nasza kuchenka stoi zepsuta od zeszłego tygodnia, kiedy to tata próbował zrobić empanady. Sean z 4A planował wpaść w sobotę, żeby ją zreperować, ale to już nie będzie konieczne. Tata będzie wiedział, jak ją naprawić, a może też przyda mu się jakieś zajęcie dla odwrócenia uwagi po tym, jak ja już odejdę.

Idę do szafy i wyciągam niebiesko-szarą flanelową koszulę, którą Lidia kupiła mi na osiemnaste urodziny, i zakładam ją na biały podkoszulek. Jeszcze nie pokazywałem się w niej ludziom. Ta koszula sprawi, że będę dzisiaj czuł bliskość przyjaciółki.

Spoglądam na zegarek – stary zegarek taty, który oddał mi po tym, jak kupił sobie taki elektroniczny z podświetleniem dla jego chorych oczu – i widzę, że już prawie pierwsza w nocy. Normalnie grałbym do późna na konsoli, nawet jeśli na drugi dzień miałbym być nieprzytomny w szkole. Przynajmniej mogę się wyspać w czasie okienek. Nie powinienem był traktować ich tak lekko. Trzeba było zapisać się na dodatkowe zajęcia,

na przykład na sztukę, chociaż nie mógłbym nic narysować, nawet gdyby od tego zależało moje życie (oczywiście nie zależy i rysowanie nic by nie pomogło; chciałbym móc powiedzieć, że to nie ma znaczenia, ale ma, i to ogromne, prawda?). Może trzeba było dołączyć do jakiegoś zespołu i grać na klawiszach, zdobyć jakąś rozpoznawalność, zanim przeszedłbym na śpiewanie w chórkach, a potem może w duecie z kimś fajnym, by na koniec zaryzykować solo. Cholera, może nawet występowanie w teatrze byłoby super, gdybym dostał rolę, która by mnie otworzyła. Ale nie, ja wolałem wykorzystać kolejne okienko na drzemkę.

Jest za dwie minuty pierwsza. Gdy wybije pełna godzina, zmuszę się do wyjścia z tego mieszkania. Stanowiło jednocześnie moje sanktuarium i moje więzienie, a teraz muszę iść i odetchnąć świeżym powietrzem, zamiast przedzierać się tylko przez ulice, by dotrzeć z punktu A (szkoła) do punktu B (dom) i z powrotem. Będę liczył drzewa, może zaśpiewam ulubioną piosenkę, mocząc nogi w rzece Hudson, i po prostu postaram się z całych sił zostać zapamiętanym jako młody mężczyzna, który umarł za wcześnie.

Wybija pierwsza w nocy.

Nie mogę uwierzyć, że nigdy więcej nie wrócę do swojego pokoju.

Przekręcam klucz w zamku, otwieram drzwi.

Kręcę głową i zatrzaskuję je z powrotem.

Nie zamierzam wychodzić na świat, który zabije mnie przedwcześnie.

RUFUS EMETERIO

01:02

Prognoza Śmierci dobija się do mnie akurat w chwili, gdy próbuję zatłuc nowego chłopaka mojej byłej dziewczyny. Ciągle na nim siedzę, przyszpilając go do ziemi kolanami, a jedyny powód, dla którego jeszcze nie trzasnąłem go znowu w oko, to ten dzwonek rozbrzmiewający w mojej kieszeni; głośny alarm Prognozy Śmierci, który wszyscy znają aż za dobrze albo z osobistych doświadczeń, albo z telewizji, albo każdego gównianego serialu, bo jest nadużywany dla dramatycznego efektu. Moi kumple, Tagoe i Malcolm, nie kibicują już naszej walce. Stoją w zupełnej ciszy, a ja tylko czekam, aż telefon tego frajera Dziobaka też się rozdzwoni. Ale nic takiego się nie dzieje. Może powiadomienie o mojej śmierci właśnie uratowało kolesiowi życie.

– Odbierzesz, Roof? – rzuca Tagoe.

Nagrywał solówkę, bo strasznie jara go oglądanie bijatyk w internecie, ale teraz gapi się na swoją komórkę, jakby się bał, że do niego też zadzwonią.

– Nie ma, kuźwa, mowy – mówię.

Serce wali mi jak szalone, nawet szybciej, niż kiedy pierwszy raz rzuciłem się na Dziobaka; nawet szybciej, niż kiedy pierwszy raz go trzasnąłem i powaliłem na ziemię. Jego lewe oko jest już spuchnięte, a w prawym widzę tylko czyste

przerażenie. Prognoza Śmierci dzwoni do trzeciej nad ranem. Koleś wcale nie ma pewności, czy nie zabiorę go ze sobą.

Ja też nie wiem.

Mój telefon milknie.

– Może to pomyłka – rzuca szybko Malcolm.

Komórka znowu się rozdzwania.

Malcolm się zamyka.

Nie miałem nadziei. Nie znam żadnych statystyk czy coś, ale rzadko się słyszy, żeby Prognoza Śmierci coś pojebała. My, Emeterio, niekoniecznie mieliśmy szczęście w pozostawaniu przy życiu, ale za to przedwczesne spotkania ze stwórcą to nasza martwa specjalność.

Trzęsę się, a w głowie brzęczy mi panika, jakby ktoś cały czas mnie bił. A to dlatego, że nie mam zielonego pojęcia, jak umrę. Wiem tylko tyle, że to się stanie. A jakoś życie nie staje mi przed oczami, chociaż niekoniecznie spodziewam się, by stanęło później, kiedy faktycznie będę o krok od śmierci.

Dziobak wije się pode mną, a ja podnoszę pięść, żeby go uspokoić.

– Może gość ma przy sobie jakąś broń – rzuca Malcolm.

Chłopak jest największy z naszej paczki. Taki olbrzym by się przydał, gdy moja siostra nie mogła odpiąć pasów po tym, jak nasz samochód wpadł do rzeki Hudson.

Przed telefonem od Prognozy Śmierci nie przyszłoby mi do głowy, że Dziobak może mieć przy sobie broń, bo to my go napadliśmy, gdy wracał z pracy. Ale nie zamierzam stawiać na szali swojego życia, nie. Rzucam komórkę. Zaczynam przeszukiwać Dziobaka, sprawdzając, czy nie chowa gdzieś scyzoryka. Podnoszę się, a on zostaje na ziemi.

Malcolm wyciąga plecak Dziobaka spod niebieskiego auta, gdzie wrzucił go Tagoe. Otwiera go i wywraca do góry nogami; wypadają jakieś komiksy z Czarną Panterą i Hawkeyem.

– Pusto.

Tagoe podbiega do Dziobaka i przysięgam, że zaraz kopnie w jego głowę jak w piłkę, ale tylko podnosi mój telefon z ziemi i odbiera połączenie.

– Do kogo? – Nikt nie jest zdumiony, że drga mu szyja. – Zaraz, zaraz, to nie on. Zaraz. Czekaj chwilę. – Wyciąga do mnie komórkę. – Mam się rozłączyć, Roof?

Nie wiem, wciąż mam Dziobaka, zakrwawionego i pobitego, na parkingu szkoły podstawowej, i przecież nie muszę rozmawiać z heroldem, żeby wiedzieć, że Prognoza Śmierci nie dzwoni, by pogratulować mi wygranej na loterii. Wyrywam Tagoe telefon z ręki, wkurzony i skołowany, i mógłbym zwymiotować, ale rodzice i siostra tego nie zrobili, więc ja też nie będę.

– Pilnujcie go – mówię kolegom. Kiwają głowami. Nie wiem, kiedy stałem się samcem alfa. Trafiłem do domu zastępczego kilka lat później niż oni.

Odchodzę kawałek, jakby prywatność w tej chwili miała jakiekolwiek znaczenie, i upewniam się, że nie wchodzę w plamę światła przy lampce oznaczającej wyjście ewakuacyjne. Nie zamierzam dać się przyłapać w środku nocy z krwią na knykciach.

– Słucham?

– Dobry wieczór. Z tej strony Victor z Prognozy Śmierci. Chciałbym rozmawiać z Rufusem Emmy-terio.

Totalnie przeinacza moje nazwisko, ale nie ma sensu go poprawiać; jestem ostatnim członkiem rodziny Emeterio.

– Tak, to ja.

– Rufusie, z przykrością informuję, że w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin…

– Dwudziestu trzech godzin – przerywam mu, maszerując tam i z powrotem wzdłuż samochodu. – Dzwonisz po

pierwszej. – To jakaś farsa. Pozostali Zgonersi dostali swój telefon godzinę temu. Może gdyby Prognoza Śmierci skontaktowała się ze mną wcześniej, nie czekałbym przed restauracją, gdzie pracuje ten frajer Dziobak, żeby zagonić go na parking.

– Tak, masz rację, przepraszam – mówi Victor.

Minutę temu byłem w środku całkiem pusty, ale teraz zaczynam się nakręcać na maksa. Nie odzywam się, bo nie chciałbym wyładowywać złości na kolesiu, który po prostu wykonuje swoją pracę, chociaż nie mam zielonego pojęcia, po cholerę ktoś w ogóle przyjmuje taką posadę. Udawajmy, że mam przed sobą jakąś przyszłość, zróbmy mi tę przyjemność – nie wyobrażam sobie sytuacji, w której nagle budzę się i stwierdzam: „chyba przyjmę zmiany od dwunastej do trzeciej i będę dzwonił do ludzi, mówiąc im, że ich życie dobiegło końca". A jednak Victor i wielu innych postanowiło tak zrobić. Czaję, nie należy zabijać posłańca i tak dalej, nawet jeśli posłaniec dzwoni powiedzieć, że jakaś nieznana siła zgładzi cię przed końcem dnia.

– Rufus, z żalem zawiadamiam cię, że w ciągu najbliższych dwudziestu trzech godzin spotka cię przedwczesna śmierć. Chociaż nie ma nic, co mógłbyś w tej sprawie zrobić, dzwonię, by poinformować cię, jakie masz opcje. Po pierwsze, jak się czujesz?

Chce wiedzieć, jak się czuję, jasne. Sądząc po jego tonie, tak naprawdę nie obchodzę go ani trochę bardziej niż inni Zgonersi, do jakich dzisiaj zadzwoni. Te rozmowy są pewnie nagrywane, a chłopak nie zamierza ryzykować posady, odwalając robotę po łebkach.

– Nie wiem, jak się czuję. – Ściskam telefon, żeby nie rzucić nim o ścianę, na której ktoś namalował białe i brązowe dzieciaki trzymające się za rączki pod tęczą. Oglądam się

przez ramię i widzę, że Dziobak ciągle leży twarzą do ziemi, a Malcolm i Tagoe gapią się na mnie; lepiej niech pilnują gościa, dopóki nie zastanowię się, co z nim począć. – Po prostu powiedz mi, jakie mam opcje. – To powinno być dobre.

Victor mówi mi, jaką przewidują pogodę na ten dzień (podobno ma padać przed południem i później też, o ile w ogóle tego doczekam), jakie specjalne wydarzenia organizowane są w mieście (nie mam najmniejszej ochoty iść na żadne z nich, a już w szczególności nie na zajęcia z jogi w parku, i to nie ze względu na deszcz), co muszę załatwić w związku z pogrzebem i gdzie mogę dostać zniżkę na obiad, jeśli użyję dzisiejszego kodu dla Zgonersów. Wypuszczam to wszystko drugim uchem, bo denerwuję się tym, jak potoczy się mój Dzień Ostateczny.

– Skąd wy to wiecie? – przerywam mu. Może chłopak się nade mną zlituje, a ja będę mógł zdradzić coś kumplom na temat wielkiej tajemnicy. – Skąd wiecie o Dniach Ostatecznych? Istnieje jakaś lista? Jakaś szklana kula? Jakiś kalendarz z przyszłości?

Wszyscy w dalszym ciągu spekulują, skąd Prognoza Śmierci otrzymuje te niezwykle ważne informacje. Tagoe opowiedział mi o różnych szalonych teoriach, które wyczytał w internecie. Jedna zakłada konsultacje z zespołem prawdziwych jasnowidzów, a inna, zupełnie odpałowa, mówi o obcym przypiętym do wanny i zmuszonym do raportowania o Dniach Ostatecznych. W tej teorii jest kilka porąbanych punktów, ale nie mam dzisiaj czasu ich komentować.

– Obawiam się, że tymi informacjami nie dzielą się z heroldami – odpowiada Victor. – Jesteśmy równie ciekawi, jednak nie potrzebujemy tej wiedzy do wykonywania swoich obowiązków. – Kolejna beznamiętna wypowiedź. Mógłbym się

założyć o wszystko, że gość zna prawdę, ale milczy, bo nie chce stracić pracy.

Pieprzyć go.

– Jo, Victor, bądź przez chwilę człowiekiem. Nie wiem, czy wiesz, ale mam siedemnaście lat. Za trzy tygodnie kończę osiemnaście. Czy nie wkurza cię, że nigdy nie pójdę do college'u? Nie ożenię się? Nie będę miał dzieci? Nie będę podróżował? Wątpię. Tylko sobie siedzisz wyluzowany na swoim tronie w jakimś boksie, wiedząc, że masz przed sobą jeszcze kilka dekad, co?

Victor chrząka.

– Chcesz, żebym był człowiekiem, Rufus? Chcesz, żebym zsiadł z tronu i był z tobą szczery? Okej, no to posłuchaj. Godzinę temu rozmawiałem przez telefon z kobietą, która z płaczem opowiadała o tym, że już nie będzie dłużej matką, bo jej czteroletnia córka dzisiaj umiera. Błagała, żebym powiedział jej, jak ma uratować życie dziecka, a przynajmniej, jak zginie, żeby mogła spróbować to zmienić. Tylko że ja nie mam żadnych odpowiedzi. A potem musiałem złożyć zawiadomienie do Działu Młodzieży, żeby wysłali policjanta na wszelki wypadek, gdyby to jednak matka była odpowiedzialna, co, wierz mi lub nie, wcale nie jest najbardziej obrzydliwą rzeczą, jaką zrobiłem na tym stanowisku. Rufus, żal mi cię. Naprawdę. Ale nie jestem niczemu winien i niestety mam jeszcze wiele takich telefonów do wykonania dzisiaj. Możesz mi wyświadczyć przysługę i się nie stawiać?

Cholera.

Nie stawiam się przez resztę rozmowy, chociaż gość nie powinien opowiadać mi o innych Zgonersach. Nie potrafię nie myśleć o matce, której córka nigdy nie pójdzie do tej szkoły za moimi plecami. Na koniec Victor rzuca mi tekstem, który

często słyszę w programach telewizyjnych i filmach, gdzie Prognoza Śmierci pojawia się w życiu bohaterów.

– W imieniu Prognozy Śmierci składam serdeczne kondolencje z powodu twojej śmierci. Postaraj się przeżyć ten dzień jak najlepiej.

Nie umiem stwierdzić, który z nas rozłącza się pierwszy, ale to i tak nie ma znaczenia. Stało się – a dokładniej stanie. Dzisiaj jest mój Dzień Ostateczny, mój Armagedon. Nie wiem, jak to się odbędzie. Modlę się, żebym nie utonął jak rodzice i siostra. Jedyną osobą, której naprawdę zrobiłem coś paskudnego, jest Dziobak, serio, więc nie spodziewam się kulki, ale kto tam wie, przypadkowe strzały też się zdarzają. Sposób nie jest aż tak istotny, bardziej liczy się to, jak spędzę pozostały mi czas, ale ta niewiedza ciągle cholernie mnie dręczy. W końcu umiera się tylko raz.

Może Dziobak jednak będzie za to odpowiedzialny.

Wracam do nich szybkim krokiem. Podnoszę Dziobaka za kołnierz i uderzam nim o ceglany mur. Krew wypływa z otwartej rany na czole, a ja nie mogę uwierzyć, że koleś potrafił mnie tak sprowokować. Nie powinien był pieprzyć wszystkich tych głupot o tym, dlaczego niby Aimee już dłużej mnie nie chciała. Gdyby do mnie nie dotarły, moja dłoń nie ściskałaby mu teraz gardła, a on nie czułby jeszcze większego strachu niż ja.

– Wcale mnie nie „pokonałeś", okej? Aimee nie rzuciła mnie ze względu na ciebie, więc wybij to sobie z głowy, i to szybko. Kochała mnie, sprawy się skomplikowały i w końcu przyjęłaby mnie z powrotem. – Jestem tego pewien; Malcolm i Tagoe myślą tak samo. Nachylam się bliżej, patrząc Dziobakowi prosto w zdrowe oko. – Lepiej, żebym cię nie widział przez resztę swojego życia. – Jasne, niewiele go już zostało. Ale ten gość jest zdrowo rąbnięty i może zrobić coś głupiego. – Czaisz?

Dziobak kiwa głową.

Puszczam jego gardło i wyjmuję jego telefon z kieszeni. Rzucam nim o ścianę, ekran rozsypuje się na kawałki. Malcolm jeszcze je miażdży butami.

– Wynoś się stąd.

Malcolm łapie mnie za ramię.

– Nie puszczaj go. On ma znajomości.

Dziobak idzie tuż przy ścianie, wystraszony, jakby szedł przy oknie na wysokim piętrze.

Strącam dłoń kumpla z ramienia.

– Powiedziałem, żebyś się stąd wynosił.

Dziobak przyśpiesza, biegnie zygzakiem. Nie ogląda się nawet raz, żeby sprawdzić, czy go nie gonimy. Nie zatrzymuje się też, żeby zabrać swoje komiksy i plecak.

– A czy on nie ma jakichś znajomości w gangu? – pyta Malcolm. – Co, jeśli przyjdą się na tobie zemścić?

– To nie jest prawdziwy gang, a jego wyrzucili. Nie ma sensu bać się gangu, który wziąłby pod swoje skrzydła kogoś takiego jak Dziobak. Nie może nawet zadzwonić do nich czy do Aimee. Zadbaliśmy o to. – Nie chciałbym, żeby dodzwonił się do Aimee przede mną. Muszę się przed nią najpierw wytłumaczyć, sam nie wiem, może nie będzie chciała mnie widzieć, gdy się już dowie. Nieważne, że to mój Dzień Ostateczny.

– Ci z Prognozy Śmierci też już nie mogą do niego zadzwonić – stwierdza Tagoe, jego szyja drga dwa razy.

– Nie miałem zamiaru go zabijać.

Moi kumple milczą. Widzieli, jak go tłukę, jakbym nie miał wyłącznika.

Nie przestaję się trząść.

Mogłem go zabić, nawet jeśli nie chciałem. Nie wiem, czy potrafiłbym żyć z tym, że go ukatrupiłem. Nie, to kłamstwo i dobrze o tym wiem, po prostu staram się być twardzielem.

Ale nie jestem. Ledwo udało mi się przeżyć fakt, że nie umarłem z resztą rodziny – a to przecież nie była moja wina. Nie ma mowy, żebym pogodził się z tym, że pobiłem kogoś na śmierć.

Ruszam w kierunku naszych rowerów. Moja kierownica wplątała się w koło Tagoe po tym, jak goniliśmy Dziobaka i zeskoczyliśmy szybko, żeby go powalić.

– Nie możecie ze mną jechać – mówię, podnosząc rower. – Rozumiecie to, prawda?

– Nie, jesteśmy z tobą, tylko…

– Nie ma mowy – przerywam mu. – Jestem jak tykająca bomba i nawet jeśli nie wybuchniecie razem ze mną, możecie się poparzyć. Może nawet dosłownie.

– Nie możesz się nas pozbyć – stwierdza Malcolm. – Idziemy tam, gdzie ty.

Tagoe kiwa głową, ale ta przechyla mu się na prawo, jakby jego ciało sprzeciwiało się instynktowi, by ruszyć moim śladem. Zaraz znowu przytakuję, tym razem bez przeszkód.

– Wy dwaj jesteście jak moje cienie, bez kitu – mówię.

– To dlatego, że jesteśmy czarni? – rzuca Malcolm.

– Dlatego, że ciągle za mną chodzicie – wyjaśniam. – Lojalni do końca.

Do końca.

To ich zamyka. Wsiadamy na rowery i wyjeżdżamy na jezdnię, nasze koła podskakują ciągle na wybojach. Wybrałem zły dzień, żeby zapomnieć kasku.

Tagoe i Malcolm nie mogą zostać ze mną cały dzień, wiem to. Ale jesteśmy Plutonami, braćmi z tego samego domu zastępczego, i nie odwrócimy się od siebie.

– Wracajmy do domu – mówię.

I wracamy.

MATEO

01:06

Wchodzę prosto do mojego pokoju – to by było na tyle, jeżeli chodzi o postanowienie, by nigdy już tutaj nie wracać – i natychmiast robi mi się lepiej, jakbym dostał dodatkowe życie w grze przed walką z naprawdę trudnym bossem. Nie traktuję swojej śmierci naiwnie. Wiem, że nastąpi. Ale nie muszę wychodzić jej na spotkanie. Kupię sobie trochę czasu, dłuższe życie to jedyna rzecz, jakiej naprawdę pragnąłem, a teraz mam moc, by nie zaprzepaścić tego marzenia, wychodząc na zewnątrz, zwłaszcza o tak późnej porze.

Skaczę na łóżko z tego rodzaju ulgą, jaka pojawia się jedynie wtedy, gdy budzisz się do szkoły i zdajesz sobie sprawę, że jest sobota. Zarzucam sobie koc na ramiona i włączam z powrotem laptopa. Ignoruję wiadomość od Prognozy Śmierci z zapisem mojej rozmowy z Andreą i kontynuuję czytanie postów Odliczaczy, które zacząłem przed odebraniem telefonu.

Przeglądam wpisy dwudziestodwulatka o imieniu Keith. Nie zawierają zbyt wielu szczegółów na temat jego życia, poza tym, że był samotnikiem, który wolał biegać ze swoim golden retrieverem Turbo zamiast chodzić na imprezy z kumplami. Chciał znaleźć Turbo nowy dom, ponieważ jego zdaniem ojciec odda go pierwszej lepszej osobie, a to mógłby być ktoś naprawdę przypadkowy, bo Turbo jest piękny. Nawet ja bym go

adoptował, chociaż mam silną alergię na psy. Zanim jednak Keith oddał swojego zwierzaka, razem z Turbo po raz ostatni odwiedzili swoje ulubione miejsca i przekaz skończył się w Central Parku.

Nie wiem, w jaki sposób zmarł Keith. Nie wiem, czy Turbo wyszedł z tego żywy, czy może odszedł razem z Keithem. Nie wiem, co byłoby lepsze dla Keitha albo Turbo. Nie wiem. Mógłbym sprawdzić, czy doszło do jakichś napadów albo morderstw w Central Parku wczoraj w okolicach siedemnastej czterdzieści, bo wtedy zniknął obraz, ale dla mojego zdrowia psychicznego będzie lepiej, jeśli pozostanie to tajemnicą. Otwieram folder z muzyką i włączam odgłosy kosmosu.

Kilka lat temu zespół z NASA zaprojektował specjalne narzędzie do nagrywania dźwięków różnych planet. Wiem, mnie też to zdziwiło, zwłaszcza w kontekście powtarzanego we wszystkich filmach zdania, jak to w kosmosie nie słychać dźwięku. Ten dźwięk jednak istnieje, tyle że w postaci magnetycznych wibracji. NASA przekonwertowało te wibracje na dźwięki słyszalne dla człowieka i chociaż chowałem się w swoim pokoju, natknąłem się na coś magicznego z wszechświata, co wielu innych ludzi by przegapiło, gdy tylko wiadomość o tym przestałaby się klikać w internecie. Niektóre planety brzmią złowieszczo, jak soundtrack z filmu science fiction, którego akcja rozgrywa się w jakimś obcym świecie – obcym w sensie z ufoludkami, nie po prostu gdzie indziej niż na Ziemi. Neptun brzmi jak szybki nurt, Saturn przerażająco wyje i jego już nie słucham, tak samo jak Urana, choć przy jego gwiżdżących wiatrach łatwo sobie wyobrazić statki kosmiczne strzelające do siebie laserami. Odgłosy planet to świetny początek rozmowy, gdy się ma z kim pogadać, a jeśli się nie ma, służą doskonale jako biały szum ułatwiający zasypianie.

Odwracam uwagę od Dnia Ostatecznego czytaniem kolejnych wpisów Odliczaczy i słuchaniem odgłosów Ziemi, która zawsze przypomina mi kojące ćwierkanie ptaków i rozmawiające wieloryby, ale też wydaje się trochę dziwna, jakby było w niej coś podejrzanego, czego nie potrafię do końca zidentyfikować. Trochę jak w przypadku Plutona, który brzmi jednocześnie jak szum muszli i syczenie węża.

Przełączam na Neptuna.

RUFUS

01:18

Jedziemy do Plutona w środku nocy.

Pluton to nazwa, jaką wymyśliliśmy dla naszego domu zastępczego, w którym mieszkamy, odkąd nasi bliscy umarli albo się od nas odwrócili. Pluton został zdegradowany do planety karłowatej, ale my nigdy nie uważaliśmy się za gorszych.

Minęły cztery miesiące, odkąd jestem sam, ale Tagoe i Malcolm zżywają się ze sobą znacznie dłużej. Rodzice Malcolma zginęli w pożarze domu, który spowodował jakiś niezidentyfikowany podpalacz. Kimkolwiek był ten człowiek, Malcolm ma nadzieję, że już smaży się w piekle za odebranie mu rodziców. Chłopak miał wtedy zaledwie trzynaście lat i problemy, przez które nawet system ledwo go przyjął. Tagoe został porzucony przez matkę jeszcze jako dzieciak, a jego ojciec zwinął się trzy lata temu, kiedy nie potrafił poradzić sobie z rosnącą stertą niezapłaconych rachunków. Tagoe dowiedział się miesiąc później, że facet popełnił samobójstwo. Nawet jednej łzy za niego nie uronił, nie zapytał, jak to się stało i gdzie.

Jeszcze zanim dowiedziałem się, że umieram, wiedziałem, że mój nowy dom, Pluton, nie będzie nim zbyt długo. Zbliżają się moje osiemnaste urodziny – to samo dotyczy Tagoe

i Malcolma, obaj urodzili się w listopadzie. Mam iść do college'u, tak jak Tagoe, i pomyśleliśmy, że Malcolm pomieszka u nas, ogarniając sobie życie. Kto wie, co będzie teraz. Nie podoba mi się, że już umywam ręce od tych problemów. Na razie jednak liczy się tylko to, że jesteśmy razem. Mam kumpli u boku, tak samo jak każdego dnia, odkąd pojawiłem się w tym domu. Czy było dobrze, czy źle, zawsze stali po mojej lewej i prawej stronie.

Nie zamierzałem się zatrzymywać, ale robię to na widok kościoła, do którego przyszedłem miesiąc po tamtym wypadku – to był nasz pierwszy wspólny weekend z Aimee. Budynek jest ogromny, z białawymi cegłami i ciemnoczerwonymi iglicami. Chciałbym zrobić zdjęcie witraży, ale flesz może zepsuć kolory. Nieważne, bo jeśli fotka jest warta wrzucenia na Instagram, i tak dodaję ten klasyczny, czarno-biały filtr. Prawdziwy problem polega na tym, że nie uważam, by zdjęcie kościoła zrobione przez takiego niedowiarka jak ja nadawało się na pamiątkę po mnie dla moich siedemdziesięciu obserwatorów (o hasztagu nie ma mowy).

– Co tam, Roof?

– To kościół, w którym Aimee grała dla mnie na fortepianie – mówię. Aimee jest dość wierzącą katoliczką, ale nigdy niczego na mnie nie wymuszała. Rozmawialiśmy o muzyce, a ja wspomniałem, że lubiłem parę rzeczy z muzyki klasycznej, którą Olivia puszczała sobie do nauki. Aimee chciała, żebym usłyszał to na żywo – i pragnęła też sama dla mnie zagrać. – Muszę jej powiedzieć, że umieram.

Tagoe przechodzi dreszcz. Na bank świerzbi go, żeby przypomnieć mi, że Aimee chciała ode mnie odpocząć, jednak tego rodzaju życzenia idą w odstawkę w Dniu Ostatecznym.

Schodzę z roweru, opieram go na nóżce. Nie oddalam się od nich za bardzo, po prostu zbliżam do wejścia akurat w chwili,

gdy jakiś ksiądz wyprowadza ze środka płaczącą kobietę. Nieznajoma stuka o siebie pierścionkami z topazem; moja mama kiedyś oddała takie do lombardu, żeby kupić Olivii bilety na koncert z okazji jej trzynastych urodzin. Ta kobieta z pewnością jest Zgonerką albo zna kogoś takiego. Cmentarna szychta działa tutaj na poważnie. Malcolm i Tagoe ciągle drwią z kościołów, które potępiają Prognozę Śmierci i jej „bezbożne wizje od samego Szatana", ale super, że niektóre zakonnice i księża pracują długo po północy, dając Zgonersom szansę na pokutę, chrzest i wszystkie te dobre rzeczy.

Jeśli Bóg istnieje, jak wierzyła moja mama, mam nadzieję, że ją teraz wspiera.

Dzwonię do Aimee. Mija sześć sygnałów, a potem odzywa się poczta głosowa. Dzwonię jeszcze raz i dzieje się to samo. Próbuję znowu i teraz poczta włącza się już tylko po trzech sygnałach. Aimee mnie ignoruje.

Wpisuję wiadomość: *Dzwonili do mnie z Prognozy Śmierci. Może Ty też powinnaś.*

Nie no, nie mogę być takim dupkiem i wysłać jej tego.

Poprawiam się: *Dzwonili do mnie z Prognozy Śmierci. Możesz się odezwać?*

Nie mija minuta i moja komórka się odzywa, tym razem jednak normalnym dzwonkiem, nie tym przerażającym od Prognozy. Wyświetla się numer Aimee.

– Hej.

– Ty tak na serio? – pyta.

Gdybym żartował, udusiłaby mnie za coś takiego. Tagoe kiedyś próbował w ten sposób zdobyć jej uwagę i Aimee szybko go zgasiła.

– Tak. Muszę się z tobą zobaczyć.

– Gdzie jesteś? – Nie słychać w jej głosie złości i nie próbuje się rozłączyć jak ostatnio.

– Właściwie to jestem przy tym kościele, do którego mnie zabrałaś. – Jest tu dziko spokojnie, mógłbym przesiedzieć tu cały dzień i może dożyć jutra. – Są ze mną Malcolm i Tagoe.

– Dlaczego nie jesteście w Plutonie? Co robicie na mieście w poniedziałek w nocy?

Potrzebuję więcej czasu, żeby odpowiedzieć na to pytanie. Może kolejne osiemdziesiąt lat, ale nie mam tylu, a nie chcę się z tym teraz mierzyć.

– Wracamy właśnie do Plutona. Możemy spotkać się na miejscu?

– Słucham? Nie. Zostań w kościele, przyjadę do ciebie.

– Nie umrę przed dotarciem tam, uwierz…

– Nie jesteś niepokonany, głupku! – Aimee teraz płacze, a głos jej się trzęsie jak wtedy, gdy byliśmy bez kurtek i złapał nas deszcz. – O rany, przepraszam, ale czy ty wiesz, ilu Zgonersów składa takie obietnice, a potem ginie pod fortepianem?

– Domyślam się, że niewielu – odpowiadam. – Zmiażdżenie przez spadający fortepian nie wydaje mi się plasować zbyt wysoko w statystykach, a do tego jeszcze pozostaje kwestia obietnicy…

– To nie jest śmieszne, Rufus. Ubieram się, a ty się nie ruszaj stamtąd. Będę za góra pół godziny.

Mam nadzieję, że będzie potrafiła mi wszystko wybaczyć, tę noc również. Muszę dotrzeć do niej, zanim zrobi to Dziobak, i przedstawić jej swoją wersję. Jestem pewien, że Dziobak wróci do domu, ogarnie się i zadzwoni do Aimee z telefonu brata, żeby opowiedzieć jej, jakim jestem potworem. Lepiej żeby jednak nie dzwonił na policję, inaczej swój Dzień Ostateczny spędzę za kratkami albo może znajdę się po złej stronie pałki jakiegoś funkcjonariusza. Nie chcę myśleć o żadnej z tych rzeczy, chcę tylko spotkać się z Aimee

i pożegnać się z Plutonami jako przyjaciel, którego znają, a nie potwór, jakim byłem dzisiaj.

– Spotkajmy się w domu. Po prostu… przyjedź do mnie. Cześć, Aimee.

Rozłączam się, zanim zdąży zaprotestować. Wsiadam na rower, a ona cały czas dzwoni.

– Jaki jest plan? – pyta Malcolm.

– Wracamy do Plutona – odpowiadam. – Urządzicie mi pogrzeb.

Sprawdzam godzinę. Wpół do drugiej.

Wciąż jest czas, żeby pozostali Plutoni otrzymali powiadomienie. Nie życzę im go, ale może nie będę musiał umierać sam.

A może właśnie tak musi być.

MATEO

01:32

Przeglądanie Odliczaczy nie napawa optymizmem. A jednak nie potrafię tego olać, bo każdy zarejestrowany Zgoner ma historię, którą chce się podzielić. Jeśli ktoś umieszcza swoją podróż w internecie, poświęcasz mu uwagę – nawet jeśli wiesz, że na końcu wszyscy giną.

Jeśli nie zamierzam wychodzić na dwór, mogę przynajmniej wspierać innych w sieci.

Na stronie znajduje się pięć kategorii: popularne, nowe, lokalne, promowane, przypadkowe – a ja przeglądam najpierw te lokalne, żeby sprawdzić, czy nikogo nie rozpoznaję… Całe szczęście nie.

Chyba byłoby miło mieć dzisiaj towarzystwo.

Wybieram przypadkowego Zgonera. Nazwa użytkownika: Geoff_Nevada88. Geoff otrzymał swoje powiadomienie cztery minuty po północy i już wyszedł na świat, kierując się do ulubionego baru, skąd ma nadzieję nie zostać wyrzuconym, bo jest dwudziestolatkiem, który zgubił fałszywe dokumenty. Na pewno nie będzie problemu. Przypinam sobie jego relację i otrzymam powiadomienie, gdy pojawi się jakaś aktualizacja.

Przełączam na inny feed. Nazwa użytkownika: Web MavenMarc. Marc to były menadżer mediów społecznościowych u producenta napojów gazowanych, o czym

wspomina dwa razy w jednym akapicie, i nie jest pewien, czy jego córka dotrze do niego na czas. Czuję, jakby ten facet stał przede mną i pstrykał mi palcami przed twarzą.

Wiem, że muszę się zobaczyć z ojcem, nawet jeśli jest nieprzytomny. Musi wiedzieć, że dotarłem do niego, zanim nadszedł mój czas.

Odstawiam laptopa, ignorując powiadomienia z różnych przypiętych kont, i maszeruję prosto do jego sypialni. Nie posłał łóżka tamtego dnia, gdy wyszedł do pracy, ale od tego czasu już to za niego zrobiłem, pamiętając o wsunięciu brzegu koca pod poduszki, tak jak lubi. Siadam na krawędzi łóżka – po prawej stronie, bo podobno mama wolała lewą, a chociaż jej dawno już nie ma, on wciąż żyje dwustronnie i nigdy jej nie wypisał ze swojego otoczenia – i sięgam po ramkę ze zdjęciem taty, na którym pomaga mi zdmuchnąć świeczki z tortu z *Toy Story* podczas moich szóstych urodzin. Cóż, właściwie to tylko tata dmucha. Ja po prostu śmieję się z niego, a on stwierdził, że właśnie przez ten radosny wyraz na mojej twarzy trzyma tę fotografię cały czas na widoku.

Wiem, że to jest trochę dziwne, ale tata jest dla mnie tak samo bliskim przyjacielem jak Lidia. Nigdy bym nie przyznał się do tego głośno, bo ludzie na pewno by się ze mnie śmiali, a jednak zawsze mieliśmy świetną relację. Nie idealną, jestem pewien, że nawet najlepiej dobrane pary – w mojej szkole, w tym mieście, na drugim krańcu świata – cierpią z powodu jakichś głupich albo ważnych rzeczy, które grożą ich rozstaniem, ale zawsze znajdują sposób, żeby to przezwyciężyć. A mnie i taty nigdy nie łączyła jedna z tych relacji, w których ludzie się kłócą i nigdy więcej ze sobą nie rozmawiają; nie jak ci Zgonersi w niektórych postach na Odliczaczach, którzy nienawidzą swoich ojców tak bardzo, że nie odwiedzili ich na łożu śmierci albo nie chcieli pogodzić się

z nimi, gdy nadeszła ich kolej. Wyjmuję zdjęcie z ramki, składam i chowam do kieszeni – zagięcia nie będą tacie przeszkadzać, tak mi się wydaje – i wstaję, żeby pojechać do szpitala i pożegnać się, zostawiając to zdjęcie u jego boku, żeby zobaczył je, gdy się już obudzi. Chcę mieć pewność, że poczuje szybko spokój zwyczajnego dnia, zanim ktoś powie mu, że odszedłem.

Wychodzę z jego sypialni, czując się naładowany energią przed wyprawą, kiedy mój wzrok pada na stertę naczyń w zlewie. Powinienem je umyć, żeby po powrocie nie powitały taty brudne talerze i kubki z zaschniętymi resztkami gorącej czekolady, którą ostatnio namiętnie pijałem.

Przysięgam, że to nie jest wymówka, żeby nie wyjść z mieszkania.

Poważnie.

RUFUS

01:41

Zwykle pędzimy ulicami na rowerach, jakbyśmy ścigali się bez hamulców, ale nie dzisiaj. Mamy oczy dookoła głowy i zatrzymujemy się na każdym czerwonym świetle, tak jak teraz, nawet kiedy na ulicy nie ma żadnych samochodów. Stoimy na tej samej przecznicy, co ten klub dla Zgonersów, Cmentarz Clinta. Przed wejściem utworzyła się kolejka dwudziestoparolatków i panuje tam prawdziwy chaos. Bramkarze muszą tu nieźle zarabiać za użeranie się ze Zgonersami i ich przyjaciółmi, którzy chcą ostatni raz poszaleć na parkiecie.

Taka jedna brunetka, dziko śliczna, zaczyna wrzeszczeć, kiedy jakiś koleś podbija do niej z wymęczonym tekstem („Może przeżyjesz kolejny dzień dzięki zastrzykowi z mojej witaminy, mała"), a jej przyjaciółka grozi mu, machając torebką, dopóki ten się nie wycofa. Biedna dziewczyna nie ma chwili spokoju od podrywaczy nawet w dniu swojej śmierci.

Wreszcie światło zmienia się na zielone i jedziemy dalej, parę minut później docierając do Plutona. Dom zastępczy to bliźniak ze zdewastowanym frontem – tu brakuje cegieł, tam widnieje kolorowe graffiti z nieczytelnym napisem. W oknach na dole są kraty; nie dlatego, że jesteśmy kryminalistami czy coś, ale żeby nikt się nie włamał i nie okradł bandy

dzieciaków, które i tak już dużo straciły. Zostawiamy rowery przy schodach i biegniemy do drzwi wejściowych. Wpadamy do środka, kierując się do salonu i nie przejmując dudnieniem butów o podłogę wyłożoną biało-czarnymi kafelkami jak szachownica. Chociaż na ścianach widać wiele tablic z informacjami na temat seksu, testów na HIV, aborcji i biur adopcyjnych, czuję się tutaj jak w domu, a nie jak w instytucji.

Jest tutaj kominek, który nie działa, ale i tak wygląda spoko. Ciepła pomarańczowa farba na ścianach nastrajała mnie na jesień w te wakacje. Przy dębowym stole zbieraliśmy się w weekendowe wieczory, żeby grać w Karty Przeciwko Ludzkości i Tabu. Na telewizorze śledziliśmy z Tagoe reality show *Hipster House*, chociaż Aimee nie cierpiała tych wszystkich hipsterów – wolałaby, żebym zamiast tego oglądał animowane porno. Na kanapie drzemaliśmy na zmianę, bo jest wygodniejsza niż nasze łóżka.

Idziemy na piętro, gdzie znajduje się nasza sypialnia; jest tu tak ciasno, że nie byłoby wygodnie nawet jednej osobie, a co dopiero trzem, ale i tak jakoś dajemy radę. Jest okno, które otwieramy na noc po tym, jak Tagoe nażre się fasoli, nawet jeśli na dworze jest dziko głośno.

– Muszę to powiedzieć – rzuca Tagoe, zamykając za nami drzwi. – Naprawdę daleko zaszedłeś. Pomyśl o tym, ile zrobiłeś od czasu przyjścia tutaj.

– Jasne, ale jeszcze tyle więcej mógłbym zrobić – odpowiadam, siadając na łóżku i kładąc głowę na poduszce. – Czuję potworną presję, żeby całe życie przeżyć w jeden dzień. – Może nawet nie cały dzień. Będę miał farta, jeśli przetrwam dwanaście godzin.

– Nikt nie oczekuje, że znajdziesz lek na raka albo uratujesz pandy od wyginięcia – stwierdza Malcolm.

– Jo, całe szczęście Prognoza Śmierci nie potrafi przewidzieć, kiedy umrze jakieś zwierzę, bo to by było naprawdę do bani – rzuca Tagoe, a ja tylko patrzę na niego spode łba, bo papla o pandach, kiedy jego najlepszy przyjaciel umiera. – No co? Przecież to prawda! Byłbyś najbardziej znienawidzonym gościem na świecie, gdybyś zadzwonił do ostatniej pandy. Wyobraź sobie szum w mediach, selfiki i…

– Czaimy – przerywam mu. Niestety nie jestem pandą, więc media mają mnie głęboko w dupie. – Musicie coś dla mnie zrobić. Obudźcie Jenn Lori i Francisa. Powiedzcie, że chcę mieć pogrzeb przed wyjściem. – Francis właściwie nigdy mnie nie polubił, ale tak czy inaczej dostałem u niego dach nad głową, a to więcej, niż mają niektórzy.

– Powinieneś zostać tutaj – oznajmia Malcolm. Otwiera naszą jedyną szafę. – Może uda nam się to pokonać. Może ty będziesz wyjątkiem! Możemy cię tu zamknąć.

– Uduszę się albo spadnie mi na głowę półka z tymi twoimi ważącymi tonę szmatami – odpowiadam. Powinien przestać wierzyć w te wyjątki i inny szajs. – Nie zostało mi wiele czasu, chłopaki. – Drżę trochę, ale jakoś się ogarniam. Nie mogę pokazać im, że panikuję.

Tagoe znowu wstrząsa dreszcz.

– Poradzisz sobie sam?

Dopiero po kilku sekundach dociera do mnie prawdziwy sens jego pytania.

– Nie zabiję się – mówię.

Nie chcę umrzeć.

Zostawiają mnie w pokoju samego z praniem, o które nie muszę się już martwić, i pracą domową z wakacyjnego kursu, której już nigdy nie skończę – ani nie zacznę. W rogu mojego łóżka leży zwinięty koc Aimee, żółty we wzór z kolorowymi żurawiami; owijam sobie nim ramiona. Należał do niej, gdy

była jeszcze mała; to pamiątka z dzieciństwa jej matki. Kiedy zaczęliśmy się spotykać za moich czasów w Plutonie, przykrywaliśmy się nim, a nawet czasami służył nam w czasie pikników w salonie, to były dziko luźne czasy. Aimee nie poprosiła o zwrot kocyka po naszym rozstaniu, co moim zdaniem było jej sposobem na to, żebym nie odszedł zbyt daleko, nawet jeśli chciała przestrzeni. Jakbym ciągle miał u niej jeszcze jakieś szanse.

Ten pokój jest zupełnym przeciwieństwem tego, w którym się wychowałem – ma beżowe ściany zamiast zielonych; dwa dodatkowe łóżka i współlokatorów na połowę mniejszej przestrzeni; żadnych ciężarków czy plakatów z grami – ale i tak czuję się w nim jak w domu, a mieszkanie tutaj nauczyło mnie, że ludzie są ważniejsi od rzeczy. Malcolm przekonał się o tym w chwili, gdy strażacy ugasili pożar, który spalił mu dom, rodziców i wszystkie ulubione przedmioty.

Tutaj nie gromadzimy ich zbyt wiele.

Za łóżkiem powiesiłem zdjęcia, wszystkie wydrukowane przez Aimee z Instagrama: park Althea, moje miejsce wielkiej zmiany; przepocony biały T-shirt, wiszący na ramie roweru po moim pierwszym maratonie zeszłego lata; porzucone stereo na Christopher Street, grające piosenkę, jakiej nie słyszałem nigdy wcześniej i nie usłyszałem nigdy później; Tagoe z zakrwawionym nosem po wymyślaniu plutońskiego powitania, które źle się skończyło przy zderzeniu głowami; dwa buty – jeden rozmiaru jedenaście, drugi dziewięć – które kupiłem, nie sprawdzając, czy są do pary; ja i Aimee, ja z nierówno zmrużonymi oczami, trochę jak wtedy, gdy jestem naćpany, chociaż nie byłem (jeszcze), ale i tak zachowałem to zdjęcie, bo światło uliczne rzuciło na nią fajny blask; odciski butów w błocie, kiedy goniłem Aimee w parku po kilku dniach ciągłego deszczu; dwa cienie siedzące obok siebie, Malcolm nie

chciał tego zdjęcia, ale i tak je zrobiłem; a także tonę innych, które muszę zostawić kumplom, wychodząc stąd.

Wychodząc stąd…

Naprawdę nie chcę iść.

MATEO

01:52

Jestem już prawie gotowy do wyjścia.

Pozmywałem naczynia, wymiotłem kurz i papierki po cukierkach spod kanapy, umyłem podłogę w salonie, wytarłem plamy z pasty do zębów z umywalki w łazience, ale wciąż nie mogę się zabrać za sprzątanie bałaganu, jakiego narobiłem w swoim pokoju. Wróciłem przed laptopa, gdzie czeka mnie jeszcze większe wyzwanie: inskrypcja na mój nagrobek, nie dłuższa niż osiem słów. Wolałbym już chyba wziąć się za pisanie rozprawek. Jak podsumować swoje życie w ośmiu słowach?

Umarł tam, gdzie żył: w swojej sypialni.

Co za strata życia.

Dzieci podejmują większe ryzyko niż on.

Muszę zrobić to lepiej. Wszyscy oczekiwali po mnie znacznie więcej, w tym nawet ja sam. Muszę temu sprostać. Mam ostatni dzień.

Tutaj leży Mateo: Żył dla wszystkich.

Klikam „wyślij".

Nie ma już odwrotu. Tak, mogę edytować, ale nie tak działają obietnice, a życie dla wszystkich jest moją obietnicą złożoną światu.

Zdaję sobie sprawę, że jest bardzo wcześnie, ale coś mnie też ściska w piersi, bo jednocześnie jest też bardzo późno, przynajmniej dla Zgonera. Nie dam rady sam odejść. Nie chcę wciągać Lidii w mój Dzień Ostateczny, pożegnam się z nią i Penny, jeśli uda mi się wydostać z mieszkania, ale naprawdę nie zamierzam jej o niczym mówić. Nie chciałbym, żeby uznała mnie za zmarłego jeszcze przed moją śmiercią, ani sprawiać jej przykrości. Może wyślę do niej list pożegnalny, w którym wszystko wyjaśnię, a sam tymczasem pójdę żyć.

Niemniej potrzebuję jakiegoś motywatora, który może też być moim przyjacielem, albo przyjaciela, który posłuży też za motywator, a właśnie taką usługę świadczy aplikacja często reklamowana na Odliczaczach.

Aplikacja *Ostatni Przyjaciel* została zaprojektowana z myślą o Zgonersach, którzy czują się samotni, a także dla każdej dobrej duszy chętnej towarzyszyć Zgonerowi w czasie ostatnich godzin. Nie należy mylić jej z *Necro*, która ma służyć chętnym na jednorazową przygodę ze Zgonerem – czyli najbardziej niezobowiązujący seks, jaki może istnieć. Zawsze niepokoiła mnie ta aplikacja, nie tylko dlatego, że seks wywołuje we mnie nerwowość. Nie, *Ostatni Przyjaciel* został stworzony po to, by ktoś tuż przed śmiercią poczuł się wartościowy i kochany. Twórcy nie pobierają żadnych opłat od użytkowników, w przeciwieństwie do *Necro*, które kosztuje prawie osiem dolarów za dzień, a ja nie potrafię powstrzymać się od myśli, że człowiek jest wart więcej.

Tak czy inaczej, zupełnie jak każda potencjalna nowa przyjaźń, relacja nawiązana dzięki aplikacji może się okazać niewypałem. Kiedyś śledziłem taką jedną laskę na Odliczaczach, Zgonerka poznała Ostatniego Przyjaciela, ale rzadko wrzucała coś nowego, czasami przez kilka godzin, przez co widzowie myśleli, że już umarła. Tak naprawdę w tym

czasie jeszcze żyła, i to bardzo, po prostu spędzała swój ostatni dzień tak, jak powinno się go spędzać, a po jej śmierci Ostatni Przyjaciel napisał krótką mowę pogrzebową, z której dowiedziałem się więcej o tej dziewczynie niż z jakichkolwiek jej postów. Niemniej nie zawsze jest tak słodko. Kilka miesięcy temu jakiś Zgoner ze smutnym życiem niechcący zaprzyjaźnił się z niesławnym seryjnym mordercą z *Ostatniego Przyjaciela* i ciężko się o tym czytało. To jeden z wielu powodów, dla których trudno mi zaufać temu światu.

Myślę, że porozumienie się z Ostatnim Przyjacielem dobrze mi zrobi. Nie wiem, czy smutniejsze jest umierać samotnie, czy w towarzystwie kogoś, kto nie tylko nic dla ciebie nie znaczy, ale prawdopodobnie też niewiele go obchodzisz.

Czas ucieka.

Muszę zaryzykować i odnaleźć w sobie odwagę, jak miliony Zgonersów przede mną. Sprawdzam w sieci stan swojego konta i widzę, że resztki mojego funduszu na college zostały z powodzeniem przelane na rachunek bieżący; to zaledwie dwa tysiące dolarów, ale więcej niż potrzebuję, żeby przeżyć ten dzień. Mogę pojechać do Areny Podróżniczej w centrum, gdzie można doświadczyć kultur i środowisk z różnych krajów i miast.

Ściągam na telefon aplikację *Ostatni Przyjaciel*. Nigdy nie miałem takiej prędkości pobierania; zupełnie jakby sieć zrozumiała, że cały sens jej istnienia jest taki, że komuś właśnie kończy się czas. Aplikacja posiada niebieski interfejs z animowanym szarym zegarem oraz dwiema postaciami, które zbliżają się do siebie i przybijają piątkę. Na samym środku pojawia się logo *Ostatniego Przyjaciela* i zaraz wjeżdża też menu.

- Umieram dzisiaj

• Nie umieram dzisiaj

Wybieram pierwszą opcję i pojawia się informacja:

W imieniu firmy Ostatni Przyjaciel sp. z o.o. chcielibyśmy powiedzieć, że bardzo nam przykro z powodu tego, co stracisz. Nasze serca są również z tymi, którzy Cię kochają, oraz tymi, których nigdy już nie poznasz. Mamy nadzieję, że znajdziesz tutaj kogoś, z kim warto spędzić ostatnie godziny życia. Uzupełnij profil, aby uzyskać najlepsze wyniki.
Serdeczne kondolencje,
OP sp. z o. o.

Pojawia się pusty formularz do wypełnienia.

Imię i nazwisko: Mateo Torrez.
Wiek: 18.
Płeć: mężczyzna.
Wzrost: 1,78 m.
Narodowość: Portorykańczyk.
Orientacja seksualna: <pomiń>
Zawód: <pomiń>
Zainteresowania: Muzyka. Wędrowanie.
Ulubione filmy/programy/książki: *Drewnowilki* Gabriela Reedsa; *Szkocka krata to nowa czerń*; seria ze Scorpiusem Hawthorne'em.
Kim byłeś za życia: Jestem jedynakiem i wychowywał mnie tata. Tylko że od dwóch tygodni jest w śpiączce i pewnie obudzi się już po tym, jak umrę. Chcę wyjść do ludzi, żeby był ze mnie dumny. Nie mogę być ciągle dzieciakiem, który nigdy się nie wychyla, bo w ten sposób tylko pozbawiłem się szansy

na bycie z Wami wszystkimi – może poznałbym kogoś z Was wcześniej.

Co byś chciał zrobić przed śmiercią: Chcę jechać do szpitala i pożegnać się z tatą. A potem do najlepszej przyjaciółki, ale nie chcę jej mówić, że umieram. Później sam nie wiem. Chciałbym zostawić po sobie jakiś ślad i znaleźć przy okazji w sobie innego Mateo.

Ostatnie myśli: Odważę się.

Przesyłam odpowiedzi. Aplikacja podpowiada, żebym dodał zdjęcie. Przeglądam galerię w telefonie i znajduję tam mnóstwo fotek Penny oraz screenshotów piosenek, które polecałem Lidii. Są też takie, na których siedzę z tatą w salonie. Jest też fotografia ze szkolnego albumu, trochę to żenujące. Natykam się na selfiaka, którego zrobiłem ubrany w czapkę Luigiego wygraną w zawodach w Mario Kart. Miałem je wysłać organizatorowi, żeby umieścili je na stronie, ale uznałem, że ten chłopak wygłupiający się w czapce Luigiego nie za bardzo przypomina mnie, więc nigdy tego nie zrobiłem.

Ale myliłem się – szok, niedowierzanie. Dokładnie taką osobą zawsze chciałem być – wyluzowaną, fajną, beztroską. Nikt nie spojrzy na to zdjęcie z myślą, że nie pasuje do mnie, ponieważ żaden z użytkowników tej aplikacji mnie nie zna. Będą po mnie oczekiwać jedynie tego, co pokażę na swoim profilu.

Wysyłam zdjęcie i pojawia się ostatnie powiadomienie: *Powodzenia, MATEO.*

RUFUS

01:59

Rodzice zastępczy czekają na mnie na dole. Próbowali wejść tutaj, gdy tylko się dowiedzieli o wszystkim, ale Malcolm zabawił się w ochroniarza, bo wiedział, że potrzebuję jeszcze chwili. Przebieram się w strój na rower – legginsy sportowe, na nie niebieskie spodenki bejsbolowe, żeby moje klejnoty nie wystawały jak u Spider-Mana, a do tego ulubiony szary polar – bo nie wyobrażam sobie, żebym w Dniu Ostatecznym poruszał się po mieście inaczej niż na moich dwóch kółkach. Sięgam po kask, bo bezpieczeństwo przede wszystkim. Ostatni raz spoglądam na pokój. Nie rozklejam się ani nic, serio, nawet kiedy przypominam sobie, jak grałem z chłopakami w łapanie piłki. Zostawiam zapalone światło i wychodzę, nie zamykając za sobą drzwi, żeby Malcolm i Tagoe nie wahali się przed wejściem.

Malcolm posyła mi słaby uśmiech. Kiepsko mu idzie udawanie twardziela, bo wiem, że panikuje, tak samo jak wszyscy. Ja na ich miejscu też bym panikował.

– Serio obudziłeś Francisa? – pytam.

– No.

Bardzo możliwe, że umrę z rąk mojego przybranego ojca; jego budzić może tylko osobisty budzik.

Idę za Malcolmem na dół. Tagoe, Jenn Lori i Francis już tam czekają, ale żadne się nie odzywa. Pierwsze, o co chciałbym zapytać, to czy ktoś może kontaktował się z Aimee, czy przypadkiem ciocia nie zatrzymała jej w domu, ale to na pewno nieprawda.

Naprawdę mam nadzieję, że nie zmieniła zdania i nadal chce się ze mną zobaczyć.

Wszystko będzie dobrze, muszę się skupić na tych, którzy tu są.

Francis jest rozbudzony i ubrany w ulubiony/jedyny szlafrok, jakby był jakimś szefem szefów zarabiającym miliony, a nie wydającym na nas ostatnie pieniądze mechanikiem. Dobry z niego człowiek, ale wygląda dziko, bo włosy ma krzywo ostrzyżone; robi to samodzielnie, żeby zaoszczędzić, co jest głupie, bo Tagoe jest przecież mistrzem nożyczek. Nie ściemniam, gość robi niesamowite rzeczy na głowie i sukinsyn niech lepiej otworzy kiedyś własny salon fryzjerski zamiast marzyć o byciu scenarzystą. Tylko że Francis jest zbyt biały dla stylu Tagoe.

Jenn Lori wyciera oczy kołnierzykiem starej koszulki z college'u i zakłada z powrotem okulary. Siedzi na samej krawędzi krzesła, jak przy oglądaniu ulubionego slashera Tagoe, i podobnie jak wtedy wstaje, lecz nie dlatego, że na ekranie właśnie pokazują czyjś obrzydliwy samozapłon. Ściska mnie i wypłakuje mi się w ramię; pierwszy raz od odebrania telefonu od Prognozy Śmierci ktoś mnie przytulił i nie chcę jej puszczać, ale muszę. Jenn stoi obok, a ja wbijam wzrok w podłogę.

– Jedna gęba mniej do wykarmienia, co? – Nikt nie śmieje się z mojego żartu. Wzruszam ramionami. Nie wiem, jak mam się zachować. Nikt nigdy nie tłumaczy, jak przygotować innych na swoją śmierć, zwłaszcza kiedy ma się siedemnaście lat

i dobre zdrowie. Każdy z nas już przeżył niejedną smutną chwilę i chciałbym, żeby się śmiali. – Ktoś ma ochotę na Papier, Kamień, Nożyce?

Pokazuję Nożyce, nie grając przeciwko nikomu konkretnemu. Za chwilę robię to samo, tym razem Kamieniem, ale nadal nikt nie próbuje mi się przeciwstawić.

– No dalej.

Powtarzam raz jeszcze i tym razem Malcolm zagrywa Papierem przeciwko moim Nożycom. Zajmuje nam to minutę, ale gramy wielokrotnie. Francisa i Jenn Lori łatwo pokonać. Występuję przeciwko Tagoe i jego Kamień bije moje Nożyce.

– Powtórka – oznajmia Malcolm. – Tagoe w ostatniej chwili zmienił z Papieru na Kamień.

– Rany, ze wszystkich dni miałbym oszukać Rufusa akurat dzisiaj? – Tagoe kręci głową.

Trącam go przyjacielsko.

– Bo dupek z ciebie.

Ktoś dzwoni do drzwi.

Rzucam się do nich, serce mi wali, i otwieram. Aimee ma tak czerwoną twarz, że prawie nie widać wielkiego znamienia na jej policzku.

– To jakiś żart, prawda? – rzuca.

Kręcę głową.

– Mogę ci pokazać dokładną godzinę połączenia na komórce.

– Nie chodzi mi o twój Dzień Ostateczny – odpowiada. – Tylko to. – Odsuwa się i wskazuje na dół schodów, na rozkwaszoną twarz Dziobaka. Tę samą, której poprzysiągłem do końca życia już nie oglądać.

MATEO

02:02

Nie wiem, ile aktywnych kont ma aplikacja *Ostatni Przyjaciel* na całym świecie, ale w tej chwili w samym tylko Nowym Jorku kilka tysięcy jest online, a patrzenie na tę długaśną listę przypomina mi tamten dzień w szkolnym audytorium na samym początku roku. Cała ta presja i nawet nie wiem, od czego właściwie zacząć. I wtedy otrzymuję wiadomość.

W mojej skrzynce znajduje się jasnoniebieska koperta, która miga, czekając, aż ją wybiorę. Wiadomość nie posiada tematu, jedynie podstawowe informacje: Wendy Mae Greene, dziewiętnaście lat, kobieta. Manhattan, Nowy Jork (3 kilometry stąd). Wchodzę na jej profil. Nie jest Zgonerką, jedynie dziewczyną, która nie śpi do późna i szuka kogoś, kogo mogłaby pocieszyć. W swoim bio opisała siebie jako „mola książkowego z obsesją na punkcie wszystkiego, co związane ze Scorpiusem Hawthorne'em" i to pewnie dlatego do mnie napisała, to nas łączy. Poza tym lubi też wędrować, „zwłaszcza późnym majem, gdy pogoda jest idealna". Nie doczekam następnego maja, Wendy Mae. Zastanawiam się, jak długo ma ten profil i czy ktoś już jej zwrócił uwagę, że mówienie o przyszłości w ten sposób może obrażać jakiegoś Zgonera, że łatwo to zinterpretować jako chwalenie się tym, ile ma jeszcze przed sobą życia. Ignoruję to i wybieram jej zdjęcie.

Wydaje się w porządku – ma jasną skórę, brązowe oczy, brązowe włosy, kolczyk w nosie i szeroki uśmiech. Otwieram wiadomość.

WENDY MAE G.: hej mateo. Spoko ksiazki czytasz i wgl. Zaloze się ze chcialbys teraz zaklecie skrycia przed smiercia, co??

Jestem pewien, że ma dobre intencje, ale z jednej strony to jej bio, z drugiej ta wiadomość sprawiają, że czuję, jakby wbijała we mnie gwoździe zamiast pocieszać mnie poklepaniem po plecach, na co liczyłem. Mimo to nie chcę być niegrzeczny.

MATEO T.: Hej, Wendy Mae. Dzięki, masz świetny gust książkowy.
WENDY MAE G.: scorpius hawthorne rzadzi… jak sie masz?
MATEO T.: Trochę mi dziwnie. Nie chcę wyjść z pokoju, ale przecież muszę.
WENDY MAE G.: a jak rozmowa z PS? bales się?
MATEO T.: Właściwie trochę spanikowałem.
WENDY MAE G.: lol. zabawne. i urocze. twoi rodzice pewnie odchodza od zmyslow co?
MATEO T.: Nie chcę być niemiły, ale muszę już iść. Miłego wieczoru, Wendy.
WENDY MAE G.: co ja takiego powiedzialam? dlaczego martwi kolesie zawsze przestaja do mnie gadac?
MATEO T.: To nic takiego, serio. Raczej trudno, żeby moi rodzice odchodzili od zmysłów, bo mamy już nie mam, a tata leży w śpiączce.
WENDY MAE G.: i skad ja niby mialam to wiedziec?

MATEO T.: Napisałem to w swoim profilu.
WENDY MAE G.: dobra, niewazne. masz w takim razie wolna chate? mialam stracic dziewictwo z chlopakiem ale chce najpierw pocwiczyc i moze bys mi w tym pomogl.

Opuszczam rozmowę, gdy Wendy wpisuje kolejną wiadomość, a dla pewności jeszcze ją blokuję. Rozumiem jej kompleksy, chyba będzie mi żal jej i jej chłopaka, jeśli zdoła go zdradzić, ale ja nie jestem jakimś cudotwórcą. Otrzymuję kolejne wiadomości, tym razem z tematami:

TEMAT: 420?
Kevin i Kelly. 21 lat. Mężczyzna.
Bronx, Nowy Jork (6 kilometrów stąd).
Zgoner(ka)? Nie.

TEMAT: MOJE KONDOLENCJE, MATEO (ŚWIETNE IMIĘ)
Philly Buser. 24 lata. Mężczyzna.
Manhattan, Nowy Jork (5 kilometrów stąd).
Zgoner(ka)? Nie.

TEMAT: sprzedajesz kanapę? w dobrym stanie?
Lee Ling. 26 lat. Mężczyzna.
Manhattan, Nowy Jork (5 kilometrów stąd).
Zgoner(ka)? Nie.

TEMAT: Umieranie ssie, co?
Elle R. 20 lat. Kobieta.
Manhattan, Nowy Jork (5 kilometrów stąd).
Zgoner(ka)? Tak.

Ignoruję wiadomość od Kevina i Kelly, bo nie interesuje mnie trawka. Kasuję też tę od Lee Linga, bo nie sprzedam kanapy, na której kiedyś w końcu tata będzie drzemał w weekendy. Za to odpowiem Philly'emu – bo napisał do mnie przed innymi.

PHILLY B.: Hej, Mateo. Jak tam leci?
MATEO T.: Hej, Robby. Czy to nie zabrzmi głupio, jak napiszę, że jakoś się trzymam?
PHILLY B.: Nie no, jestem pewien, że jest Ci trudno. Nie cieszę się na myśl, że któregoś dnia do mnie też zadzwonią. Jesteś chory albo coś? Strasznie wcześnie umierasz.
MATEO T.: Jestem zdrowy. Trochę się boję tego, jak to się stanie, ale stresuję się, że w jakiś sposób rozczaruję samego siebie, jeśli nie wyjdę z domu. Na pewno nie chcę zasmrodzić mieszkania, umierając tutaj.
PHILLY B.: Mogę Ci pomóc, Mateo.
MATEO T.: W czym pomóc?
PHILLY B.: Mogę zadbać o to, żebyś nie umarł.
MATEO T.: Nikt nie może tego obiecać.
PHILLY B.: Ja mogę. Wydajesz się całkiem spoko chłopakiem, który nie zasługuje na to, żeby umrzeć w tak młodym wieku, więc powinieneś wpaść do mnie. Będziesz musiał to zachować w tajemnicy, ale mam w spodniach lek na śmierć.

Blokuję Philly'ego i otwieram wiadomość od Elle. Może do trzech razy sztuka.

RUFUS

02:21

Aimee podchodzi i popycha mnie na lodówkę. Dziewczyna się nie cacka, bo jej rodzice byli naprawdę brutalni, kiedy napadli na sklep i pobili właściciela oraz jego dwudziestojednoletniego syna. Aimee przynajmniej nie trafi do więzienia za to, co mi robi.

– Popatrz na niego, Rufus. Coś ty sobie myślał, do cholery?

Nie chcę oglądać Dziobaka, który stoi oparty o blat kuchenny. Widziałem już efekty swojej pracy, gdy chłopak wszedł do domu – jedno oko zapuchnięte, rozcięta warga, krople zaschniętej krwi na posiniaczonym czole. Jenn Lori jest tuż obok, przyciska mu lód do twarzy. Na nią też nie mogę patrzeć, jest taka mną rozczarowana, bez względu na mój Dzień Ostateczny. Tagoe i Malcolm stoją po moich obu stronach i milczą, bo Francis już im zmył głowę za to, że poszli ze mną na miasto w nocy, żebym złoił Dziobakowi skórę.

– Już nie czujesz się taki odważny, co? – pyta Dziobak.

– Zamknij się. – Aimee obraca się gwałtownie i rzuca telefon na blat, strasząc wszystkich. – Nie idź za nami. – Otwiera drzwi do kuchni, Francis kręci się przy schodach, niby od niechcenia, żeby jednocześnie mieć na wszystko oko, ale też trzymać się trochę z tyłu i nie być zmuszonym karcić Zgonera.

Aimee ciągnie mnie za nadgarstek do salonu.

– Co ty sobie myślałeś? Że skoro zadzwonili z Prognozy Śmierci to już możesz bić, kogo chcesz?

Dziobak chyba nie powiedział jej, że łoiłem mu skórę, zanim dostałem wiadomość.

– Eee…

– No co?

– Nie ma sensu kłamać. Poszedłem do niego wcześniej.

Aimee robi krok do tyłu, jakby zobaczyła we mnie niebezpiecznego potwora, co kompletnie mnie dobija.

– Posłuchaj, Ames, spanikowałem. Jeszcze zanim do mnie zadzwonili, czułem, jakbym nie miał przed sobą żadnej przyszłości. W szkole nigdy mi nie szło, mam już prawie osiemnaście lat, straciłem ciebie. Straciłem kontrolę, bo nie wiedziałem, co począć. Czuję się dosłownie jak śmieć, a Dziobak właściwie powiedział to samo.

– Wcale nie jesteś śmieciem – mówi Aimee i zbliża się do mnie, trzęsąc się trochę; już się nie boi. Bierze mnie za rękę i siadamy na kanapie, na której powiedziała mi, że odchodzi od Plutonów, bo ciocia od strony matki ma dość siana, żeby ją zabrać do siebie. Minutę później ze mną zerwała, bo chciała zacząć od nowa. Taką gównianą radę dał jej kolega ze szkoły podstawowej, Dziobak. – Nasz związek nie miał już sensu. I nie ma sensu kłamać, jak już mówiłeś, nawet w czasie twojego ostatniego dnia. – Trzyma mnie za rękę i płacze, czego się nie spodziewałem, bo przyszła tutaj taka wkurzona. – Źle odczytałam nasze uczucie, ale to nie znaczy, że nie kocham cię jako przyjaciela. Wspierałeś mnie, gdy musiałam odreagować i powściekać się, i uszczęśliwiałeś, gdy byłam już zmęczona nienawiścią do wszystkiego i wszystkich. Śmieć by tego nie potrafił. – Ściska mnie, kładąc mi brodę na ramieniu. Zawsze wtulała się we mnie w ten sposób, gdy miała oglądać jakiś dokument historyczny.

Obejmuję ją tylko, bo nie mam nic do powiedzenia. Pragnę ją pocałować, ale nie chcę, żeby się do tego zmuszała. Za to jest teraz tak dziko blisko; odsuwam się trochę, żeby spojrzeć w jej twarz, bo może wcale nie musiałaby udawać tego ostatniego pocałunku. Patrzy na mnie, a ja nachylam się…

Tagoe wchodzi do salonu i zakrywa oczy.

– O nie! Przepraszam.

Wycofuję się.

– Nie, nic się nie stało.

– Powinniśmy ogarnąć pogrzeb – oznajmia Tagoe. – Ale nie śpiesz się. To twój dzień. Przepraszam, właściwie to nie, przecież to nie są urodziny, wręcz przeciwnie. – Znowu drży. – Przyprowadzę tutaj wszystkich. – Wychodzi.

– Nie chcę cię okupować – rzuca Aimee. Nie puszcza mnie, dopóki wszyscy się nie zbiorą.

Potrzebuję tego uścisku. Nie mogę się doczekać, aż zacznę przytulać Plutonów w ostatnim grupowym uścisku Plutonowego Układu Słonecznego po pogrzebie.

Zostaję na środku kanapy. Walczę z protestującymi płucami o kolejny oddech. Jest hardo. Malcolm siada po mojej lewej, Aimee po prawej, a Tagoe u moich stóp. Dziobak trzyma się na uboczu, robiąc coś na telefonie Aimee. Nie podoba mi się, że z niego korzysta, ale w końcu rozbiłem jego własny, więc trzymam gębę na kłódkę.

To mój pierwszy pogrzeb Zgonera – moja rodzina nie chciała urządzać swojego, bo mieliśmy siebie nawzajem i nie potrzebowaliśmy nikogo więcej, ani kolegów z pracy, ani przyjaciół. Może gdybym brał udział w innych, byłbym przygotowany na to, że Jenn Lori zwraca się bezpośrednio do mnie, a nie do innych gości. Czuję się przez to nagi i obserwowany, stają mi łzy w oczach, jak wtedy, gdy ktoś śpiewa mi „Sto lat” – serio, mam tak co roku, bez pudła.

Miałem.

– …w ogóle nie płakałeś, chociaż miałeś ku temu wszelkie powody, jakbyś próbował coś w ten sposób udowodnić. Inni… – Jenn Lori nie odwraca się w stronę Plutonów, ani trochę. Nie przerywa kontaktu wzrokowego, jakbyśmy brali udział w jakichś zawodach. Szanuję to. – Jednak miałeś takie smutne oczy, Rufusie. Nie patrzyłeś na nas przez kilka dni. Myślałam sobie wtedy, że ktoś mógłby mnie udawać, a ty byś się nie zorientował. Byłeś taki pusty, dopóki nie znalazłeś przyjaciół… I więcej.

Obracam się i widzę, że Aimee nie przestaje na mnie patrzeć. Ma w oczach ten sam smutek, jaki widziałem wtedy, gdy mnie rzuciła.

– Zawsze czuło się radość, gdy byliście razem – stwierdza Francis.

Nie mówi o dzisiaj, wiem o tym. Umieranie jest do bani, na pewno, ale dać się zamknąć w pudle, gdy życie dokoła toczy się dalej, musi być gorsze.

Francis ciągle patrzy, ale nie mówi nic więcej.

– Nie mamy całego dnia – oznajmia w końcu, przywołując Malcolma. – Teraz twoja kolej.

Malcolm staje na środku pokoju, plecami do kuchni, i się kuli. Chrząka głośno i ostro, jakby coś mu utkwiło w gardle, z ust wylatuje mu trochę śliny. Zawsze był nieogarnięty; to taki koleś, który przynosi ci wstyd, bo nie zna manier i nie panuje nad tym, co mówi. Ale potrafi też uczyć algebry i dochować tajemnicy; właśnie o tym mówiłbym na jego pogrzebie.

– Byłeś… jesteś naszym brachem, Roof. To jest popieprzone, totalnie i absolutnie popieprzone. – Zwiesza nisko głowę, skubie skórki u paznokci. – To do mnie powinni byli zadzwonić.

– Nie mów tak. Serio, zamknij się.

– Mówię poważnie – twierdzi Malcolm. – Nie możemy żyć wiecznie, ale niektórzy ludzie zasługują na więcej lat niż inni. Niektórzy ludzie są ważniejsi niż inni, tak już jest. Ja jestem wielkim nikim, który nie potrafi utrzymać pracy przy pakowaniu zakupów, a ty…

– Ja umieram! – przerywam mu i wstaję. Idę do Malcolma i biję go mocno w ramię. Nie zamierzam go za to przepraszać. – Umieram i nie mogę tego zmienić. Ale ty możesz przestać być wielkim nikim i ogarnąć się wreszcie, do cholery.

Tagoe też wstaje i masuje sobie kark, powstrzymując dreszcze.

– Roof, będę tęsknił za tym, jak nas gasisz. To ty powstrzymujesz mnie przed zamordowaniem Malcolma za każdym razem, kiedy podbiera mi żarcie z talerza i nie spuszcza drugi raz wody. Byłem gotowy oglądać twoją gębę do późnej starości. – Zdejmuje okulary, wycierając łzy wierzchem dłoni, którą zaraz zaciska. Podnosi wzrok, jakby czekał, aż z sufitu spadnie jakaś piñata Śmierci. – Miałeś być brachem do końca życia.

Nikt już nic nie mówi, wszyscy tylko głośniej płaczą. Odgłosy żałobników przyprawiają mnie o dzikie ciarki. Chciałbym ich pocieszyć i w ogóle, ale nie potrafię się otrząsnąć. Bardzo długo miałem wyrzuty sumienia za to, że żyję, chociaż cała moja rodzina zginęła, ale to pikuś przy tym, jak się czuję jako Zgoner, wiedząc, że opuszczę swoją ekipę.

Aimee wychodzi na środek i wszyscy wiemy, że teraz będzie srogo.

– Czy to żałosne, gdy powiem, że czuję, jakbym nie mogła się obudzić z koszmaru? Zawsze uważałam to za strasznie pretensjonalne, gdy ktoś rzucał takim tekstem: „To chyba jakiś koszmar”. No bez kitu, to naprawdę wszystko, co czujesz,

kiedy wydarza się jakaś tragedia? Nie wiem, jak moim zdaniem powinni się czuć, ale teraz mogę powiedzieć, że trafili w dziesiątkę z tym złym snem. Rzucę jeszcze jednym banałem: chciałabym się obudzić. A jeśli nie mogę się obudzić, chcę zasnąć już na zawsze tak, by mieć szansę wyśnić o tobie coś pięknego. Na przykład to, jak patrzyłeś na mnie dla mnie, a nie po to, by pogapić się na to cholerstwo na mojej twarzy.

Aimee przykłada dłoń do piersi na wysokości serca i głos jej się łamie przy następnych słowach.

– To tak strasznie boli, Rufus, kiedy pomyślę, że nie będę mogła do ciebie zadzwonić ani cię przytulić, ani… – Odwraca ode mnie wzrok; mruży oczy, patrząc na coś za moimi plecami, i opuszcza rękę. – Czy ktoś wezwał policję?

Skaczę na równe nogi i widzę niebiesko-czerwone błyski przed wejściem do bliźniaka. Wpadam w panikę, która jest jednocześnie totalnie krótka i dziko długa, jak osiem wieczności. Tylko jedna osoba nie wydaje się zaskoczona. Odwracam się do Aimee, a jej wzrok podąża za moim do Dziobaka.

– Nie zrobiłeś tego – mówi Aimee, ruszając w jego stronę. Wyrywa mu z ręki telefon.

– Przecież mnie napadł! – krzyczy Dziobak. – Nie obchodzi mnie, że jest już na wylocie!

– On nie jest mięsem, które ma się przeterminować, tylko człowiekiem! – odwrzaskuje Aimee.

Jasna cholera. Nie wiedziałem, że Dziobak to zrobił, bo nigdzie stąd nie dzwonił, ale najwyraźniej wezwał do mnie policję na moim pogrzebie. Mam nadzieję, że odbierze telefon z Prognozy Śmierci w ciągu kilku następnych minut.

– Wyjdź tyłem – rzuca Tagoe, a jego dreszcze się dziko wzmagają.

– Musicie iść ze mną, też tam byliście.

– Spowolnimy ich – proponuje Malcolm. – Namówimy, żeby dali sobie spokój.

Ktoś puka do drzwi.

Jenn Lori pokazuje na kuchnię.

– Idź.

Chwytam kask i wycofuję się do kuchni, spoglądając na wszystkich Plutonów. Mój tata powiedział kiedyś, że pożegnania są „najbardziej możliwe z niemożliwych", bo zawsze ma się ochotę ich uniknąć, ale głupio z nich zrezygnować, kiedy jest okazja. Zostałem wycyckany z moich, bo na moim pogrzebie pojawiła się niewłaściwa osoba.

Kręcę głową i wybiegam tylnym wyjściem; oddech mi przyśpiesza. Pędzę przez podwórko, którego nikt z nas nie lubił przez nieustępliwe komary i meszki, a potem przeskakuję przez ogrodzenie. Zakradam się na przód budynku, żeby sprawdzić, czy mam szansę na zabranie roweru, zanim zmyję się pieszo. Przed wejściem stoi radiowóz, obaj policjanci pewnie są w środku, może nawet już na podwórzu z tyłu, jeśli Dziobak się wygadał. Chwytam rower i biegnę z nim po chodniku, po czym wskakuję, gdy już nabiorę pędu.

Nie wiem, gdzie jadę, ale jadę.

Przeżyłem swój pogrzeb, ale żałuję, że nie jestem jeszcze trupem.

MATEO

02:52

Okazało się, że wcale nie do trzech razy sztuka. Nawet nie jestem pewien, czy Elle faktycznie dzisiaj umiera, bo zablokowałem ją bez większego śledztwa, gdy zaspamowała mnie linkami do „zabawnych filmów *snuff*, które źle się skończyły". Po tym zamknąłem aplikację. Muszę też przyznać, że czuję się trochę lepiej z tym, jak przeżyłem swoje życie, bo ludzie potrafią być naprawdę najgorsi. Nie wiem, jak ktokolwiek jest w stanie prowadzić w tym towarzystwie jakąkolwiek normalną rozmowę, a co dopiero znaleźć Ostatniego Przyjaciela.

Cały czas dostaję powiadomienia o kolejnych wiadomościach, jednak ignoruję je wszystkie, bo jestem już na dziesiątym poziomie *Dark Vanishing*, brutalnej gry na Xboxa, przy której aż kusi mnie, żeby poszukać kodów. Moja postać, Cove – czarownik na siedemnastym poziomie, z płomieniami zamiast włosów – nie może przejść przez udręczone biedą królestwo, nie ofiarowując niczego księżniczce. Dlatego mijam (no, właściwie Cove mija) wszystkich naciągaczy, próbujących sprzedać swoje szpilki z brązu i zardzewiałe kłódki, i kieruję się prosto do piratów. Musiałem się jakoś zamyślić w drodze na przystań, bo Cove natrafia na minę i nie mam już czasu, żeby przetrwać eksplozję w widmowej postaci – ramię Cove'a

przelatuje przez okno chaty, jego głowa frunie w niebo, a nogi ulegają dezintegracji.

W głowie mi huczy przez cały czas ładowania, dopóki Cove nie wróci nagle, jak nowy. Cove to ma dobrze.

Ja nie będę w stanie po wszystkim się zrespawnować.

Marnuję tu swój czas…

W moim pokoju są dwa regały z półkami. W niebieskim na dole stoją moje ulubione książki, których jakoś nie potrafiłem oddać do kliniki dla nastolatków przecznicę dalej w trakcie comiesięcznych bibliotecznych porządków. Ten biały wyżej zawiera z kolei książki, które planowałem przeczytać.

Doskakuję do regału i zbieram te tomiszcza, jakbym miał czas je wszystkie przeczytać: chcę wiedzieć, jak ten chłopak wskrzeszony przez magiczny rytuał radzi sobie z życiem, które potoczyło się bez jego udziału. Albo jak się czuje ta dziewczynka, która nie mogła wystąpić w szkolnym konkursie talentów, ponieważ jej rodzice otrzymali powiadomienie z Prognozy Śmierci w czasie, gdy ona śniła o fortepianach. Albo jak ten bohater, znany jako Nadzieja Ludzkości, odbiera wiadomość od jednego z proroków z takiej niby Prognozy Śmierci, a ten oznajmia mu, że pożyje jeszcze sześć dni, a potem zginie w trakcie ostatecznej bitwy, w której przypieczętuje zwycięstwo nad Królem Całego Zła. Zrzucam te i inne książki na podłogę, a nawet kilka ulubionych, ponieważ granica między ulubionymi a tymi, które nigdy nimi nie zostaną, w tej chwili nie ma znaczenia.

Dobiegam do swoich głośników i omal nie rzucam nimi o ścianę, powstrzymując się w ostatniej sekundzie. Książki nie wymagają elektryczności, ale głośniki już tak i wszystko może się dla mnie skończyć właśnie tutaj. Głośniki i keyboard dręczą mnie, przypominając o wszystkich chwilach, w których pędziłem ze szkoły do domu, żeby mieć jak najwięcej czasu

sam na sam przed powrotem taty ze zmiany menadżerskiej w sklepie rzemieślniczym. Śpiewałem też, ale niezbyt głośno, żeby nie słyszeli mnie sąsiedzi.

Zrywam mapę ze ściany. Nigdy nie wyjechałem z Nowego Jorku i nigdy nie wsiądę na pokład samolotu do Egiptu, by zobaczyć piramidy, ani nie pojadę do rodzinnej miejscowości taty w Portoryko, żeby iść do lasu deszczowego, gdzie często chadzał. Drę ją na małe kawałki i patrzę, jak wszystkie kraje i miasta lądują u moich stóp.

Panuje tu prawdziwy chaos. To w dużej mierze wygląda jak w scenie z jakiegoś kasowego filmu fantasy, gdzie główny bohater stoi pośród gruzów zniszczonej podczas wojny wioski, którą zrujnował czarny charakter, bo nie mógł znaleźć tego pierwszego. Tylko że zamiast zwalonych budynków i pokruszonej cegły, na podłodze leżą porozrzucane książki, jednym sterczą poobijane grzbiety, inne spoczywają na sobie. Nie mogę tego wszystkiego pozbierać, bo inaczej zacznę układać tytuły według alfabetu i skleję kawałki mapy – przysięgam, że to nie jest wymówka, żeby nie sprzątać w pokoju.

Wyłączam konsolę, gdzie Cove właśnie się zrespawnował i ma wszystkie członki na swoich miejscach, jakby wcale przed chwilą nie eksplodował. Stoi na miejscu startowym, leniwie potrząsając swoim ekwipunkiem.

Muszę się ruszyć. Sięgam znowu po telefon, otwieram ponownie aplikację *Ostatni Przyjaciel*. Mam nadzieję, że ominę ludzi, którzy są niebezpieczni jak miny przeciwpiechotne.

RUFUS

02:59

Szkoda, że nie zadzwonili do mnie z Prognozy Śmierci przed tym, jak zrujnowałem sobie życie.

Gdyby wybrali mój numer zeszłej nocy, obudziliby mnie z koszmaru, w którym przegrywałem maraton z dzieciakami na trójkołowcach. Gdyby zrobili to tydzień temu, przerwaliby mi czytanie liścików od Aimee, które pisała, gdy wciąż byliśmy razem. Dwa tygodnie temu przeszkodziliby w kłótni z Tagoe i Malcolmem o wyższość superbohaterów z Marvela nad tymi z DC (może nawet zapytałbym herolda o zdanie). Miesiąc temu telefon z Prognozy Śmierci rozbrzmiałby w ciszy, jaka zapadła po moim rozstaniu z Aimee, bo nie chciałem wtedy z nikim gadać. Ale nie, musieli zadzwonić w chwili, gdy prałem Dziobaka, przez co Aimee zaciągnęła go do bliźniaka na konfrontację, a ten wezwał gliny i przerwał mój pogrzeb, więc jestem teraz w stu procentach sam.

Żadna z tych rzeczy nie wydarzyłaby się, gdyby herold z Prognozy Śmierci zadzwonił jeden dzień wcześniej.

Słyszę syreny policyjne i pedałuję szybciej. Mam nadzieję, że jadą po kogoś innego.

Po pięciu minutach robię przerwę, zatrzymując się między McDonaldem a stacją benzynową. Jest dziko jasno, może kucanie tutaj nie jest najlepszym pomysłem, ale czasami

najlepsza kryjówka to ta zupełnie na widoku. Nie wiem, żaden ze mnie James Bond, nie posiadam instrukcji chowania się przed tymi złymi.

Cholera, to ja tu jestem tym złym.

Za to na pewno nie mogę dłużej uciekać. Serce wali mi jak oszalałe, nogi płoną żywym ogniem i muszę zrobić sobie przerwę.

Siadam na krawężniku przy stacji. Śmierdzi tu moczem i tanim piwem. Na ścianie z pompkami do rowerów ktoś namalował graffiti z dwiema postaciami. Obie mają kształt gościa ze znaków na drzwiach do męskiej toalety. Pomarańczowy napis głosi: Aplikacja *Ostatni Przyjaciel*.

Wycyckali mnie z porządnych pożegnań. Nie uściskałem ostatni raz rodziny, nie uściskam Plutonów. Już nawet nie chodzi o pożegnanie, rany, ale o podziękowanie wszystkim za to, co dla mnie zrobili. Za lojalność, jaką wielokrotnie okazywał mi Malcolm. Za rozrywkę, jaką zapewniał Tagoe swoimi scenariuszami b-klasowych filmów, na przykład *Klaunem Kanarkiem i wesołym miasteczkiem zagłady* czy *Wężową taksówką* – chociaż *Doktor na zastępstwie* był zły nawet jak na zły film. Interpretacje postaci w wykonaniu Francisa to było takie złoto, że musiałem błagać, żeby przestał, bo bolały mnie żebra. Kiedyś Jenn Lori nauczyła mnie grać w pasjansa, żebym miał się czym zająć, ale też mógł spędzić trochę czasu sam ze sobą. Raz miałem naprawdę fajną rozmowę z Francisem, kiedy obaj jako ostatni jeszcze nie spaliśmy, i powiedział mi wtedy, że atrakcyjną osobę powinno się komplementować w bardziej osobisty sposób, a nie tylko chwalić wygląd, bo „każdy może mieć ładne oczy, ale tylko jedna wyjątkowa dziewczyna może zanucić alfabet i sprawić, że to będzie twój nowy ulubiony bit". No a Aimee zawsze była

wobec mnie szczera, nawet przed chwilą, kiedy uwolniła mnie, mówiąc, że nie była we mnie zakochana.

Naprawdę przydałby mi się ostatni grupowy uścisk Plutonowego Układu Słonecznego. Teraz nie mogę już wrócić. Może nie powinienem był uciekać. Pewnie dodali mi to do aktu oskarżenia, jednak nie miałem czasu się zastanowić.

Muszę to wynagrodzić Plutonom. W czasie pogrzebu mówili mi wyłącznie prawdę. Ostatnio trochę nawaliłem, ale jestem dobrym człowiekiem. Gdyby było inaczej, Malcolm i Tagoe nie zostaliby moimi kumplami, a Aimee nie spotykałaby się ze śmieciem.

Nie mogą być teraz ze mną, co nie znaczy, że muszę być sam.

Naprawdę nie chcę być sam.

Podnoszę się i podchodzę do ściany z graffiti i poplamionego olejem napędowym plakatu reklamującego jakieś Spraw-Sobie-Przeżycie. Patrzę na dwie sylwetki z aplikacji *Ostatni Przyjaciel*. Po śmierci rodziców byłem gotowy założyć się o wszystko, że umrę samotny. I może tak się stanie, ale to, że zostałem porzucony, nie oznacza jeszcze, że nie powinienem mieć Ostatniego Przyjaciela. Wiem, że jest we mnie dobry Rufus, ten z przeszłości, i może Ostatni Przyjaciel zdoła go ze mnie wyciągnąć.

Aplikacje niekoniecznie mnie jarają, ale bicie kogoś pięścią po twarzy też nie, więc dzisiaj i tak już robię rzeczy do mnie niepodobne. Wchodzę do sklepu i ściągam *Ostatniego Przyjaciela*. Trwa to naprawdę krótko i pewnie zeżarło mi mnóstwo transferu, ale kogo to obchodzi.

Rejestruję się jako Zgoner, wypełniam formularz, wysyłam stare zdjęcie z Instagrama i jestem gotowy.

Nie ma to jak otrzymać siedem wiadomości w ciągu pierwszych pięciu minut, żeby poczuć się nieco mniej

samotnie – nawet jeśli jakiś gościu próbuje mi wcisnąć kit, że ma w spodniach lek na śmierć. Jo, wolę śmierć.

MATEO

03:14

Poprawiam ustawienia swojego profilu i teraz będę widoczny tylko dla użytkowników nie młodszych niż szesnaście i nie starszych niż osiemnaście lat, więc ci starsi faceci i kobiety przestaną wreszcie do mnie pisać. I nie tylko ograniczam wiek – chcę rozmawiać wyłącznie ze Zgonersami, a nie ludźmi, którzy chcą kupić kanapę albo garnek. W ten sposób liczba dostępnych użytkowników online drastycznie się zmniejsza. Jestem pewien, że istnieją setki, jeśli nie tysiące nastolatków, które otrzymały dzisiaj swoje powiadomienie, ale w tej chwili w aplikacji zalogowanych jest jedynie osiemdziesięciu dziewięciu młodych Zgonersów. Dostaję wiadomość od osiemnastoletniej Zoe, ale ignoruję ją, bo zauważam jakiegoś siedemnastoletniego Rufusa; zawsze lubiłem to imię. Wchodzę w jego profil.

Imię i nazwisko: Rufus Emeterio.
Wiek: 17.
Płeć: mężczyzna.
Wzrost: 1,78 m.
Narodowość: Amerykanin kubańskiego pochodzenia.
Orientacja seksualna: biseksualny.
Zawód: Profesjonalnie marnuję czas.

Zainteresowania: Rower. Fotografia.
Ulubione filmy/programy/książki: <pomiń>
Kim byłeś za życia: Przeżyłem coś, czego nie powinienem był przeżyć.
Co byś chciał zrobić przed śmiercią: Jak najwięcej.
Ostatnie myśli: Już czas. Popełniłem pewne błędy, ale muszę odejść tak, jak trzeba.

Ja chcę więcej czasu, więcej życia, a ten cały Rufus Emeterio już zdążył pogodzić się z losem. Może nawet ma myśli samobójcze. Samobójstwa jako takiego nie da się przewidzieć, ale już samą śmierć tak. Jeśli chłopak ma pociąg do autodestrukcji, nie powinienem przebywać w jego towarzystwie – może to właśnie przez niego umrę. Jednak jego zdjęcie nie pasuje do tej teorii: Rufus się na nim uśmiecha i patrzy zapraszająco. Mogę z nim chwilę pogadać i jeśli okaże się emanować dobrą energią, uwierzę, że jego szczerość pomoże mi stawić czoła mnie samemu.

Odezwę się do niego. Nic nie ryzykuję, witając się.

MATEO T.: Będzie Cię brakować, Rufus.

Nigdy wcześniej nie zagadywałem nieznajomych. Kilka razy w przeszłości rozważałem, czy nie założyć profilu w aplikacji i nie dotrzymać towarzystwa jakiemuś Zgonerowi, jednak uznałem, że nie mam zbyt wiele do zaoferowania. Teraz, gdy sam mam umrzeć, jeszcze lepiej rozumiem tę rozpaczliwą potrzebę nawiązania z kimś relacji.

RUFUS E.: Hej, Mateo. Fajna czapka.

Nie tylko odpowiedział, ale też spodobała mu się moja czapka Luigiego. Chłopak już tworzy nić porozumienia z osobą, którą chciałbym się stać.

MATEO T.: Ha, dzięki. Ale chyba zostawię ją tutaj, w domu. Nie chcę zwracać na siebie uwagi.
RUFUS E.: Dobry pomysł. Czapka Luigiego to przecież nie bejsbolówka, nie?
MATEO T.: Właśnie.
RUFUS E.: Czekaj, nie wyszedłeś jeszcze z domu?
MATEO T.: Nie.
RUFUS E.: Dostałeś swoje powiadomienie zaraz przed trzecią?
MATEO T.: Prognoza Śmierci zadzwoniła do mnie krótko po północy.
RUFUS E.: I co robiłeś przez ten czas?
MATEO T.: Sprzątałem i grałem na konsoli.
RUFUS E.: W co?
RUFUS E.: Wiesz co, właściwie nieważne. Nie masz nic takiego, co chciałbyś zrobić? Na co czekasz?
MATEO T.: Wcześniej rozmawiałem z potencjalnymi Ostatnimi Przyjaciółmi i wszyscy byli… no, niezbyt dobrzy, mówiąc oględnie.
RUFUS E.: A po co Ci Ostatni Przyjaciel, żeby rozpocząć Twój dzień?
MATEO T.: A Tobie po co Ostatni Przyjaciel, skoro masz przyjaciół?
RUFUS E.: Ja pierwszy zapytałem.
MATEO T.: Dobra. Uważam, że to czyste szaleństwo, wyjść z domu, wiedząc, że ktoś albo coś tylko czeka, żeby mnie zabić. I też dlatego, że „Ostatni Przyjaciele” twierdzą, że mają w spodniach lek na śmierć.

RUFUS E.: Też gadałem z tym fiutem! No, nie z jego fiutem. Ale zgłosiłem go i zablokowałem. Przysięgam, że nie jestem kimś takim. Chociaż niewiele trzeba. Chcesz pogadać przez kamerkę? Wyślę Ci zaproszenie.

Na ekranie pojawia się ikonka z zarysem postaci. Omal nie odrzucam przychodzącej rozmowy, zbyt zmieszany nagłością tego momentu, ale odbieram, zanim połączenie zniknie, zanim Rufus zniknie. Ekran robi się na chwilę czarny, a potem pojawia się zupełnie obca osoba z twarzą Rufusa ze zdjęcia profilowego. Jest spocony i z początku spogląda w dół, ale jego oczy szybko odnajdują mnie i czuję się nagi. Może nawet trochę się boję, jakbym miał do czynienia z jakąś straszną legendą z dzieciństwa, która mnie wciągnie przez ekran do jakiegoś mrocznego świata. W obronie swojej zbyt wybujałej fantazji powiem, że Rufus już próbował skłonić mnie do wyjścia z mojego świata, więc…

– Jo – mówi. – Widzisz mnie?

– Tak, hej. Jestem Mateo.

– Hej, Mateo. Przepraszam, że tak od razu włączyłem czat wideo. Trochę trudno zaufać komuś, kogo się nie widzi, rozumiesz?

– Nic się nie martw – odpowiadam. W jego otoczeniu jest jakieś ostre źródło światła, trochę oślepiające, ale i tak widzę jasnobrązową twarz. Ciekawe, dlaczego jest taki spocony.

– Chciałeś wiedzieć, dlaczego wolę Ostatniego Przyjaciela zamiast tych prawdziwych, nie?

– Tak. Chyba że to zbyt osobiste pytanie.

– Nie przejmuj się tym. Moim zdaniem między Ostatnimi Przyjaciółmi nic nie powinno być zbyt osobiste. Krótko mówiąc, byłem z rodzicami i siostrą, kiedy nasz samochód wpadł do rzeki Hudson i musiałem patrzeć, jak umierają. Nie

chcę tego samego poczucia winy dla moich przyjaciół. Musiałem ci o tym powiedzieć i sprawdzić, czy ci to nie przeszkadza.

– Czy nie przeszkadza mi to, że zostawiłeś przyjaciół?

– Nie. Czy nie przeszkadza ci, że być może zobaczysz, jak umieram.

Staję w obliczu najtrudniejszej ewentualności tego dnia: być może będę zmuszony oglądać jego śmierć, chyba że będzie zupełnie na odwrót, ale oba przypadki przyprawiają mnie o mdłości. To nie tak, że czuję się już z nim jakoś związany czy coś, jednak na samą myśl, że miałbym patrzeć, jak ktoś umiera, jest mi niedobrze, smutno i źle – i właśnie dlatego Rufus zadał to pytanie. Tylko że nierobienie niczego też nie jest pokrzepiające.

– Dobra, dam radę.

– Na pewno? Bo wiesz, pozostaje jeszcze problem tego, że nie wychodzisz z domu. Bez względu na to, czy będę miał Ostatniego Przyjaciela, czy nie, nie zamierzam spędzić reszty życia, bunkrując się w czyimś mieszkaniu. I nie chciałbym, żebyś ty tak zrobił. Musisz pójść na jakiś kompromis, Mateo – tłumaczy Rufus. Sposób, w jaki wymawia moje imię, jest trochę bardziej kojący niż pewnie brzmiałoby to w ustach tego zboczeńca Philly'ego; brzmi jak dyrygent przemawiający do swojej orkiestry przed ważnym koncertem. – Uwierz mi, wiem, że na zewnątrz może być naprawdę paskudnie, i miałem chwilę, kiedy uważałem, że to wszystko jest stratą czasu.

– A co się zmieniło? – Nie chcę, żeby to zabrzmiało prowokacyjnie, ale trochę tak wychodzi. Nie zamierzam tak łatwo zrezygnować z bezpieczeństwa swojego mieszkania. – Straciłeś swoją rodzinę i co?

– Nie zależało mi na życiu – odpowiada Rufus, odwracając wzrok. – Nie miałbym nic przeciwko, gdyby się skończyło. Ale

moi rodzice i siostra chcieliby dla mnie czegoś innego. Jestem dziko pokręcony, jednak tamta tragedia nauczyła mnie, że lepiej żyć, marząc o śmierci, niż umierać, marząc o wiecznym życiu. Jeśli ktoś, kto stracił wszystko, może zmienić swoje podejście, myślę, że musisz zrobić to samo, dopóki nie jest za późno, stary. Musisz się odważyć.

Odważę się – właśnie to napisałem w swoim profilu.

– Okej – rzucam. – Jak to zrobimy? Mamy uścisnąć sobie dłonie czy coś?

Naprawdę mam nadzieję, że Rufus nie nadużyje mojego zaufania, tak jak inni w przeszłości.

– Możemy ogarnąć ten uścisk dłoni, gdy już się spotkamy, a do tego czasu przysięgam, że będę twoim Mario, mój Luigi, tylko że nie będę taką dziwką atencji jak on. Gdzie się spotkamy? Jestem w tej chwili przy sklepie na południe od…

– Mam jeden warunek – mówię. Uśmiech Rufusa znika; chłopak pewnie denerwuje się tym, co zaraz wypalę. – Powiedziałeś, że muszę iść na kompromis, więc umówmy się, że odbierzesz mnie z mieszkania. To nie jest żadna pułapka, przysięgam.

– Brzmi jak pułapka – stwierdza Rufus. – Powinienem poszukać sobie innego Ostatniego Przyjaciela.

– Naprawdę, nie! Przyrzekam. – Prawie upuszczam telefon. Wszystko spieprzyłem. – Poważnie, wcale nie…

– Jaja sobie robię, stary. Wyślę ci zaraz swój numer, a ty napisz mi w esemesie adres swojego mieszkania. Potem ustalimy plan.

Czuję taką samą ulgę jak wtedy, gdy Andrea z Prognozy Śmierci zwróciła się do mnie per Timothy i wydawało się, że właśnie mi się poszczęściło i uniknę śmierci. Tylko że tym razem faktycznie mogę się rozluźnić. A przynajmniej tak mi się wydaje.

– Już się robi.

Rufus nie żegna się ani nic, po prostu spogląda na mnie trochę dłużej, pewnie oceniając, a może zastanawiając się, czy przypadkiem jednak nie prowadzę go w pułapkę.

– Widzimy się niedługo, Mateo. Postaraj się do tego czasu nie umrzeć.

– A ty postaraj się nie umrzeć po drodze. Bądź ostrożny.

Rufus kiwa głową i rozłącza się. Wysyła mi numer telefonu, a mnie kusi, żeby go od razu wybrać i upewnić się, że odbierze ta sama osoba, a nie jakiś zboczeniec, który płaci mu, by zdobywał adresy młodych chłopców w trudnym położeniu. Ale jeśli zwątpię w Rufusa, cała ta sprawa z Ostatnim Przyjacielem nie będzie miała sensu.

Trochę się martwię tym, że spędzę swój Dzień Ostateczny z kimś, kto zaakceptował swoją śmierć, kto popełnił błędy. Nie znam go, oczywiście, i może się okazać szalenie destrukcyjny – w końcu wyszedł na miasto w środku nocy w dniu, w którym ma umrzeć. Jednak jakich wyborów byśmy nie dokonali – solo czy wspólnie – nasz finał będzie wyglądał tak samo. Nie ma znaczenia, ile razy obejrzymy się w obie strony. Nie ma znaczenia, czy zrezygnujemy ze skakania ze spadochronem, żeby nie ryzykować, nawet jeśli to oznacza, że nigdy nie pofrunę tak, jak moi ulubieni superbohaterowie. Nie ma znaczenia, czy będziemy trzymać głowy nisko, mijając bandę podejrzanie wyglądających gości.

Nie ma znaczenia, jak postanowimy żyć, na koniec i tak obaj umrzemy.

Część druga
OSTATNI PRZYJACIEL

„Statek w porcie jest bezpieczny, lecz nie po to zbudowano statki”.

— John A. Shedd

ANDREA DONAHUE

03:30

Nikt z Prognozy Śmierci nie zadzwonił do Andrei Donahue, ponieważ dzisiaj nie umrze. Za to jako jedna z najlepszych pracownic firmy od czasu jej powstania sama wykonała takich telefonów całkiem sporo. Między północą a trzecią nad ranem zadzwoniła do sześćdziesięciu siedmiu Zgonersów; nie jest to jej najlepszy wynik, ale okazało się, że niełatwo pobić rekord dziewięćdziesięciu dwóch połączeń w czasie jednej zmiany, odkąd to znajduje się pod obserwacją z powodu rzekomego przyśpieszania rozmów.

Rzekomego.

W drodze do wyjścia z budynku, podpierając się laską, Andrea liczy, że dział kadr nie przejrzy jej dzisiejszych logów, chociaż doskonale wie, że nie należy mieć zbyt wiele nadziei w tej profesji. Pomyliła imiona wielu Zgonersów, śpiesząc się, by wykonać kolejne połączenia. Byłoby fatalnie, gdyby straciła pracę akurat teraz, gdy musi rehabilitować nogę po wypadku z zeszłego lata i jeszcze płacić coraz wyższe czesne córki. Nie wspominając już o tym, że to jedyna praca, w jakiej naprawdę się sprawdza, z powodu jednego triku, jaki odkryła i jaki pozwolił jej zachować stanowisko, z którego inni odchodzą do mniej stresujących zawodów.

Zasada numer 1: Zgonersi nie są już ludźmi.

To tyle. Wystarczy trzymać się tej jednej zasady, a nie będzie się marnować wielu godzin na terapię u firmowych psychologów. Andrea zdaje sobie sprawę, że nie jest w stanie w niczym pomóc Zgonersom. Nie może im uklepać poduszki ani podać ostatniego posiłku. Nie będzie marnować energii, modląc się za nich. Nie będzie wysłuchiwać ich historii ani ich opłakiwać. Zwyczajnie informuje ich, że wkrótce umrą, a potem przechodzi do następnego.

Każdej nocy przypomina samej sobie, że robi im ogromną przysługę. Nie tylko mówi ludziom, że umierają. Daje im też szansę, by naprawdę żyli.

Ale nie może żyć za nich. To ich zadanie.

Ona już swoje zrobiła, i to dobrze.

RUFUS

03:20

Jadę rowerem do domu tego dzieciaka, Mateo. Lepiej żeby nie okazał się seryjnym mordercą, na Boga… Nie, to spoko gość. Widać, że spędza o wiele za dużo czasu we własnej głowie i jest pewnie zbyt aspołeczny, aby mogło mu to wyjść na dobre. Bez kitu: odbieram go z domu, niczym jakiegoś księcia zamkniętego na szczycie wieży, którego trzeba ratować. Myślę, że kiedy już minie początkowa niezręczność, Mateo okaże się dobrym towarzyszem. Jeśli nie, zawsze możemy się rozstać. Będzie to oznaczało zmarnowanie ograniczonego przecież czasu, ale jest, jak jest. W najgorszym przypadku zyskam tylko tyle, że moi prawdziwi przyjaciele poczują się trochę lepiej, jeśli w dzikiej eskapadzie po mieście będzie mi towarzyszył ten Ostatni – ja przynajmniej tak się czuję.

MALCOLM ANTHONY

03:34

Nikt z Prognozy Śmierci nie zadzwonił do Malcolma, ponieważ Malcolm dzisiaj nie umrze, jednak jego przyszłość została zagrożona. Razem z najlepszym kumplem, Tagoe, nie poinformowali policji, gdzie mógł się udać Rufus. Malcolm powiedział funkcjonariuszom, że Rufus jest Zgonerem i absolutnie nie warto go ścigać, jednak tamci nie mogli go tak po prostu zostawić w spokoju, nie po brutalnej napaści. Dlatego Malcolm wpadł na genialny, rujnujący życie pomysł: dał się aresztować.

Spierał się z policjantem i opierał w trakcie aresztowania, jednak największą wadą jego planu było to, że nie potrafił podzielić się nim z Tagoe, który też zaczął się kłócić, z jeszcze większą agresją niż sam Malcolm.

Obaj właśnie są w drodze na komisariat.

– To nie ma sensu – mówi Tagoe na tylnej kanapie radiowozu. Nie syczy już i nie krzyczy, że nic nie zrobił, tak jak przy zakładaniu kajdanek, chociaż Malcolm i Aimee kazali mu milczeć. – Przecież nie znajdą Rufusa, zmyje się na swoim…

– Zamknij się. – Tym razem nie chodzi o to, żeby oszczędzić Tagoe kolejnych zarzutów. Malcolm już wie, że Rufus zdołał uciec na rowerze, bo nie widzieli go, gdy eskortowano ich z domu. I wie też, że Rufus jest w stanie zmyć się przed policją

na rowerze, ale nie chciałby, żeby teraz gliny wyglądały chłopaków na rowerach i znalazły go. Jeśli chcą go dorwać, będą musieli się postarać.

Malcolm nie może dać koledze dodatkowego dnia życia, ale może dać mu więcej czasu, żeby żył.

Zakładając, oczywiście, że Rufus jeszcze nie umarł.

Malcolm z chęcią wziąłby to na siebie za Rufusa i wie, że sam wcale nie jest taki niewinny, to oczywiste. Plutoni wymknęli się dzisiaj z domu z myślą, by skopać Dziobakowi dupę, a Rufus zajął się tym w pojedynkę, i to całkiem nieźle. Malcolm nigdy wcześniej z nikim się nie bił, chociaż wiele osób uważa go za agresywnego, bo jest wysoki, czarny i waży prawie dziewięćdziesiąt kilogramów. To, że ma budowę zapaśnika, nie znaczy jeszcze, że jest kryminalistą. A teraz obaj z Tagoe zostaną uznani za młodocianych przestępców.

Ale będą żyć.

Malcolm wygląda przez okno, wyobrażając sobie, że za rogiem widzi Rufusa na rowerze. I właśnie w tej chwili zaczyna płakać, głośno i rzewnie. Wcale nie dlatego, że założą mu kartotekę; nie dlatego, że boi się jechać na komisariat, i nawet nie dlatego, że Rufus umiera, ale dlatego, że nie będzie mógł uścisnąć przyjaciela na pożegnanie.

MATEO

03:42

Ktoś puka do drzwi i przestaję krążyć.

Kilka rzeczy uderza mnie jednocześnie. Co, jeśli to nie jest Rufus, nawet jeśli nikt inny nie miałby powodu, by pukać do mnie w środku nocy? Co, jeśli to jest Rufus, ale ma ze sobą bandę złodziei albo coś? Co, jeśli to tata, który nie powiedział mi, że obudził się już ze śpiączki, żeby zrobić mi niespodziankę – to byłby tego rodzaju cud Dnia Ostatecznego, o jakich kręcą filmy dla Lifetime'a.

Podchodzę do drzwi na miękkich nogach i po cichu podnoszę panel zakrywający judasza. Mrużę oczy i widzę Rufusa; gapi się na mnie, chociaż doskonale wiem, że przecież nie może mnie zobaczyć.

– To ja, Rufus – mówi z drugiej strony drzwi.

Mam nadzieję, że jest sam, i zdejmuję łańcuch. Przekręcam zamek i otwieram drzwi, po czym znajduję przed sobą trójwymiarowego Rufusa; nie kogoś patrzącego w kamerę telefonu albo w judasza, lecz Rufusa z krwi i kości. Ma na sobie ciemnoszary polar i niebieskie szorty do koszykówki założone na legginsy Adidasa. Kiwa na mnie głową. Nie uśmiecha się ani nic, ale wygląda przyjacielsko. Pochylam się, serce wali mi jak szalone, i wyglądam na korytarz, żeby sprawdzić, czy jacyś jego kumple nie czają się przy ścianie,

gotowi zabrać mi cały skromny dobytek. Jednak korytarz okazuje się pusty i teraz Rufus się wreszcie uśmiecha.

– To ja jestem na twoim terytorium, stary – mówi. – Jeśli któryś z nas powinien być podejrzliwy, to ja. Lepiej, żeby się nie okazało, że tylko udajesz takiego bidoka, jo.

– Nie udaję – przyrzekam. – Przepraszam, jestem po prostu… nerwowy.

– Jedziemy na tym samym wózku. – Wyciąga rękę i ściskam jego dłoń; czuję, jaka jest spocona. – Gotowy do wyjścia? To oczywiście podchwytliwe pytanie.

– Mniej więcej – odpowiadam. Rufus przyszedł prosto pod moje drzwi, żeby wyprowadzić mnie z domowego azylu, byśmy żyli, póki możemy. – Tylko coś wezmę.

Nie zapraszam go do środka ani on się nie wprasza; zamiast tego trzyma otwarte drzwi, a ja lecę zabrać wiadomości dla sąsiadów i klucze. Wyłączam światła i mijam Rufusa, który zamyka za mną. Przekręcam klucz w zamku i zaczynam maszerować w kierunku przeciwnym do windy.

– Gdzie idziesz?

– Nie chcę, żeby sąsiedzi byli zaskoczeni albo zmartwieni, kiedy nie będę otwierał. – Podrzucam kartkę z listem pod 4F. – Elliot zaczął gotować większe obiady z myślą o mnie, bo jadłem tylko gofry. – Wracam do Rufusa i zostawiam ostatnią wiadomość pod 4A. – A Sean miał zajrzeć do naszej zepsutej kuchenki, ale teraz już nie musi się tym przejmować.

– To spoko z twojej strony – stwierdza. – Ja o tym nie pomyślałem.

Ruszam do windy i oglądam się na Rufusa, tego zupełnie obcego człowieka, który idzie moim śladem. Nie czuję się zaniepokojony, ale staram się zachować ostrożność. Rozmawia ze mną, jakbyśmy byli kumplami już od jakiegoś czasu, ale ja wciąż pozostaję podejrzliwy. To chyba jednak nic dziwnego,

skoro w tej chwili wiem o nim jedynie, że nazywa się Rufus, jeździ na rowerze, przeżył prawdziwą tragedię i chce być moim Mario. I że też dzisiaj umrze.

– Ej, stary, nie jedziemy windą – rzuca. – Dwaj Zgonersi w windzie w Dniu Ostatecznym? To albo proszenie się o śmierć albo początek kiepskiego dowcipu.

– Słuszna uwaga – mówię. Winda to zdecydowanie ryzykowna opcja. W najlepszym przypadku utkniemy. W najgorszym? To oczywiste. Dzięki Bogu mam Rufusa, który będzie myślał o takich rzeczach za mnie; Ostatni Przyjaciele służą też za przewodników. – Zejdźmy schodami – oznajmiam, jakby istniał jakiś trzeci sposób na dostanie się na parter, na przykład lina zwisająca z okna albo dmuchana zjeżdżalnia. Ostrożnie schodzę cztery piętra w dół, jak dziecko, któremu po raz pierwszy pozwolono poruszać się po schodach samodzielnie, z rodzicami idącymi kilka kroków przed nim – tylko że tak naprawdę nie ma nikogo, kto mógłby mnie złapać, gdybym się potknął albo gdyby Rufus się potknął i na mnie wpadł.

Bezpiecznie docieramy do lobby. Moja dłoń zawisa nad gałką drzwi zewnętrznych – nie mogę tego zrobić. Jestem gotowy wrócić na schody, lecz wtedy Rufus wymija mnie i otwiera drzwi; wilgotne powietrze późnego lata przynosi mi ulgę. Nawet wypełnia mnie nadzieja, że ja i tylko ja – wybacz, Rufusie – mogę pokonać śmierć. To miła, trwająca ułamek sekundy ucieczka od rzeczywistości.

– Śmiało – rzuca Rufus. Czuję, że mnie trochę naciska, ale na tym polega cały sens naszej relacji i nie chcę rozczarować żadnego z nas, siebie w szczególności.

Wychodzę z lobby i zatrzymuję się dopiero wtedy, gdy drzwi znajdują się za moimi plecami. Byłem na powietrzu raptem zeszłego popołudnia, kiedy wracałem po wizycie u taty; to było

zupełnie nieciekawe Święto Pracy. Teraz jest inaczej, oczywiście. Oglądam budynki, w których otoczeniu dorastałem i którym dotychczas nie poświęcałem większej uwagi. W oknach sąsiadów pali się światło i nawet słyszę jakąś jęczącą parę; ktoś ogląda jakiś program kabaretowy, sądząc po salwach śmiechu publiczności; ktoś inny śmieje się z innego okna, a ja zaczynam się zastanawiać, czy reaguje na bardzo głośne żarty, czy może właśnie jest łaskotany przez kochanka, czy może też śmieje się z dowcipu kogoś, komu chciało się pisać esemesa o tak późnej porze.

Rufus klaszcze, przywracając mnie do rzeczywistości.

– Zarobiłeś dziesięć punktów. – Podchodzi do barierki i zaczyna odpinać stalowoszary rower, który pewnie należy do niego.

– Gdzie jedziemy? – pytam, oddalając się jeszcze trochę od drzwi. – Powinniśmy mieć plan bitwy.

– Może nazywajmy to po prostu planem gry – sugeruje Rufus. – Plan bitwy brzmi, jakby w naszym rozkładzie dnia miały się pojawić jakieś bomby albo pociski. – Prowadzi rower na róg ulicy. – Listy rzeczy do odhaczenia przed śmiercią są bez sensu. I tak wszystkiego nie zdążysz zrobić. Trzeba iść na żywioł.

– Brzmisz, jakbyś się znał na umieraniu.

To było głupie z mojej strony. Rufus kręci głową.

– No cóż…

– Przepraszam. Chodzi o to, że… – Zaczyna mnie dopadać panika; ściska mnie coś w piersi, robi mi się gorąco na twarzy, swędzi mnie skóra na głowie. – Nie potrafię pogodzić się z faktem, że to dzień, w którym mogę potrzebować takiej listy. – Drapię się po głowie i biorę głęboki wdech. – To nie zadziała. Nasz plan obróci się przeciwko nam. Nie powinniśmy nawet spędzać ze sobą czasu, bo to tylko podwoi nasze szanse na

wcześniejszą śmierć, jak w jakiejś Zgonersowej strefie wysokiego ryzyka. Równie dobrze możemy sobie spokojnie spacerować po ulicy, a ja nagle się potknę i uderzę głową o hydrant, i… – Przestaję mówić, krzywiąc się pod wpływem tego fantomowego bólu, jakiego się dostaje przy wyobrażaniu sobie upadku na twarz na wystające pręty ogrodzenia albo utraty zębów po bliskim spotkaniu z czyjąś pięścią.

– Możesz robić, co chcesz, ale umrzemy bez względu na to, czy będziemy się bujać razem, czy nie – stwierdza Rufus. – Strach nic ci nie da.

– To nie takie proste. Nie umieramy z przyczyn naturalnych. Jak możemy się dobrze bawić, wiedząc, że jakaś ciężarówka może nas potrącić, gdy będziemy przechodzić przez ulicę?

– Będziemy się uważnie rozglądać, tak jak nas uczono od dzieciaka.

– A jeśli ktoś wyciągnie broń?

– Będziemy unikać podejrzanych osiedli.

– A jeśli przejedzie nas pociąg?

– Jeśli wejdziemy na tory kolejowe w Dniu Ostatecznym, to jakbyśmy się prosili o śmierć.

– A jeśli…

– Nie rób sobie tego! – Rufus zatrzymuje się i przeciera oczy pięściami. Widzę, że doprowadzam go do szału. – Możemy tak wyliczać cały dzień albo ruszyć się i, no wiesz, pożyć trochę. Nie schrzań swojego ostatniego dnia.

Rufus ma rację. Wiem, że ma rację. Nie będę się z nim więcej spierał.

– Potrzebuję trochę czasu, żeby się przyzwyczaić. Nie stanę się nieustraszony tylko dlatego, że moje opcje w tej chwili to zrobić coś i umrzeć albo nie zrobić nic i też umrzeć. – Nie przypomina mi, że nie mamy zbyt wiele czasu. – Muszę

pożegnać się z tatą i najlepszą przyjaciółką. – Ruszam w stronę stacji metra na Sto Dziesiątej.

– Możemy tak zrobić – odpowiada Rufus. – Mnie się nigdzie nie śpieszy. Miałem już swój pogrzeb i nie poszło najlepiej. Niestety nie spodziewam się powtórki.

Nie dziwię się, że ktoś, kto żyje tak odważnie w czasie Dnia Ostatecznego, miał już pogrzeb. Jestem pewien, że żegnał więcej niż dwie osoby.

– Co się stało?

– Kompletna głupota – rzuca Rufus i nie ciągnie tematu.

Rozglądam się w obie strony przed przejściem przez ulicę i w tej samej chwili zauważam martwego ptaka na szosie, rzucającego niewielki cień w świetle witryny sklepiku. Zwierzę zostało spłaszczone, a jego główka leży kilkanaście centymetrów dalej; chyba przejechał je samochód, a potem przecięło koło roweru – oby nie Rufusa. Ptak z pewnością nie otrzymał powiadomienia, że umrze dzisiaj, a może wczoraj, albo nawet przedwczoraj. Chciałbym myśleć, że kierowca samochodu przynajmniej zobaczył zwierzę w ostatniej chwili i zatrąbił. Ale może takie ostrzeżenie nie miało już znaczenia.

Rufus też go zauważa.

– Słabo.

– Musimy zabrać go z ulicy – mówię, rozglądając się za czymś, na czym można by przenieść truchło; wiem, że nie powinienem dotykać go gołymi rękami.

– Co proszę?

– Nie mam takiego podejścia, że jak coś jest martwe, to już można to olać.

– Ja też zdecydowanie nie mam takiego podejścia – odpowiada trochę ostro Rufus.

Muszę uważać na to, co mówię.

– Przepraszam. Znowu. – Porzucam poszukiwania. – Posłuchaj. Kiedy byłem w trzeciej klasie, bawiłem się na podwórku w deszczu i pisklak wypadł z gniazda. Widziałem wtedy wszystko; moment, w którym ptak odważył się wyskoczyć poza krawędź gniazda, rozłożył skrzydła i zapikował, jakby ktoś przywiązał mu kamyki do kostek. Widziałem nawet, jak rozglądał się dziko w poszukiwaniu pomocy. Złamał sobie przy upadku nóżkę i nie mógł się przeczołgać w zasłonięte miejsce, więc deszcz walił w niego z całą siłą.

– Pisklak miał skopany instynkt, skoro tak zeskoczył z drzewa – stwierdza Rufus.

Przynajmniej miał odwagę opuścić dom.

– Bałem się, że zamarznie na śmierć albo utopi się w kałuży, więc wybiegłem i usiadłem na ziemi razem z nim, w pewnym sensie ochraniając go nogami, jak wieżą – tłumaczę, wspominając zimny wiatr, przez który się pochorowałem i nie mogłem iść do szkoły w poniedziałek i wtorek.

– Co się wtedy stało?

– Nie mam pojęcia – przyznaję. – Pamiętam, że się przeziębiłem i nie poszedłem na lekcje, ale chyba wyparłem to, co się stało z ptakiem. Myślę o nim od czasu do czasu, bo wiem, że nie udało mi się znaleźć drabiny, żeby odłożyć pisklaka do gniazda. Czuję się naprawdę paskudnie, gdy myślę, że zostawiłem go w deszczu na pewną śmierć. – Zawsze uważałem to za swój pierwszy przejaw dobroci. Za coś, co zrobiłem po to, by komuś pomóc, a nie dlatego, że tata albo nauczyciel tego ode mnie oczekiwali. – Dla tego ptaka mogę się bardziej postarać.

Rufus patrzy na mnie, bierze głęboki wdech, odwraca się plecami i odjeżdża. Znowu czuję ucisk w piersi i bardzo możliwe, że mam jakieś problemy zdrowotne, które odkryję

później i przez które dzisiaj umrę. Zaraz jednak zalewa mnie ulga, kiedy Rufus opiera rower na nóżce przy chodniku.

– Pomogę ci coś znaleźć – mówi. – Nie dotykaj trupa.

Upewniam się, że po ulicy nie jedzie żaden samochód. Rufus wraca z porzuconą gazetą i podaje ją mnie.

– Nic lepszego nie było.

– Dzięki.

Wykorzystuję gazetę do podniesienia ciała i oderwanej głowy ptaka. Ruszam w kierunku publicznego ogrodu naprzeciwko stacji, dokładnie między boiskiem do koszykówki i placem zabaw. Nagle obok mnie pojawia się Rufus na swoim rowerze, pedałując powoli, i pyta:

– Co z nim zrobisz?

– Zakopię go. – Wchodzę na teren parku i znajduję kąt za drzewem, z dala od miejsca, gdzie okoliczni amatorzy ogrodnictwa sadzą warzywa i kwiaty, czyniąc świat odrobinę radośniejszym. Klękam i kładę gazetę na ziemi, bojąc się, że głowa się odtoczy. Rufus jeszcze tego nie skomentował, ale czuję, że muszę coś dodać. – Nie mogę tak po prostu zostawić ptaka, żeby ktoś wyrzucił go do śmieci albo żeby został rozpłaszczony przez samochody, wiele samochodów…

Podoba mi się myśl, że zwierzę, które zmarło tak tragicznie i przedwcześnie, spocznie pośród pełnego życia ogrodu. Nawet wyobrażam sobie, że to drzewo było kiedyś osobą, jakimś Zgonerem, który został skremowany i poprosił, żeby jego szczątki zostały wsypane do biodegradowalnej urny z sadzonką drzewa, by dać mu życie.

– Jest kilka minut po czwartej – informuje mnie Rufus.

– To nie zajmie długo.

Domyślam się, że nie należy do ludzi, którzy urządzają pogrzeby ptakom. Znam wielu takich, którzy by się z tym nie zgodzili albo tego nie zrozumieli. W końcu ptak to nic

w porównaniu do człowieka, bo człowiek zakłada krawat i chodzi do pracy, zakochuje się i bierze ślub, a potem rodzą mu się dzieci i opiekuje się nimi. Tylko że ptaki też to wszystko robią. Pracują – bez krawatów, przyznaję – parzą się i doglądają potomków, dopóki nie nauczą się latać. Niektóre stają się zwierzakami domowymi i zabawiają dzieci, a te uczą się je kochać i o nie dbać. Inne ptaki żyją, aż nie skończy im się czas.

Jednak ten sentyment jest w stylu Mateo, co oznacza tyle, że inni zawsze przez to uważali mnie za dziwaka, więc przestałem się z nimi dzielić takimi myślami; nawet tacie i Lidii nie mówię o wszystkim.

Dziura w ziemi ma objętość dwóch pięści, więc zsuwam do niej ciało i głowę ptaka z gazety i w tej samej chwili ktoś na mnie świeci. Pierwsze, co mi przychodzi do głowy, to wcale nie przybysze z kosmosu wysyłający teleportem swoich wojowników, by ci mnie zgładzili – dobra, niech wam będzie, właśnie to sobie myślę. Odwracam się i widzę, że Rufus kieruje na mnie swój telefon.

– Przepraszam – mówi. – Nie każdego dnia widuje się pogrzeb ptaka.

Zasypuję truchło piachem, wyrównuję kopczyk i wstaję.

– Mam nadzieję, że ktoś będzie tak uprzejmy i dla nas, kiedy nadejdzie czas.

RUFUS

04:09

Jo, Mateo jest zbyt dobry. Zdecydowanie nie podchodzę już do niego podejrzliwie, przecież mnie nie napadnie. Ale zatkało mnie, że poznałem kogoś tak… niewinnego? To nie tak, że zawsze otaczałem się samymi dupkami, ale ani Malcolm, ani Tagoe ni cholery nie pogrzebaliby ptaka, bądźmy szczerzy. To lanie, jakie spuściliśmy dzisiaj Dziobakowi, udowadnia, że żadne z nas niewiniątka. Mógłbym się założyć o cokolwiek, że Mateo nie ma pojęcia, jak zacisnąć pięść, i nigdy nie przejawiał najmniejszej agresji, nawet kiedy był jeszcze dzieciakiem, któremu wybacza się każde gówno ze względu na wiek.

Nie ma mowy, żebym powiedział mu o Dziobaku. Zabiorę to dzisiaj do grobu.

– Z kim najpierw mamy się zobaczyć?

– Z moim tatą. Możemy pojechać metrem – zauważa Mateo. – Wystarczą dwa przystanki w stronę centrum, ale to bezpieczniej niż pieszo.

Dwa przystanki w stronę centrum to jakieś pięć minut jazdy na rowerze i kusi mnie, by umówić się z nim na miejscu, ale coś mi podpowiada, że ten cały Mateo może nawalić i będę sterczał bez sensu na stacji. Znoszę rower po schodach, trzymając za kierownicę i siodełko. Prowadzę go właśnie za

róg, a Mateo trzyma się ostrożnie nieco z tyłu i widzę, jak najpierw zerka, a dopiero potem idzie za mną. Zupełnie tak, jak wtedy, gdy kilka lat temu poszliśmy z Olivią do tamtego niby nawiedzonego domu na Brooklynie – tylko że byłem dzieciakiem. Nie wiem, co spodziewał się znaleźć, i nie chcę go też o to pytać.

– Możesz iść. Droga wolna – mówię.

Mateo czai się za mną, wciąż podejrzliwie traktując pusty korytarz prowadzący do bramek.

– Ciekawe, ilu Zgonersów spędza teraz czas z zupełnie obcymi osobami. Sporo z nich pewnie już nie żyje. Jakiś wypadek samochodowy, strzał z broni, niezabezpieczona studzienka… – Gryzie się w język. Gość naprawdę wie, jak odmalować tragedię. – Ciekawe, czy byli w drodze do bliskich, żeby się z nimi pożegnać, i nagle… – Mateo klaszcze. – I już. To niesprawiedliwe… Mam nadzieję, że nie byli sami.

Docieramy do automatu z biletami.

– Ano niesprawiedliwe. Nie wydaje mi się, by to miało znaczenie, kto towarzyszy ci w czasie śmierci. Nikt nie utrzyma cię przy życiu, gdy już otrzymasz powiadomienie. – Pewnie jako Ostatni Przyjaciel nie powinienem tego mówić, ale się nie mylę. Mimo to trochę mnie gryzie, gdy Mateo zamyka się po tych słowach.

Zgonersom przysługują różne bonusy. Na przykład darmowe nielimitowane przejazdy metrem, o ile chcesz stać w kolejce po kartę. Tylko z tymi „nielimitowanymi” to trochę ściema, bo karta przestaje działać na koniec Dnia Ostatecznego. Parę tygodni wcześniej Plutoni podawali się za Zgonersów tylko po to, żebyśmy mogli pojechać za darmo na Coney Island, myśląc, że gość nam odpuści. Ale nie, musieliśmy czekać, aż potwierdzi dane z serwerem Prognozy, co może trwać dłużej niż czekanie na ekspres, więc daliśmy sobie siana. Kupuję

bilet na nieograniczoną liczbę przejazdów, ten dla nie-Zgonersów, tych wciąż czekających na jutro, a Mateo robi to samo.

Wczytujemy karty i wchodzimy na peron. Równie dobrze to może być nasza ostatnia przejażdżka.

Mateo pokazuje na okienko.

– Czy to nie szaleństwo, że za kilka lat nie będą potrzebowali żadnych pracowników, bo maszyny, może nawet roboty, przejmą zadania ludzi? To się w sumie dzieje już teraz, jak się nad tym zastanowić…

Ryk nadjeżdżającego pociągu zagłusza ostatnie słowa Mateo, ale to nic, bo i tak wiem, co ma na myśli. Trzeba mieć niesamowitego farta, żeby o tej porze złapać od razu metro. I możemy już wykluczyć śmierć poprzez wypadnięcie na torowisko, utknięcie razem ze szczurami i danie się pociąć i rozpłaszczyć przez nadjeżdżający pociąg – cholera, ponure wizje Mateo już mi się udzielają.

Jeszcze zanim rozsuną się drzwi, widzę jedną z tych imprez, w czasie których studenci świętują fakt, że nie otrzymali takich powiadomień, jak ja i Mateo. Wygląda na to, że zabawa na kampusie nie jest już modna i teraz lepiej imprezować w metrze – a my do nich dołączamy, cholera.

– Chodźmy – mówię do Mateo, gdy otwierają się drzwi. – Szybko. – Pędem wprowadzam swój rower, prosząc ludzi, żeby zrobili dla nas miejsce. Oglądam się, żeby sprawdzić, czy tylne koło nie blokuje Mateo wejścia, i wtedy zdaję sobie sprawę, że wcale go za mną nie ma.

Chłopak stoi na zewnątrz, kręci głową i w ostatniej sekundzie przed zamknięciem drzwi wskakuje do pustego wagonu obok – tego, w którym pasażerowie śpią zamiast puszczać remiks *Celebration* (klasyka takich imprez, ale można by ją już zastąpić oryginalniejszą piosenką).

No dobra, nie mam zielonego pojęcia, dlaczego Mateo stchórzył, ale nie pozwolę, żeby mi to zepsuło zabawę. To tylko impreza w wagonie – nie kazałem mu przecież skakać na bungee ani ze spadochronem. Do tego nie trzeba być chojrakiem.

Teraz leci *We Built This City* i jakaś Arabka z przenośną wieżą stereo wskakuje na ławkę, żeby zatańczyć. Jakiś gość się do niej przystawia, ale ona ma zamknięte oczy i wczuwa się w muzykę. W kącie śpi koleś z kapturem na głowie; albo bardzo dobrze się bawił, albo mamy na pokładzie martwego Zgonera.

To nie jest zabawne.

Opieram rower o pustą ławkę – tak, jestem gościem, którego rower stoi wszystkim na drodze, ale też umieram, więc odpuśćcie – i przechodzę nad nogami śpiącego Zgonera, żeby zajrzeć do sąsiedniego wagonu. Mateo gapi się do mojego jak dzieciak, który dostał szlaban i musi oglądać bawiących się przyjaciół z okna własnego pokoju. Pokazuję mu, żeby do nas przyszedł, ale tylko kręci głową i wbija wzrok w podłogę. Już więcej na mnie nie patrzy.

Ktoś trąca mnie w ramię. Obracam się i widzę śliczną czarnoskórą dziewczynę o orzechowych oczach, która trzyma w ręku dodatkową puszkę piwa.

– Chcesz?

– Nie, dzięki – odpowiadam. Nie powinienem pić alkoholu.

– Będzie więcej dla mnie. Jestem Callie.

Nie do końca ją słyszę.

– Kelly?

Nachyla się, jej piersi dotykają mojej klatki, jej usta są tuż przy moim uchu.

– Callie!

– Hej, Callie, ja jestem Rufus – mówię do jej ucha, skoro już stoi tak blisko. – Co tu…

– Zaraz wysiadam – przerywa mi Callie. – Chcesz iść ze mną? Ładny jesteś i wydajesz się spoko.

Zdecydowanie jest w moim typie, co oznacza, że jest też w typie Tagoe (Malcolmowi podoba się każda dziewczyna, której on się podoba). Skoro jednak nie mogę jej zbyt wiele zaoferować, poza tym, co mi właśnie sugeruje, muszę odmówić. Założę się, że mnóstwo ludzi skorzystałoby z tej propozycji w ostatnim dniu życia, ale nie ja.

– Nie mogę. – Muszę pilnować Mateo, a poza tym mam ciągle w głowie Aimee. Nie chcę zdradzić swojego uczucia do niej czymś tak pustym jak to.

– Jasne, że możesz!

– Naprawdę nie, do bani. Muszę zabrać kumpla do szpitala, żeby zobaczył się z ojcem.

– No to spadaj. – Callie odwraca się do mnie plecami i zaraz zagaduje do następnego kolesia, co chyba kończy się dobrze, bo ten wychodzi za nią z pociągu, gdy zatrzymujemy się na następnej stacji. Może Callie i ten chłopak zestarzeją się ze sobą i będą opowiadać swoim dzieciom, jak poznali się na imprezie w metrze. Ale założę się, że tylko będą uprawiać dzisiaj seks, a potem on nad ranem nazwie ją Kelly.

Robię zdjęcia energii panującej w wagonie: gościa, który zdołał wreszcie zwrócić na siebie uwagę pięknej laski; tańczące razem bliźniaczki; zgniecione puszki po piwie i butelki po wodzie; i całe to cholerne życie. Wkładam telefon do kieszeni, chwytam rower i prowadzę go przez drzwi łączące wagony, które, jak głoszą nieustannie ostrzeżenia nad naszymi głowami, służą jedynie w nagłych wypadkach – Dzień Ostateczny czy nie, to ogłoszenie może się pocałować w dupę. Świeże powietrze jest zimne, a pisk i skrzypienie kół na torach

to dźwięk, za którym nie będę tęsknił. Wchodzę do sąsiedniego wagonu, a Mateo ciągle nie podniósł jeszcze wzroku.

Siadam obok niego i już mam mu zmyć głowę, już mam powiedzieć, że właśnie odmówiłem seksu studentce w ostatni dzień życia, bo jestem dobrym Ostatnim Przyjacielem, ale to zajebiście oczywiste, że chłopakowi nie trzeba jeszcze wyrzutów sumienia.

– Jo, opowiedz mi o tych robotach. Tych, co to mają zabrać ludziom pracę.

Mateo przestaje na chwilę gapić się w podłogę i odwraca, żeby sprawdzić, czy nie robię sobie z niego jaj, ale nie robię, jestem dziko wyluzowany. Uśmiecha się szeroko i zaczyna swój wywód.

– To chwilę zajmie, bo to ewolucja, a nie rewolucja, ale roboty już są wśród nas. Wiesz o tym, prawda? Istnieją takie, które mogą ci ugotować obiad albo wyjąć naczynia ze zmywarki. Możesz nauczyć je specjalnego uścisku dłoni, co jest po prostu niesamowite, a niektóre potrafią ułożyć kostkę Rubika. Parę miesięcy temu widziałem nawet filmik z robotem tańczącym breakdance'a. Ale czy nie wydaje ci się, że te służą tylko za wielką zmyłkę, by odwrócić naszą uwagę od robotów, które właśnie przechodzą szkolenia w jakimś sekretnym centrum? No wiesz, płacimy dwadzieścia dolarów za godzinę komuś, kto podaje wskazówki dojazdu, a przecież nasze telefony już potrafią to robić. A kiedy roboty będą to umiały? Mamy przechlapane. – Mateo zamyka się i uśmiech znika z jego twarzy.

– Do bani, nie?

– No.

– Przynajmniej nie musisz się już martwić, że twój szef zastąpi cię kiedyś robotem.

– Cóż za wisielczy humor – stwierdza Mateo.

– Stary, cały ten dzień to jakiś ponury dowcip. Dlaczego nie wsiadłeś do imprezowego wagonu?

– Nie pasujemy do tamtego towarzystwa. Co niby mielibyśmy świętować, umieranie? Nie chcę tańczyć z obcymi ludźmi w drodze na pożegnanie z ojcem i najlepszą przyjaciółką, wiedząc cholernie dobrze, że mogę do nich nie dotrzeć. To po prostu nie jest miejsce i towarzystwo dla mnie.

– To tylko impreza – mówię w chwili, gdy pociąg się zatrzymuje. Mateo już nie odpowiada. Bardzo możliwe, że jego niechęć do ryzyka zachowa nas przy życiu odrobinę dłużej, ale nie spodziewam się, żeby czekał nas pamiętny Dzień Ostateczny.

AIMEE DUBOIS

04:17

Nikt z Prognozy Śmierci nie zadzwonił do Aimee DuBois, ponieważ Aimee dzisiaj nie umrze. Ale straci Rufusa – straciła go już jako swojego chłopaka.

Aimee pędzi właśnie do domu, z Dziobakiem depczącym jej po piętach.

– Jesteś potworem. Jakim trzeba być człowiekiem, żeby wezwać policję do kogoś, kto właśnie ma swój pogrzeb?

– Napadło mnie trzech kolesi!

– Malcolm i Tagoe nawet cię nie tknęli! A teraz pójdą do więzienia.

Dziobak pluje.

– Sami zaczęli pyskować, to nie moja wina.

– Musisz zostawić mnie samą. Wiem, że nigdy nie przepadałeś za Rufusem, a on nie zrobił nic, żeby to zmienić, ale dla mnie jest kimś bardzo ważnym. Zawsze chciałam, żeby pozostał częścią mojego życia, a teraz to niemożliwe. Przez ciebie spędziłam z nim jeszcze mniej czasu. Jeśli nie mogę widzieć się z nim, z tobą też nie chcę.

– Zrywasz ze mną?

Aimee się zatrzymuje. Nie chce odwrócić się do Dziobaka, bo nie przemyślała jeszcze odpowiedzi. Ludzie popełniają błędy. Rufus popełnił błąd, napadając na Dziobaka. Dziobak nie

powinien był prosić przyjaciół o nasłanie policji na Rufusa, ale nie zrobił nic złego. No, w świetle prawa nie. Moralnie tak.

– Ciągle stawiasz go przede mną – stwierdza Dziobak. – To do mnie przychodziłaś ze swoimi problemami. Nie do gościa, który omal mnie nie zabił. Dam ci czas, żebyś mogła się nad tym zastanowić.

Aimee patrzy na Dziobaka. Jest białym nastolatkiem z nisko opuszczonymi spodniami, workowatym swetrem, fryzurą na Cezara i resztkami zaschniętej krwi na twarzy, która znalazła się tam, bo się z nią spotyka.

Dziobak odchodzi, a Aimee go nie zatrzymuje.

Nie wie, co począć z Dziobakiem w tym świecie pełnym szarości.

Nie jest pewna, co właściwie począć ze sobą.

MATEO

04:26

Nie potrafię się uwolnić.

Nie mogłem zmusić się do zabawy z obcymi ludźmi. Byli w zasadzie niegroźni, tyle tylko, że lepiej, bym nie otaczał się osobami upijającymi się do nieprzytomności i ostatecznie zaliczają zgon w dniu, w którym mają szczęście być żywymi. A jednak nie byłem do końca szczery w rozmowie z Rufusem, bo na jakimś poziomie naprawdę uważam, że impreza w wagonie to miejsce dla mnie. Jednak zawsze się boję, że rozczaruję innych albo zrobię z siebie kretyna, i dlatego odpuszczam.

Naprawdę się dziwię, że Rufus przypina rower do bramy i idzie ze mną do szpitala. Wchodzimy do izby przyjęć i siedzący za ladą mężczyzna z zaczerwienionymi oczami uśmiecha się do mnie, ale nie pyta od razu, jak mógłby mi pomóc.

– Chciałbym zobaczyć się z ojcem. Mateo Torrez na OIOM-ie. – Wyciągam dokumenty i podsuwam pod nos Jaredowi, jak głosi jego plakietka przypięta do błękitnego fartucha.

– Godziny wizyt skończyły się o dwudziestej pierwszej. Przykro mi.

– Nie będę długo, obiecuję. – Nie mogę wyjść, nie pożegnawszy się z tatą.

– To się nie wydarzy, dzieciaku – odpowiada Jared, wciąż uśmiechnięty, choć teraz trochę bardziej irytująco. – Godziny wizyt zaczynają się znowu o dziewiątej. Od dziewiątej do dziewiątej. Chwytliwe, nie?

– Okej.

– On umiera – odzywa się Rufus.

– Twój ojciec umiera? – pyta Jared, a jego przedziwny uśmiech kogoś pracującego o czwartej nad ranem wreszcie znika.

– Nie. – Rufus łapie mnie za ramię i ściska. – On umiera. Nie bądź dupkiem i wpuść go na górę, żeby pożegnał się z ojcem.

Jaredowi chyba nie spodobał się ton mojego kolegi, mi też nieszczególnie, ale kto wie, gdzie bym teraz był, gdyby Rufus nie wstawił się za mną. Właściwie to wiem, gdzie bym był: przed szpitalem, pewnie wypłakując się w kącie w nadziei, że jakoś dotrwam do dziewiątej. Cholera, może nawet ciągle bym siedział w domu i grał na konsoli, próbując namówić samego siebie do wyjścia z mieszkania.

– Twój ojciec jest w śpiączce – oznajmia Jared, podnosząc wzrok znad komputera.

Rufus otwiera szeroko oczy, jakby właśnie doznał szoku.

– Rany. Wiedziałeś o tym?

– Tak. – Poważnie, jeśli to nie jest jego pierwszy tydzień w tej robocie, musi być na jakiejś czterdziestoośmiogodzinnej zmianie albo coś. – Mimo to chciałbym się z nim pożegnać.

Jared wreszcie się ogarnia i przestaje wszystko kwestionować. Rozumiem jego początkową niechęć, zasady to zasady, ale cieszę się, że nie przeciąga struny, pytając mnie o potwierdzenie statusu Zgonera. Robi nam zdjęcia, drukuje przepustki gości i podaje je mnie.

– Przepraszam za wszystko. I, no wiesz… – Jego kondolencje, chociaż prawie nieistniejące, przyjmuję o wiele lepiej niż te od

Andrei z Prognozy Śmierci. Idziemy w kierunku wind.

– Też miałeś ochotę zetrzeć mu ten uśmieszek z twarzy? – pyta Rufus.

– Nie.

Rozmawiamy z Rufusem pierwszy raz od czasu wyjścia z metra. Przypinam sobie plakietkę do koszuli, kilka razy poklepując dla pewności. – W ogóle dzięki, że załatwiłeś nam wejście. Ja sam bym nie zagrał kartą Zgonera.

– Nie ma za co. Nie mamy kompletnie czasu na żal albo gdybanie, co by kto zrobił albo czego by nie zrobił.

Naciskam przycisk przyzywający windę.

– Przepraszam, że nie wsiadłem do wagonu imprezowego.

– Nie musisz mnie przepraszać. Twoja decyzja, twoja sprawa. – Odchodzi, kierując się w stronę klatki schodowej. – Ale mi nie pasuje jazda windą, więc chodźmy tutaj.

Racja. Zapomniałem.

Poza tym o tej porze pewnie lepiej zostawić windy dla pielęgniarek, lekarzy i pacjentów.

Ruszam za Rufusem w górę schodów i już na drugim piętrze brakuje mi tchu. Serio, może jednak jest ze mną coś nie tak i umrę tutaj, na tych schodach, zanim dotrę do taty albo Lidii, albo Przyszłego Mateo. Rufus robi się niecierpliwy i zaczyna przyśpieszać, czasami pokonując po dwa stopnie naraz.

Na piątym piętrze woła do mnie.

– Mam jednak nadzieję, że mówiłeś poważnie o tym otwieraniu się na nowe doświadczenia. To nie muszą być rzeczy w stylu imprezy w metrze.

– Może poczuję się odważniejszy, gdy już się pożegnam.

– Szanuję to.

Potykam się po drodze, ląduję na podłodze na szóstym piętrze. Wciągam głęboko powietrze, gdy Rufus cofa się, żeby pomóc mi wstać.

– Wywaliłem się jak gówniarz.

Rufus wzrusza ramionami.

– Lepiej do przodu niż do tyłu.

Wchodzimy na ósme piętro. Poczekalnia znajduje się prosto przed nami, widać automaty z przekąskami i brzoskwiniową kanapę między rozkładanymi fotelami.

– Możesz poczekać tutaj? Chciałbym chyba zrobić to sam.

– Szanuję – rzuca Rufus.

Przechodzę przez jedne z błękitnych drzwi, te kołyszą się za mną. Na OIOM-ie jest cicho, nie licząc jakiejś cichej rozmowy i pikania urządzeń. Parę lat temu widziałem dokument na Netfliksie o tym, jak bardzo zmieniły się szpitale od czasu nastania Prognozy Śmierci. Lekarze oczywiście blisko współpracują z firmą, otrzymując natychmiastowe informacje o poważnie chorych pacjentach, którzy podpisali specjalną zgodę. Kiedy pojawia się powiadomienie, lekarze nie planują już żadnych zabiegów, a zamiast tego pielęgniarki przygotowują Zgonersów do „komfortowej śmierci" z ostatnimi posiłkami, telefonami do rodziny, organizacją pogrzebu, podpisywaniem testamentu, modlitwą i spowiedzią oraz wszystkim innym, co mogą im zapewnić z zachowaniem zdrowego rozsądku.

Tata leży tutaj już od prawie dwóch tygodni po pierwszym udarze niedokrwiennym w pracy. Następnego dnia naprawdę spanikowałem i zanim podpisałem zgodę na przekazanie informacji o tacie prosto do bazy danych szpitala, spędziłem całą noc na modleniu się, by jego telefon milczał. Wreszcie uwolniłem się od strachu przed tym, że doktor Quintana zadzwoni z wiadomością o nadchodzącej śmierci taty. Dobrze wiedzieć, że ma przed sobą przynajmniej jeden dzień; mam nadzieję, że znacznie więcej.

Pokazuję pielęgniarce przepustkę i ruszam prosto do pokoju taty. Leży praktycznie nieruchomo, bo maszyny oddychają za niego. Już mam się rozpłakać, myśląc o tym, że tata obudzi się na świecie beze mnie i nie będę mógł go pocieszyć. Jednak się nie załamuję. Siadam obok niego, ujmuję jego dłoń i przykładam do niej głowę. Ostatni raz płakałem, kiedy późnym wieczorem wsiadłem do karetki i koło północy sytuacja wyglądała naprawdę poważnie. Przysięgam, że spodziewałem się, że umrze dosłownie w ciągu kilku minut.

Przyznaję to ze wstydem, ale jestem trochę wkurzony na ojca, że pozostaje nieprzytomny w takiej chwili. Był przy tym, jak matka sprowadziła mnie na ten świat i kiedy sama z niego odeszła, więc powinien być też teraz. Beze mnie jego życie bardzo się zmieni: nie będzie więcej obiadów, przy których zamiast opowiadać mi o swoim dniu mógłby przypominać wszystkie próby, przez jakie przeciągnęła go matka, zanim wreszcie zgodziła się za niego wyjść, i przekonywać, że ich miłość była warta wszystkiego; nie będzie już mógł za każdym razem, gdy powiem coś głupiego, straszyć mnie, że narobi mi wstydu na oczach moich przyszłych dzieci, chociaż ja nigdy nie widziałem w swojej przyszłości dzieci ze względu na to, jaki jestem; i przestanie też być ojcem albo przynajmniej nie będzie miał już nikogo, dla kogo mógłby nim być.

Puszczam dłoń taty i chwytam długopis leżący na szafce. Wyciągam nasze wspólne zdjęcie i trzęsącą się ręką zapisuję z tyłu wiadomość.

Dziękuję za wszystko, tato.
Będę odważny i będzie dobrze.
Kocham Cię stąd dotąd.
Mateo

Zostawiam fotografię na szafce.

Ktoś puka cicho do drzwi. Obracam się, spodziewając się zobaczyć Rufusa, ale to pielęgniarka, Elizabeth. Zajmuje się ojcem wieczorami i zawsze jest cierpliwa, gdy dzwonię do szpitala, wypytując o najnowsze wieści.

– Mateo?

Patrzy na mnie smutno, więc z pewnością już wie.

– Cześć, Elizabeth.

– Przepraszam, że ci przeszkadzam. Jak się czujesz? Chcesz, żebym zadzwoniła do stołówki i zapytała, czy wyłożyli już galaretkę?

Tak, zdecydowanie już wie.

– Nie, dziękuję. – Skupiam się znowu na tacie, na jego biednej i nieruchomej postaci. – A co u niego?

– Jego stan jest stabilny. Nie musisz się martwić. Jest w dobrych rękach, Mateo.

– Wiem.

Siedzę i bębnię palcami o szuflady szafki nocnej taty, gdzie leżą jego klucze do domu, portfel i ubrania. Wiem, że muszę się pożegnać. Nieważne, że Rufus na mnie czeka. Ważne, że tata nie chciałby, żebym spędzał swój Dzień Ostateczny w jego pokoju, nawet gdyby był przytomny.

– Elizabeth? Ty wiesz, prawda?

– Tak. – Pielęgniarka przykrywa chude ciało ojca nowym prześcieradłem.

– To niesprawiedliwe. Nie chcę wychodzić, nie słysząc po raz ostatni jego głosu.

Elizabeth stoi po przeciwnej stronie łóżka, z plecami skierowanymi do okna, a ja z kolei do drzwi.

– Czy mógłbyś opowiedzieć mi o nim trochę? Opiekuję się nim już od kilku tygodni i o jego życiu osobistym wiem tylko tyle, że zakłada skarpetki nie do pary i ma świetnego syna.

Mam nadzieję, że nie pyta dlatego, że jej zdaniem ojciec już się nie obudzi, żeby osobiście jej o sobie opowiedzieć. Nie, nie chcę, żeby tata umarł zaraz po mnie. Powiedział mi kiedyś, że opowieści mogą uczynić kogoś nieśmiertelnym, o ile zawsze znajdzie się ktoś, kto zechce je poznać. W ten sposób utrzymywał przy życiu moją mamę i mam nadzieję, że mnie też będzie.

– Tata lubi tworzyć listy. Nie, on to uwielbia. Zawsze żartowaliśmy, że któregoś dnia przekaże mi swoje listy, żebym mógł je umieścić na blogu w jego imieniu. Jego zdaniem zostalibyśmy naprawdę bogaci i sławni, a komentujący prosiliby go o tworzenie list dla nich. Wierzył nawet, że właśnie dzięki temu wreszcie znalazłby się w telewizji, bo marzył o tym od dzieciństwa. Nigdy nie miałem serca, żeby powiedzieć mu, że jego listy nie są takie znowu śmieszne, ale lubiłem patrzeć, jak jego umysł pracuje, więc cieszyłem się z każdej nowej. Poza tym nikt nie potrafi tak opowiadać historii jak on. Czasami wydaje mi się, że mam jakieś zwidy, jakbym szedł po plaży na Coney Island, gdzie po raz pierwszy oświadczył się mojej mamie…

– Po raz pierwszy? – Rufus. Odwracam się i widzę, że stoi w progu. – Przepraszam, że podsłuchiwałem – mówi. – Chciałem sprawdzić, jak się trzymasz.

– Nie przejmuj się tym. Wejdź. Elizabeth, to jest Rufus, mój… To mój Ostatni Przyjaciel. – Mam nadzieję, że faktycznie mówi prawdę i chciał sprawdzić, co ze mną, a nie przyszedł tutaj, żeby się pożegnać i zasugerować, że powinniśmy się rozdzielić.

Rufus opiera się o ścianę, krzyżując ręce na piersi.

– A więc co z tymi oświadczynami?

– Mama odrzuciła je dwa razy. Podobno lubiła grać niedostępną. Potem dowiedziała się, że jest w ciąży, a on padł

na kolano w łazience. Uśmiechnęła się i powiedziała „tak”.

Naprawdę podoba mi się ten moment.

Wiem, że mnie tam nie było, jednak przez lata wytworzyłem w wyobraźni krystalicznie czystą wizję tamtej sceny. Nie wiem, jak dokładnie wyglądała łazienka, bo wszystko rozegrało się w ich pierwszym, maleńkim mieszkaniu, ale tata mówił, że ściany były w kolorze zgaszonego złota – co dla mnie zawsze oznaczało postarzałą żółć – a podłoga wyłożona była kafelkami w kratkę. Widzę też mamę, która w opowiadaniach staje się żywa, a w tym śmieje się i płacze, dbając o to, bym nie pojawił się na świecie jako bękart, ze względu na jej tradycje rodzinne. Dla mnie ostatecznie nie miałoby to znaczenia, moim zdaniem cała ta sprawa z bękartami jest głupia.

– Skarbie, strasznie żałuję, że nie mogę go dla ciebie obudzić. Naprawdę.

Szkoda, że życie nie pozwala nam zmienić swojego biegu, gdy tego najbardziej potrzebujemy.

– Mogę was poprosić o dziesięć minut sam na sam z tatą? Chyba wiem, jak się z nim pożegnać.

– Nie śpiesz się, stary – mówi Rufus, co jest zaskakujące i wspaniałomyślne.

– Nie, przyjdź po mnie za dziesięć minut.

– Jasne – odpowiada i kiwa głową.

Elizabeth kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Będę w izbie przyjęć, gdybyś mnie potrzebował.

Dziękuję jej i oboje wychodzą, zamykając za sobą drzwi.

Trzymam tatę za rękę.

– Tato, myślę, że nadszedł już czas, żebym teraz to ja opowiedział ci historię. Zawsze prosiłeś, a nawet błagałeś, żebym mówił ci więcej o sobie, o swoim życiu, a ja się zamykałem przed tobą. Ale teraz zostało nam już tylko moje gadanie i trzymam kciuki i w ogóle wszystko, żebyś mnie

słyszał. – Ściskam jego dłoń, żałując, że nie może odwzajemnić gestu. – Tato…

Zawsze powtarzał, żebym był szczery, jednak prawda czasami bywa skomplikowana. Nieważne, czy prawda narobi bałaganu czy nie – bywa, że słowa nie chcą wydostać się z ust, dopóki nie znajdziesz się sam. Nawet wtedy nie ma żadnych gwarancji. Czasami prawda jest tajemnicą, jaką skrywasz przed samym sobą, bo życie w kłamstwie jest łatwiejsze.

Nucę *Take This Waltz* późnego Leonarda Cohena – jedną z tych piosenek, które nigdy do mnie nie przemawiały, ale i tak pozwalały mi się zatracić. Śpiewam te fragmenty tekstu, które znam, myląc się przy niektórych wersach i powtarzając inne w niewłaściwych miejscach, lecz tata uwielbiał ten utwór i mam nadzieję, że słyszy, jak ja śpiewam za niego.

RUFUS

04:46

Siedzę przed drzwiami do pokoju ojca Mateo i czekam, żeby powiedzieć mu, kiedy nadejdzie czas, by ruszać dalej. Wyciągnięcie go z mieszkania i poza najbliższą okolicę to jedno, ale pewnie będę musiał pozbawić gościa przytomności i siłą wyprowadzić ze szpitala. Tak by trzeba było zrobić ze mną, żebym odszedł od łóżka taty, czy to przytomnego czy nie.

Tamta pielęgniarka, Elizabeth, spogląda na zegarek, a potem na mnie, i zaraz prowadzi wózek z pachnącym starzyzną jedzeniem do innego pokoju.

Nadszedł już czas, żeby zabrać Mateo.

Wstaję z podłogi i uchylam drzwi do pokoju. Chłopak wciąż trzyma dłoń ojca i śpiewa piosenkę, której wcześniej nie słyszałem. Pukam i aż podskakuje, wystraszony.

– Sorki, stary? Gotowy?

Mateo wstaje i widzę, że jest czerwony na twarzy, jakbyśmy wdali się w zawody na Snapczacie i zaliczył spektakularną porażkę na oczach dzikiej liczby ludzi.

– Tak, nic mi nie jest. – Zajebiste kłamstwo. – Powinienem tylko posprzątać. – Mija dobra minuta, zanim naprawdę puści rękę ojca, zupełnie jakby mężczyzna go powstrzymywał, ale Mateo w końcu się uwalnia. Podnosi podkładkę z klipsem i zostawia ją na półce nad łóżkiem. – Tata zazwyczaj zostawia

sprzątanie na sobotę, bo nie cierpi myśli, że miałby wrócić z pracy do domu i pracować. Dlatego w weekendy zawsze najpierw robiliśmy porządki, a potem siadaliśmy do zasłużonego maratonu oglądania telewizji. – Mateo rozgląda się i musi widzieć, że pozostała część pokoju jest całkiem czysta. No, wiadomo, nie jadłbym z podłogi, ale to w końcu szpital.

– Udało ci się pożegnać?

Chłopak kiwa głową.

– W pewnym sensie. – Idzie w stronę łazienki. – Muszę sprawdzić, czy tam jest czysto…

– Na pewno jest.

– Muszę się upewnić, że mają przygotowane czyste kubki na czas, kiedy się obudzi.

– Zaopiekują się nim.

– Może potrzebować grubszego koca. Nie jest w stanie powiedzieć, czy mu zimno, czy nie.

Podchodzę i łapię go za ramiona, próbując go przytrzymać, bo się trzęsie.

– On cię tutaj nie chce, dobra? – Mateo ściąga brwi i jego twarz czerwienieje. Jest smutny, nie wkurzony. – Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. Czasami coś palnę głupiego. Twój tata nie chce, żebyś marnował swój czas tutaj, zwłaszcza kiedy on jest w takim stanie. Posłuchaj, miałeś szansę się pożegnać, ja nie. Za długo zastanawiałem się, co powiedzieć, i teraz zajebiście ci zazdroszczę. A jeśli to za mało, żeby cię stąd wyciągnąć, wiedz, że cię potrzebuję. Potrzebuję przyjaciela.

Mateo rozgląda się jeszcze raz po pokoju, niewątpliwie próbując przekonać samego siebie, że koniecznie musi właśnie teraz wyszorować toaletę albo sprawdzić, czy każdy jeden kubek w całym szpitalu nie ma najmniejszej plamki, żeby

przypadkiem jego ojcu nie trafił się brudny. Ja jednak ściskam go za ramiona i przywracam do rzeczywistości. Chłopak podchodzi do łóżka i całuje ojca w czoło.

– Żegnaj, tato. – Idzie tyłem, powłócząc nogami, i macha jeszcze do śpiącego. Serce mi wali, a przecież jestem tylko świadkiem. Mateo pewnie zaraz eksploduje, więc kładę mu rękę na ramieniu, a on się wzdryga. – Przepraszam – mówi w progu. – Naprawdę mam nadzieję, że się dzisiaj obudzi. W ostatniej chwili, rozumiesz.

Kiwam głową, chociaż nie stawiałbym na to.

Wychodzimy z pokoju i Mateo zagląda jeszcze raz, a potem zamyka za nami drzwi.

MATEO

04:58

Zatrzymuję się na rogu budynku i wciąż nie jest jeszcze za późno, żeby pobiec do pokoju taty i po prostu przeczekać tam dzień. Ale niesprawiedliwie byłoby też narażać życie innych moją obecnością, jestem jak tykająca bomba. Po prostu nie mogę jeszcze uwierzyć, że wróciłem na zewnątrz, do świata, który mnie zabije. I że towarzyszy mi Ostatni Przyjaciel, który też ma przerąbane.

Nie ma mowy, żeby nie skończyła mi się odwaga.

– Spoko? – pyta Rufus.

Kiwam głową. Najchętniej posłuchałbym teraz jakiejś muzyki, zwłaszcza po śpiewaniu w pokoju taty. Krzywię się, bo Rufus mnie słyszał, ale to nic, to nic. Nie skomentował tego, więc może wcale tak dużo nie usłyszał. Ta niezręczność sprawia, że mam jeszcze większą ochotę na muzykę, na ucieczkę z czymś, co było dla mnie zawsze chwilą samotności. Jednym z ulubionych kawałków mojego taty jest *Come What May*. Mama śpiewała go w czasie naszej wspólnej kąpieli tuż przed tym, jak odeszły jej wody. Ten wers o kochaniu kogoś aż do końca zapada w pamięć, ale to samo można powiedzieć o mojej innej ulubionej piosence, *Another Day* ze ścieżki dźwiękowej do *Rent*. Aż mnie świerzbi, żeby ją włączyć, zwłaszcza jako Zgoner, bo mówi o zmarnowanych szansach,

pustym życiu i kończącym się czasie. Mój ulubiony tekst to *One song before I go…*

– Przepraszam, że tak cię poganiałem – dodaje. – Mówiłeś, żebym cię stamtąd wyciągnął, ale nie byłem pewien, czy naprawdę tego chciałeś.

– Cieszę się, że to zrobiłeś.

Tata by tego chciał.

Oglądam się w obie strony przed wejściem na ulicę. Nie ma żadnych samochodów, za to na rogu przed nami stoi mężczyzna i wściekle rwie worki na śmieci, jakby właśnie nadjeżdżała śmieciarka, żeby mu wszystko zabrać. Możliwe, że szuka czegoś, co niechcący wyrzucił, jednak sądząc po rozerwanej nogawce jego spodni i brudzie na kamizelce koloru rdzy, można śmiało założyć, że to bezdomny. Mężczyzna wyciąga na wpół zjedzoną pomarańczę, wkłada ją sobie pod pachę i kontynuuje przetrzepywanie zawartości worka. Odwraca się w naszą stronę, gdy wychodzimy za róg.

– Macie dolara? Jakieś drobniaki?

Trzymam głowę nisko, podobnie Rufus, i ignorujemy nieznajomego. On nie woła za nami ani w ogóle nic więcej nie mówi.

– Chcę dać mu trochę pieniędzy – oznajmiam, chociaż strasznie się boję zrobić to sam. Przeszukuję kieszenie i znajduję osiemnaście dolarów w gotówce. – Masz jakieś pieniądze do oddania?

– Nie chcę wyjść na dupka, ale dlaczego?

– Bo on ich potrzebuje. Szuka jedzenia w śmieciach.

– Możliwe, że nawet nie jest bezdomny. Ja już się raz na tym przejechałem.

Zatrzymuję się.

– Też mnie już ktoś okłamał. – Popełniłem też błąd, ignorując ludzi, którzy prosili mnie o pomoc, a to

niesprawiedliwe. – Nie twierdzę, że powinniśmy oddać mu całe nasze oszczędności. Wystarczy kilka dolców.

– Kiedy dałeś się nabrać?

– W piątej klasie. Szedłem właśnie do szkoły, kiedy jakiś koleś poprosił o dolara, po czym, kiedy już wyciągnąłem swoje dziewięć dolców na obiad, uderzył mnie w twarz i zabrał wszystko. – Wstydzę się przyznać, że nie potrafiłem się opanować w szkole, płakałem tak głośno, że tata wyszedł wcześniej z pracy, żeby odwiedzić mnie w pokoju pielęgniarki i sprawdzić, jak sobie radzę. Przez dwa tygodnie odprowadzał mnie do szkoły i błagał, żebym był ostrożniejszy przy obcych, zwłaszcza wtedy, gdy w grę wchodzą pieniądze. – Po prostu uważam, że nie powinienem osądzać, kto naprawdę potrzebuje pomocy, a kto nie. To tak jakby, wiesz, mieli zatańczyć albo zaśpiewać piosenkę, żeby mi udowodnić, że są czegoś warci. Proszenie o pomoc, kiedy się jej potrzebuje, powinno wystarczyć. A poza tym co to jest dolar? Zarobimy jeszcze głupiego dolara.

Właściwie już nie zarobimy, ale jeśli Rufus jest taki mądry (albo jeśli ma taką paranoję) jak ja, z pewnością trzyma na koncie sporo pieniędzy. Nie potrafię odczytać jego wyrazu twarzy, ale opiera rower na nóżce i mówi:

– Więc zróbmy to.

Sięga do kieszeni i znajduje tam czterdzieści dolarów. Idzie pierwszy, ja ruszam jego śladem, serce mi wali jak szalone, bo trochę się boję, że nieznajomy nas zaatakuje. Rufus zatrzymuje się kilka kroków od niego i daje mi znak akurat w chwili, gdy facet odwraca się i spogląda mi prosto w oczy.

Rufus chce, żebym się odezwał.

– Proszę pana, to wszystko, co mamy przy sobie. – Biorę dwie dwudziestki od kolegi i wyciągam rękę z pieniędzmi.

– Żartujesz sobie ze mnie, dzieciaku? – Rozgląda się i nie jestem pewien, dlaczego traktuje nas podejrzliwie. Przyjmowanie pomocy nie powinno budzić u nikogo podejrzliwości.

– Ani trochę, proszę pana – mówię i podchodzę do niego. Rufus trzyma się blisko. – Wiem, że to nie jest dużo, i przepraszam.

– To… – Mężczyzna idzie do mnie i przysięgam, że zaraz dostanę zawału. Zupełnie jakby moje nogi zostały zabetonowane na torze wyścigowym i pędziło na mnie kilkanaście samochodów w postaci kolorowych smug. A jednak cios nie nadchodzi. Zamiast tego nieznajomy mnie przytula, pomarańcza wypada mu spod pachy i ląduje u naszych stóp. Dopiero po chwili odzyskuję kontrolę nad nerwami i mięśniami, ale w końcu też go ściskam i wszystko w nim, od wzrostu po chudość, przypomina mi o tacie. – Dziękuję. Dziękuję. – Puszcza mnie i nie wiem, czy oczy ma czerwone, bo pewnie nie ma gdzie spać i jest naprawdę zmęczony, czy może się zaraz rozklei. Nie pytam o to, bo nie musi się przede mną tłumaczyć. Szkoda, że kiedyś nie miałem takiego podejścia.

Mężczyzna kiwa Rufusowi i wkłada pieniądze do kieszeni. Nie prosi o nic więcej, nie bije mnie. Odchodzi, głowę trzyma nieco wyżej, a ja żałuję, że nie zapytałem go o imię i sam też się nie przedstawiłem.

– Dobry pomysł – stwierdza mój przyjaciel. – Miejmy nadzieję, że karma wróci.

– Tu nie chodzi o karmę. Nie próbuję nazbierać punktów za bycie dobrym człowiekiem. – Nie powinno się dawać pieniędzy na cele charytatywne, pomagać staruszkom na ulicy czy ratować szczeniaczki, jeśli się liczy na nagrodę. Może i nigdy nie znajdę lekarstwa na raka ani nie rozwiążę problemu głodu

na świecie, ale małe uprzejmości mogą mieć wielkie znaczenie. Oczywiście nie zwierzę się z tych przemyśleń Rufusowi, bo wszyscy moi koledzy z klasy śmiali się ze mnie, gdy mówiłem o takich rzeczach, a nikt nie powinien się czuć źle dlatego, że starał się być dobry. – Myślę, że dzięki nam przestał się czuć niewidzialny. Dziękuję, że dostrzegłeś go razem ze mną.

– Mam nadzieję, że pomogliśmy właściwej osobie – odpowiada.

On nie spodziewa się, że z miejsca stanę się odważny, więc ja nie mogę oczekiwać, że on nagle stanie się wspaniałomyślny.

Dobrze, że nie wspomniał o tym, że umieramy. Wtedy nasz gest byłby tańszy, prawda? Gdyby ten facet myślał, że oddajemy mu całą gotówkę, bo może już za dziesięć minut nie będziemy mieli z niej żadnego pożytku, ten gest byłby mniej wart.

Może od teraz będzie bardziej ufny dlatego, że poznał nas. Mnie zdecydowanie w tym pomógł.

DELILAH GREY

05:00

Pracownik Prognozy Śmierci zadzwonił do Delilah Grey osiem minut przed trzecią nad ranem i oznajmił, że dzisiaj umrze, ale Delilah wie, że to nieprawda. Nie chodzi o wyparcie. To musi być jakiś okrutny żart ze strony jej byłego, pracownika Prognozy Śmierci, który chce ją nastraszyć po tym, jak zeszłego wieczora zerwała ich trwające rok zaręczyny.

Pogrywanie sobie z kimś w ten sposób jest zwyczajnie nielegalne. Za tego rodzaju oszustwo mógłby trafić do więzienia na minimum dwadzieścia lat i na czarną listę, przez którą praktycznie nigdzie by go nie zatrudnili. Wykorzystywanie swojej posady w Prognozie Śmierci w ten sposób to, cóż, samobójstwo.

Delilah nie może uwierzyć, że Victor wykorzystał znajomości z pracy.

Kasuje wiadomość z potwierdzeniem odebrania telefonu od herolda, Mickeya, które sklęła i od razu się rozłączyła. Sięga po komórkę, bo czuje pokusę, żeby zadzwonić do Victora. Jednak kręci tylko głową i odkłada telefon z powrotem na poduszkę, na której spał Victor, gdy zostawał u niej na noc. Nie zachowa się jak paranoiczka; nie zamierza dawać byłemu satysfakcji. Jeśli Victor czeka, aż Delilah zaloguje się na smierciowiednia.com, żeby sprawdzić, czy jej nazwisko

faktycznie trafiło na listę Zgonersów, albo aż zadzwoni do niego, by grozić procesem, dopóki nie przyzna się, że Mickey to jego kolega z pracy, którego poprosił o nastraszenie Delilah, będzie potrzebował wiele cierpliwości – dziewczyna ma mnóstwo czasu.

Delilah rozpocznie swój dzień bez zmian, bo skoro nie wątpiła w decyzję o rozstaniu, nie zamierza też wątpić w swoją ocenę tego gównianego telefonu.

Idzie do łazienki i myje zęby, podziwiając swoje włosy w lustrze. Mają bardzo intensywny kolor – zdaniem jej szefa zbyt intensywny. W ostatnich tygodniach Delilah potrzebowała zmiany, ignorując głos w głowie, który nalegał, żeby zerwała z Victorem. Zafarbowanie włosów było łatwiejsze. Kosztowało mniej łez. Kiedy fryzjerka zapytała, czego sobie życzy, Delilah poprosiła o zorzę polarną na głowie. Przydałoby się odświeżyć to fantazyjne połączenie różu, fioletu, zieleni i błękitu, ale poczeka z tym do przyszłego tygodnia, kiedy już nadrobi obowiązki.

Wraca do łóżka i otwiera laptopa. Zerwanie z Victorem zeszłej nocy przed jego zmianą oderwało ją od pracy, a dokładniej od tekstu o premierze serialu dla „Infinite Weekly", gdzie tej wiosny przyjęto ją jako asystentkę redaktora, zaraz po tym, jak skończyła college. Delilah nie jest fanką *Hipster House*, ale ci hipsterzy generują więcej kliknięć niż *Jersey Shore*, a ktoś musi o nich pisać, bo pozostali redaktorzy są zajęci poważniejszymi tytułami. Dziewczyna doskonale zdaje sobie sprawę, jakie miała szczęście, że w ogóle ma jeszcze tę robotę, skoro jako świeżak przekroczyła kilka terminów, zajęta planowaniem ślubu z kimś, kogo znała od czternastu miesięcy.

Włącza telewizor, żeby raz jeszcze obejrzeć boleśnie absurdalny pierwszy odcinek nowego sezonu – zadaniem

hipsterów jest stworzenie opowiadań na maszynach do pisania w zatłoczonej kawiarni na Brooklynie – i zanim zdąży przełączyć na DVR, prezenterka kanału Fox 5 dzieli się czymś wyjątkowo ciekawym, zważywszy na jej zainteresowania.

– …skontaktowaliśmy się z jego agentem z prośbą o komentarz. Dwudziestopięcioletni aktor grał antagonistę w ekranizacji słynnej serii książek ze Scorpiusem Hawthorne'em o demonicznym młodym czarodzieju, jednak fani z całego świata dzielą się w sieci swoją miłością do Howiego Maldonada. Zachęcamy do śledzenia nas na Twitterze i Facebooku, gdzie będziemy publikować najświeższe informacje w tej sprawie…

Delilah wyskakuje z łóżka, serce jej wali jak szalone.

Nie zamierza czekać na te informacje.

To ona zamierza być dziennikarką, która je zdobędzie.

MATEO

05:20

Podchodzę do bankomatu na rogu, a Rufus mnie pilnuje. Mój tata, całe szczęście, miał dość rozsądku, żeby posłać mnie do banku po kartę debetową zaraz po tym, jak skończyłem osiemnaście lat. Wyciągam czterysta dolarów – ten bankomat nie pozwala na więcej. Serce mi wali, gdy chowam pieniądze do koperty dla Lidii, modląc się, żeby nikt się nagle nie pojawił i nie wziął nas na muszkę, domagając się ich oddania – dobrze wiemy, jak by się to skończyło. Chwytam potwierdzenie, zapamiętuję, że wciąż mam na koncie dwa tysiące siedemdziesiąt sześć dolarów i dwadzieścia siedem centów, a potem rwę go na kawałki. Nie potrzebuję aż tyle. Mogę wyciągnąć jeszcze gotówkę dla Lidii i Penny w innym bankomacie albo w placówce banku, kiedy już zostanie otwarta.

– Może być jeszcze za wcześnie, żeby iść do Lidii – mówię Rufusowi. Składam kopertę i chowam do kieszeni. – Domyśli się, że coś jest nie tak. Może poczekamy w holu?

– Nie, stary. Nie będziemy siedzieć w holu bloku twojej psiapsióły, bo nie chcesz sprawiać jej przykrości. Jest piąta rano, chodźmy jeść. To może być nasza Ostatnia Wieczerza. – Rufus prowadzi. – Moja ulubiona knajpa jest otwarta całą dobę.

Nie mam swoich ulubionych miejsc, ponieważ właściwie nigdy nigdzie nie chodzę dość często, żeby uznać jakieś za ulubione. Ale to chyba nic nowego dla kogoś, kto poświęcił mi choć trochę uwagi, a wierzę, że taką osobą jest Rufus.

– Brzmi spoko – odpowiadam.

Poranki zawsze lubiłem najbardziej z całego dnia. Na Facebooku obserwuję kilka stron o porankach w różnych miastach („Dzień dobry, San Francisco!") i krajach („Dzień dobry, Indie!"), dzięki czemu bez względu na porę dnia na mojej ścianie lądują zdjęcia budynków skąpanych w promieniach wschodzącego słońca, śniadań i ludzi rozpoczynających życie. Podobała mi się ta nowość, jaka pojawia się wraz ze wschodem, i chociaż jest duża szansa, że nie doczekam dnia ani nie zobaczę promieni słońca przesączających się spomiędzy liści drzew w parku, zamierzam patrzeć na dzisiejszy dzień jak na bardzo długi poranek. Muszę się obudzić, muszę rozpocząć swój dzień.

Tak wcześnie rano ulice są naprawdę puste. Nie jestem aspołeczny, po prostu nie mam odwagi śpiewać przy innych. Gdybym był teraz sam, pewnie puściłbym jakąś rzewną piosenkę i śpiewał razem z wykonawcą. Tata nauczył mnie, że poddawanie się emocjom jest w porządku, ale powinienem wywalczyć sobie drogę wyjścia z tych złych. Dzień po tym, jak trafił do szpitala, puszczałem same pozytywne piosenki, na przykład *Just The Way You Are* Billy'ego Joela, żebym nie stracił nadziei.

Docieramy do Cannon Café. Nad drzwiami wisi trójkątny szyld z rysunkowym logo w postaci działa strzelającego cheeseburgerem w stronę nazwy baru, z frytkami wysypującymi się na boki niczym iskry fajerwerków. Rufus przypina rower do parkometru, a potem wchodzę za nim do

względnie pustego lokalu, od progu czując zapach jajecznicy i francuskich tostów.

Wita nas kobieta ze zmęczonym spojrzeniem i mówi, że możemy sobie usiąść, gdzie tylko chcemy. Rufus wymija mnie i idzie na sam koniec, zajmując miejsce w dwuosobowym boksie obok łazienki. Granatowe siedzenia są obite popękaną w wielu miejscach skórą i przypominają mi kanapę, jaką miałem w dzieciństwie. Bezmyślnie odrywałem z niej kawałki obicia, aż w końcu odkryłem tak dużo wypełnienia, że tata musiał ją wyrzucić i zastąpić tą, która ciągle jeszcze stoi w naszym mieszkaniu.

– To moje ulubione miejsce – oznajmia Rufus. – Przychodzę tutaj raz, dwa razy w tygodniu. Mogę nawet mówić, że zamawiam „to, co zwykle".

– Dlaczego akurat tutaj? Mieszkasz w okolicy? – Właśnie zdaję sobie sprawę, że nie mam pojęcia, gdzie mieszka mój Ostatni Przyjaciel ani skąd w ogóle pochodzi.

– Tylko od czterech miesięcy – odpowiada Rufus. – Trafiłem do rodziny zastępczej.

Nie tylko nic o nim nie wiem, ale też nic dla niego nie zrobiłem. Ciągle opowiadał o swojej misji, jaką jest towarzyszenie mi w czasie mojej podróży – o tym, że musi wyciągnąć mnie z domu, doprowadzić do szpitala i zabrać stamtąd, wkrótce też do Lidii – a przecież nie zrobiliśmy nic dla niego. Do tej pory ta cała Ostatnia Przyjaźń była bardzo jednostronna.

Rufus przesuwa menu w moją stronę.

– Z tyłu jest zniżka dla Zgonersów. Nie do wiary, ale wszystko jest za darmo.

A to coś nowego. We wszystkich relacjach na Odliczaczach, które czytałem, Zgonersi szli do pięciogwiazdkowych

restauracji, spodziewając się, że będą traktowani jak królowie, ale dostają tylko zniżki. Podoba mi się, że Rufus wrócił tutaj.

Kelnerka wychodzi z zaplecza i wita nas. Jasne włosy ma spięte w ciasny koczek, a na żółtym krawacie ma przypinkę z imieniem Rae.

– Dzień dobry – mówi z południowym akcentem. Wyjmuje długopis zza ucha i przez moment widzę zakrętas tatuażu nad jej łokciem; nigdy nie wyrosnę na kogoś, kto nie boi się igieł. Obraca długopis w palcach. – Długa noc?

– Można tak powiedzieć – odpowiada Rufus.

– Ale raczej naprawdę wczesny poranek – stwierdzam.

Nie wiem, czy Rae w ogóle interesuje to rozróżnienie, bo niczego nie daje po sobie poznać.

– Czego sobie życzycie?

Rufus spogląda na menu.

– Nie bierzesz tego, co zwykle? – pytam.

– Dzisiaj zmieniam. Wiesz, ostatnia okazja i w ogóle. – Odkłada menu i podnosi wzrok na Rae. – Co mi pani poleci?

– A co, dzwonili do was w nocy czy co? – Rufus milczy, a jej śmiech szybko cichnie. Kelnerka odwraca się do mnie. – Czy z wami wszystko w porządku, chłopcy? Chorujecie? Czy może mnie wkręcacie?

Rufus kręci głową.

– Nie, nie wkręcamy. Często tu przychodzę i musiałem wpaść ostatni raz.

– Naprawdę myślisz teraz o jedzeniu?

Rufus nachyla się i odczytuje imię z przypinki.

– Rae…

Rae chowa się za dłonią, potrząsa ramionami i mamrocze:

– Nie wiem. Nie chcesz po prostu Wszystkiego Specjalnego? Są tam frytki, kanapki, jajka, polędwica wołowa, makaron…

No, właściwie to wszystko, czego mógłbyś chcieć z naszej kuchni.

– Nie ma mowy, żebym mógł to wszystko zjeść. A co pani lubi najbardziej? – pyta Rufus. – Proszę tylko nie mówić, że rybę.

– Lubię sałatkę z grillowanym kurczakiem, ale to dlatego, że jem jak ptaszek.

– No to poproszę tę sałatkę – postanawia mój przyjaciel, po czym patrzy na mnie. – A ty co byś chciał, Mateo?

Nawet nie spoglądam na menu.

– Ja wezmę to, co ty zwykle zamawiasz. – Tak jak on mam nadzieję, że to nie ryba.

– Nawet nie wiesz, co to jest.

– O ile to nie są paluszki z kurczaka, będzie to dla mnie coś nowego.

– Oby tak dalej – stwierdza Rufus, po czym pokazuje kilka rzeczy w menu i się uśmiecha.

Rae mówi nam, że niedługo wróci, a potem słyszymy, jak oznajmia kucharzowi, że nasze zamówienie powinno mieć priorytet, bo jesteśmy Zgonersami. Nie wiem, z kim właściwie walczymy o jego uwagę, z tym kolesiem z tyłu, który już pije kawę, czytając gazetę? Mimo to doceniam gest Rae i zastanawiam się, czy Andrea z Prognozy Śmierci kiedyś była taka sama, zanim praca zabiła w niej współczucie.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Nie powinieneś marnować energii na takie teksty. Po prostu od razu zapytaj o to, co chcesz wiedzieć.

Trochę ostro mi odpowiedział, ale dobrze.

– Dlaczego powiedziałeś Rae, że umieramy? Czy to nie spieprzy jej dnia?

– Może i tak. Ale umieranie spieprzy mój dzień i nic na to nie mogę poradzić – stwierdza Rufus.

– Lidii nie powiem, że umieram.

– To nie ma sensu. Nie bądź potworem. Skoro masz szansę się pożegnać, skorzystaj z niej.

– Nie chcę jej zepsuć dnia. Jest samotną matką i miała naprawdę trudny okres po śmierci chłopaka. – Może tak naprawdę nie jestem aż tak bezinteresowny; może to egoistyczne z mojej strony, ale nie potrafię się do tego zmusić. No bo jak powiedzieć najbliższej przyjaciółce, że nie doczekasz jutra? Jak przekonać ją, żeby pozwoliła ci odejść i spróbować żyć przed śmiercią?

Opadam głębiej na siedzeniu, trochę się sobą brzydząc.

– Jeśli jesteś tego pewien, masz moje wsparcie. Nie wiem, czy dziewczyna cię po tym znienawidzi, czy nie, ty znasz ją lepiej. Ale posłuchaj, musimy przestać wątpić w nasze wybory i przejmować się tym, jak inni zareagują na naszą śmierć.

– A co, jeśli nie zastanawiając się nad naszymi wyborami, sprowadzimy na siebie koniec? – pytam. – Nie czujesz czasami paniki, zastanawiając się, czy przypadkiem życie bez Prognozy Śmierci nie było lepsze?

To przytłaczające pytanie.

– Czy było lepsze? Może. Tak. Nie. Odpowiedź nie ma znaczenia i niczego nie zmieni. Po prostu odpuść, Mateo.

Rufus ma rację. Sam to sobie robię. Wcześniej się ograniczałem. Całe lata żyłem bezpiecznie, żeby zapewnić sobie dłuższe życie, i tyle z tego mam. Dotarłem do mety, nie biorąc udziału w wyścigu.

Rae wraca z napojami i sałatką z grillowanym kurczakiem dla Rufusa, a przede mną stawia frytki z batatów i francuski tost.

– Jeśli zechcecie czegoś jeszcze, dajcie mi znać. Nawet jeśli będę na zapleczu albo z innym klientem, przyjdę od razu.

Dziękujemy jej, ale widzę, że opuszcza nas z wahaniem. Zupełnie jakby chciała usiąść obok i jeszcze porozmawiać, ale

powstrzymuje się i idzie.

Rufus stuka widelcem w mój talerz.

– I jak ci się podoba?

– Od lat nie jadłem francuskich tostów, bo tata woli robić na śniadanie kanapki z bekonem na podpieczonych kawałkach tortilli. – Trochę chyba o nich zapomniałem, ale zapach cynamonu przywołuje wiele wspomnień ze śniadań w towarzystwie taty, kiedy to siadaliśmy przy naszym kiwającym się stole i słuchaliśmy wiadomości albo zastanawialiśmy się, jakie jeszcze listy powinien stworzyć. – Jest wręcz idealnie. Częstuj się, jeśli chcesz.

Rufus kiwa głową, ale nie sięga do mojego talerza. Zamyślony grzebie w swojej sałatce, niezbyt zachwycony, i podjada tylko kurczaka. Zaraz rzuca widelec i sięga po pozostawione przez Rae notes i długopis. Rysuje koło, grubą linią.

– Chciałem podróżować po świecie i robić zdjęcia.

Rufus rysuje świat, zaznaczając kraje, których nigdy już nie odwiedzi.

– Jak fotoreporter?

– Nie, chciałem robić coś swojego.

– Powinniśmy iść do Areny Podróżniczej – oznajmiam. – To najlepszy sposób na zwiedzenie świata w jeden dzień. Na Odliczaczach pozytywnie się o niej wypowiadają.

– Nigdy tego nie czytałem.

– A ja codziennie – przyznaję. – To pocieszające patrzeć, jak inni uwalniają się ostatniego dnia.

Rufus podnosi wzrok znad swojego rysunku i kręci głową.

– Twój Ostatni Przyjaciel już o to zadba, żebyś odszedł z hukiem. Ale nie takim złym hukiem… ani wiesz jakim hukiem, ale dobrym hukiem. Chyba gadam bez sensu.

– Czaję. – Chyba.

– A co ty chciałeś robić? W sensie w pracy? – pyta.

– Chciałem zostać architektem. Budować domy, biura, sale koncertowe, parki. – Nie mówię mu, że nigdy bym nie chciał pracować w jednym z tych biur, ani że śniło mi się, jak występuję na jednej z zaprojektowanych przez siebie scen. – Za dzieciaka bawiłem się klockami lego.

– Ja tak samo. Moje statki kosmiczne zawsze się rozpadały. Ci uśmiechnięci piloci o kwadratowych głowach nie mieli najmniejszej szansy.

Rufus wyciąga rękę, odkrawa kawałek tosta i wkłada sobie do ust, po czym rozkoszuje się smakiem z opuszczoną głową i zamkniętymi oczami. Ciężko się patrzy, jak ktoś po raz ostatni przełyka kęs ulubionego jedzenia.

Muszę się ogarnąć.

Zazwyczaj najpierw robi się gorzej, zanim zrobi się lepiej, ale dzisiaj musi być na odwrót.

Kiedy nasze talerze są już wyczyszczone, Rufus wstaje i daje znak Rae.

– Moglibyśmy prosić o rachunek?

– My stawiamy.

– Proszę, pozwól nam zapłacić. To będzie dla nas naprawdę dużo znaczyć – mówię. Oby nie pomyślała, że to przez wyrzuty sumienia.

– Popieram – rzuca Rufus. Może już nigdy tu nie wróci, ale chcemy, by inni jak najdłużej mieli taką szansę, a pieniądze pozwalają im opłacić rachunki.

Rae kiwa energicznie głową i podaje nam rachunek. Wręczam jej swoją kartę, a kiedy wraca, daję jej napiwek trzy razy większy od sumy na paragonie.

Po tej transakcji zostało mi niecałe dwa tysiące dolarów. Może nie uda mi się nikogo postawić na nogi, ale każda pomoc się liczy.

Rufus chowa rysunek do kieszeni.

– Gotowy?

Nie ruszam się z miejsca.

– Wstanie oznacza wyjście – mówię.

– No.

– Wyjście oznacza śmierć.

– Nie. Wyjście oznacza życie, a potem śmierć. Spadajmy.

Wstaję i dziękuję wszystkim pracownikom, a potem wychodzimy.

Dzisiejszy dzień to jeden długi poranek. Muszę jednak się obudzić i wstać z łóżka. Patrzę przed siebie, na puste ulice, i zaczynam iść w stronę Rufusa i jego roweru. Iść w stronę zbliżającej się z każdą minutą śmierci. Iść stawić czoła światu, który jest zwrócony przeciwko nam.

RUFUS

05:53

Mateo to spoko gość, trochę neurotyczny, ale naprawdę zajebiście byłoby posiedzieć ostatni raz w Cannon z Plutonami, gadając o tych wszystkich dobrych i złych rzeczach, które się wydarzyły. Tylko że to zbyt niebezpieczne. Wiem, co mi grozi, i nie chciałbym ryzykować, że coś im się stanie.

Za to mogliby do mnie napisać.

Odpinam rower i wyprowadzam go na ulicę. Rzucam Mateo kask, a on prawie go upuszcza.

– To gdzie mieszka ta Lidia?

– Dlaczego mi to dajesz?

– Żebyś nie roztrzaskał sobie głowy, spadając z roweru. Byłoby trochę słabo, gdyby zabił cię twój Ostatni Przyjaciel – mówię i wsiadam.

– To nie jest dwuosobowy rower – rzuca Mateo.

– Są kołki – odpowiadam. Tagoe ciągle tak jeździł, stając na kołkach przy tylnym kole i ufając, że nie wpadnę na żaden samochód i go nie zrzucę.

– Chcesz, żebym stał na kołkach twojego roweru, kiedy będziemy jechać po ciemku?

– Ale z kaskiem na głowie – odpowiadam. Ja pierdolę, naprawdę myślałem, że chłopak jest gotowy na odrobinę

ryzyka.

– Nie, zginiemy na tym rowerze.

Gość naprawdę fiksuje.

– A właśnie że nie. Zaufaj mi. Jeździłem nim codziennie przez prawie dwa lata. Wskakuj, Mateo.

Jest dziko niechętny, to oczywiste, ale zmusza się do założenia kasku. Muszę być dodatkowo ostrożny, bo nie chciałbym usłyszeć „a nie mówiłem?" w życiu pośmiertnym. Mateo łapie mnie za ramiona i opiera się na nich mocno, wchodząc na kołki. Naprawdę się rozkręca, muszę mu to przyznać. To jak wypychanie pisklęcia z gniazda – i to siłą, bo powinno było latać wieki temu.

Jakiś sklep kawałek dalej właśnie się otwiera, a księżyc wisi wysoko nad budynkiem banku przed nami. Naciskam na pedał i w tej samej chwili Mateo zeskakuje.

– Nie, jednak się przejdę. I ty też powinieneś. – Zdejmuje kask z głowy i mi go podaje. – Wybacz, mam po prostu złe przeczucie i muszę zaufać instynktowi.

Powinienem założyć kask i odjechać w cholerę. Niech Mateo sam idzie do Lidii, a ja się zajmę swoimi sprawami. A jednak zamiast się z nim rozejść, wieszam kask na kierownicy i przekładam nogę przez siodełko.

– W takim razie ruszamy. Nie wiem, ile czasu nam zostało, ale nie chcę zmarnować ani chwili.

MATEO

06:14

Jestem już najgorszym Ostatnim Przyjacielem na świecie, więc nadszedł czas, żeby być też najgorszym najbliższym przyjacielem.

– To będzie naprawdę do bani – mówię.

– Bo nie przyznasz się do śmierci?

– Jeszcze nie umarłem – odpowiadam, wychodząc za róg. Mieszkanie Lidii znajduje się kilka przecznic dalej. – I nie. – Niebo wreszcie zaczyna się rozjaśniać, pomarańczowa poświata mojego ostatniego wschodu słońca gotuje się do przejęcia nieba. – Lidia była załamana, kiedy dowiedziała się o śmierci swojego chłopaka i niedoszłego męża, który nawet nie zdążył poznać Penny.

– Zakładam, że Penny to ich córka.

– Tak. Urodziła się tydzień po śmierci Christiana.

– Jak to wyglądało? W sensie telefon? – pyta Rufus. – O ile to nie jest zbyt osobista sprawa. Kiedy moja rodzina dostała powiadomienie, przeżyliśmy prawdziwy koszmar i też nie lubię o tym gadać.

Już mam mu zaufać i opowiedzieć tę historię pod warunkiem, że obieca nikomu się tym nie chwalić, zwłaszcza Lidii. Wtedy jednak zdaję sobie sprawę, że ta historia umrze

razem z Rufusem, więc o ile nie będzie plotkować w życiu pośmiertnym, mogę mu śmiało mówić o wszystkim.

– Christian pojechał do Pensylwanii, żeby sprzedać dziwne sztylety i miecze, które odziedziczył od dziadka-kolekcjonera.

– Dziwne sztylety i miecze to często duży hajs – stwierdza Rufus.

– Lidia nie chciała, żeby jechał, bo miała ataki paniki, ale Christian przysięgał, że pieniądze okażą się warte długiej wyprawy. Mogliby kupić lepsze łóżeczko, zapas pieluszek i mleka na kilka miesięcy, ubranka. Ruszył, zatrzymał się na noc w Pensylwanii, po czym koło pierwszej obudził go telefon od Prognozy Śmierci. – Coś mnie ściska w piersi, gdy wspominam te wszystkie łzy i nieludzkie wrzaski. Zatrzymuję się i opieram o ścianę. – Christian próbował skontaktować się z Lidią, ale ona przespała wszystko. Pisał do niej, gdy tylko mógł, mówiąc, że jedzie ciężarówką z innym Zgonerem, ale obaj zginęli, próbując wrócić do rodzin w mieście na pożegnanie.

– Jasna cholera – rzuca Rufus.

Lidii nic nie było w stanie uspokoić. Obsesyjnie zaczytywała się w ostatnich, gorączkowych wiadomościach od Christiana i nienawidziła samej siebie, że nie obudziły jej żadne powiadomienia. Istniała szansa, że zobaczy go ostatni raz przez Woal – czat wideo dla Zgonersów, która szybko zużywa baterię, ale wysyła też silniejszy sygnał dla kogoś, kto akurat ma słaby zasięg, na przykład Zgoner na autostradzie w drodze do domu – ale ją też przegapiła.

Nie wiem, czy to prawda, ale wydawało mi się, że Lidia na początku czuła niechęć do Penny za wymęczenie jej pod koniec ciąży do tego stopnia, że przespała ostatnie godziny życia chłopaka. Ale wiem, że przemawiał przez nią żal po stracie ukochanego i że teraz tak nie myśli.

Od tamtego czasu Lidia rzuciła szkołę średnią, żeby zająć się Penny w małym mieszkanku ze swoją babcią, ponieważ nie jest zbyt blisko z rodzicami, a starzy Christiana są na Florydzie. Jej życie jest wystarczająco trudne bez pożegnań. Chcę po prostu ostatni raz uścisnąć przyjaciółkę.

– Przerąbana sprawa – rzuca Rufus.

– No. – Taki komentarz od niego naprawdę wiele znaczy. – Zadzwonię do niej. – Odchodzę od niego kilka kroków, żeby mieć trochę prywatności.

Naciskam zieloną słuchawkę.

Nie mogę uwierzyć, że nie będę mógł zaopiekować się Penny, jeśli coś się przytrafi Lidii, ale czuję też ulgę, że nigdy nie będę musiał przeżywać śmierci przyjaciółki.

– Mateo? – mówi Lidia zaspanym głosem.

– Tak, to ja. Przepraszam, obudziłem cię? Myślałem, że Penny już to zdążyła zrobić.

– No, już się obudziła. Jak prawdziwa matka roku schowałam się pod poduszką, a ona gaworzy w swoim łóżeczku. Dlaczego nie śpisz o tej nieludzkiej porze?

– Chciałem… Chciałem zobaczyć się z ojcem. – W sumie nie kłamię. – Mogę wpaść na chwilę? Jestem w okolicy.

– Tak, proszę!

– Super. Zaraz będę.

Daję znak Rufusowi i idziemy razem do mieszkania Lidii. To jeden z tych budynków, w których dozorca siedzi na stołku i czyta gazetę, chociaż widać, że wokół jest mnóstwo pracy do zrobienia – na przykład umycie podłóg, naprawienie mrugającej lampy w korytarzu i porozstawianie pułapek na myszy. Jednak dla mojej przyjaciółki nie ma to znaczenia. Podmuchy wiatru, jakie czuje w deszczowe dni, uważa za urocze, a do tego polubiła kocicę sąsiadów, Chloe, która szwenda się po korytarzu i boi się myszy. To dom, rozumiecie.

– Wejdę sam – tłumaczę. – Poradzisz sobie na dole?

– Jasne. I tak muszę zadzwonić do przyjaciół. Nie pisali nic do mnie, odkąd wyszedłem.

– Nie zajmie mi to długo.

Nie mówi mi, żebym się nie spieszył.

Wbiegam po schodach i potykam się o krawędź stopnia, ale w ostatniej chwili udaje mi się złapać barierki i zatrzymuję się kilka centymetrów od prawdopodobnej śmierci. Nie mogę tak pędzić do Lidii w czasie mojego Dnia Ostatecznego, bo ten pośpiech może mnie zabić – już prawie to zrobił. Docieram na trzecie piętro i kiedy pukam do drzwi, słyszę wrzeszczącą po drugiej stronie Penny.

– OTWARTE!

Wchodzę, czuję zapach mleka i czystych ubrań. Tuż przy wejściu stoi kosz z praniem, wysypują się z niego rzeczy. Na podłodze leżą też puste butelki po mleku. A w kojcu płacze Penny, która nie ma jasnobrązowej karnacji po matce z Kolumbii, lecz bardzo bladą skórę Christiana, tylko że teraz jest czerwona od płaczu. Lidia właśnie podgrzewa mleko w kuchni.

– Bóg mi cię zesłał – stwierdza Lidia. – Uścisnęłabym cię, ale nie myłam zębów od niedzieli.

– Powinnaś iść i to zrobić.

– Hej, fajna koszula! – Lidia zakręca butelkę i rzuca mi ją akurat w chwili, gdy Penny zaczyna wrzeszczeć. – Po prostu jej to daj. Wkurza się, jeśli nie trzyma własnej butelki. – Lidia związuje nierozczesane włosy gumką i szybkim krokiem rusza do łazienki. – Mój Boże, mam okazję wreszcie wysikać się w samotności. Nie mogę się doczekać.

Klękam przed Penny i podaję jej butelkę. Widać krnąbrność w jej ciemnobrązowych oczach, ale kiedy zabiera mi mleko i siada na pluszowym misiu, na jej twarzy pojawia się uśmiech

i widzę cztery malutkie zęby, zanim zacznie pić. We wszystkich książkach piszą, że w tym wieku powinna już przestać pić modyfikowane mleko, ale mała nie chce niczego prawdziwego. To nas łączy.

Lidia wychodzi z łazienki ze szczoteczką w ustach i wkłada baterie do plastikowego zabawkowego motyla. Próbuje mnie o coś zapytać, ale ślina zmieszana z pastą spływa jej po brodzie i dziewczyna biegnie do umywalki, żeby wypluć.

– Wybacz. Obrzydliwość. Chcesz zjeść śniadanie? Jesteś taki strasznie chudy. Fuj, brzmię jak twoja matka. – Prawie upuszcza plastikowego motyla. – Boże, wiesz, co mam na myśli. Brzmię, jakbym ci matkowała.

– Nic się nie martw, Lidia. Już jadłem, ale dzięki. – Trącam stópki Penny, a ta opuszcza butelkę, żeby się zaśmiać. Coś tam do mnie mówi po swojemu, co na pewno ma dla niej dużo sensu, a potem wraca do picia mleka.

– Zgadnij, kto dostał powiadomienie – rzuca Lidia, machając komórką.

Zamieram, trzymając Penny za stópkę. Nie ma mowy, żeby moja przyjaciółka wiedziała, że umieram, a nawet gdyby, to nie traktowałaby tego tak lekko.

– Kto?

– Howie Maldonado! – Zerka na telefon. – Jego fani są zrozpaczeni.

– Nie wątpię. – Umrę tego samego dnia, co mój ulubiony czarny charakter. Nie wiem, co o tym myśleć.

– Jak u twojego taty?

– Jego stan jest stabilny. Miałem nadzieję na jeden z tych telewizyjnych cudów, wiesz, że powiem mu coś, a on się nagle obudzi, ale nadal śpi. Pozostaje nam tylko czekać. – Aż mnie coś ściska w środku, kiedy o tym mówię. Siadam z Penny w jej kojcu i podnoszę kilka pluszowych zwierzaków,

uśmiechniętą owcę i żółtą sowę, a potem rzucam w stronę małej i zaraz zaczynam ją łaskotać. Nigdy nie będę bawił się w ten sposób z własnymi dziećmi.

– Przykro mi to słyszeć. Jakoś z tego wyjdzie. Twój ojciec to twardziel. Ciągle powtarzam, że on tylko zrobił sobie chwilową przerwę na drzemkę, żeby odpocząć od bycia twardzielem.

– Pewnie masz rację. Penny już wypiła mleko. Mam ją odbić?

– Bóg mi cię zesłał, Mateo. Sam Bóg.

Wycieram twarz małej, podnoszę ją i klepię po pleckach, aż nie beknie i się nie roześmieje. Robię swój słynny Dinozaurzy Chód, udając T-Rexa z Penny na rękach. Zawsze ją to uspokaja. Lidia podchodzi i włącza telewizor.

– Tak, jest szósta trzydzieści. Czas na kreskówki, zwane też jedyną chwilą, kiedy mam czas posprzątać bałagan z zeszłego dnia, zanim znowu zrobi się syf. – Lidia uśmiecha się do Penny, zbliża do nas i całuje ją w nosek. – Mamusia chciała powiedzieć, że jej córeczka to największy skarb. – Uśmiecha się sztucznie i dodaje szeptem: – Bardzo destrukcyjny ten skarb.

Wybucham śmiechem i odkładam Penny. Lidia wręcza jej plastikowego motyla i zbiera ubrania z podłogi.

– Jak mogę pomóc?

– Możesz się nigdy nie zmieniać, to po pierwsze. A potem możesz powrzucać wszystkie zabawki z powrotem do skrzynki, ale zostaw owcę, bo mała się rozbeczy. A w zamian za to będę cię kochać do końca życia i jeszcze dłużej. Powkładam jej ubranka do szuflad. Daj mi minutę albo dziesięć. – Lidia wychodzi z koszem prania.

Jestem pewien, że nie zajmie jej to długo, więc każę jej się nie śpieszyć.

– Sam Bóg!

Kocham Lidię we wszystkich jej odmianach. Zanim na świecie pojawiła się Penny, Lidia chciała skończyć szkołę średnią z wyróżnieniem, żeby mogła iść do college'u i studiować politologię, architekturę i historię muzyki, chociaż w ogóle nie umie śpiewać. Chciała pojechać do Buenos Aires albo Hiszpanii, Niemiec albo Kolumbii, ale potem poznała Christiana, zaszła w ciążę i odnalazła szczęście w nowej rzeczywistości.

Lidia kiedyś była dziewczyną, która prostuje włosy w każdy czwartek po szkole, zawsze ma nienaganny makijaż i uwielbia psuć innym zdjęcia, robiąc głupie miny. Teraz nosi fryzurę, którą sama nazywa „w połowie Francja-elegancja, w połowie lwia grzywa" i nigdy nie pozwala publikować swoich zdjęć w internecie, bo jej zdaniem wygląda na zbyt wypaloną. Ja uważam, że od mojej przyjaciółki bije większy blask niż kiedyś, bo przeszła zmianę – może nawet rewolucję – której wielu nie jest w stanie podołać, a dokonała tego zupełnie sama.

Po wrzuceniu wszystkich zabawek do skrzynki, siadam z Penny na podłodze, a ona wywala jęzor za każdym razem, kiedy postać z kreskówki zadaje jej jakieś pytanie. To są początki Penny. I pewnego dnia odbierze potworny telefon od Prognozy Śmierci, co strasznie mnie boli, bo wszystkich nas czeka śmierć. Tak, żyjemy, a przynajmniej otrzymujemy szansę na życie, ale czasami jest ono trudne i skomplikowane ze względu na strach.

– Penny, mam nadzieję, że znajdziesz jakiś sposób na bycie nieśmiertelną, żebyś mogła tu rządzić tak długo, jak tylko zechcesz.

Oto moja wizja Utopii: świat pozbawiony przemocy i tragedii, gdzie wszyscy żyją bez końca albo do czasu, aż poczują się

wystarczająco szczęśliwi i spełnieni, żeby podjąć decyzję o zakończeniu tego etapu podróży.

Penny odpowiada w swoim języku.

Lidia wchodzi do pokoju.

– Dlaczego życzysz Penny nieśmiertelności i dominacji nad światem, kiedy ona dopiero uczy się, jak jest „jeden” po hiszpańsku?

– Bo chcę, żeby żyła wiecznie, to oczywiste. – Uśmiecham się. – I niech wszyscy inni będą jej minionami.

Lidia unosi brwi. Klęka, podnosi Penny i przysuwa ją do mnie.

– Pensik za twoją myśl?[1] – Oboje się krzywimy. – To nigdy nie będzie śmieszne, co? A ja i tak to ciągle robię, licząc, że następnym razem wyjdzie, ale nie.

– Może kiedyś.

– Szczerze mówiąc, nie musisz mi nawet niczego za nią dawać. Jeśli chcesz Penny, jest za darmo. – Obraca małą i całuje ją w powieki, a potem łaskocze przedramię. – Mamusia miała na myśli to, że jesteś bezcenna. Moja mała Penny. – Po czym dodaje, mrucząc: – Najdroższa bezcenna Penny na świecie. – Odstawia córeczkę przed telewizor i wraca do sprzątania.

Moja relacja z Lidią nie jest taka, jaką widzicie w filmach albo jaką macie z własnymi przyjaciółmi. Kochamy się na zabój, ale nie rozmawiamy o tym. To po prostu dobrze znany fakt, a słowa czasami bywają niezręczne, nawet jeśli się kogoś zna osiem lat. Dzisiaj jednak muszę powiedzieć coś więcej.

Stawiam przewrócone zdjęcie Lidii i Christiana.

– Christian musi być z ciebie szalenie dumny, wiesz. Jesteś dla Penny szansą na szczęście na tym paskudnym świecie, który składa tanie obietnice, nie daje żadnych gwarancji i nie zawsze nagradza tych dobrych. Rozumiesz, świat mógłby tak

samo potraktować kogoś dobrego i kogoś niezbyt dobrego, ale ty poświęcasz swoje dni komuś innemu zupełnie bezinteresownie. Nie wszyscy są tak zaprogramowani jak ty.

– Dlaczego tak mnie nagle chwalisz, co? Mateo? Co się dzieje?

Zanoszę butelkę do umywalki.

– Wszytko okej. – I tak będzie. Lidia da sobie radę. – Pewnie powinienem zaraz wychodzić. Jestem zmęczony.

Nie kłamię.

Lidia mruży oczy.

– A możesz mi pomóc z paroma rzeczami przed wyjściem?

Poruszamy się bez słowa po salonie. Lidia ściera owsiankę z poduszki, a ja odkurzam klimatyzator. Ona zbiera kubki, a ja ustawiam wszystkie buciki Penny przy drzwiach. Ona składa ubrania, zerkając na mnie, a ja sprzątam pudełka po pieluszkach.

– Możesz wynieść śmieci? – pyta i głos jej się trochę łamie. – A potem przyda mi się jeszcze pomoc przy składaniu tego regału na książeczki dla dzieci, który kupiliście Penny z tatą.

– Dobra.

Myślę, że moja przyjaciółka zaczyna rozumieć.

Kładę kopertę z pieniędzmi na blacie, gdy wychodzi z kuchni.

Chwytając worek wiem już, że nie będę w stanie wrócić. Idę na korytarz i wrzucam śmieci do zsypu. Jeśli wrócę, już nigdy nie wyjdę. A jeśli nigdy nie wyjdę, umrę w tym mieszkaniu, może na oczach Penny, a nie tak chciałbym zostać zapamiętany – podejście Rufusa jest naprawdę mądre i przemyślane.

Wyciągam telefon i natychmiast blokuję numer Lidii, żeby nie mogła do mnie dzwonić ani pisać, przekonując do powrotu.

Trochę mi niedobrze i kręci mi się w głowie, więc schodzę powoli. Mam nadzieję, że Lidia zrozumie, ale też zaraz zaczynam się sobą brzydzić i coraz szybciej biegnę po schodach…

[1] Nieprzetłumaczalna gra słów: w angielskim powiedzonku proponuje się grosika (*penny*) za to, by ktoś podzielił się swoimi myślami (przyp. tłum.).

RUFUS

06:48

Kto by postawił dziesięć dolców, że w swoim Dniu Ostatecznym trafię na Instagrama? Gdyby ktoś to zrobił, byłby teraz o dziesięć dolców bogatszy.

Plutoni w dalszym ciągu nie odpowiedzieli na żadnego mojego esemesa i nie odebrali żadnego połączenia. Nie panikuję za bardzo, bo nie są Zgonersami, ale cholera, czy nie mogliby przynajmniej dać mi znać, czy policja ciągle na mnie poluje? Założę się, że wszyscy śpią. Też bym się zdrzemnął, gdyby mi ktoś podstawił łóżko. Wygodny fotel też by pasował. Za to na pewno nie ławka w holu, na której zmieściłyby się góra dwie osoby. Niekoniecznie jara mnie spanie w pozycji embrionalnej.

Przeglądam Instagrama, spodziewając się znaleźć nowego posta na profilu Malcolma (@manthony012), ale nie wrzucał nic nowego od dziewięciu godzin, kiedy opublikował zdjęcie butelki coli ze swoim imieniem. W wielkiej wojnie Pepsi kontra Coca Cola opowiada się po stronie Pepsi, ale tak się ucieszył, widząc swoje imię, że nie potrafił się oprzeć. Kofeina z napoju jeszcze bardziej go nakręciła przed walką.

Nie powinienem nazywać tego walką. Tak szybko powaliłem Dziobaka na ziemię, że nie zdążył nawet się na mnie zamachnąć.

Piszę właśnie przeprosiny dla Aimee, chociaż nie są do końca szczere, bo ten jej przydupas nasłał na mnie policję na moim pogrzebie, kiedy Mateo zbiega na dół z niebezpieczną prędkością. Rzuca się do drzwi, a ja go doganiam. Oczy ma czerwone i oddycha ciężko, jakby dusił zajebistą rozpacz.

– Wszystko spoko? – Przecież widzę, że nie; co za głupie pytanie.

– Ani trochę. – Mateo otwiera drzwi. – Spadajmy, zanim Lidia pobiegnie za mną.

Też już mnie nosi, serio, ale to milczenie to nie moja bajka. Prowadzę rower tuż obok Mateo.

– Daj spokój, wyrzuć to w końcu z siebie. Nie kiś tego w sobie cały dzień.

– Nie mam całego dnia! – krzyczy Mateo, jakby wreszcie wkurzył się, że umiera w wieku osiemnastu lat. Okazuje się, że jednak ma w sobie trochę ikry. Zatrzymuje się przy krawężniku i siada, totalnie nieodpowiedzialnie, pewnie czekając, aż jakiś samochód go przejedzie i skróci jego cierpienia.

Stawiam rower na nóżce i podnoszę Mateo, wsuwając mu ręce pod pachy. Odchodzimy od jezdni i opieramy się o ścianę. Chłopak cały się trzęsie, jakby wcale nie chciał tu być, a kiedy zsuwa się na ziemię, ja robię to samo. Zdejmuje okulary i kładzie głowę na kolanach.

– Słuchaj, nie wygłoszę ci teraz jakiejś podniosłej mowy, nie ma takiej we mnie i nie o to mi chodzi. – Muszę się bardziej postarać. – Ale znam tę beznadzieję i frustrację, jakie cię teraz opanowały. Całe szczęście masz kilka opcji. Jeśli chcesz wrócić do najlepszej przyjaciółki albo do szpitala, nie będę cię powstrzymywał. Jeśli chcesz mnie porzucić, nie będę cię gonił. To twój ostatni dzień i przeżyj go, jak tylko zechcesz. Jeśli chcesz mojej pomocy, pomogę.

Mateo podnosi głowę i mruży oczy.

– To zabrzmiało jak podniosła mowa – stwierdza.

– No, sorki. – Bardziej mi się podoba w okularach, ale bez nich też dobrze wygląda. – Co chcesz robić? – Jeśli mnie porzuci, uszanuję to i sam wymyślę, co dalej. Muszę sprawdzić, co z Plutonami, ale nie mogę się do nich zakraść, bo nie wiem, czy policja nie pilnuje domu.

– Chcę iść dalej – oznajmia Mateo.

– Dobra decyzja.

Znowu zakłada okulary i nie wiem, czy użyć tu analogii, że niby patrzy na świat nowymi oczami czy coś. Po prostu ulżyło mi, że jednak nie będę musiał spędzać tego dnia sam.

– Przepraszam, że krzyczałem – mówi. – Nadal uważam, że dobrze zrobiłem, nie żegnając się, ale cały dzień będę tego żałował.

– Ja też nie miałem szansy pożegnać się z przyjaciółmi.

– Co się stało na twoim pogrzebie?

Tyle gadania o szczerości i wyrzucaniu z siebie rzeczy, a sam coś przed nim ukrywam.

– Przerwano nam. Od tego czasu nie mogę się z nimi skontaktować. Mam nadzieję, że odezwą się, zanim… – Strzelam palcami, mijają nas samochody. – Chcę, żeby wiedzieli, że nic mi nie jest. Ale nie mogę tak po prostu ciągle do nich pisać, aż w końcu stanie się to, co się ma stać.

– Załóż sobie profil na Odliczaczach – sugeruje Mateo. – Śledziłem już wiele relacji na żywo i mogę ci pomóc.

Na pewno. Zgodnie z tą logiką naoglądałem się wystarczająco dużo porno, żeby zostać królem seksu.

– Nie, to do mnie nie pasuje. W sumie nawet nigdy nie siedziałem na Tumblrze albo Twitterze. Tylko na Instagramie. Ale zdjęcia to dla mnie nowość, robię je od kilku miesięcy. Instagram jest super.

– Mogę zobaczyć twój profil?

– Jasne.

Podaję mu telefon.

Mam publiczne konto, bo nie obchodzi mnie, czy trafi na nie jakiś nieznajomy. Ale co innego patrzeć, jak skroluje fotki na moich oczach. Czuję się nagi, jakbym wyszedł spod prysznica i ktoś oglądał, jak owijam małego ręcznikiem. Najwcześniejsze zdjęcia są słabe, bo miałem beznadziejne światło, ale nie ma opcji edytowania; może i dobrze.

– Dlaczego wszystkie są czarno-białe? – pyta Mateo.

– Założyłem sobie profil kilka dni po tym, jak przeprowadziłem się do rodziny zastępczej. Mój kumpel Malcolm zrobił mi fotkę, patrz… – Przysuwam się i przewijam pierwszą falę zdjęć; przez pół sekundy mi głupio, że mam brudny paluch, ale potem to olewam. Wybieram post ze mną siedzącym na łóżku w Plutonie, z twarzą w dłoniach. Malcolm jest podpisany jako fotograf. – To była moja trzecia albo czwarta noc. Graliśmy wtedy w planszówki i panikowałem, bo czułem się winny, że nieźle się bawię. Nie, jeśli mam być szczery, bawiłem się zajebiście, i to było najgorsze. Wyszedłem bez słowa i Malcolm ruszył na moje poszukiwania, bo zbyt długo nie wracałem. Uwiecznił moment mojego załamania.

– Dlaczego?

– Powiedział, że to jak zaznaczanie czyjegoś wzrostu, ale nie tylko w sensie fizycznym. Gość jest strasznie surowy wobec siebie, ale zajebiście mądry. – Ale serio, kopnąłem Malcolma w jego wielgachne kolano, kiedy pierwszy raz pokazał mi to zdjęcie kilka tygodni później. Dziwak. – Moje zdjęcia są czarno-białe, bo moje życie straciło kolor po ich śmierci.

– A ty żyjesz swoim życiem, ale nie zapominasz o nich?

– Właśnie tak.

– Myślałem, że ludzie wchodzą na Instagrama tylko po to, żeby być na Instagramie.

Wzruszam ramionami.

– Jestem oldskulowy.

– Twoje zdjęcia wyglądają oldskulowo – stwierdza Mateo. Wierci się, patrzy na mnie wielkimi oczami. Uśmiecha się po raz pierwszy i jo, takiej twarzy nie widuje się u Zgonera. – Nie potrzebujesz aplikacji Odliczaczy, możesz wrzucać wszystko tutaj. Stwórz jakiś hasztag czy coś. Ale uważam, że powinieneś wrzucać kolorowe zdjęcia… Niech tak zapamiętają cię Plutoni. – Uśmiech znika, gdy pojawia się myśl o tym, jaki mamy dzień. – Zapomnij o tym. To głupie.

– Wcale nie głupie. Właściwie całkiem mi się podoba. Plutoni będą mogli wracać do naszych wspólnych chwil, czarno-białych, jak w podręczniku do historii, tylko fajniejszym, a mój Dzień Ostateczny wyróżni się kolorami. Cykniesz mnie, jak tu siedzę? Na wypadek gdyby to miał być mój ostatni post. Niech wszyscy widzą, że żyję.

Mateo znowu się uśmiecha, jakby sam ustawiał się do zdjęcia.

Wstaje i celuje we mnie aparatem telefonu.

Nie pozuję. Po prostu siedzę plecami do ściany, w miejscu, gdzie przekonałem swojego Ostatniego Przyjaciela do dalszych przygód i gdzie on podpowiedział mi, bym dodał trochę życia do swojego konta. Nawet się nie uśmiecham. Nigdy nie robiłem tego zbyt często i dziwnie byłoby zacząć teraz. Nie chcę, żeby zobaczyli kogoś obcego.

– Mam – mówi Mateo i podaje mi telefon. – Mogę zrobić jeszcze jedno, jeśli ci się nie podoba.

Nie obchodzi mnie, czy dobrze wyszedłem; nie jestem aż tak zapatrzony w siebie. Jednak fotka okazuje się zaskakująco spoko. Mateo akurat złapał mnie, jak wyglądałem na

smutnego i dumnego jednocześnie; tak samo jak moi rodzice w dniu, w którym Olivia skończyła szkołę średnią. A w rogu widać też kawałek koła mojego roweru.

– Dzięki, stary.

Wysyłam zdjęcie, nie dodaję żadnego filtra. Zastanawiam się, czy nie podpisać go #DzieńOstateczny, ale nie chciałbym czytać komentarzy pełnych udawanego żalu albo jakichś trolli robiących sobie jaja z mojej śmierci. Ci, którzy są dla mnie najważniejsi, wiedzą.

Mam nadzieję, że będą mnie pamiętać takiego, jakim byłem, a nie jako gościa, który bez dobrego powodu rozkwasił komuś twarz.

PATRICK „DZIOBAK” GAVIN

07:08

Nikt z Prognozy Śmierci nie zadzwonił do Patricka „Dziobaka” Gavina tej nocy, by poinformować go o rychłej śmierci, chociaż Dziobak spodziewał się jej po tym, jak ostrzeżono jego napastnika.

Teraz jest już w domu i przyciska zamrożone mięso do pobitej twarzy. Trochę śmierdzi, ale za to migrena zaczyna ustępować.

Dziobak nie powinien był zostawiać Aimee samej na ulicy, ale nie chciała go widzieć, a on też niekoniecznie chciałby widzieć ją. Skorzystał ze starego telefonu i zadzwonił do niej, ale kłócili się tylko przez chwilę, zanim zaczęła zasypiać z przemęczenia, a trudno było nie rozłączyć się z nią, kiedy powiedziała, że spróbuje zobaczyć się jeszcze z Rufusem, być z nim w czasie jego Dnia Ostatecznego.

Dziobak kiedyś trzymał się zasad w kontaktach z takimi ludźmi jak Rufus.

Zasad, które wchodzą w życie, gdy ktoś próbuje cię zdeptać.

Dziobak musi się przespać z wieloma rzeczami. Ale sprawy przybiorą zły obrót dla Rufusa, jeśli nie zdąży odejść, zanim Dziobak się obudzi.

RUFUS

07:12

Moja komórka wibruje i liczę, że to wiadomość od Plutonów, ale nadzieja szybko umiera, gdy zaraz słyszę dźwięk telefonu Mateo. Chłopak dostał to samo powiadomienie; kolejne, które otrzymaliśmy dzisiaj obaj: Lokalizacja najbliższego punktu Spraw-Sobie-Przeżycie: 1,9 km.

– Co to ma być, do cholery? – rzucam.

– Nigdy o tym nie słyszałeś? – pyta Mateo. – Uruchomili je zeszłej jesieni.

– Nie słyszałem. – Nie przerywam marszu, na wpół słuchając Mateo, na wpół zastanawiając się, dlaczego Plutoni jeszcze się do mnie nie odezwali.

– To trochę jak w tej fundacji Mam Marzenie – wyjaśnia chłopak. – Ale każdy Zgoner może tam iść, to nie tylko dla chorych dzieci. To takie stacje z wirtualną rzeczywistością, zaprojektowane po to, byś mógł przeżywać skok ze spadochronu czy przejażdżkę wyścigówką, a także inne ekstremalnie ryzykowne rzeczy, których Zgonersi mogą bezpiecznie doświadczyć w trakcie swojego Dnia Ostatecznego.

– Czyli to jest zwyczajna, tania zrzynka z fundacji Mam Marzenie?

– Moim zdaniem nie jest tak źle.

Sprawdzam jeszcze raz telefon, żeby mieć pewność, że nie przegapiłem żadnego esemesa. Schodzę z krawężnika i w tej samej chwili ramię Mateo uderza mnie w pierś.

Spoglądam w prawo. Mateo też. Spoglądam w lewo. Mateo też.

Nie ma żadnych samochodów.

– Potrafię przejść na drugą stronę ulicy. Robiłem to całe życie.

– Gapiłeś się na telefon – tłumaczy.

– Ale wiedziałem, że nic nie jedzie. – Przechodzenie przez ulicę jest w tym momencie już praktycznie instynktowne. Nie ma aut, idziesz. Są auta, nie idziesz – albo idziesz bardzo szybko.

– Przepraszam. Chciałbym, żeby ten dzień trwał jak najdłużej.

Jest spięty, rozumiem. Ale w którymś momencie musi się przełamać.

– Czaję, ale z chodzeniem sobie poradzę, serio.

Rozglądam się w obie strony, a potem wchodzę na pustą jezdnię. Jeśli ktoś powinien być zdenerwowany, to koleś, który widział, jak cała jego rodzina tonie razem z samochodem. Nie pokonałem swojego żalu na tyle, żebym był w stanie zobaczyć siebie za kółkiem w ciągu najbliższych lat, ale taki Malcolm uwielbia kominki, chociaż jego rodzice zginęli w pożarze. Ja tak nie umiem. A jednak nie rozglądam się dziko na wszystkie strony, zanim nie zejdziemy z jezdni, jak Mateo, który najwyraźniej uważa, że istnieje dziewięćdziesiąt dziewięć procent szans, że znikąd pojawi się jakieś auto i rozjedzie nas w pięć sekund.

Rozdzwania się jego telefon.

– Ludzie od Spraw-Sobie-Przeżycie prowadzą teraz telemarketing, czy co?

Mateo kręci głową.

– To Lidia, dzwoni z telefonu babci. Czy powinienem… – Wkłada komórkę do kieszeni, nie odbierając.

– Dobrze to rozegrała – stwierdzam. – Przynajmniej stara się z tobą skontaktować. Moi milczą jak zaklęci.

– Próbuj dalej.

Dlaczego nie? Stawiam rower przy ścianie i wywołuję Tagoe i Malcolma na FaceTime. Żaden się nie odzywa. Wybieram Aimee i kiedy już mam się rozłączyć i wysłać wszystkim Plutonom zdjęcie z fakiem, Aimee odbiera, oddychając szybko, z szeroko otwartymi oczami i włosami klejącymi się do czoła. Jest w domu.

– Zupełnie mnie odcięło! – Kręci głową. – Która to… Żyjesz. Ty… – Przez moment odwraca ode mnie wzrok; patrzy na połówkę twarzy Mateo. Wychyla się, jakby aparat był oknem, przez które może przesadzić głowę i lepiej się przyjrzeć. To trochę jak kiedy miałem trzynaście lat i kartkowałem magazyny w poszukiwaniu zdjęć lasek w krótkich spódniczkach i kolesi w szortach, przekrzywiając głowę, żeby sprawdzić, co mają pod spodem. – Kto to?

– To jest Mateo – mówię. – Mój Ostatni Przyjaciel. – Chłopak macha do niej. – A to moja przyjaciółka Aimee. – Nie dodaję, że jest też dziewczyną, która rozwaliła mi serce, bo nie chcę, żeby wszyscy poczuli się niezręcznie. – Dzwoniłem do ciebie.

– Przepraszam. Wszystko się posypało po twoim wyjściu – tłumaczy, przecierając oczy. – Dotarłam do domu kilka godzin temu, telefon mi padł i podłączyłam go do ładowania, ale zasnęłam, zanim zdążył się znowu włączyć.

– Co tam się odjebało?

– Malcolm i Tagoe zostali aresztowani – mówi Aimee. – Ciągle pyskowali, a Dziobak na nich doniósł, że byli z tobą.

Odchodzę na bok, każąc Mateo zostać na miejscu. Wydaje się wstrząśnięty; no to teraz umrze ze świadomością, jakim jestem beznadziejnym gościem.

– Wszystko z nimi okej? Gdzie ich zabrali?

– Nie wiem, Roof, ale nie powinieneś ich szukać, chyba że chcesz spędzić swój ostatni dzień w areszcie, gdzie nie wiadomo, co ci się może przytrafić.

– Co za gówno, przecież oni nic nie zrobili! – Podnoszę pięść, żeby uderzyć w szybę auta, ale to nie w moim stylu, przysięgam, że nie. Nie chodzę i nie biję rzeczy ani ludzi. Trochę mnie poniosło z Dziobakiem, tyle. – A co z Dziobakiem?

– Poszedł za mną do domu, ale nie chciałam z nim gadać.

– Zerwałaś z nim, prawda?

Nie odpowiada.

Gdybyśmy gadali przez telefon, bez obrazu, nie rozczarowałbym się tym, jaki ma teraz wyraz twarzy. Mógłbym udawać, że kiwa głową, szykując się do rozstania, o ile jeszcze tego nie zrobiła. Ale widzę coś zupełnie innego.

– To skomplikowane – mówi.

– Wiesz co, Ames, jak ze mną zrywałaś, nie sprawiło ci to takiego kłopotu. To naprawdę do bani, ale prawdziwym kopniakiem w jaja jest to, że odwracasz się dupą do Plutonów, bo wolisz jakiegoś frajera, przez którego zostali aresztowani. Mieliśmy się trzymać razem, mnie niedługo zabraknie, a ty mi teraz mówisz prosto w twarz, że nie wyrzucisz tego sukinsyna ze swojego życia? – Walić to, że rozwaliła mi serce, swoje wyrwała i wyrzuciła dawno temu. – Byli niewinni.

– Rufus, wcale nie byli bez winy, wiesz o tym, prawda?

– Jasne, żegnam. Muszę wrócić do mojego prawdziwego przyjaciela.

Aimee błaga mnie, żebym się nie rozłączał, ale mam to gdzieś. Nie mogę uwierzyć, że kumple trafili do aresztu przez moją głupotę, a ona nie powiedziała mi tego od razu.

Odwracam się, żeby powiedzieć o wszystkim Mateo, ale jego nie ma.

AIMEE DUBOIS

07:18

Aimee przestaje próbować dodzwonić się do Rufusa. Istnieją trzy możliwe wytłumaczenia, dlaczego nie odbiera. W kolejności od najbardziej optymistycznego:

1. Ignoruje ją, ale jeszcze zadzwoni.
2. Zablokował jej numer i nie zamierza się więcej odzywać.
3. Umarł.

Dziewczyna wchodzi na jego Instagrama i zostawia pod zdjęciami komentarze, prosząc o telefon. Ładuje komórkę, zwiększa głośność dzwonka i przebiera się w stary T-shirt Rufusa oraz swoje szorty.

Odkąd została Plutonką, wzięła się ostro za ćwiczenia. Kiedy po raz pierwszy zakradła się do pokoju rodziców zastępczych, chcąc coś ukraść Francisowi, który powitał ją najmniej serdecznie, zauważyła przy łóżku ciężarki Jenn Lori i postanowiła spróbować. Jej biologiczni rodzice, zamknięci w więzieniu za obrabowanie kina będącego własnością pewnej rodziny, nie sieciówki, przyczynili się do jej kleptomanii, jednak dziewczyna odkryła, że praca nad sobą daje jej więcej siły niż kradzież.

Już brakuje jej biegania z Rufusem, który zawsze jeździł obok niej na rowerze.

I zawsze będzie wspominać czasy, kiedy nauczyła go robić prawdziwe pompki.

I nie ma zielonego pojęcia, co dalej.

MATEO

07:22

Biegnę, starając się jak najbardziej oddalić od Rufusa.

Zostałem bez Ostatniego Przyjaciela, ale może umieranie w samotności jest okej dla kogoś, kto praktycznie całe życie był sam.

Nie wiem, czy Rufus brał udział w tym, co doprowadziło do aresztowania jego przyjaciół. Może miał nadzieję wykorzystać mnie jako swoje alibi. Ale teraz już mnie nie ma.

Zatrzymuję się, żeby złapać oddech. Siadam przed wejściem do jakiegoś żłobka i przyciskam dłoń do obolałej piersi.

Może powinienem wrócić do domu i pograć jeszcze na konsoli. Napisać kilka listów. Nawet trochę żałuję, że nie jestem w szkole, na lekcji pana Kalampoukasa, który zawsze był dla mnie dobry. Chociaż zajęcia z chemii z bandą dzieciaków, które zawsze piszą esemesy podczas przeprowadzania doświadczeń, było przerażające nawet zeszłej jesieni, kiedy nie miałem swojego Dnia Ostatecznego.

– MATEO!

Rufus jedzie rowerem, jego kask huśta się na kierownicy. Wstaję i ruszam, ale to nie ma sensu. Rufus zatrzymuje się obok, przekłada nogę przez ramę i zsiada. Rower pada na ziemię, a Rufus łapie mnie za rękę. Spogląda mi w oczy i kiedy zdaję sobie sprawę, że wcale nie jest wkurzony, tylko

przestraszony, jestem absolutnie pewien, że to nie jest mój koniec.

– Oszalałeś? – pyta. – Nie możemy się rozdzielać.

– A ty nie powinieneś być dla mnie zupełnie obcy – odpowiadam. Spędziliśmy razem już kilka godzin. Siedziałem z nim w jego ulubionej knajpie, gdzie powiedział, kim chciałby zostać, gdyby miał czas. – Ale ty najwyraźniej uciekasz przed policją i jakoś zapomniałeś o tym wspomnieć.

– Nie jestem pewien, czy faktycznie mnie szukają – wyjaśnia. – Na bank wiedzą, że jestem Zgonerem, a przecież nie okradłem banku, więc nie wyślą za mną całego oddziału.

– A co zrobiłeś?

Rufus puszcza mnie i rozgląda się.

– Chodźmy gdzieś pogadać. Wszystko ci opowiem. O wypadku, w którym zginęła moja rodzina, i o tej głupiej rzeczy z wczoraj. Żadnych sekretów.

– Idź za mną.

To ja wybiorę miejsce. Raczej mu ufam, ale dopóki nie dowiem się wszystkiego, nie chcę znowu być z nim zupełnie sam.

W ciszy ruszamy do Central Parku, mijając po drodze ranne ptaszki. Dokoła jest wystarczająco dużo rowerzystów i biegaczy, żebym czuł się komfortowo, zwłaszcza że Rufus trzyma dystans, zostając na trawie, gdzie jakiś młody golden retriever goni swojego pana. Pies przypomina mi historię z Odliczaczy, chociaż jestem pewien, że to dwa różne zwierzaki.

Z początku zachowuję milczenie, bo chcę najpierw się uspokoić, zanim Rufus zacznie opowiadać, ale im głębiej wchodzimy w park, tym cichszy się staję z czystego zachwytu. Szczególnie gdy natrafiamy na rzeźbę postaci z *Alicji z Krainie Czarów*. Ciemnozielone liście szeleszczą mi pod butami, gdy

podchodzę do Alicji, Białego Króliczka i Szalonego Kapelusznika.

– Jak długo to tu stoi? – pytam ze wstydem. Założę się, że wcale nie jest nowe.

– Nie wiem. Pewnie od zawsze – odpowiada Rufus. – Pierwszy raz to widzisz?

– No. – Podnoszę wzrok na Alicję, która siedzi na ogromnym grzybie.

– Nieźle. Jesteś turystą we własnym mieście.

– Tylko że turyści wiedzą o Nowym Jorku więcej niż ja.

Zupełnie się tego nie spodziewałem. Razem z tatą wolimy Althea Park, ale spędziliśmy też dużo czasu w Central Parku. Tata uwielbia wystawianego tu Szekspira. Ja nie przepadam za sztukami teatralnymi, jednak poszedłem z nim kiedyś i było całkiem fajnie, bo amfiteatr przywodził mi na myśl moje ulubione książki fantasy i walki gladiatorów z filmów o starożytnym Rzymie. Szkoda, że nie odkryłem tego kawałka Krainy Czarów za dzieciaka, bo mógłbym wspinać się na kapelusze grzybów i wyobrażać sobie własne przygody.

– Znalazłeś to dzisiaj, więc wygrałeś.

– Masz rację. – Wciąż jestem zdumiony faktem, że rzeźba stoi tu tyle czasu, bo kiedy myślę o parkach, oczami wyobraźni widzę przede wszystkim drzewa, fontanny, stawy i place zabaw. To nawet piękne, że park potrafi mnie zaskoczyć. I daje mi nadzieję, że ja też mogę zaskoczyć świat.

Jednak nie wszystkie niespodzianki są mile widziane.

Siadam na grzybie obok Białego Króliczka. Rufus wybiera miejsce przy Szalonym Kapeluszniku. Jego milczenie jest niezręczne, jak wtedy na lekcjach historii, kiedy to zajmowaliśmy się różnymi ważnymi wydarzeniami z ery sprzed Prognozy Śmierci. Nasz nauczyciel, pan Poland, zawsze powtarza, jak „nam dobrze”. Zadał nam takie zadania

domowe: mieliśmy wyobrażać sobie różne momenty, w których zmarło wielu ludzi – epidemie, wojny światowe, jedenastego września i tak dalej – i zastanawiać się, jak zareagowaliby na ostrzeżenia ze strony Prognozy Śmierci. To zadanie, szczerze mówiąc, sprawiło, że poczułem się winny, bo urodziłem się w czasach przełomowego odkrycia, trochę jak po wynalezieniu leków na choroby, które kiedyś zabijały.

– Nikogo nie zamordowałeś, prawda? – pytam wreszcie. Tylko jedna odpowiedź będzie w stanie mnie zatrzymać. Jakakolwiek inna sprawi, że zadzwonię po policję, żeby Rufus trafił do aresztu, zanim skrzywdzi kogoś jeszcze.

– Oczywiście, że nie.

Postawiłem poprzeczkę tak wysoko, że z łatwością się pod nią prześlizgnął.

– No to co zrobiłeś?

– Napadłem kogoś – odpowiada. Patrzy przed siebie, na swój rower stojący przy chodniku. – Nowego chłopaka Aimee. Pieprzył coś na mój temat i wkurzyłem się, bo miałem wrażenie, jakby moje życie się na swój sposób kończyło. Czułem się niechciany, sfrustrowany, zagubiony i musiałem się na kimś wyżyć. Ale nie jestem taki. To była usterka.

Wierzę mu. Nie wygląda na potwora. Potwory nie przychodzą, żeby pomóc ci żyć; potwory więżą cię w łóżku i pożerają żywcem.

– Ludzie popełniają błędy – mówię.

– A moi przyjaciele teraz ponoszą za to karę. Ich ostatnim wspomnieniem po mnie będzie to, jak uciekałem przez tylne drzwi z własnego pogrzebu, żeby nie złapali mnie policjanci. Zostawiłem ich… Przez ostatnie miesiące czułem się porzucony przez rodziców i siostrę, a sam w ułamku sekundy zrobiłem to samo swojej nowej rodzinie.

– Nie musisz mi mówić więcej o wypadku, jeśli nie chcesz.

I tak już czuje się wystarczająco winny, a skoro nie kazałbym bezdomnemu, żeby opowiedział mi historię swojego życia, bym mógł zdecydować, czy zasługuje na moją pomoc, tak nie muszę sprawdzać Rufusa, żeby mu zaufać.

– Nie chcę o tym mówić – stwierdza. – Ale nie mam wyjścia.

RUFUS

07:53

Mam szczęście, że jest przy mnie Ostatni Przyjaciel. Zwłaszcza że aresztowano mi kumpli, a z byłą dziewczyną nie gadam. Mogę porozmawiać o rodzinie i sprawić, by pamięć o nich żyła.

Niebo się chmurzy i zaczyna wiać silny wiatr, ale jeszcze nie pada.

– Dziesiątego maja moich rodziców obudziła Prognoza Śmierci. – Już mnie boli serce. – Graliśmy z Olivią w karty, kiedy usłyszeliśmy dzwonek, więc pobiegliśmy do ich sypialni. Mama próbowała jakoś się trzymać i rozmawiać, a tata przeklinał wszystkich z drugiego końca pokoju, oczywiście po hiszpańsku, i płakał. Pierwszy raz widziałem, żeby płakał. To było naprawdę paskudne. Nie chodzi o to, że był jakimś strasznym macho, ale zawsze wydawało mi się, że płacz jest dla cipek. Cholernie głupie z mojej strony. A potem herold z Prognozy Śmierci poprosił do telefonu mojego tatę i matka się załamała. Nie mogłem w to uwierzyć i w ogóle, wydawało mi się, że to koszmar i tak dalej. Nie ma nic bardziej przerażającego niż patrzenie, jak twoi rodzice panikują. Bałem się, ale wiedziałem, że Olivia ze mną zostanie. Nie miałem zostać sam. No i wtedy herold zapytał o Olivię, a tata rozłączył się i rzucił telefonem o ścianę. – Rzucanie telefonami mamy chyba w genach.

Mateo już ma coś powiedzieć, ale gryzie się w język.

– No, śmiało.

– Nieważne. No, właściwie to jestem ciekaw, czy się nie bałeś, że ty też znalazłeś się na liście Zgonersów? Sprawdziliście w bazie online?

Kiwam głową. Strona smierciowiednia.com bywa pomocna. Wpisaliśmy mój numer ubezpieczenia i okazało się, że nie ma mnie na liście, co przyniosło mi taką dziwną ulgę.

– Jakoś nie potrafiłem pogodzić się z tym, że moja rodzina zginie beze mnie. Cholera, to brzmi, jakby zostawili mnie w domu, jadąc na wycieczkę, ale ten ostatni dzień już za nimi tęskniłem. A Olivia nie mogła na mnie patrzeć. Czaję to. Nie było moją winą, że przeżyłem, ale też nie jej winą, że miała umrzeć.

– Byliście zżyci?

– Dziko zżyci. Była rok starsza ode mnie. Rodzice odkładali pieniądze, żebyśmy mogli razem iść na jesieni na Uniwersytet Antioch w Kalifornii. Olivia dostała częściowe stypendium, ale została w publicznym college'u, żebym mógł dokończyć szkołę i jechać razem z nią – mówię, oddychając szybko i płytko, jak wtedy, gdy lałem Dziobaka. Rodzice próbowali namówić Olivię, żeby pojechała do Los Angeles beze mnie i nie zostawała w szkole w mieście, którego nienawidzi, ale odmówiła. Każdego dnia rano, w południe i wieczór myślę o tym, że wciąż by żyła, gdyby tylko posłuchała rodziców. Chciała rozpocząć nasze życie na nowo, wspólnie. – To jej pierwszej powiedziałem, że jestem bi.

– Och.

Nie wiem, czy specjalnie zachowuje się tak, jakby nie wyczytał tego w moim profilu w aplikacji, czy może ta historia o mnie i siostrze zrobiła na nim takie wrażenie, a może po prostu przegapił tę informację i jednak jest dupkiem, którego

interesuje to, kto się z kim całuje. Mam nadzieję, że nie. Jesteśmy teraz przyjaciółmi, tak myślę, i nic na siłę. Poznałem tego gościa kilka godzin temu tylko dlatego, że jakiś kreatywny projektant wymyślił aplikację do nawiązywania więzi. Nie chciałbym teraz jej zrywać.

– Co „och”?

– Nic. Serio.

– Mogę cię o coś zapytać? – Miejmy to już z głowy.

– A rodzicom powiedziałeś? – pyta.

Unika odpowiedzi, zadając inne pytanie. Klasyczny chwyt.

– Naszego ostatniego dnia, tak. Nie mogłem już dłużej tego odkładać. – Rodzice nigdy mnie tak nie ściskali jak w czasie ich Dnia Ostatecznego. Jeśli jestem z czegoś dumny, to właśnie z tego, że wydusiłem to z siebie i doczekałem się takiej reakcji. – Mama naprawdę się zasmuciła, bo straciła szansę, żeby poznać przyszłą synową albo zięcia. Wciąż czułem się niezręcznie, więc tylko się roześmiałem i zapytałem Olivię, czy jest coś, co chciałaby zrobić. Miałem nadzieję, że będzie mnie nienawidzić choć trochę mniej. Rodzice chcieli mnie całkiem zostawić.

– Ale to z troski o ciebie, prawda?

– Tak, ale ja chciałem spędzić z nimi każdą minutę, nawet jeśli to oznaczało, że zobaczę ich śmierć. Byłem głupi. – Ta naiwność całe szczęście umarła wraz z nimi.

– I co się wtedy stało? – dopytuje Mateo.

– Nie musisz znać szczegółów. Może nawet lepiej, żebyś ich nie znał.

– Skoro ty musiałeś nosić ten ciężar, ja też mogę.

– Ale pamiętaj, że sam o to prosiłeś.

Opowiadam mu wszystko: jak Olivia chciała ostatni raz pojechać do domku niedaleko Albany, gdzie zawsze spędzaliśmy jej urodziny. Drogi były śliskie i nasz samochód

wylądował w rzece Hudson. Siedziałem z przodu na fotelu pasażera, bo myślałem, że będziemy mieli większe szanse na przeżycie czołowego zderzenia, jeśli rodzice nie będą jechali z przodu. To nie miało ostatecznie znaczenia.

– Ta sama piosenka, inny wers – mówię do Mateo, a potem kontynuuję, opowiadając o pisku opon, o przebiciu się przez barierkę bezpieczeństwa, o lądowaniu w wodzie… – Czasami zapominam, jak brzmiały ich głosy. Zlewają się z głosami ludzi dokoła. Za to krzyki rozpoznałbym zawsze i wszędzie.

Aż mnie ciarki przechodzą, gdy o tym myślę.

– Nie musisz kontynuować, Rufus. Przepraszam, nie powinienem był zachęcać cię do opowiadania o tym.

Mateo zna koniec tej historii, ale nie wie wszystkiego. Niemniej postanawiam przerwać, bo chłopak zna podstawy, a ja już trochę płaczę i muszę się opanować, żeby nie spanikował. Kładzie dłoń na moim ramieniu i klepie po plecach, przypominając mi w ten sposób wszystkie dzieciaki w szkole, które pocieszały mnie w esemesach czy na Facebooku, ale nie wiedziały, co właściwie powiedzieć albo zrobić, bo nigdy nie straciły nikogo w taki sposób jak ja.

– Będzie dobrze. Pogadajmy o czymś innym, na przykład… – Mateo rozgląda się po okolicy. – O ptakach i rozpadających się budynkach, i…

Prostuję się.

– To i tak praktycznie wszystko. Przeżyłem i skończyłem z Malcolmem, Tagoe i Aimee. Zostaliśmy Plutonami i właśnie takiego towarzystwa potrzebowałem: wszyscy byliśmy zagubieni i pogodzeni z tym, by nie odnajdywać się przez jakiś czas. – Wycieram oczy i odwracam się do Mateo. – A teraz jesteś skazany na mnie do końca. Nie uciekaj znowu, bo możesz zostać porwany i kiedyś nakręcą o tym jakiś gówniany thriller.

– Nigdzie się nie wybieram – mówi i uśmiecha się do mnie łagodnie. – Co teraz?

– Wszystko będzie dla mnie spoko.

– To może sprawimy sobie przeżycie?

– Myślałem, że już to robimy, ale dlaczego nie.

MATEO

08:32

Po drodze do punktu Spraw-Sobie-Przeżycie Rufus zatrzymuje się w sklepie sportowym. W oknie widać plakaty przedstawiające mężczyznę na rowerze, kobietę w kombinezonie narciarskim oraz parą biegnącą obok siebie – bez choćby kropelki potu – z uśmiechami godnymi gwiazd.

Rufus pokazuje na kobietę w kombinezonie.

– Zawsze wysyłałem Olivii zdjęcia ludzi na nartach. Kiedyś co roku jeździłem na narty z rodziną do Windham. Jak ci powiem, co się odwalało za każdym razem, pomyślisz, że byliśmy głupi, wracając tam. Mój ojciec złamał sobie nos w czasie pierwszej wycieczki, gdy wpadł na skałę; byliśmy w ciężkim szoku, że nie umarł, nawet mimo braku powiadomienia od Prognozy Śmierci. Następnego roku matka zwichnęła sobie kostkę. Dwa lata później doznałem wstrząsu mózgu po zjechaniu z góry. Jestem beznadziejny w hamowaniu i żeby nie wpaść na takiego jednego dzieciaka, skręciłem w ostatniej chwili w lewo i uderzyłem w drzewo jak postać z kreskówki.

– Masz rację. Nie mam zielonego pojęcia, po co tam wracaliście.

– Wreszcie, po tym, jak trafiłem do szpitala, Olivia zarządziła: koniec nart. Ale i tak jeździliśmy do Windham,

kiedy tylko mogliśmy, bo kochaliśmy góry, śnieg i granie w planszówki przed kominkiem. – Rufus znowu rusza. – Mam nadzieję, że to miejsce jest równie bezpieczne i fajne jak kiedyś.

Kilka minut później docieramy do punktu Spraw-Sobie-Przeżycie. Rufus zatrzymuje się i robi zdjęcie niebieskiego baneru wiszącego nad drzwiami: „Zabawa bez ryzyka!". Wrzuca je na Instagrama w pełnym kolorze.

– Patrz. – Podaje mi telefon, a na wyświetlaczu widzę komentarze do jego poprzedniego postu. – Ludzie pytają, dlaczego tak wcześnie wstałem.

Kilka komentarzy napisała Aimee, prosząc go, by odebrał.

– Co się stało z tobą i Aimee?

Rufus kręci głową.

– Skończyłem z nią. To przez jej chłoptasia Malcolm i Tagoe trafili do aresztu za coś, co ja zrobiłem, a ona nadal się z nim spotyka. Zero lojalności.

– A nie dlatego, że ciągle coś do niej czujesz?

– Nie – odpowiada i przypina rower do parkometru.

Nieważne, czy mówi prawdę, czy nie.

Odpuszczam temat i wchodzimy razem.

Nie spodziewałem się, że punkt będzie wyglądał jak biuro podróży. Ściana za ladą jest pomalowana w połowie na słoneczny pomarańcz, w połowie na indygo. Zdjęcia w ramkach pokazują ludzi robiących różne rzeczy, na przykład jak wspinają się na skałki albo surfują. Za ladą siedzi młoda czarnoskóra kobieta po dwudziestce i na nasz widok przerywa pisanie w notatniku. Ma na sobie żółtą koszulkę polo, a na jej identyfikatorze widnieje imię Deirdre. Widziałem już gdzieś to imię, może w książce fantasy.

– Witamy w Spraw-Sobie-Przeżycie – oznajmia Deirdre, ani zbyt radośnie, ani zbyt beznamiętnie. Z idealnie dobraną

powagą. Nie pyta nas, czy jesteśmy Zgonersami. Popycha w naszą stronę segregator. – W tej chwili trzeba czekać pół godziny na lot balonem i pływanie z rekinami.

– Kto, do cholery… – Rufus patrzy na mnie, a potem znowu na Deirdre. – Czy ludzie naprawdę chcą przed śmiercią popływać z rekinami?

– To popularna atrakcja – odpowiada dziewczyna. – Nie chciałbyś popływać z rekinami, wiedząc, że nie mogą cię ugryźć?

Rufus cmoka.

– Nie pchałbym się do tak głębokiej wody.

Deirdre kiwa głową, jakby znała historię Rufusa.

– Żaden problem. Nie krępujcie się, gdybyście mieli jakieś pytania.

Siadamy i przeglądamy zawartość segregatora. Oprócz lotu balonem i pływania z rekinami punkt oferuje też skok ze spadochronem, jazdę wyścigówką, kurs parkuru, tyrolkę, wspinaczkę, zjazd na rowerze zboczem góry, windsurfing i mnóstwo innych. Ciekawe, czy oferta zostanie rozszerzona o fikcyjne doświadczenia, na przykład ucieczkę przed smokami, walkę z Cyklopem albo przejażdżkę na latającym dywanie.

Nie zdążę się o tym przekonać.

Otrząsam się z tej myśli.

– Chcesz zjechać na rowerze? – pytam, bo nie ma w tym scenariuszu wody, za to są rowery.

– Nie, wolałbym spróbować czegoś nowego. Co powiesz na skok ze spadochronem?

– Niebezpieczne. Ale opowiesz moją historię, gdy coś pójdzie nie tak. – Nie zdziwiłbym się, gdyby udało mi się zginąć w czasie zabawy podobno wolnej od ryzyka.

– Jasne.

Deirdre podaje nam liczący sześć stron formularz zrzeczenia się roszczeń, co nie jest takie rzadkie w przedsiębiorstwach obsługujących Zgonersów, ale przeglądamy go tylko pobieżnie, bo przecież jeśli coś pójdzie źle, to i tak nie pożyjemy dość długo, żeby ich pozwać. W dowolnym momencie może wydarzyć się jakiś wypadek. Każda kolejna minuta naszego życia to cud.

Rufus podpisuje się niedbale. Potrafię rozczytać tylko dwie pierwsze litery, a reszta ginie w szlaczkach, które wyglądają jak wykres przedstawiający finanse wiecznie upadającego i wychodzącego na prostą biznesu.

– Okej. Właśnie zobowiązałem się nie jęczeć, gdyby mi się tu umarło.

Deirdre się nie śmieje. Płacimy dwieście czterdzieści dolarów na łebka; takich sum za usługi można żądać tylko od osób, których oszczędności i tak się zmarnują.

– Proszę za mną.

Długi korytarz przywodzi mi na myśl centrum, w którym pracował tata, tylko że tam nie słyszało się radosnych okrzyków i śmiechu. A przynajmniej ja ich nigdy nie słyszałem (żart). Pokoje przypominają te do karaoke, tylko że niektóre są dwu- albo nawet trzykrotnie większe. Po drodze zaglądam do każdego okienka, idąc zygzakiem, jakbym był piłeczką do pinballa, a w każdym pomieszczeniu znajduje się jakiś Zgoner z goglami. Niektórzy siedzą w samochodach wyścigowych, które się trzęsą, ale nie pędzą po torze. Inny Zgoner „wspina się" po skałkach, a pracownik znajdujący się z nim w pokoju pisze esemesy. Jakaś para całuje się w pokoju z balonem, który unosi się dwa metry nad podłogą, a nie wysoko na niebie. Jakiś płaczący mężczyzna w goglach przytrzymuje roześmianą dziewczynkę na grzbiecie konia, a ja nie wiem,

które z nich jest Zgonerem, czy może oboje, ale robi mi się tak smutno, że przestaję zaglądać do okien.

Nasz pokój jest bardzo duży, a w środku są też ogromne wentylatory, maty oparte o ściany oraz instruktorka przebrana za lotniczkę, z kręconymi brązowymi włosami zebranymi w kucyk. Zakładamy takie same uprzęże i sprzęt; wyglądamy we trójkę jak cosplayerzy w strojach X-Menów. Rufus pyta kobietę, Madeline, czy zrobi nam zdjęcie. Nie wiem, czy powinienem go objąć ramieniem, więc naśladuję Rufusa i opieram ręce w pasie.

– Tak dobrze? – pyta Madeline, celując w nas telefonem.

Wyglądamy bardzo poważnie, jakbyśmy zamierzali nie dać się śmierci, dopóki nie uratujemy świata przed wszystkim, co paskudne.

– Supcio – rzuca Rufus.

– Mogę zrobić więcej zdjęć, gdy będziecie skakać!

– Byłoby spoko.

Madeline tłumaczy nam, jak wszystko działa. Założymy gogle, rozpocznie się pokaz wirtualnej rzeczywistości, a całe pomieszczenie zostanie zaangażowane w uczynienie tego doświadczenia jak najbardziej przekonującym. Madeline przypina nasze uprzęże do wiszących haków, a my wspinamy się po drabinie do półki, która wygląda jak trampolina, tylko że znajdujemy się jakieś dwa metry nad podłogą.

– Kiedy będziecie gotowi, naciśnijcie guziki na waszych goglach – mówi Madeline, wciągając pod nas maty. – Poradzicie sobie. – Włącza potężne wentylatory, a w pomieszczeniu robi się głośno.

– Gotowy? – pyta bezgłośnie Rufus, zakładając gogle.

Robię to samo ze swoimi i kiwam głową. Naciskam zielony guzik przy soczewkach. Uruchamia się wirtualna rzeczywistość. Znajdujemy się na pokładzie samolotu

z otwartymi drzwiami i trójwymiarowy mężczyzna daje mi znak, że mogę już skoczyć w błękitną przestrzeń nieba. Boję się nie tyle wyskoczyć z samolotu, co znaleźć w tej otwartej przestrzeni przede mną. Moja uprząż może pęknąć, chociaż wydaje się stuprocentowo bezpieczna.

Rufus krzyczy kilka sekund później, spadając jakieś dwa kroki ode mnie, i milknie.

Podnoszę gogle w nadziei, że nie zobaczę Rufusa na podłodze, ze złamanym karkiem. Wisi w powietrzu, podmuchy wiatru szarpią nim z obu stron dzięki wentylatorom. Nie powinienem oglądać go w ten sposób, ale musiałem się upewnić, że wszystko z nim w porządku, nawet jeśli to zepsuje mi trochę doświadczenie. Wciąż chcę poczuć tę samą ekscytację, co on, więc zakładam z powrotem gogle, liczę do trzech i skaczę. Jestem w stanie nieważkości, przyciągam kolana do piersi, jakbym pędził tunelem zjeżdżalni, a nie spadał przez chmury, czego w zasadzie też nie robię. Wyciągam ręce na boki, próbując dotknąć smugi na krawędziach licznych chmur, jakby dało się faktycznie którąś złapać i zagnieść w dłoniach jak śnieżkę.

Kilka minut później magia zanika. Widzę zbliżające się zielone pole i wiem, że powinienem czuć ulgę, że jestem już prawie na miejscu, że za moment będę znowu bezpieczny, jednak w tym doświadczeniu nawet przez chwilę nie było prawdziwego zagrożenia. To nie jest ekscytujące. Jest zbyt bezpieczne.

Dokładnie to, na co się pisałem.

Wirtualny Mateo ląduje w tej samej chwili co ja, moje stopy wbijają się w matę. Zmuszam się, by posłać Rufusowi uśmiech, a on uśmiecha się do mnie. Dziękujemy Madeline za pomoc, zdejmujemy sprzęt i wychodzimy.

– Fajnie było, co? – pytam.

– Trzeba było poczekać i popływać z rekinami – stwierdza Rufus, gdy mijamy Deirdre w drodze do wyjścia.

– Dziękujemy – mówię recepcjonistce.

– Gratuluję sprawienia sobie przeżycia – rzuca Deirdre, machając do nas.

To dziwne, że ktoś chwali nas za życie, ale w sumie nie ma sensu, żeby zachęcała nas do powtórnego przyjścia.

Kiwam głową i ruszam za Rufusem.

– Myślałem, że dobrze się bawiłeś! Krzyczałeś z radości.

Właśnie zdejmuje łańcuch z roweru, którego, niestety, nikt nie ukradł.

– Główny skok był spoko. Potem już gorzej. Naprawdę ci się podobało? Nie osądzam, poza tym że osądzam.

– Czułem to samo, co ty.

– To był twój pomysł – mówi Rufus, prowadząc rower. – Już więcej dzisiaj nie decydujesz.

– Przepraszam.

– Jaja sobie robię. To było ciekawe, ale wyraźnie celują głównie w małą liczbę wypadków, a taka pozbawiona ryzyka zabawa nie jest w ogóle zabawą. Trzeba było poczytać recenzje przed wydaniem na to takiego hajsu.

– Nie ma zbyt wielu recenzji w sieci – mówię. Kiedy prowadzisz biznes wyłącznie dla Zgonersów, nie można spodziewać się licznych opinii. Nie bardzo wyobrażam sobie, żeby jakiś Zgoner marnował cenne minuty na hejtowanie kiepskiej usługi. – I naprawdę przepraszam. Nie z powodu zmarnowanych pieniędzy, lecz czasu.

Rufus zatrzymuje się i wyjmuje telefon.

– To nie była strata czasu. – Pokazuje mi nasze zdjęcie w uprzężach i wysyła je na Instagrama. Podpisuje hasztagiem #OstatniPrzyjaciel. – Może dostanę za to dziesięć lajków.

LIDIA VARGAS

09:14

Nikt z Prognozy Śmierci nie zadzwonił do Lidii Vargas tej nocy, by poinformować ją o rychłej śmierci. Gdyby jednak miała dzisiaj umrzeć, powiedziałaby o tym swoim bliskim, ale nie najlepszemu przyjacielowi, który nie przyznał się do tego, że ma zginąć.

Lidia sama się domyśliła. Wystarczyło zebrać wszystkie wskazówki: Mateo przyszedł bardzo wcześnie; zupełnie niespodziewanie pochwalił ją za bycie wspaniałą matką; zostawił na blacie kopertę, a w niej czterysta dolarów; zablokował jej numer, czego sama go nauczyła.

Przez kilka pierwszych minut po zniknięciu Mateo Lidia spanikowała i zadzwoniła do babci, żeby błagać ją o wyjście z apteki, w której pracuje, i powrót do mieszkania. Zamiast odpowiadać na wszystkie pytania Abuelity, wzięła jej telefon i zadzwoniła do Mateo, ale on i tak nie odebrał. Teraz dziewczyna nie wie, czy to przez to, że miał zapisany numer, czy może już nie żyje. Modli się, by powodem nie było to drugie.

Nie będzie myśleć w ten sposób. Mateo nie pożyje długo, co jest strasznie słabe, bo to najlepsza dusza w całym wszechświecie, ale przeżyje długi dzień. Może umrzeć minutę przed północą, lecz ani chwili wcześniej.

Penny płacze, a Abuelita nie wie dlaczego. Lidia zna wszystkie rodzaje płaczu małej i wszystkie sposoby, by ją uspokoić. Jeśli Penny ma gorączkę, Lidia sadza ją sobie na kolanach i śpiewa jej do ucha. Jeśli Penny upadnie, Lidia podnosi ją i podaje jej zabawkę z mrugającymi światełkami albo dzwoneczkami; niektóre mają jedno i drugie, niestety. Jeśli Penny jest głodna albo potrzebuje nowej pieluszki, następne kroki są proste. Penny tęskni za wujkiem Mateo. Jednak Lidia nie może wywołać go na FaceTime, żeby przywitał się z małą, bo zablokował jej numer.

Lidia loguje się na Facebooka. Kiedyś korzystała z tego konta, żeby utrzymywać kontakt ze znajomymi ze szkoły, teraz wrzuca zdjęcia Penny, żeby zobaczyła je rodzina Christiana. Tak jest łatwiej niż pisać esemesy do jego rodziców, dziadków, wujków i cioć, albo tej jednej kuzynki, która ciągle prosi o rady randkowe.

Lidia wchodzi na profil Mateo, który jest ziemią jałową z dziewiętnastoma wspólnymi znajomymi, dwoma ślicznymi zdjęciami wschodów słońca na Brooklynie ze strony „Dzień dobry, Nowy Jorku!", artykułem o jakimś narzędziu stworzonym przez NASA do słuchania dźwięków planet, a także statusem sprzed kilku miesięcy o dostaniu się do wybranego college'u online – post nie doczekał się wystarczającej liczby lajków. Mateo nigdy nie umiał dzielić się życiem osobistym, ale zawsze można liczyć, że skomentuje zdjęcie albo polajkuje posta. Jeśli coś jest ważne dla ciebie, jest też ważne dla niego.

Lidii nie podoba się, że chłopak został sam. To nie są wczesne lata dwutysięczne, kiedy ludzie umierali bez żadnego ostrzeżenia. Prognoza Śmierci jest tu, by przygotować Zgonersów i ich najbliższych, a nie po to, by Zgoner zawinął

się i uciekł. Lidia żałuje, że Mateo nie dopuścił jej bliżej do swojego życia, do ostatniej minuty.

Przegląda jego zdjęcia, zaczynając od najnowszych: Mateo i Penny śpiący na tej samej kanapie, na której siedzi teraz Lidia; Mateo niosący Penny przez pomieszczenie z gadami w zoo, gdzie oboje przestraszyli się, że węże uciekną; Mateo z ojcem w kuchni Lidii, gdzie uczył ich, jak się robi pegao; Mateo wieszający ozdoby na pierwsze urodziny Penny; Mateo, Lidia i Penny uśmiechnięci na tylnej kanapie samochodu Abuelity; Mateo w birecie i szacie absolwenta, ściskający Lidię, która przyniosła mu kwiaty i balony. Zamyka okienko ze zdjęciami. Takie wspominki są zbyt bolesne, kiedy wie, że Mateo wciąż jeszcze żyje. Gapi się przez chwilę na jego profilowe; sama zrobiła tę fotkę w jego pokoju, gdzie wyglądał przez okno i czekał, aż listonosz przyniesie mu konsolę.

Jutro o tej porze Lidia opublikuje posta o odejściu przyjaciela. Ludzie zaczną się do niej odzywać i składać kondolencje, podobnie jak po śmierci Christiana. A kiedy wszyscy przypomną sobie Mateo – jako kolegę ze szkolnej ławki czy stołówki – polecą na jego stronę, żeby zostawić komentarz niczym wirtualny znicz. Będą liczyć, że spoczywa w spokoju. Będą ubolewać, że umarł tak młodo. Będą żałować, że nie poświęcili więcej czasu na rozmowę z nim, gdy jeszcze żył.

Lidia nigdy się nie dowie, jak Mateo spędza swój Dzień Ostateczny, ale ma nadzieję, że jej najlepszy przyjaciel znajdzie to, czego szuka.

RUFUS

09:41

Natykamy się na siedem porzuconych budek telefonicznych w jakiejś dziurze przy autostradzie prowadzącej na północ, w kierunku mostu Queensboro.

– Musimy tam wejść.

Mateo już ma protestować, ale podnoszę palec, dając mu znak, żeby się zamknął.

Rzucam rower na ziemię i czołgamy się do dziury w siatce ogrodzenia. Widzimy zardzewiałe rury, jakieś worki śmierdzące zgniłym jedzeniem i gównem, a także ślady po oponach wokół budek. Jest też graffiti przedstawiające butelkę pepsi spuszczającą manto coca-coli; robię zdjęcie, puszczam na Instagrama i oznaczam Malcolma, żeby wiedział, że był ze mną w Dniu Ostatecznym.

– To jak cmentarzysko – stwierdza Mateo i sięga po parę tenisówek.

– Jeśli znajdziesz w środku jakieś palce, zmywamy się.

Mateo zagląda do wnętrza butów.

– Żadnych palców ani innych części ciała. – Rzuca tenisówki na ziemię. – W zeszłym roku trafiłem kiedyś na gościa z zakrwawionym nosem i bez butów.

– Jakiś bezdomny?

– Nie. Był w naszym wieku. Ktoś go pobił i okradł, więc oddałem mu swoje tenisówki.

– Oczywiście – rzucam. – Takich jak ty już nie robią.

– Och, nie oczekiwałem komplementu. Przepraszam. Po prostu jestem ciekawy, co porabia. Wątpię, żebym go rozpoznał, bo miał dużo krwi na twarzy. – Mateo kręci głową, jakby chciał w ten sposób pozbyć się wspomnienia.

Kucam przy jednej z budek i widzę wiadomość zapisaną niebieskim atramentem w miejscu, gdzie kiedyś była słuchawka: TĘSKNIĘ ZA TOBĄ, LENA. ZADZWOŃ.

Cholernie trudno będzie jej zadzwonić, człowieku, skoro nie zostawiłeś numeru.

– To szalone znalezisko – mówię i podjarany idę do drugiego telefonu. – Czuję się teraz jak Indiana Jones. – Mateo uśmiecha się do mnie. – No co?

– Dużo się naoglądałem tych filmów, gdy byłem dzieciakiem. Aż do teraz o nich zapomniałem.

Opowiada mi historię, jak jego tata chował w domu różne skarby, które zawsze okazywały się słoikami pełnymi ćwierćdolarówek do pralni. Mateo wkładał na głowę kapelusz od stroju Woody'ego i używał sznurówki jako lassa. Gdy zbliżał się do miejsca, w którym tata ukrył słoik, tamten zakładał meksykańską maskę, którą dostał od sąsiada, i rzucał syna na kanapę w epickiej walce.

– To super. Twój tata wydaje się naprawdę spoko.

– Miałem szczęście – przyznaje Mateo. – Tak czy inaczej, przejąłem twoją chwilę. Przepraszam.

– E tam, nic się nie stało. To żaden głęboki, przejmujący moment. Nie ruszę zaraz, by zdejmować budki z ulic, rozpoczynając uniwersalny proces zrywania połączenia czy coś. Po prostu uważam, że to zajebiste miejsce. – Robię kilka zdjęć telefonem. – Ale to szaleństwo, nie? Budki telefoniczne

niedługo całkiem znikną. Ja już nawet nie znam numerów znajomych.

– Ja znam tylko numer taty i Lidii – stwierdza Mateo.

– Jakby mnie zamknęli, miałbym podwójnie przerąbane. Ale i tak nie ma znaczenia, czy znasz czyjś numer czy nie. Nie wystarczy już ćwierćdolarówka, żeby do kogoś zadzwonić. – Podnoszę telefon. – Nawet nie używam prawdziwego aparatu! Aparaty na kliszę niedługo też znikną.

– Poczta i odręcznie pisane listy – dorzuca Mateo.

– Wypożyczalnie filmów i odtwarzacze DVD.

– Linie naziemne i automatyczne sekretarki.

– Gazety. Zegarki. Jestem pewien, że ktoś już pracuje nad produktem, dzięki któremu będziemy zawsze wiedzieć, która jest godzina.

– Papierowe książki i biblioteki. Nie stanie się to szybko, ale w końcu tak, prawda? – Mateo milknie na moment, pewnie myśląc o tym cyklu ze Scorpiusem Hawthorne'em, który umieścił w swoim profilu. – Nie możemy też zapomnieć o tych wszystkich zagrożonych gatunkach zwierząt.

Zdecydowanie o nich zapomniałem.

– Masz rację. Totalnie masz rację. Wszystko zniknie, wszyscy umrą. Ludzie są do bani, stary. Wydaje nam się, że jesteśmy tacy niezniszczalni i wieczni, bo w przeciwieństwie do budek telefonicznych czy książek możemy myśleć i dbać o siebie, ale założę się, że dinozaurom też się wydawało, że będą rządzić już zawsze.

– My nigdy nie działamy. Jedynie reagujemy, gdy zegar zaczyna tykać – stwierdza Mateo i pokazuje na siebie. – Jestem dowodem numer jeden.

– I chyba przez to będziemy następni na liście – rzucam. – Przed gazetami, zegarami i bibliotekami. – Prowadzę nas przez

ogrodzenie i odwracam się. – Ale wiesz, że już nikt nie używa linii naziemnych?

TAGOE HAYES

09:48

Nikt z Prognozy Śmierci nie zadzwonił do Tagoe Hayesa tej nocy, ponieważ Tagoe dzisiaj nie umrze, ale nigdy nie zapomni, jak to jest zobaczyć najlepszego przyjaciela odbierającego połączenia od herolda. Wyraz twarzy Rufusa będzie dręczył Tagoe dłużej niż najgorsze sceny z najbardziej brutalnych filmów.

Tagoe i Malcolm ciągle jeszcze są na posterunku policji, dzieląc celę dwa razy większą niż ich sypialnia.

– Byłem pewien, że tu będzie śmierdzieć moczem – rzuca Tagoe. Siedzi na podłodze, bo ławka za bardzo się chwieje i skrzypi przy każdym ruchu.

– Tylko rzygami – odpowiada Malcolm, obgryzając palce.

Tagoe planuje wyrzucić te dżinsy, gdy już wróci do domu. Zdejmuje okulary, pozwalając, by Malcolm i funkcjonariusz przy biurku się rozmyli. Robi tak od czasu do czasu, żeby wszyscy wiedzieli, kiedy ma ochotę na przerwę od tego, co się dzieje dokoła. Tylko raz wkurzył tym Malcolma; to było w czasie gry w Karty Przeciwko Ludzkości. Tagoe nigdy nie przyznał, że zrobił to, bo karta wyciągnięta z talii zawierała żart z samobójstwa, co przywiodło mu na myśl człowieka, który go porzucił.

Teraz myśl o Rufusie jest wciąż żywa, przyprawiając Tagoe o ból w karku.

Chłopak stara się tłumić ten tik nerwowy, bo ciągłe drgania szyi są nie tylko nieprzyjemne, ale też nadają mu wygląd kogoś dzikiego i nieprzystępnego. Rufus zapytał go kiedyś, jakie to uczucie, więc Tagoe kazał jemu, Malcolmowi i Aimee wstrzymać powietrze i nie mrugać tak długo, jak tylko potrafią. Nie musiał robić tego razem z nimi, żeby znać tę ulgę, jaką poczuli, gdy w końcu mogli odetchnąć i mrugnąć. Jednak kiedy szyja ciągnie go w różnych kierunkach, Tagoe słyszy ciche trzaski i zawsze wyobraża sobie, jak jego kości kruszą się przy każdym ruchu.

Zakłada z powrotem okulary.

– Co byś zrobił, gdybyś dostał powiadomienie?

Malcolm stęka.

– Pewnie to samo, co Roof. Tylko że ja nie zaprosiłbym na pogrzeb byłej dziewczyny, której nowego chłopaka dopiero co napadłem.

– Nie ma chyba wątpliwości, że na tym polegał jego błąd – stwierdza Tagoe.

– A ty?

– To samo.

– Czy… – Malcolm gryzie się w język. To nie tak jak wtedy, gdy pomagał kumplowi pokonać blokadę twórczą, gdy ten pracował nad *Lekarzem na zastępstwo* i nie był pewien swojego pomysłu, by demoniczny lekarz ze stetoskopem czytał w myślach swoich pacjentów – a był świetny. To coś, co na pewno go wkurzy.

– Nie szukałbym mamy i nie próbowałbym dowiedzieć się, jak umarł tata – wyjaśnia Tagoe.

– Dlaczego nie? Gdybym wiedział więcej o dupku, który podpalił mi dom, wziąłbym udział w swojej pierwszej bójce.

– Obchodzą mnie wyłącznie ludzie, którzy chcą być częścią mojego życia. Na przykład Rufus. Pamiętasz, jak się bał przyznać przed nami do swojej orientacji, bo nie chciał przestać spać z nami w jednym pokoju, tak dobrze się bawiliśmy? Takiego człowieka chcę w swoim życiu. I chcę być częścią jego życia. Ile by nie trwało.

Tagoe znowu zdejmuje okulary i pozwala swojej szyi się wyszaleć.

KENDRICK O’CONNELL

10:03

Nikt z Prognozy Śmierci nie zadzwonił do Kendricka O’Connella tej nocy, bo Kendrick nie umrze dzisiaj. Może nie straci życia, lecz właśnie stracił pracę w sklepie z kanapkami. Kendrick nie zamierza oddawać swojego fartucha, ma to w dupie. Wychodzi ze sklepu i zapala papierosa.

Nigdy nie miał farta. Nawet kiedy w zeszłym roku rozbił bank z rozwodem rodziców, fortuna szybko się odwróciła. Jego matka i ojciec pasowali do siebie jak pięść do nosa; nawet dziewięcioletni Kendrick to widział. Niewiele wtedy wiedział, to samo można też o nim powiedzieć teraz, ale był całkiem pewien, że to nie miłość, gdy ojciec śpi na kanapie, a matka nie przejmuje się, gdy jej mąż zdradza ją z młodymi dziewczynami w Atlantic City (Kendrick mógłby nie wtykać nosa w nie swoje sprawy i może nieco mniej spostrzegawczy byłby szczęśliwszy).

Pierwszy czek z pieniędzmi z zasiłku na dzieci przyszedł akurat w momencie, gdy Kendrick potrzebował nowych tenisówek, bo stare się rozpadły; z przodu miał dziurę i inne dzieciaki w szkole żartowały, że jego buty „gadają” przy każdym kroku – otwierały się i zamykały, otwierały i zamykały jak usta. Kendrick błagał matkę o najnowsze jordany, na które wydała trzysta dolarów, bo chłopak „potrzebował zwycięstwa”.

A przynajmniej tak powiedziała dziadkowi od strony ojca, który był okropnym człowiekiem, ale to już inna historia.

Kendrick w nowych butach czuł się jak gigant… dopóki większy dzieciak nie rzucił się na niego i nie zdarł mu ich z nóg. Leciała mu krew z nosa, a stopy bolały od chodzenia w samych skarpetkach, czemu jednak udało się zaradzić, gdy jakiś chłopak w okularach zupełnie bez powodu oddał mu swoje tenisówki i paczkę chusteczek z plecaka. Kendrick nigdy więcej go nie zobaczył, nie poznał jego imienia, ale to nie miało dla niego znaczenia. Liczyło się, by nikt nigdy więcej nie skopał mu tyłka.

Właśnie wtedy Damien Rivas – niegdyś kolega z klasy, teraz już skreślony z listy uczniów – dał Kendrickowi siłę. Wystarczył weekend z nim, żeby Kendrick nauczył się, jak złamać nadgarstek każdemu, kto się na niego zamachnie. Damien wysłał go na ulicę, spuszczając ze smyczy jak wściekłego psa na niczego niespodziewających się licealistów. Kendrick podchodził do kogoś i powalał na ziemię jednym ciosem.

Kendrick stał się Królem Nokautu i jest nim do dzisiaj.

Królem Nokautu bez pracy.

Królem Nokautu, który nie ma się z kim bić, odkąd jego banda się rozpadła, gdy trzeci w hierarchii, Dziobak, znalazł sobie dziewczynę i postanowił ogarnąć swoje życie.

Królem Nokautu w królestwie pełnym ludzi, którzy ciągle drwią z niego tymi swoimi celami życiowymi, aż się prosząc o zwichnięcie szczęki.

MATEO

10:12

– Wiem, że nie powinienem mieć żadnych nowych pomysłów…

– No i się zaczyna – rzuca Rufus. Jedzie obok mnie na rowerze. Chciał, żebym wsiadł razem z nim na tę śmiertelną pułapkę. Nie zrobiłem tego wcześniej i nie zamierzam teraz. Nie mogłem jednak pozwolić, żeby moja paranoja przeszkodziła mu w jeżdżeniu. – O czym myślisz?

– Chcę iść na cmentarz i odwiedzić mamę. Znam ją tylko z opowieści taty i chciałbym spędzić z nią trochę czasu – wyjaśniam. – Chyba to cmentarzysko budek telefonicznych tak na mnie podziałało. – Tata zwykle odwiedzał mamę sam, bo mnie taka podróż za bardzo stresowała. – Chyba że wolałbyś robić coś innego.

– Naprawdę chcesz iść na cmentarz w dniu swojej śmierci?

– Tak.

– Piszę się na to. Jaki cmentarz?

– Evergreens Cemetery na Brooklynie. To blisko osiedla, na którym wychowała się mama.

Pojedziemy linią A z Columbus Circle do Broadway Junction.

Mijamy drogerię i Rufus chce do niej wejść.

– Czego ci trzeba? Wody?

– Chodź, nie pytaj – odpowiada. Prowadzi rower między regałami i zatrzymuje się przy przecenionych zabawkach. Są tam pistolety na wodę, modelina, ruchome figurki, piłki, gumki do ścierania i klocki Lego. – Proszę.

– Nie rozumiem… Ach.

– Zbieraj sprzęt, architekcie. – Rufus rusza do lady. – Pokażesz mi, na co cię stać.

Uśmiecham się, widząc ten mały cud, którego pewnie sam bym sobie nie sprawił. Wyciągam portfel, ale Rufus mnie powstrzymuje.

– Nie, ja stawiam. Odpłacę ci się za ten pomysł z Instagramem.

Kupuje klocki i wychodzimy. Wkłada plastikową torebkę do plecaka i idzie obok mnie. Opowiada, że zawsze chciał mieć jakieś zwierzę domowe, ale nie psa czy kota, bo jego matka miała silną alergię na sierść, tylko coś szalonego jak wąż albo fajnego jak królik. O ile tylko wąż i królik nie zostaliby współlokatorami, nie miałbym nic przeciwko.

Docieramy do przystanku Columbus Circle. Rufus znosi rower, a potem przechodzimy przez bramki i łapiemy pociąg linii A tuż przed odjazdem.

– Akurat się wyrobiliśmy – mówię.

– Byłoby szybciej, gdybyśmy pojechali rowerem – żartuje Rufus.

– A jeszcze szybciej, gdyby na cmentarz zawiózł nas karawan – mamroczę pod nosem.

Podobnie jak wtedy w środku nocy, w wagonie jest dość pusto, siedzi tu może kilkanaście osób. Zajmujemy miejsce przy plakacie reklamującym Arenę Podróżniczą.

– Miałeś nadzieję gdzieś podróżować?

– Do całego mnóstwa miejsc. Chciałem robić jakieś zajebiste rzeczy, na przykład pływać na desce w Maroku, latać lotnią

nad Rio de Janeiro albo może pływać z delfinami w Meksyku. Ale chciałem też robić zdjęcia przypadkowych miejsc na całym świecie, które są nie dość doceniane, bo nie mają takiej fajnej historii jak Krzywa Wieża w Pizie czy Koloseum, ale i tak są niesamowite.

– Podoba mi się to. Naprawdę. A co, twoim zdaniem…

Nagle światła migoczą i wszystko się wyłącza, nie słychać już nawet szumu wentylacji. Jesteśmy pod ziemią, w zupełnej ciemności. Ogłoszenie płynące z głośników oznajmia, że to krótkie opóźnienie i za chwilę system powinien zostać ponownie uruchomiony. Tylko że mam złe przeczucia; mamy z Rufusem większe zmartwienia niż opóźnienie. Nie zauważyłem nikogo podejrzanego w wagonie, ale utknęliśmy. Ktoś mógłby nas teraz dźgnąć nożem i nikt by nie zauważył, dopóki nie włączyłyby się światła. Przysuwam się bliżej Rufusa, noga przy nodze, i chronię go własnym ciałem, bo może w ten sposób kupię mu więcej czasu; dość, by zdążył zobaczyć się z Plutonami, o ile zostaną dzisiaj wypuszczeni. Może nawet uchronię go przed śmiercią, może sam zginę jako bohater i może Rufus będzie wyjątkiem od zasady, że Prognoza Śmierci nigdy się nie myli.

Obok coś się świeci, jakby latarka.

To telefon Rufusa.

Oddycham z trudem, serce mi wali i nie czuję się lepiej nawet wtedy, gdy Ostatni Przyjaciel masuje mi ramiona.

– Jo, nic nam nie będzie. Takie rzeczy ciągle się dzieją.

– Wcale nie – odpowiadam. Opóźnienia się zdarzają, ale światła nie wyłączają się tak często.

– Masz rację, wcale nie. – Sięga do plecaka i wyciąga klocki, po czym wysypuje część na moje kolana. – Masz. Zbuduj coś, Mateo.

Nie wiem, czy on też wierzy, że zaraz zginiemy, i dlatego chce, żebym coś stworzył przed odejściem, ale korzystam z jego sugestii. Serce ciągle mi wali, lecz przestaję się trząść, gdy sięgam po pierwszy klocek. Nie mam zielonego pojęcia, co buduję; pozwalam moim dłoniom kłaść bezmyślnie fundament z większych klocków, bo dosłownie pada na mnie jedyne źródło światła w całym wagonie.

– A ty chciałeś gdzieś pojechać? – pyta Rufus.

Dusi mnie mrok i to pytanie.

Szkoda, że nie miałem dość odwagi, by podróżować. Teraz, gdy już nie mam czasu jechać gdziekolwiek, chcę jechać wszędzie; chcę zgubić się na pustyni w Arabii Saudyjskiej; uciekać przed nietoperzami pod mostem Congress Avenue w Austin w Teksasie; zatrzymać się na noc na wyspie Hashima, w tej porzuconej kopalni w Japonii, którą nazywa się „Wyspą duchów"; przejechać się Koleją Śmierci w Tajlandii, bo nawet przy takiej nazwie istnieje szansa, że mógłbym przeżyć strome klify i rozklekotane drewniane mosty; i zobaczyć wszystko inne, każdą górę, rzekę, jaskinię, plażę, kraj, miasto, wieś, wszystko. Powinienem był robić znacznie więcej niż tylko oglądać filmy dokumentalne i vlogi kręcone w tych miejscach.

– Chciałbym pojechać gdziekolwiek, gdzie poczułbym dreszczyk emocji – odpowiadam w końcu. – Latanie lotnią nad Rio brzmi niesamowicie.

W połowie konstruowania budynku z klocków postanawiam wreszcie, co to będzie – sanktuarium. Przywodzi mi na myśl dom – miejsce, w którym chowałem się przed euforią. Teraz dostrzegam też drugą stronę monety i wiem, że mój dom utrzymał mnie przy życiu aż do teraz. Nie tylko utrzymywał przy życiu, ale też czynił szczęśliwym. Nie mogę go winić.

Gdy kończę budowę – w połowie rozmowy z Rufusem o tym, jak rodzice omal nie nazwali go Kane po ulubionym zapaśniku matki – oczy mi się zamykają i głowa opada. Zaraz jednak budzę się gwałtownie.

– Przepraszam. To nie tak, że mnie nudzisz. Lubię z tobą rozmawiać, eee, tylko jestem serio zmęczony. Wykończony właściwie, ale wiem, że nie powinienem spać, bo nie mam już czasu na drzemki. – Ten dzień naprawdę wysysa ze mnie resztki energii.

– Zamknij na chwilę oczy. I tak jeszcze nie ruszyliśmy, a tobie przyda się trochę odpoczynku. Obudzę cię, gdy dotrzemy do cmentarza. Przysięgam.

– Sam powinieneś się przespać.

– Nie jestem zmęczony.

To kłamstwo, ale wiem, że będzie się upierał przy swoim.

– Okej.

Opieram głowę, trzymając sanktuarium z klocków na kolanach. Wciąż czuję na sobie wzrok Rufusa, ale to pewnie zwidy. Z początku jest mi z tym dziwnie, ale potem przyjemnie, nawet jeśli się mylę, bo czuję, że mam swojego własnego opiekuna.

Mój Ostatni Przyjaciel mnie nie zostawi.

RUFUS

10:39

Muszę zrobić zdjęcie śpiącemu Mateo.

To brzmi dziwnie, bez kitu, ale chciałbym zachować ten błogi wyraz jego twarzy. To nie brzmi ani trochę mniej dziwnie, ja pierdolę. Chodzi też o ten moment. Jak często zdarza się, że siedzisz w kompletnych ciemnościach w pociągu z osiemnastoletnim chłopakiem z domkiem z klocków na kolanach, który właśnie jedzie na cmentarz, żeby odwiedzić grób matki? No właśnie. To się totalnie nadaje na Instagrama.

Wstaję, żeby mieć lepszy kadr. Celuję w ciemności i robię zdjęcie; flesz mnie oślepia. Chwilę później, bez kitu, zapalają się światła, wentylatory odpalają i znowu ruszamy.

– Jestem czarodziejem – mamroczę pod nosem. Serio, w ostatnim dniu życia odkrywam, że mam magiczne moce. Szkoda, że nikt tego nie nagrał. Filmik zrobiłby karierę w sieci.

Zdjęcie jest zajebiste. Wrzucę je, gdy tylko będę miał zasięg.

Dobrze, że pstryknąłem fotkę Mateo w tamtej chwili – tak, tak, dziwne – bo jego twarz zmienia się, lewe oko zaczyna drgać. Wygląda niespokojnie, oddycha ciężej i trochę się trzęsie. Jasna cholera, może ma epilepsję. Nie wiem, nie wspominał o niczym takim. Powinienem był zapytać. Już mam

wołać do ludzi w pociągu, czy wiedzą, co się robi, gdy ktoś ma napad padaczki, kiedy Mateo mamrocze:

– Nie, nie.

Chłopakowi przyśnił się koszmar.

Wyciągam rękę, żeby go uratować.

MATEO

10:42

Rufus mną potrząsa.

Nie jestem już na górze, wróciłem do pociągu. Włączyły się światła i jedziemy.

Biorę głęboki wdech i odwracam się w kierunku okna, by upewnić się, że nie ma tam żadnych głazów ani lecących w moją stronę bezgłowych ptaków.

– Zły sen, co?

– Przyśniło mi się, że jeżdżę na nartach.

– To pewnie przeze mnie. A co się stało we śnie?

– Zaczęło się od tego, że zjeżdżałem po takiej trasie dla dzieci.

– Oślej łączce?

Kiwam głową.

– Potem nagle zrobiło się bardzo stromo, zbocze było coraz bardziej śliskie, a ja zgubiłem kijki. Odwróciłem się, żeby ich poszukać, i zobaczyłem spadający za mną głaz. Znikąd robiło się głośniej i głośniej, chciałem się rzucić w bok, w kupę śniegu, ale spanikowałem. Już miałem skręcić na inne wzgórze, kiedy zobaczyłem swoje sanktuarium z klocków Lego, tylko wielkie jak górska chata, wtedy jednak zniknęły moje narty i zleciałem z góry, a bezgłowe ptaki krążyły mi nad głową. Spadałem i spadałem, bez końca.

Rufus uśmiecha się szeroko.

– To nie jest zabawne – mówię.

Przysuwa się, jego kolano dotyka mojego.

– Nic ci nie jest. Przysięgam, że nie musisz się martwić o ścigające cię głazy albo zjeżdżanie ze zbocza bez nart.

– A o wszystko inne?

Wzrusza ramionami.

– Bezgłowych ptaków też bym się nie spodziewał.

Szkoda, że to był prawdopodobnie mój ostatni sen.

Do tego beznadziejny.

DELILAH GREY

11:08

„Infinite Weekly” załatwiło ostatni wywiad z Howiem Maldonado.

Nie można tego samego powiedzieć o Delilah.

– Wiem wszystko o Howiem Maldonado – tłumaczy swojej szefowej, starszej redaktor Sandy Guerrero, ale ta nie chce jej słuchać.

– Jesteś tu za krótko, żeby robić coś tak ważnego – odpowiada, idąc w stronę czarnego samochodu wysłanego przez ludzi Maldonado.

– Wiem, że pracuję w absolutnie najgorszym boksie przy najstarszym komputerze, ale to nie znaczy jeszcze, że nie mam kwalifikacji potrzebnych do tego, by asystować ci przy tym wywiadzie. – Delilah sprawia wrażenie niewdzięcznej i aroganckiej, jednak nie zamierza cofać swoich słów. W tej branży może coś osiągnąć, tylko znając własną wartość. I zdobywając tę fuchę. Może i pijarowiec wybrał „Infinite Weekly” zamiast „People” ze względu na status Sandy w branży, ale Delilah wychowywała się nie tylko przy książkach ze Scorpiusem Hawthorne’em, ale też przy filmach, wszystkich ośmiu, które pielęgnowały jej miłość do tego medium. Z fanki stała się zawodowcem.

– Howie Maldonado nie jest ostatnią osobą, która umrze – stwierdza Sandy, otwierając drzwi auta i zdejmując okulary przeciwsłoneczne. – Masz przed sobą jeszcze całe życie na wypisywanie peanów na temat martwych celebrytów.

Delilah wciąż nie może uwierzyć, że Victor upadł tak nisko, angażując Prognozę Śmierci do odegrania się na niej.

Sandy przygląda się kolorowym włosom Delilah i dziewczyna żałuje, że nie ufarbowała ich z powrotem na brązowo zgodnie z sugestią szefowej, choćby po to, by teraz mieć u niej lepsze notowania.

– Wiesz, ile nagród MTV zdobył Howie? – pyta Delilah. – Albo jaki sport uprawiał jako dziecko? Ile ma rodzeństwa? Iloma językami się posługuje?

Sandy nie odpowiada, więc Delilah robi to za nią.

– Dwie nagrody za najlepszy czarny charakter. Uprawiał szermierkę. Jest jedynakiem. Mówi po angielsku i francusku… Sandy, proszę. Obiecuję, że nie zacznę się zachowywać jak szalona fanka. Nigdy nie będę miała drugiej szansy na spotkanie z Howiem.

Jego śmierć może na zawsze odmienić jej karierę.

Sandy kręci głową i wzdycha.

– Dobra. Zgodził się na wywiad, ale nie ma żadnych gwarancji. To oczywiste. Zarezerwowaliśmy prywatną salę restauracyjną i wciąż czekamy na potwierdzenie od pijarowca, że Howie przystał na te warunki. Najwcześniej może się z nami spotkać o drugiej.

Delilah już ma wsiąść do samochodu, kiedy szefowa grozi jej palcem.

– Wciąż jest dużo czasu przed spotkaniem – mówi. – Proszę, poszukaj egzemplarza książki Howiego. Tej, którą sam napisał. – Sarkazm w jej głosie jest tak wyraźny, że nie musi pokazywać cudzysłowu. – Mój syn będzie wniebowzięty, jeśli

zdobędę dla niego autograf. – Sandy zamyka drzwi i opuszcza szybę w oknie. – Na twoim miejscu nie marnowałabym więcej czasu.

Samochód rusza, a Delilah wyjmuje telefon, maszerując w dół ulicy, jednocześnie szukając w sieci adresów najbliższych księgarni. Potyka się na krawężniku i ląduje na jezdni; zbliża się jakieś auto, słychać klakson. Kierowca hamuje w ostatniej chwili. Serce jej wali jak oszalałe, w oczach stają łzy.

Jednak przeżyła, bo przecież dzisiaj nie umrze. Ludzie co chwilę się przewracają.

Nawet ci, którzy nie są Zgonersami, powtarza sobie w duchu.

MATEO

11:32

Chmurzy się, gdy wchodzimy na Evergreens Cemetery. Ostatni raz byłem tu z okazji Dnia Matki, gdy miałem dwanaście lat, i za nic nie potrafię sobie przypomnieć, które wejście znajduje się bliżej nagrobka, więc na pewno będziemy trochę krążyć. Wiatr niesie ze sobą zapach świeżo skoszonej trawy.

– Dziwne pytanie: wierzysz w życie pozagrobowe?

– To nie jest dziwne pytanie, przecież umieramy – odpowiada Rufus.

– Racja.

– Dziwna odpowiedź: wierzę w dwa życia pozagrobowe.

– Dwa?

– Dwa.

– Jakie?

Idziemy między nagrobkami – wiele jest tak zniszczonych, że nie widać już na nich napisów, a inne mają tak wysokie krzyże, że wyglądają jak miecze wbite w skały – i pod gałęziami wielkich dębów Rufus dzieli się ze mną teorią o zaświatach.

– Myślę, że my już nie żyjemy, stary. Nie wszyscy, tylko Zgonersi. Cała ta Prognoza Śmierci jest zbyt fantastyczna, żeby mogła być prawdziwa. Wiedzieć, który dzień będzie naszym ostatnim, żeby dobrze go przeżyć? Czysta fikcja. Nasze

pierwsze życie po życiu rozpoczyna się wtedy, gdy Prognoza Śmierci każe nam przeżyć dzień ze świadomością, że to już ostatni, żebyśmy wykorzystali go w pełni, przekonani, że wciąż nie umarliśmy. W ten sposób wchodzimy do następnego i ostatecznego życia pozagrobowego bez żadnego żalu. Czaisz?

Kiwam głową.

– Ciekawe – mówię. Jego życie pozagrobowe jest zdecydowanie bardziej imponujące i przemyślane niż taty, który wierzy w klasyczne złote bramy w niebiosach. Tak czy inaczej typowe zaświaty są lepsze niż żadne, tak jak jest to w przypadku Lidii. – Ale czy nie byłoby lepiej, żebyśmy wiedzieli, że nie żyjemy? Żebyśmy nie bali się tego, jak to się odbędzie.

– To by wszystko zniszczyło. – Rufus prowadzi rower przy cherubie z kamienia. – Masz czuć, że to prawda, ryzyko ma cię przerażać, a pożegnania boleć. Inaczej wszystko wydawałoby się tanie, jak w Spraw-Sobie-Przeżycie. Gdybyśmy zostali dłużej niż jeden dzień, zmienilibyśmy się w duchy, które dręczą i zabijają ludzi, a nikt tego nie chce.

Śmiejemy się przy grobach nieznajomych i chociaż rozmawiamy o zaświatach, zapominam przez chwilę, że to tutaj trafimy po śmierci.

– A jaki jest następny poziom? Naciska się przycisk windy i jedzie w górę?

– Nie. Twój czas się kończy i, nie wiem, znikasz albo coś, po czym pojawiasz się w miejscu, które ludzie nazywają niebem. Nie jestem religijny. Wierzę, że istnieje jakiś stwórca i jakieś miejsce, gdzie martwi mogą się pokręcić, ale nie ograniczam tego wszystkiego do Boga i nieba.

– Ja też! To samo myślę o tym całym Bogu.

I może pozostała część teorii Rufusa też się zgadza. Może już jestem trupem i zostałem sparowany z osobą, która zmieni

moje życie, w ramach nagrody za zrobienie czegoś nowego i odważnego, na przykład skorzystanie z aplikacji Ostatni Przyjaciel. Może.

– A jak wygląda twoje drugie życie pozagrobowe?

– Jest takie, jakie tylko zechcesz. Bez ograniczeń. Jeśli lubisz anioły, aureole i widmowe psy, spoko. Jeśli chcesz latać, też fajnie. Jeśli chcesz cofnąć się w czasie, cofasz się w czasie.

– Dużo o tym myślałeś – stwierdzam.

– To przez rozmowy do późna z Plutonami.

Zmieniam temat.

– Mam nadzieję, że reinkarnacja naprawdę istnieje – mówię cicho. Już przekonuję się, że jeden dzień na wyprostowanie wszystkiego to za mało. Jedno życie to za mało. Dotykam kolejnych nagrobków, zastanawiając się, czy ktoś tutaj już został reinkarnowany. Może ja byłem jedną z tych osób. Jeśli tak, zawiodłem swoje poprzednie wcielenie.

– Ja też. Chciałbym dostać jeszcze jedną szansę, ale nie liczę na nią. A jak wyglądają twoje zaświaty?

Widzę już spory nagrobek przypominający jasnoniebieski dzbanek i wiem, że kilka rzędów dalej znajduje się grób mojej mamy. Kiedy byłem młodszy, udawałem, że ten dzbanek to lampa Aladyna. Że mógłbym zażyczyć sobie u dżina powrotu mamy i dopełnienia rodziny. Ale to nigdy nie działało.

– Są jak kino domowe, gdzie możesz odtworzyć całe swoje życie, od początku do końca. I załóżmy, że matka zaprosi mnie do swojego kina, żebym mógł obejrzeć jej życie. Mam tylko nadzieję, że ktoś będzie wiedział, które momenty powinny zostać ucięte, żebym nie miał traumy przez resztę życia pozagrobowego – tłumaczę. Nie potrafiłem przekonać Lidii do tej wizji, niestety, chociaż przyznała, że brzmi nawet spoko. –

O! I jest też transkrypcja wszystkiego, co się kiedykolwiek powiedziało, od narodzin i…

Milknę, bo dotarliśmy na koniec ścieżki i widzę, że obok grobu mojej mamy jakiś mężczyzna kopie kolejny dół, a dozorca stawia nagrobek z moim nazwiskiem i datami.

A przecież jeszcze nie umarłem.

Ręce mi się trzęsą i omal nie upuszczam sanktuarium.

– I? – pyta Rufus, po czym szybko dodaje: – Och.

Podchodzę do swojego grobu.

Zdaję sobie sprawę, że wykopuje się je z wyprzedzeniem, ale minęło dopiero jedenaście godzin od powiadomienia. Wiem, że mój ostateczny nagrobek będzie gotowy dopiero za kilka dni, ale to nie ten tymczasowy wyprowadza mnie z równowagi. Nikt nie powinien być świadkiem powstawania własnego grobu.

Czuję się pozbawiony nadziei zbyt krótko po tym, jak uwierzyłem, że Rufus zmieni moje życie. Chłopak rzuca rower na ziemię. Zbliża się do grabarza i kładzie mu rękę na ramieniu.

– Czy mógłby nas pan zostawić na kilka minut?

Brodaty grabarz, ubrany w brudną koszulę, odwraca się najpierw do mnie, a potem znowu do grobu mojej matki.

– To matka tego dzieciaka? – pyta i wraca do pracy.

– Tak. A pan właśnie kopie jego grób – mówi Rufus, gdy liście szeleszczą i łopata zbiera piach.

– Fuj. Moje kondolencje, ale zatrzymanie mnie nic nie zmieni, jedynie opóźni. Chciałem załatwić to wcześniej, żeby wyjechać z miasta…

– Nie obchodzi mnie to! – Rufus robi krok do tyłu, zaciskając dłonie w pięści, a ja boję się, że zaraz rzuci się na tego gościa. – Zaraz mnie coś… Proszę o dziesięć minut! Idź pan kopać grób kogoś, kto nad nim nie stoi!

Drugi facet, który stawiał mój nagrobek, odciąga grabarza. Obaj przeklinają pod nosem coś o „tych młodych Zgonersach”, ale trzymają się z boku.

Chciałbym podziękować im i Rufusowi, ale czuję, że opadam, że kręci mi się w głowie. Ledwo udaje mi się wytrwać na nogach i dotrzeć do nagrobka mamy.

ESTRELLA ROSA-TORREZ
7 LIPCA 1969
17 LIPCA 1999
UKOCHANA MATKA I ŻONA
NA ZAWSZE W NASZYCH SERCACH

– Mogę zostać na chwilę sam z mamą?

Nawet się nie odwracam, bo utknąłem, gapiąc się na datę jej śmierci i moich narodzin.

– Nie będę daleko – odpowiada Rufus. Możliwe, że faktycznie nie odchodzi zbyt daleko, może tylko kilka kroków, a może wcale się nie rusza, ale ufam mu. Będzie w zasięgu wzroku, gdy się odwrócę.

Życie zatoczyło pełne koło dla mojej matki i dla mnie. Ona umarła w dniu moich narodzin, a ja teraz zostanę pochowany obok niej; to nasze ponowne zjednoczenie. Gdy miałem osiem lat, dziwne wydało mi się sformułowanie o „ukochanej matce” w inskrypcji, skoro właściwie matką była tylko przez dziewięć miesięcy ciąży. Dziesięć lat później jestem już mądrzejszy. A jednak nigdy nie czułem, że jest moją mamą, bo nigdy nie miała okazji się ze mną pobawić, to nie ona wzięła mnie w ramiona, gdy zrobiłem pierwsze kroki, nie nauczyła mnie wiązać butów ani niczego innego. Jednak tata łagodnym tonem przypomniał mi, że nie mogła zrobić żadnej z tych rzeczy, ponieważ nastąpiły komplikacje przy porodzie –

„bardzo poważne”, powiedział – a ona zadbała o moje zdrowie w pierwszej kolejności. Tym zdecydowanie zasłużyła sobie na „ukochaną matkę” na nagrobku.

Klękam przed jej grobem.

– Hej, mamo. Cieszysz się, że niedługo mnie poznasz? Wiem, że mnie stworzyłaś, ale jak się tak zastanowić, jesteśmy sobie obcy. Jestem pewien, że już o tym myślałaś. Miałaś na to mnóstwo czasu w swoim kinie domowym, bo wykrwawiłaś się, gdy ja wrzeszczałem w rękach pielęgniarki. Może poradziłaby coś na ten krwotok, gdyby nie musiała mnie trzymać. Nie wiem. Naprawdę mi przykro, że musiałaś umrzeć, żebym ja mógł przeżyć, serio. Mam nadzieję, że nie naślesz na mnie patrolu granicznego, żeby mnie nie wpuścili, gdy już wreszcie umrę. Ale przecież wiem, że taka nie jesteś, bo tata mi o tobie opowiadał. Jedną z moich ulubionych historii jest ta, w której odwiedziłaś swoją matkę w szpitalu, kilka dni przed jej śmiercią, a jej koleżanka z sali cierpiąca na Alzheimera ciągle pytała, czy chcesz poznać jej sekret. Powtarzałaś ciągle, że tak, chociaż doskonale wiedziałaś, że chowała kiedyś czekoladę przed dziećmi, gdy były młodsze, bo strasznie lubiła słodycze. – Kładę dłoń na płycie nagrobka; nigdy nie będę bliżej trzymania ją za rękę. – Mamo, czy znajdę tam na górze miłość, skoro na dole nigdy mi się to nie udało?

Nie odpowiada. Nie czuję tajemniczego ciepła rozlewającego się po ciele, nie ma żadnego nagłego podmuchu wiatru. Ale to nic. Niedługo sam się przekonam.

– Proszę, opiekuj się mną dzisiaj, mamo, ten jeden ostatni raz, bo wiem, że nie jestem jeszcze martwy, wbrew temu, co twierdzi Rufus. I chciałbym przeżyć swój dzień zmieniający życie. Do zobaczenia niedługo.

Podnoszę się i odwracam w stronę swojego otwartego grobu, który jest może na metr głęboki i nierówny. Wchodzę do niego,

siadam i przykładam głowę do boku, którego grabarz jeszcze nie skończył. Trzymam sanktuarium z klocków Lego na kolanach i pewnie wyglądam jak dzieciak bawiący się zabawkami w parku.

– Mogę do ciebie dołączyć? – pyta Rufus.

– Nie ma miejsca. Załatw sobie własny grób.

Rufus i tak wchodzi, trąca moje stopy i wciska się, kładąc jedną nogę na mojej, żeby się zmieścić.

– Nie będę miał grobu. Zostanę skremowany, tak jak moja rodzina.

– Masz jeszcze ich prochy? Moglibyśmy je gdzieś rozrzucić. Na Odliczaczach jest takie forum, bardzo popularne, o rozstawaniu się z prochami…

– Zajęliśmy się już tym z Plutonami miesiąc temu – przerywa mi Rufus. Chyba powinienem ograniczyć opowiadanie historii o nieznajomych z sieci. – Rozsypaliśmy je przed moim starym domem. Potem poczułem się dziko pusty, ale teraz są u siebie. Chcę, żeby Plutoni mnie rozsypali gdzie indziej.

– Czyli gdzie?

– W parku Althea.

– Uwielbiam to miejsce.

– Skąd je znasz?

– Chodziłem tam, gdy byłem młodszy, zawsze z tatą. Uczył mnie o różnych chmurach, a ja wykrzykiwałem, jakie widzę na niebie, huśtając się w ich stronę. Dlaczego tak bardzo lubisz ten park?

– Sam nie wiem. Często zdarzało mi się tam trafiać. Tam pocałowałem pierwszą dziewczynę, Cathy. Byłem tam po śmierci rodziców i po pierwszym maratonie na rowerze. Lubię myśleć, że to moje miejsce na ważne chwile.

I oto siedzimy we dwóch w na wpół wykopanym grobie, opowiadając sobie historyjki w powoli rozkręcającym się

deszczu, jakbyśmy wcale nie mieli dzisiaj umrzeć. Te momenty zapomnienia i ulgi wystarczają, żebym zebrał energię na resztę dnia.

– Dziwne pytanie: wierzysz w przeznaczenie?

– Dziwna odpowiedź: wierzę w dwa przeznaczenia – stwierdza Rufus.

– Serio?

– Nie. – Uśmiecha się. – Nie wierzę nawet w jedno. A ty?

– A jak inaczej wytłumaczysz nasze spotkanie?

– Obaj ściągnęliśmy aplikację i zgodziliśmy się spędzić ze sobą trochę czasu.

– Ale popatrz na nas. Moja mama i twoi rodzice nie żyją. Mój ojciec jest poza zasięgiem. Gdyby nasi rodzice byli przy nas, nie odnaleźlibyśmy się jako Ostatni Przyjaciele. – Aplikacja została zaprojektowana głównie dla dorosłych, nie nastolatków. – Jeśli potrafisz uwierzyć w dwa życia pozagrobowe, możesz uwierzyć, że wszechświat bawi się nami jak marionetkami. Nie?

Deszcz zaczyna mocniej padać. Rufus kiwa głową, wstaje jako pierwszy i wyciąga do mnie rękę; zdaję sobie sprawę, że pomaga mi wstać z grobu. Wychodzę i zbliżam się do nagrobka mamy, by pocałować jej wyryte imię.

Zostawiam zabawkowe sanktuarium przy kamieniu. Odwracam się akurat w porę, by zauważyć, jak Rufus robi mi zdjęcie. Naprawdę lubi uwieczniać ważne chwile.

Ostatni raz spoglądam na nagrobek.

MATEO TORREZ JR.
17 LIPCA 1999

Lada chwila dodadzą dzień mojej śmierci: 5 września 2017.

Inskrypcję też. Nic nie szkodzi, że jeszcze jej nie ma. Wiem, co się tu znajdzie, i wiem, że postaram się żyć tak, jak głoszę: *Żył dla wszystkich*. Słowa z czasem się zatrą, ale nigdy nie przestaną być prawdziwe.

Rufus prowadzi rower mokrą i zabłoconą ścieżką, zostawiając ślady opon. Idę za nim, moje wnętrzności wydają się cięższe z każdym krokiem oddalającym mnie od matki i mojego otwartego grobu. Wiem, że niedługo tam wrócę.

– Sprzedałeś mi ten pomysł z przeznaczeniem – oznajmia Rufus. – Dokończ opowiadać o życiu pozagrobowym.

Spełniam jego prośbę.

Część trzecia
POCZĄTEK

„To nie śmierci powinien się człowiek bać, lecz tego, że nigdy nie zacznie żyć".

— Marek Aureliusz

MATEO

12:22

Dwanaście godzin temu odebrałem telefon i usłyszałem, że umrę. W typowy dla siebie sposób wielokrotnie się już żegnałem – z tatą, najlepszą przyjaciółką, chrześnicą i ulubionym nauczycielem – i wydaje mi się, że najważniejsze pożegnanie było ze starym Mateo; zostawiłem go w domu, gdy mój Ostatni Przyjaciel wybrał mnie i zaprosił do wyjścia na świat, który próbuje nas dorwać. Rufus tak wiele dla mnie zrobił, a ja też zamierzam pomóc mu stawić czoła ścigającym go demonom – tylko że nie możemy wyciągnąć płonących mieczy czy krucyfiksów, którymi można rzucać jak shurikenami niczym w moich ulubionych książkach fantasy. Ale jego towarzystwo mi pomogło, więc może jemu pomoże moje.

Dwanaście godzin temu odebrałem telefon i usłyszałem, że umrę. Teraz żyję bardziej niż wtedy.

RUFUS

12:35

Nie wiem, gdzie mnie prowadzi Mateo, ale to nic, bo deszcz przestał padać, a ja odzyskałem siły i po dobrej drzemce w drodze powrotnej do miasta jestem gotowy do działania. Szkoda, że nic mi się nie przyśniło, za to przynajmniej nie miałem koszmaru. Trochę wygrałem, trochę przegrałem.

Odpuszczam Arenę Podróżniczą, bo o tej porze jest tam strasznie tłoczno, jak zauważył Mateo, więc jeśli za kilka godzin nadal będziemy żyli, istnieje większa szansa, że nie zmarnujemy za dużo czasu w kolejce. Musimy po prostu poczekać, aż tłum się przerzedzi. Może głupio tak myśleć o tych ludziach, ale przecież mówię prawdę. Mam nadzieję na coś lepszego niż to gówno w Spraw-Sobie-Przeżycie. Założę się, że Mateo wymyślił sobie jakiś wolontariat albo rozmawiał w tajemnicy z Aimee i zaaranżował z nią jakieś spotkanie, żeby mogła się ze mną pogodzić, zanim umrę.

Byliśmy w Chelsea dobre dziesięć minut, w parku przy molo. Jestem jednym z tych gości, których nienawidzę – idę ścieżką rowerową, chociaż widać wyraźnie oddzielony chodnik dla spacerowiczów i biegaczy. Będę miał przekichane w kwestii karmy, bez kitu. Mateo prowadzi mnie w kierunku molo, zatrzymuję się.

– Chcesz mnie rzucić do wody? – pytam.

– Ważysz ze dwadzieścia kilogramów więcej ode mnie – odpowiada. – Jesteś bezpieczny. Powiedziałeś, że rozsypanie prochów rodziców i siostry niewiele ci dało. Pomyślałem, że może tutaj uda ci się jakoś zamknąć ten rozdział.

– Do wypadku doszło daleko stąd – wyjaśniam. Mam nadzieję, że już wymieniono barierki, które skosił nasz samochód, ale kto tam wie.

– To nie musi być miejsce wypadku. Może sama rzeka wystarczy.

– Nie wiem, co miałoby z tego wyniknąć.

– Też nie jestem pewien i jeśli nie czujesz się komfortowo, możemy zawrócić i zrobić coś innego. Odwiedziny grobu matki przyniosły mi ukojenie, którego się nie spodziewałem, i naprawdę chciałbym, żebyś doświadczył tego samego cudu.

Wzruszam ramionami.

– Skoro już tu jesteśmy, dawaj ten cud.

Przy przystani nie ma żadnych łódek, co jest ogromną stratą miejsca, trochę jak pusty parking. W lipcu poszedłem na inną przystań, kawałek stąd, z Aimee i Tagoe, bo chcieli zobaczyć posągi nad wodą, a potem jeszcze tydzień później, bo Malcolm wtedy nie mógł ze względu na zatrucie pokarmowe.

Idziemy na molo. Nie jest zbudowane z drewna, inaczej byłbym zbyt zestrachany. Chyba zaraziłem się paranoją Mateo jak przeziębieniem. Molo jest betonowe i solidne, nie zapadnie się pode mną, ale śmiało możecie postawić dolara na to, że przejadę się jeszcze na tym optymizmie. Docieramy do końca, a ja chwytam stalową barierkę, żeby wychylić się i spojrzeć na prąd rzeki.

– Jak się czujesz? – pyta Mateo.

– Jakby cały ten dzień był jakimś nieśmiesznym żartem, który zrobił mi świat – odpowiadam. – Ty jesteś wynajętym aktorem, a już za moment rodzice, Olivia i Plutoni wyskoczą

z jakiegoś vana i krzykną: „Niespodzianka!”. Nawet bym się bardzo nie wkurzył. Najpierw bym ich uściskał, a potem udusił.

To fajna myśl, pomijając masakrę.

– Czyli jednak byś się wkurzył.

– Bardzo długo wkurzałem się na rodzinę za to, że mnie zostawiła, Mateo. Wszyscy ględzą o poczuciu winy jedynego ocalałego i niby mają trochę racji, ale… – Nigdy nie rozmawiałem na ten temat z Plutonami, nawet z Aimee, gdy była jeszcze moją dziewczyną, bo to zbyt okropne. – Ale to ja ich zostawiłem. To ja wydostałem się z tonącego samochodu i odpłynąłem. Do dziś się zastanawiam, czy w ogóle zrobiłem to świadomie, czy zadziałał instynkt. Jak wtedy, gdy zabierasz rękę z rozgrzanej kuchenki, w ogóle o tym nie myśląc. Byłoby tak łatwo utonąć razem z nimi, nawet jeśli nie dzwonili do mnie z Prognozy. Skoro tak łatwo było mi prawie umrzeć, może oni powinni byli bardziej się postarać i zawalczyć o życie. Może Prognoza Śmierci nie miała racji!

Mateo podchodzi i kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Nie myśl o takich rzeczach, bo oszalejesz. Na Odliczaczach są całe fora pełne Zgonersów, którzy są przekonani o swojej wyjątkowości. Kiedy dzwoni Prognoza Śmierci, gra skończona. Nic nie mogłeś poradzić i oni też nic nie mogli zrobić.

– Mogłem usiąść za kółkiem – odparowuję, strzepując jego dłoń. – To był pomysł Olivii, skoro już miałem jechać z nimi. W ten sposób „Zgoner nie prowadziłby nas na śmierć”, ale byłem zbyt zdenerwowany i przygnębiony, i wkurzony, i samotny. Może dzięki mnie zyskaliby jeszcze kilka godzin. Może nie poddaliby się, gdy sytuacja wydawała się beznadziejna. Ale gdy wydostawałem się z samochodu, oni tylko siedzieli, Mateo. Nie walczyli. – Interesowało ich tylko to, żebym ja się uwolnił. – Tata natychmiast sięgnął do moich

drzwi, mama tak samo, z tylnego siedzenia. Mogłem sam sobie otworzyć, przecież ręka mi nigdzie nie utknęła ani nic. Trochę byłem skołowany, oczywiście, bo nasz samochód wpadł do pieprzonej rzeki, ale się ocknąłem. Lecz oni się poddali, gdy tylko moje drzwi ustąpiły, Olivia nawet nie próbowała dostać się do wyjścia.

A ja zostałem zmuszony do czekania w karetce, z ręcznikiem śmierdzącym wybielaczem, gdy strażacy wyciągali ich z wody.

– Nie obwiniaj się. – Zwiesza głowę. – Zostawię cię tutaj na minutę samego, ale będę czekał. Mam nadzieję, że tego chcesz. – Odchodzi, zanim zdążę odpowiedzieć, i zabiera ze sobą mój rower.

Nie wydaje mi się, by minuta wystarczyła, lecz zaraz poddaję się i zaczynam płakać, jak nie płakałem od tygodni, uderzając pięścią w barierkę. Robię to raz po raz, aż mi brakuje tchu. Biję w barierkę, bo moja rodzina nie żyje, bo moja była dziewczyna wywinęła nam taki numer, bo poznałem nowego, zajebistego przyjaciela, a nie spędzimy razem nawet jednego pełnego dnia. Przestaję w końcu i brakuje mi tchu, jakbym właśnie wygrał bójkę z dziesięcioma kolesiami. Nie chcę już nawet zdjęcia rzeki Hudson, więc odwracam się i zostawiam ją za plecami, idąc do Mateo, który jeździ w kółko na moim rowerze.

– Wygrałeś, to był dobry pomysł – mówię, a on nie szczyci się tym jak Malcolm ani nie kpi ze mnie jak Aimee za każdym razem, gdy wygrywała ze mną w statki. – Sorki za to, że tak mnie poniosło.

– Potrzebowałeś tego – odpowiada, nie zatrzymując się. Trochę kręci mi się w głowie, gdy na niego patrzę.

– Racja.

– Gdybyś znowu tego potrzebował, jestem z tobą. Ostatni Przyjaciele do końca.

DELILAH GREY

12:52

Delilah pędzi do jedynej księgarni w mieście, w której jakimś cudem znajduje się powieść science fiction Howiego Maldonado pod tytułem *Zaginiony bliźniak Kościanej Zatoki*.

Dziewczyna biegnie do wejścia, trzymając się z dala od krawężnika, ignorując zaczepkę jakiegoś łysiejącego faceta z dużą torbą sportową i mijając dwóch chłopaków z rowerem.

Modli się, żeby Howie Maldonado nie przyśpieszył wywiadu zanim ona tam dotrze, ale nagle przypomina sobie, że w kończącym się życiu mężczyzny może się wydarzyć coś znacznie poważniejszego.

VIN PEARCE

12:55

Herold z Prognozy Śmierci zadzwonił do Vina Pearce'a dwie minuty po dwunastej, by poinformować go o rychłej śmierci, co nie jest takie znowu zaskakujące.

Vin jest wkurzony, że piękna dziewczyna z kolorowymi włosami go zignorowała, że nigdy się nie ożenił, że tego ranka odrzuciły go wszystkie kobiety na *Necro*, że ci chłopcy z rowerem weszli w drogę masakry, jaką zamierza za sobą zostawić. Ten w stroju rowerzysty jest taki powolny, zajmuje cały chodnik, prowadząc swoje dwa kółka – jakby nie mógł na niego wsiąść! Rower służy do jeżdżenia, a nie do prowadzenia jak wózek. Vin pcha się do przodu, bez względu na konsekwencje, trącając chłopaka ramieniem.

Dzieciak syczy ze złości, ale kolega łapie go za łokieć i przytrzymuje.

Vin lubi, gdy ludzie się go boją. Lubił to w świecie zewnętrznym, ale uwielbiał na ringu. Cztery miesiące temu Vinowi zaczęły dokuczać bóle mięśni, jednak nie chciał sam przed sobą przyznać się do słabości. Podnoszenie ciężarów wymagało od niego dużo wysiłku, a przynosiło niewielkie rezultaty; serie po dwadzieścia pompek zmieniły się w serie po cztery, i to w dobre dni; trener kazał mu bezterminowo zejść z ringu, bo walka była niemożliwa. Jego rodzinie choroby

towarzyszyły od zawsze – ojciec zmarł lata po tym, jak stwierdzono u niego stwardnienie rozsiane, ciotka umarła po pęknięciu ciąży pozamacicznej, i tak dalej – ale myślał, że on jest lepszy, silniejszy. Był na drodze do ogromnych sukcesów, nie miał co do tego żadnych wątpliwości, widział siebie na mistrzostwach świata i pośród niewyobrażalnych bogactw. A jednak powaliła go przewlekła choroba mięśni i stracił wszystko.

Vin wchodzi do sali gimnastycznej, gdzie spędził ostatnie siedem lat, trenując, by zostać kolejnym mistrzem wagi ciężkiej, a zapach potu i brudnych butów przynosi ze sobą falę wspomnień. Jedyne liczące się w tej chwili dotyczy tego, jak trener kazał mu się spakować i zasugerował obranie nowej ścieżki kariery, na przykład komentatora zawodów albo trenowanie innych zawodników.

Co za potwarz.

Vin przemyka do pomieszczenia z generatorem i wyciąga z torby skonstruowaną przez siebie bombę.

Vin zamierza umrzeć tam, gdzie powstał na nowo. Lecz nie sam.

MATEO

12:58

Mijamy księgarnię z wystawą pełną klasyki oraz najnowszych tytułów poukładanych na dziecięcych krzesełkach, jakby siedziały w poczekalni, gotowe, by ktoś je kupił i przeczytał. Przydałoby mi się trochę lżejszych klimatów po tym groźnym spojrzeniu, jakie rzucił na nas tamten gość z torbą.

Rufus robi zdjęcie wystawy.

– Możemy wejść.

– Zajmie mi to góra dwadzieścia minut – obiecuję.

Wchodzimy do Otwartej Księgarni. Podoba mi się ta optymistyczna nazwa.

To najlepszy/najgorszy pomysł na świecie. Przecież nie mam czasu, żeby przeczytać którąkolwiek z tych książek. Za to nigdy nie byłem w tej księgarni, bo zazwyczaj zamawiam książki przez internet albo wypożyczam ze szkolnej biblioteki. Może regał się na mnie przewróci i właśnie tak zginę – boleśnie, lecz nie tak znowu najgorzej.

Wpadam na stolik, przyglądając się zabytkowemu zegarowi na szczycie jednego z regałów, i przewracam wystawkę książek o szkole. Przepraszam księgarza – Joela, jak wynika z jego plakietki – a on mówi, żebym się nie przejmował, i pomaga mi.

Rufus zostawia rower przed wejściem i rusza za mną na spacer między regałami. Czytam polecenia od pracowników,

różne tytuły zapisane odmiennymi charakterami pisma, niektóre mniej wyraźnie od innych. Staram się unikać sekcji o żałobie, ale moją uwagę zwracają dwie książki. Jedna to *Witaj, Deborah, dawna moja przyjaciółko*, biografia Katherine Everett-Hasting, która wywołała pewne kontrowersje. Druga to ten słynny poradnik, o którym ludzie nie przestają gadać: *Jak mówić o śmierci, gdy niespodziewanie umierasz*. Napisał go ktoś, kto jeszcze żyje. Nie czaję tego.

W sekcjach z thrillerami i literaturą dla młodzieży mają mnóstwo moich ulubionych książek.

Zatrzymuję się przed regałem z romansami, gdzie stoi kilkanaście książek owiniętych szarym papierem z pieczątką „Randka w ciemno z literaturą". Niżej są wypisane różne wskazówki, które pomagają ocenić, czy dany tytuł będzie interesujący. To trochę jak czytanie profilu kogoś, kogo spotykasz w internecie. Kogoś takiego jak mój Ostatni Przyjaciel.

– Spotykałeś się kiedyś z kimś? – pyta Rufus.

Odpowiedź wydaje się oczywista. Fajnie, że w ogóle jeszcze ma jakieś wątpliwości.

– Nie. – Zakochiwałem się tylko, ale ze wstydem przyznaję, że to byli bohaterowie książek i programów telewizyjnych. – Przegapiłem. Może w następnym życiu.

– Może.

Czuję, że jest coś, co chciałby mi powiedzieć; może rzucić żartem o tym, że powinienem zapisać się do *Necro*, żeby nie umrzeć jako prawiczek, jakby seks i miłość były tym samym. Jednak milczy.

Może kompletnie się pomyliłem.

– Aimee była twoją pierwszą dziewczyną? – pytam i sięgam po książkę owiniętą papierem z ilustracją uciekającego złoczyńcy, który niesie wielką kartę do gry, kier: *Złodziej serc*.

– Pierwszą, z którą byłem w związku – odpowiada Rufus, bawiąc się obrotowym stojakiem z pamiątkowymi pocztówkami z Nowego Jorku. – Ale bujałem się w znajomych ze starej szkoły. Nic z tego nie wyszło, ale próbowałem. Zbliżyłeś się kiedyś do kogoś? – Wyjmuje kartkę z Mostem Brooklińskim. – Możesz wysłać mu pocztówkę.

Pocztówki.

Uśmiecham się i biorę jedną, drugą, czwartą, szóstą, dwunastą.

– No, kochliwy jesteś – stwierdza Rufus.

Idę do kasy, gdzie znowu obsługuje mnie Joel.

– Powinniśmy porozsyłać kartki, wiesz? – Nie mówię wprost, o co chodzi, bo wolałbym nie informować księgarza, że jego dwóch klientów umrze w wieku siedemnastu i osiemnastu lat. Nie chcę mu psuć dnia. – Plutonom, znajomym z klasy…

– Nie znam ich adresów.

– Wyślij do szkoły. Będą tam mieli adresy ich wszystkich.

Sam właśnie to chcę teraz zrobić. Kupuję tajemniczą książkę i pocztówki, dziękuję Joelowi za pomoc i wychodzimy. Rufus powiedział, że najważniejsze w relacjach jest mówienie rzeczy wprost. Posłużą mi do tego pocztówki, ale też głos.

– Miałem dziewięć lat, kiedy zapytałem tatę o miłość – mówię, oglądając raz jeszcze na widokówkach miejsca, których nigdy wcześniej nie widziałem. – Chciałem wiedzieć, czy kryje się pod kanapą, czy wysoko w szafie, gdzie nie mogłem jeszcze dosięgnąć. Nie powiedział ani słowa o „miłości w środku” albo „miłości wszędzie dokoła”.

Rufus idzie obok mnie i prowadzi rower, mijamy siłownię.

– Zaciekawiłeś mnie. Co powiedział?

– „Miłość to supermoc, i obaj ją posiadamy”. I że czasami nie mamy nad nią kontroli. Zwłaszcza gdy jesteśmy starsi. Czasami po prostu szaleje i nie powinienem się bać, jeśli

uderzy w kogoś niespodziewanego. – Moja twarz robi się ciepła i żałuję, że nie mam supermocy w postaci zdrowego rozsądku, bo zdecydowanie nie powinienem mówić takich rzeczy na głos. – To było głupie. Przepraszam.

Rufus zatrzymuje się i uśmiecha.

– Nie, podobało mi się. Dzięki za tę historię, Super Mateo.

– Właściwie to jestem Mega Master Mateo Manem. Ogarniaj, mój pomagierze. – Podnoszę wzrok znad pocztówek. On ma naprawdę ładne oczy. Są brązowe i zmęczone, chociaż się zdrzemnął. – Jak rozpoznać miłość?

– Eee…

Słychać brzęk tłuczonego szkła i nagle odrzuca nas do tyłu, gdy ogień dociera do wrzeszczących ludzi. To nasz koniec. Uderzam w samochód od strony kierowcy, moje ramię boleśnie obija się o lusterko. Widzę tylko ciemność i ogień, ciemność i ogień. Coś mi strzyka w karku, gdy się odwracam i dostrzegam obok Rufusa, jego piękne brązowe oczy są zamknięte. Otaczają go pocztówki z Mostem Brooklińskim, Statuą Wolności, Union Square i Empire State Building. Czołgam się z jego stronę i spinam, wyciągając do niego rękę. Czuję, jak bije mu serce, podobnie jak moje, rozpaczliwie nie chcąc się zatrzymać, zwłaszcza nie pośród takiego chaosu. Oddychamy z trudem, jesteśmy wystraszeni. Nie mam pojęcia, co się stało, tylko tyle, że Rufus próbuje otworzyć oczy, a inni krzyczą. Ale nie wszyscy. Na ziemi leżą ciała, twarzami w dół, a obok jednej kobiety z kolorowymi włosami, która z trudem się podnosi, leży inna, tylko że jej oczy są zwrócone ku niebu, a krew zabarwia wodę w kałuży.

RUFUS

13:14

Jo. Trochę ponad dwanaście godzin temu koleś z Prognozy Śmierci ostrzegł mnie, że dzisiaj będzie po mnie. Siedzę właśnie na krawężniku i obejmuję kolana ramionami, jak wtedy w karetce, gdy zginęła moja rodzina, kompletnie rozwalony po tym wybuchu, jaki widzi się tylko w filmach. Wszędzie słychać syreny policji i pogotowia, a strażacy zajmują się płonącą salą gimnastyczną, chociaż dla zbyt wielu ludzi jest już za późno. Zgonersi powinni zacząć nosić specjalne obroże albo kurtki, ostrzegające, że znaleźliśmy się w niebezpiecznej strefie. Wystarczyłaby minuta albo dwie, żebyśmy z Mateo skończyli razem z nimi. Może tak, może nie. Ale jedno wiem na pewno: trochę ponad dwanaście godzin temu otrzymałem wiadomość o swojej śmierci i myślałem, że jestem gotowy. A jednak nigdy wcześniej tak bardzo nie bałem się tego, co nastąpi.

MATEO

13:28

Pożar został ugaszony.

Żołądek od dwudziestu minut wrzeszczy, żebym go napełnił, jakbym mógł zawiesić ten cały Dzień Ostateczny, żeby coś zjeść bez marnowania cennego czasu, jakbyśmy przed chwilą z Rufusem omal nie zostali zabici w eksplozji, która zabrała wielu innych Zgonersów.

Świadkowie rozmawiają z policjantami i nie wiem, co właściwie mogliby mówić. Wybuch, który zniszczył salę, był zupełnie niespodziewany.

Siadam obok Rufusa, jego roweru i mojej torby z zakupami. Pocztówki leżą rozsypane dokoła. Nie mam jakoś siły na pisanie czegokolwiek, kiedy inni Zgonersi właśnie jadą w workach do kostnicy.

Dzisiaj niczemu nie mogę ufać.

RUFUS

13:46

Muszę się ruszyć.

Super byłoby usiąść teraz z Plutonami i pogadać o niczym, ale prawie równie dobrze wyciągnie mnie z tego nastroju przejażdżka rowerem. Właśnie na rower wsiadłem po zerwaniu z Aimee, po śmierci rodziców i siostry, a także tego ranka, po tym, jak pobiłem Dziobaka i dowiedziałem się, że umrę. Siedzę na nim teraz, gdy już wydostaliśmy się z chaosu, i naciskam hamulce. Mateo unika mojego wzroku.

– Proszę, wsiadaj – odzywam się do niego po raz pierwszy od chwili, gdy pofrunąłem w powietrzu jak wrestler.

– Nie – odpowiada. – Przepraszam, ale to nie jest bezpieczne.

– Mateo.

– Rufus.

– Mateo.

– Rufus.

– Proszę, Mateo. Muszę się przejechać po tym, co się właśnie stało, a nie chcę cię zostawiać. Powinniśmy żyć, kropka. Wiemy, że nas obu czeka koniec, ale nie chciałbym wspominać żadnej chwili z tego dnia z myślą, że ją zmarnowaliśmy. My się z tego nie obudzimy. Proszę, Mateo.

Nie wiem, co jeszcze mógłbym zrobić. Paść na kolana i błagać? To nie w moim stylu, jeśli jednak miałoby zadziałać,

rozważyłbym i to.

Mateo wygląda, jakby mu było niedobrze.

– Ale obiecaj, że będziesz jechał wolno, dobra? I unikaj zjeżdżania z góry i kałuży.

– Obiecuję.

Podaję mu kask i próbuje na początku odmówić, ale nie ma mowy, żeby podejmował większe ryzyko ode mnie. Zapina go, wiesza torebkę z zakupami na kierownicy, wspina się na kołki na tylnym kole i łapie mnie za ramiona.

– Nie za mocno? Po prostu nie chciałbym spaść, nawet w kasku.

– Nie, będzie dobrze.

– Spoko.

– Gotowy?

– Gotowy.

Zaczynam pedałować, powoli, czując palenie w łydkach, próbując przewieźć dwie osoby; to trochę jak jechanie pod górkę. Wchodzę w dobry rytm, zostawiając za nami dźwięk syren policyjnych, trupy i spaloną salę.

DEIRDRE CLAYTON

13:50

Nikt z Prognozy Śmierci nie zadzwonił do Deirdre Clayton tej nocy, by poinformować ją o rychłej śmierci, ale ona zamierza udowodnić im błąd.

Właśnie stoi na krawędzi dachu swojego bloku, osiem kondygnacji nad ziemią. Obserwuje ją dwóch kurierów i albo zamierzają złapać ją na kanapę, którą właśnie wnoszą do budynku, albo zakładają się, czy jest Zgonerką, czy nie. Krew i połamane kości na chodniku rozstrzygną ich spór.

Nie pierwszy raz Deirdre znalazła się tak wysoko. Siedem lat temu, kiedy była jeszcze w szkole średniej, a usługi Prognozy Śmierci były dostępne dopiero od kilku miesięcy, Deirdre została wyzwana na solówkę po lekcjach. A kiedy Charlotte Simmons, podżegacze i inni uczniowie, którzy znają Deirdre tylko jako „tę lesbę bez rodziców" pojawili się na umówionym miejscu, dziewczyna stała na dachu. Nigdy nie rozumiała, dlaczego sposób, w jaki kocha, wzbudza taką nienawiść u innych ludzi. Nie chciała wtedy żyć dość długo, by odnaleźć tę miłość, za którą wszyscy jej tak nienawidzili. Tylko że wtedy miała przyjaciółkę, która zdołała ją odwieść od tych planów.

Dzisiaj Deirdre jest sama, z trzęsącymi się kolanami, i płacze, bo chociaż bardzo chciałaby uwierzyć, że spotka ją jeszcze coś dobrego, jej praca na to nie pozwala. Deirdre

pracuje w Spraw-Sobie-Przeżycie, gdzie każe Zgonersom płacić za sztuczne doświadczenia, sztuczne wspomnienia. Nie rozumie, dlaczego ci ludzie nie są w domu z najbliższymi, zwłaszcza ci dwaj nastoletni chłopcy z dzisiaj, którzy przy wyjściu rozmawiali o tym, jacy są rozczarowani wirtualną rzeczywistością. Strata czasu.

Przywiedli jej na myśl bliźniaczki z opowiadania, które skończyła pisać tego ranka. Było przeznaczone tylko dla niej i służyło do zabicia czasu w pracy. Wymyśliła alternatywny świat, w którym Prognoza Śmierci posiada filię o nazwie Prognoza Życia, a ta informuje Zgonersów, kiedy zostaną reinkarnowani, żeby ich rodziny i przyjaciele wiedzieli, jak się odnaleźć w następnym wcieleniu. Historia skupiała się na bliźniaczkach, Angel i Skylar, które otrzymują druzgocącą wiadomość, że jedna z nich niedługo umrze. Od razu korzystają z usług Prognozy Życia i dowiadują się, kiedy Skylar przejdzie reinkarnację. Angel martwi się tym, że nie spotka siostry przez następne siedem lat, dopóki ta nie urodzi się powtórnie jako syn w pewnej rodzinie w Australii. Skylar ginie, ratując życie siostrze, a opowieść kończy się sceną, w której zrozpaczona Angel wkłada sto dolarów do świnki-skarbonki, żeby było ją stać na podróż do Australii za siedem lat i mogła powitać swoją siostrę z powrotem na świecie – nawet jeśli tylko w ciele małego chłopca.

Deirdre myślała, że któregoś dnia napisze kontynuację tej historii, ale już przepadło. Prognoza Życia nie istnieje, a teraz dziewczyna nie będzie czekać, aż Prognoza Śmierci przepowie jej koniec. Ten świat jest pełen przemocy, strachu i dzieci, które muszą umierać przedwcześnie, a ona nie chce brać w tym udziału.

Tak łatwo byłoby skoczyć…

Stoi na jednej nodze, cała się trzęsie i na pewno już zaraz straci równowagę i spadnie. Kiedyś zeskoczyła z dachu w pracy, w pomieszczeniu z wirtualnym parkurem, ale to była tylko iluzja.

Śmierć Deirdre została przepowiedziana w jej imieniu, które dostała po bohaterce irlandzkiej legendy, samobójczyni.

Deirdre spogląda w dół, gotowa na skok, kiedy zza rogu wyjeżdża dwóch chłopaków na rowerze – przypominają tych z jej pracy.

Dziewczyna spogląda głęboko w siebie, daleko poza miejsce, gdzie kłamstwa i brak nadziei przychodzą bez trudu, a nawet jeszcze dalej, pod najprawdziwszą prawdę, gdzie nie przeszkadza jej upadek po zeskoczeniu z dachu. Widzi dwóch chłopców żyjących pełnią życia i przez to czuje się trochę mniej martwa w środku.

Może sama chęć nie wystarcza do tego, by naprawdę umrzeć – wie o tym z niezliczonych poranków, gdy budziła się i widziała dokoła tę brzydotę – ale stojąc przed wyborem, czy udowodnić Prognozie Śmierci pomyłkę, czy żyć, Deirdre podejmuje właściwą decyzję i żyje.

MATEO

13:52

Rower nie jest taki najgorszy.

Ściskam mocno ramię Rufusa, kiedy skręca ostro w lewo, omijając jakichś dwóch kurierów, którzy gapią się w niebo, zamiast wnieść kanapę do budynku, i jedziemy dalej w dół ulicy.

Na początku jestem trochę niepewny, ale kiedy przyśpiesza na tyle, że zaczynam czuć wiatr we włosach, doceniam to, że powierzyłem mu swoje bezpieczeństwo.

To wyzwalające.

Nie spodziewam się, żebyśmy dali radę jechać jeszcze szybciej, ale już czuję większą ekscytację niż podczas skoku ze spadochronem w Spraw-Sobie-Przeżycie. Tak, jazda na rowerze jest fajniejsza niż to niby skakanie z samolotu.

Gdybym nie był takim tchórzem albo Zgonerem, oparłbym się o Rufusa i wyciągnął ręce na boki, zamykając oczy. Tylko że to zbyt niebezpieczne, więc wciąż go trzymam za ramiona i to też działa. Gdy jednak dotrzemy do celu, zrobię coś małego i odważnego.

RUFUS

14:12

Zwalniam, gdy skręcamy do parku Althea. Mateo zsuwa ręce z moich ramion i od razu lżej mi się jedzie. Hamuję. Odwracam się, żeby sprawdzić, czy może roztrzaskał sobie czaszkę mimo kasku, ale on biegnie w moją stronę i szczerzy zęby w uśmiechu; nic mu nie jest.

– Czy ty właśnie zeskoczyłeś?

– Tak! – Zdejmuje kask.

– Nie chciałeś jechać ze mną na rowerze, a teraz z własnej woli z niego zeskakujesz?

– Dałem się ponieść chwili.

Chciałbym uznać to za swoją zasługę, ale musiał to mieć w sobie od początku, musiał chcieć zrobić coś ekscytującego, ale był zbyt wystraszony, żeby wykonać pierwszy krok.

– Lepiej się już czujesz? – pyta.

– Trochę – przyznaję i zsiadam z roweru. Idę, utykając, w kierunku pustego placu zabaw, a na znajdującym się nieopodal boisku jacyś kolesie grają w ręczną, chlapiąc wodą z kałuż, gdy gonią za uciekającą piłką. Moje szorty są wciąż mokre i brudne po wizycie na cmentarzu, podobnie jak dżinsy Mateo, więc krople deszczu na ławce nie przeszkadzają nam w tym, by na niej usiąść. – Szkoda, że byliśmy świadkami tej eksplozji.

– Wiem. Nikt nigdy nie chce oglądać czyjejś śmierci, nawet jeśli to nieznajomi.

– Przez to nie mogę już ściemniać. Nie mogę już się oszukiwać, że jestem gotowy na to, co się z nami stanie. Zajebiście się boję. Mogliśmy serio tam umrzeć. Nie podoba mi się to. Zawsze gdy zaczynam panikować, kończę tutaj. Zawsze.

– Ale dobre momenty też cię tutaj przywiodły. Na przykład wtedy, gdy skończyłeś swój pierwszy maraton. – Bierze głęboki wdech. – I jak po raz pierwszy pocałowałeś dziewczynę.

– Tak. – Ten pocałunek go dręczy, ha. Czyli mój instynkt się nie mylił. Zamykam się na dłuższą chwilę i tylko gapię na wiewiórki biegające po drzewach i ptaki goniące się po ziemi. – Grałeś kiedyś w Gladiatora?

– Znam to – odpowiada.

– Super. A grałeś?

– Widziałem, jak inni grają.

– Czyli nie.

– Nie.

Wstaję i ciągnę Mateo za nadgarstki ku drabinkom.

– Wyzywam cię na walkę gladiatorów.

– Nie mogę odmówić, prawda?

– Zdecydowanie nie.

– Dopiero co przeżyliśmy wybuch.

– Co ci szkodzi zaznać jeszcze trochę bólu?

Walka gladiatorów w małpim gaju nie jest takim szaleństwem jak prawdziwy bój w koloseum, ale widziałem już, jak koledzy dostawali solidne manto. W sumie to ja spuściłem je niektórym z nich. Dwóch graczy – gladiatorów – łapie za szczeble i huśta się, próbując zrzucić oponenta. To pewnie najbardziej barbarzyńska i najfajniejsza zabawa z dzieciństwa.

Obaj jesteśmy dość wysocy, więc wystarczy tylko wspiąć się na palce, żeby złapać drabinkę, ale ja podskakuję lekko i się podciągam. Mateo też skacze i łapie szczebel, jednak nie ma żadnej siły w górnej części ciała, więc zaraz spada na matę. Podskakuje znowu i tym razem się podnosi. Odliczam do trzech i huśtamy się do siebie, pokonując dzielącą nas niewielką przestrzeń. Próbuję go kopnąć, on ucieka w bok i prawie spada, a przynajmniej tak mi się wydaje. Podnoszę nogi wyżej i obejmuję go nimi w pasie. On próbuje się uwolnić z mojego uścisku, ale macham nim bezlitośnie. Już mnie trochę bolą ręce, więc kiedy wreszcie puszcza, śmiejąc się, ja też spadam. Uderzam mocno o matę, czuję, jak przechodzi mnie wstrząs, ale ból nie jest śmiertelny. Zanosimy się śmiechem, masując obolałe łokcie i nogi. Mamy mokre plecy i ciągle się ześlizgujemy, próbując wstać. Idioci. Mateo wreszcie się ogarnia i pomaga mi.

– Wygrałem, prawda?

– Myślę, że mamy remis – stwierdza.

– Dogrywka?

– Mi wystarczy. Chyba całe życie przeleciało mi przed oczami, gdy spadaliśmy.

Uśmiecham się.

– Będę z tobą szczery, Mateo. – Często wymawiam jego imię, chociaż to oczywiste, że do niego mówię, bo jest po prostu fajne, serio. Mateo. – W ciągu ostatnich miesięcy wielokrotnie rozważałem samobójstwo, ale za każdym razem, gdy budziłem się po dobrze przespanej nocy bez żadnych nieodebranych połączeń, wiedziałem, że w głębi serca tego nie chcę. Nigdy nie zamierzałem próbować, ale było wiele dni, gdy naprawdę wierzyłem, że mogę udowodnić Prognozie Śmierci błąd i wjechać rowerem do rzeki albo coś. Ale oprócz tego, że się

boję, jestem też wkurzony, że ominie mnie tyle rzeczy, na przykład…

– Chyba nie zamierzasz się dzisiaj zabić, prawda? – pyta Mateo.

– Nie jestem dla siebie zagrożeniem, przysięgam. Nie chcę, żeby wszystko się skończyło. Proszę, obiecaj mi, że nie umrzesz przede mną. Nie będę mógł na to patrzeć.

– Tylko jeśli ty obiecasz mi to samo.

– Nie możemy obaj.

– No to ja nie obiecuję – mówi Mateo. – Nie chcę, żebyś widział moją śmierć, ale ja też nie chcę patrzeć na twoją.

– Naprawdę chcesz umrzeć jako Zgoner, który nie spełnił ostatniego życzenia innego Zgonera?

– Nie mogę ci obiecać, że obejrzę twoją śmierć. Jesteś moim Ostatnim Przyjacielem i zabiłoby mnie to.

– Nie zasługujesz na to, by umrzeć, Mateo.

– Nie wydaje mi się, by ktokolwiek zasługiwał na śmierć.

– Chyba że seryjni mordercy, nie?

Nie odpowiada, bo pewnie myśli, że nie spodoba mi się jego zdanie na ten temat. Jeśli już, tylko potwierdza w ten sposób, że nie zasługuje na śmierć.

Piłka leci w naszą stronę i Mateo biegnie, żeby ją złapać. Jakiś koleś ją goni, ale Mateo dociera do niej pierwszy i podaje mu.

– Dzięki – mówi koleś. Jest bardzo blady, jakby zdecydowanie za rzadko wychodził z domu, a jednak wybrał taki beznadziejny, pochmurny dzień. Strzelam, że ma dziewiętnaście albo dwadzieścia lat, lecz nie wykluczam, że jest w naszym wieku.

– Nie ma za co.

Już się odwraca, kiedy zauważa mój rower.

– Niezły! Czy to Trek?

– Owszem. Kupiłem go sobie na maratony off-roadowe. Też jeździsz na takim?

– Mój się zepsuł. Kabel od hamulców się zerwał, a siodełko strasznie obluzowało. Kupię następny, gdy już znajdę pracę, w której będę zarabiał więcej niż osiem dolców na godzinę.

– Weź mój – mówię. Dam radę to zrobić. Podchodzę do roweru, który przewiózł mnie przez ciężki maraton i wszędzie, gdzie tylko zechciałem, i prowadzę go w stronę tego kolesia. – Masz dzisiaj farta, bez kitu. Mój przyjaciel nie lubi, gdy nim jeżdżę, więc możesz go wziąć.

– Ty tak na serio?

– Jesteś pewien? – pyta Mateo.

Kiwam głową.

– Jest twój. Śmiało. Niedługo się przeprowadzam i nie będę mógł zabrać go ze sobą.

Koleś rzuca piłkę do przyjaciół, którzy krzyczeli już do niego, żeby wracał. Siada na rowerze i bawi się przerzutkami.

– Czekaj. Nie jest kradziony, co?

– Nie.

– I nie jest zepsuty? Czy to nie dlatego go zostawiasz?

– Nie jest zepsuty. Słuchaj, chcesz czy nie?

– Chcę, chcę. Mogę ci coś odpalić?

Kręcę głową.

– Nie trzeba.

Mateo oddaje mu kask, a koleś nie zakłada go od razu tylko podjeżdża do przyjaciół. Wyciągam telefon i robię kilka zdjęć, gdy jedzie na moim rowerze, plecami do nas i stojąc na pedałach, a jego kumple w tle grają w piłkę ręczną. To świetny portret dzieciaków – trochę starszych ode mnie, ale wciąż dzieciaków, nie kłóćcie się ze mną o to – zbyt młodych, by martwić się takimi rzeczami jak powiadomienia od Prognozy Śmierci. Wiedzą, że ich dzień skończy się tak, jak zazwyczaj.

– Dobry ruch – stwierdza Mateo.

– Dostałem już swoją pożegnalną jazdę. Styknie. – Robię jeszcze kilka zdjęć: trwającego meczu; małpiego gaju, gdzie graliśmy w gladiatorów; długiej żółtej zjeżdżalni i huśtawek. – Chodź.

Już mam wrócić po rower, kiedy przypominam sobie, że właśnie go oddałem. Czuję się lżejszy, jakby mój cień właśnie sobie poszedł, mówiąc „nara". Mateo idzie za mną do huśtawek.

– Wspominałeś, że przychodziłeś tutaj z tatą, prawda? Nazywałeś chmury i tak dalej. Pohuśtajmy się.

Mateo siada na krzesełku, trzymając się łańcuchów, jakby od tego zależało jego życie – wiem o tym – po czym robi kilka kroków i rzuca się do przodu, a jego nogi wyglądają, jakby miały zburzyć jakiś budynek. To też fotografuję. Dołączam do niego i łapiąc łańcuchy między łokcie, próbuję zrobić jeszcze kilka zdjęć; w ten sposób narażam siebie i komórkę – to też wiem – ale na każde kilka rozmytych fotek jedna się udaje. Mateo pokazuje na ciemnego nimbusa, a mnie uderza fakt, że przeżyłem tę chwilę z kimś, kto nie zasługuje na to, by umrzeć.

Niedługo znowu będzie padać, ale na razie huśtamy się i ciekawi mnie, czy dwóch Zgonersów na huśtawce nie sprawi, że cała konstrukcja zaraz się zawali i nas zgniecie, czy może wzbijemy się tak wysoko, że spadniemy i skręcimy sobie karki. Mimo to czuję się bezpieczny.

Zwalniamy i krzyczę do Mateo:

– To świetne miejsce, żeby rozsypać moje prochy.

– Twoje miejsce zmiany! – odkrzykuje Mateo, gdy siedzisko zabiera go w tył. – Jeszcze jakieś duże zmiany dzisiaj? Poza oczywistymi?

– Tak!

– Jakie?

Uśmiecham się do niego i stajemy.

– Oddałem rower. – Wiem, o co naprawdę pyta, ale nie łapię haczyka. Nie chcę pozbawiać go satysfakcji wykonania tego kroku; to zbyt ważna chwila. Siedzę, gdy on wstaje. – To dziwne, że jestem w tym parku po raz ostatni. A przynajmniej nie w postaci prochów.

Mateo rozgląda się; dla niego to też ostatni raz.

– Słyszałeś o tych Zgonersach, co zostali drzewami? Brzmi jak bajka, wiem. Jest taka firma, Żywa Urna, która może umieścić twoje prochy w biodegradowalnej urnie razem z nasieniem drzewa, by rosnąc, wyciągało składniki odżywcze z prochów. Brzmi jak czysta fikcja, ale nie, to nauka.

– Może zamiast rozsypywać moje prochy na ziemi, na której zesra się jakiś pies, mógłbym żyć dalej jako drzewo?

– No, a inne nastolatki będą ryć napisy na twojej korze. I będziesz produkować tlen. Ludzie lubią tlen.

Zaczyna mżyć, więc się podnoszę; dzwonią łańcuchy.

– Idźmy gdzieś, gdzie jest sucho, dziwaku.

Powrót do życia w postaci drzewa byłby całkiem spoko. Zupełnie jakbym znowu dorastał w parku Althea. Tylko że nie powiem tego na głos, jo, bo kto potraktuje poważnie gościa, który chce zostać drzewem.

DAMIEN RIVAS

14:22

Nikt z Prognozy Śmierci nie zadzwonił do Damiena Rivasa, by powiadomić go o rychłej śmierci, bo Damien dzisiaj nie umrze, czego bardzo żałuje, bo życie ostatnio niezbyt mu się podoba. Zawsze był uzależniony od adrenaliny. Każdego lata, odkąd tylko osiągnął wystarczający wzrost, jeździł na nowych rollercoasterach. Kradł słodycze ze sklepów i gotówkę z portfela taty. Walczył z kolesiami, przy których był jak Dawid przy Goliacie. Założył gang.

Samotne granie w rzutki nie jest zbyt ekscytujące.

Gadanie przez telefon z Dziobakiem też nie.

– Tylko cipki dzwonią na policję – stwierdza głośno, rozmawiając przez głośnik. – Zmuszanie mnie do wzywania glin było przegięciem.

– Wiem. Ty lubisz gliny tylko wtedy, gdy ktoś wzywa ich po ciebie – odpowiada Dziobak.

Damien kiwa głową, jakby kumpel mógł go zobaczyć.

– Sami powinniśmy byli się tym zająć.

– Masz rację. Nawet go nie złapali. Pewnie dali sobie siana, bo jest Zgonerem.

– Załatwmy ci trochę sprawiedliwości – rzuca Damien. Zaczyna w nim krążyć ekscytacja i poczucie celu. Całe lato

trzymał się z dala od krawędzi i teraz zbliża się coraz bardziej do swojego najulubieńszego miejsca na ziemi.

Wyobraża sobie twarz Rufusa w miejscu, gdzie wisi tarcza. Posyła rzutkę w sam środek – prosto między oczy chłopaka.

MATEO

14:34

Pada jeszcze mocniej niż wtedy na cmentarzu. Czuję się jak ptak, którego widziałem jako dzieciak, ten moknący w ulewie. Ten, który za wcześnie opuścił gniazdo.

– Schowajmy się gdzieś – mówię.

– Boisz się przeziębienia?

– Boję się, że wygram los na loterii i uderzy we mnie piorun. – Stoimy pod daszkiem takiego jednego sklepu zoologicznego, a szczeniaczki w witrynie odwracają naszą uwagę od następnego kroku. – Mam taki pomysł, żeby zadowolić twojego wewnętrznego podróżnika. Może pojeździmy pociągiem. Tak wielu miejsc jeszcze tutaj nie widziałem. Może natrafimy na coś niesamowitego. Albo nie, zapomnij, to głupie.

– To wcale nie jest głupie. Wiem dokładnie, co masz na myśli! – Rufus prowadzi nas do najbliższej stacji metra. – Nowy Jork jest ogromny. Można mieszkać tu całe życie i nie poznać dobrze nawet własnej dzielnicy. Kiedyś śniło mi się, że jeździłem rowerem z farbą świecącą w ciemności na kołach i chciałem, żeby do północy całe miasto zajaśniało.

Uśmiecham się.

– I co, udało ci się? – W tym śnie jest prawdziwy wyścig z czasem.

– Nie, zaczął mi się śnić seks czy coś i to mnie obudziło – odpowiada. Pewnie nie jest prawiczkiem, ale nie pytam, bo to nie moja sprawa.

Wracamy do centrum. Kto wie, jak daleko zajedziemy. Może dotrzemy do samego końca linii, złapiemy autobus i ruszymy jeszcze dalej. Może wylądujemy w innym stanie, na przykład w New Jersey.

Nadjeżdża pociąg, otwierają się drzwi i wbiegamy, po czym zajmujemy pustą ławkę w kącie.

– Zagraj ze mną.

– Tylko nie w Gladiatorów.

Rufus kręci głową.

– Nie. Ta gra nazywa się Podróżnik i grałem w nią z Olivią. Wymyśl historię na temat jakiegoś pasażera. Gdzie jedzie, kim jest i tak dalej. – Przesuwa się, jego ciało opiera się o moje, gdy dyskretnie pokazuje kobietę w niebieskim fartuchu medycznym pod kurtką i z torebką na zakupy. – Ona jedzie do domu, żeby się przespać, a potem włączyć jakąś popową muzykę na pełen regulator i przygotować się na pierwszy wolny dzień od ponad tygodnia. Jeszcze o tym nie wie, ale klub, do którego się wybierze, będzie zamknięty na czas remontu.

– Do bani – mówię. Rufus odwraca się do mnie, daje znak, żebym kontynuował. – Och. Wróci do domu i zobaczy, że w kablówce leci jej ulubiony film, a w czasie przerw reklamowych może pisać maile do znajomych, których dawno nie widziała. – Uśmiecha się szeroko. – No co?

– Zaczęła swój wieczór całkiem odważnie – mówi.

– Drzemką.

– Żeby miała energię na imprezowanie całą noc!

– Pomyślałem, że chciałaby zapytać przyjaciół, co u nich słychać. Pewnie nie odczytuje wiadomości i nie odbiera

telefonów, bo zazwyczaj jest zbyt zajęta ratowaniem ludzkiego życia i odbieraniem porodów. Potrzebuje tego, uwierz mi. – Kiwam głową na dziewczynę ze słuchawkami większymi niż pięść i włosami w kolorach zorzy polarnej. Rysuje coś kolorowego na swoim tablecie, używając niebieskiego rysika. – Dobra, teraz ta. Dostała tablet na urodziny w zeszłym tygodniu i tak naprawdę chciała go mieć do gier i rozmów wideo ze znajomymi, ale potem odkryła aplikację do grafiki i zaczęła eksperymentować, gdy jej się nudziło. To jej nowa obsesja.

– Podoba mi się – stwierdza Rufus. Pociąg zatrzymuje się i dziewczyna rzuca się, by spakować swoją płócienną torbę. Wybiega z wagonu, gdy drzwi już się zamykają, niczym w scenie z filmu akcji. – A teraz wraca do domu, gdzie spóźni się na rozmowę ze znajomymi, bo jest zbyt zajęta tym, by narysować tę jedną rzecz, która jej chodzi po głowie.

Nie przestajemy grać w Podróżnika. Rufus pokazuje na dziewczynę z walizką, którą uznaje za uciekinierkę, ale poprawiam go. Tak naprawdę wraca do domu po wielkiej kłótni z siostrą, żeby naprawić ich relację. No przecież każdy, kto ma oczy, widzi, co się w rzeczywistości dzieje. Inny pasażer, cały mokry, ma problem z samochodem i musiał porzucić swojego vana – nie, zaraz, mercedesa, poprawia mnie Rufus, bo ta podróż pociągiem sprowadza bogacza na ziemię. Jacyś studenci Uniwersytetu Nowojorskiego wskakują do wagonu z parasolkami, pewnie po kursie wprowadzającym, mają przed sobą jeszcze całe życie, a my robimy szybką rundę, przewidując, kim zostaną w przyszłości: sędzia sądu rodzinnego w rodzinie artystów; satyryczka w Los Angeles, gdzie docenią jej żarciki o transporcie; łowczyni talentów, która nie będzie mogła się przebić przez kilka lat, ale jeszcze doczeka swoich pięciu minut; scenarzysta programu dla dzieci

o potworach uprawiających sporty; instruktor skoków ze spadochronem, co jest zabawne, bo długie wąsy chłopaka za każdym razem będą wyglądać, jakby się uśmiechały.

Gdyby ktoś inny grał w Podróżnika, co przewidziałby dla mnie i Rufusa?

Rufus trąca mnie w ramię i pokazuje na drzwi, które właśnie się otwierają.

– Czy to nie jest ten przystanek, gdzie spontanicznie zapisaliśmy się do siłowni?

– Słucham?

– Tak, to ten! Chciałeś trochę przypakować po tym, jak tamten dupek wpadł na ciebie na koncercie Bleachers – rzuca w chwili, gdy drzwi się zamykają.

Nigdy nie byłem na koncercie Bleachers, ale już rozumiem zasady gry.

– Nie ten wieczór, Rufus. Tamten gość wpadł na mnie na koncercie Fun. Hej, a tutaj zrobiliśmy sobie tatuaże.

– No. A tatuażysta, Barclay…

– Baker – poprawiam go. – Nie pamiętasz? Baker, tatuażysta, który rzucił studia medyczne?

– Taaak. Trafiliśmy na jego dobry humor i zaproponował drugi tatuaż gratis. Ja zrobiłem sobie oponę od roweru na przedramieniu… – Dotyka swojej ręki. – A ty…

– Samca konika morskiego.

Rufus wydaje się zdziwiony, jakby miał zaraz ogłosić przerwę, by zapytać, czy nadal gramy w tę samą grę.

– Eee… Przypomnij mi, dlaczego akurat konika.

– Mój tata strasznie lubi koniki morskie. Wychowywał mnie sam, pamiętasz? Nie mogę uwierzyć, że zapomniałeś o znaczeniu tatuażu na moim ramieniu. Nie, nadgarstku. Tak, na nadgarstku. Nadgarstek jest fajniejszy.

Kiedy docieramy do następnej stacji, na Siedemdziesiątej Siódmej, Rufus rzuca nas w przyszłość.

– Hej, to tutaj zazwyczaj wysiadam do pracy. A przynajmniej kiedy akurat siedzę w biurze, a nie w jakimś hotelu na drugim krańcu świata, gdzie wysłali mnie, bym napisał recenzję. To szaleństwo, że mogę pracować w budynku, który zaprojektowałeś.

– Czyste szaleństwo, Rufus.

Spoglądam na miejsce, gdzie powinien znajdować się mój tatuaż z konikiem morskim.

W przyszłości Rufus ma bloga podróżniczego, a ja jestem architektem. Zrobiliśmy sobie razem tatuaże. Poszliśmy na tyle koncertów, że już mu się wszystkie mylą. Niemal żałuję, że jesteśmy tacy kreatywni, bo te fałszywe wspomnienia naszej przyjaźni brzmią niesamowicie. Wyobraźcie sobie – przeżywać powtórnie coś, czego się nigdy nie przeżyło.

– Musimy coś po sobie zostawić – oznajmiam, wstając z ławki.

– Chcesz sikać na hydranty?

Kładę książkę z randki w ciemno na siedzeniu.

– Nie wiem, kto to znajdzie. Ale fajnie wiedzieć, że ktoś to zrobi, prawda?

– Prawda. To świetna miejscówka – stwierdza Rufus, też wstając.

Pociąg zatrzymuje się, drzwi otwierają. W życiu musi być coś więcej niż tylko wyobrażanie sobie przyszłości. Nie mogę po prostu jej sobie życzyć; muszę podjąć ryzyko i ją stworzyć.

– Jest coś, co strasznie chciałbym zrobić.

– Wysiadamy – mówi Rufus z uśmiechem.

Wyskakujemy, zanim zdążą się zamknąć drzwi, prawie wpadając na dwie dziewczyny, i wychodzimy ze stacji.

ZOE LANDON

14:57

Pracownik Prognozy Śmierci zadzwonił do Zoe Landon o wpół do pierwszej w nocy, żeby poinformować ją o rychłej śmierci. Zoe czuła się samotna, ponieważ raptem osiem dni temu przeprowadziła się do Nowego Jorku, a dzisiaj miała zacząć zajęcia na uniwersytecie. Ledwo rozpakowała swoje rzeczy, co dopiero mówić o nawiązaniu jakichś znajomości. Całe szczęście wystarczyło kilka razy kliknąć, żeby zainstalować *Ostatniego Przyjaciela*. Swoją pierwszą wiadomość napisała do jakiegoś Mateo, ale chłopak nie odpowiedział. Może już nie żyje. Może ją zignorował. Może znalazł swojego Ostatniego Przyjaciela.

Zoe w końcu też się udało.

Zoe i Gabriella wsiadają do pociągu zaraz przed zamknięciem drzwi, mijając dwóch chłopaków. Biegną do ławki w kącie i zatrzymują się, widząc leżący na niej przedmiot zapakowany w szary papier. Prostokątny przedmiot. Za każdym razem, gdy Zoe wchodzi na stację metra, wszędzie dostrzega znaki zachęcające do zgłaszania podejrzanych sytuacji – a to jest zdecydowanie podejrzane.

– To nie wygląda dobrze – mówi. – Powinnaś wysiąść na następnym przystanku.

Gabriella, odważna, ponieważ nie otrzymała dzisiaj ostrzeżenia, podnosi przedmiot.

– To książka – stwierdza. – O! To książka-niespodzianka! – Siada i przygląda się ilustracji przedstawiającej uciekającego złodzieja. – Wspaniały rysunek.

Zoe siada obok. Jej zdaniem rysunek jest co najwyżej uroczy, ale szanuje opinię koleżanki.

– Teraz moja kolej, żeby zdradzić ci sekret – oznajmia Gabriella. – Jeśli chcesz posłuchać.

Zoe podzieliła się dzisiaj z Ostatnią Przyjaciółką wszystkimi swoimi tajemnicami. Tymi, które zdradziła koleżankom z dzieciństwa tylko pod przysięgą, że nie przekażą ich nigdy i nikomu. Tymi, które zawsze skrywała, bo mówienie o nich było zbyt bolesne. Wspólnie z Gabriellą śmiały się i płakały, jakby przyjaźniły się całe życie.

– Twój sekret umrze razem ze mną – mówi Zoe. Nie śmieje się, Gabriella też nie, ale ściska jej dłoń, żeby wiedziała, że jest okej. To obietnica złożona wyłącznie pod wpływem impulsu. Pieprzyć dowody o życiu pozagrobowym.

– To nic wielkiego, ale jestem Batmanem… światka graffiti Manhattanu – oznajmia Gabriella.

– Ooo, a już się przez chwilę cieszyłam, Batmanie… światka graffiti Manhattanu – odpowiada Zoe.

– Specjalizuję się w graffiti z motywem Ostatnich Przyjaciół. W niektórych miejscach rysuję markerem, na przykład na menu albo plakatach w pociągach, ale naprawdę kocham graffiti. Robiłam tagi dla Ostatnich Przyjaciół, których poznałam. Gdzie tylko mogę. W zeszłym tygodniu narysowałam urocze postaci z aplikacji na ścianie przy McDonaldzie, dwóch szpitalach i barze z zupami. Mam nadzieję, że wszyscy będą z niej korzystać. – Gabriella stuka palcem w książkę. Z początku Zoe myślała, że te kolory wokół

paznokci to jakiś fatalny manikiur, ale teraz zna już prawdę. – Tak czy inaczej, uwielbiam sztukę i zostawię tag z twoim imieniem gdzieś na jakiejś skrzynce pocztowej czy czymś takim.

– Może gdzieś na Broadwayu? Nigdy nie wyświetlą mojego nazwiska, ale znajdę się tam dzięki tobie – mówi Zoe i wyobraża sobie realizację swojej prośby. Jej serce jednocześnie raduje się i smuci na tę myśl.

Inni pasażerowie podnoszą wzrok znad gazet i telefonów, żeby popatrzeć na Zoe. Na jednej twarzy widzi obojętność, na innej litość. I czysty smutek u jednej czarnoskórej kobiety z pięknym afro.

– Przykro będzie cię stracić – mówi.

– Dziękuję.

Kobieta na powrót patrzy w telefon.

Zoe przysuwa się do koleżanki.

– Czuję, że przeze mnie zrobiło się dziwnie – mówi ciszej niż wcześniej.

– Mów głośno, póki możesz – stwierdza Gabriella.

– Sprawdźmy, o czym jest książka – proponuje Zoe; jest zaintrygowana. – Otwórz.

Gabriella podaje ją Zoe.

– Ty otwórz. To twój…

– To mój Dzień Ostateczny, nie urodziny. Nie potrzebuję prezentu i przecież nie przeczytam książki w ciągu najbliższych… – Zoe zerka na zegarek i aż kręci jej się w głowie. Czeka ją najwyżej dziewięć godzin życia, a czyta naprawdę wolno. – Uznajmy, że ten prezent pozostawiony przez kogoś jest moim prezentem dla ciebie. Za to, że byłaś moją Ostatnią Przyjaciółką.

Kobieta naprzeciwko podnosi głowę. Otwiera szeroko oczy.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale chciałam powiedzieć, że bardzo się cieszę, że jesteście Ostatnimi Przyjaciółkami. Cieszę się, że znalazłaś kogoś w swoim Dniu Ostatecznym. – Pokazuje na Gabriellę. – I że ty pomagasz komuś w pełni wykorzystać ten czas. To takie piękne.

Gabriella otacza Zoe ramieniem i przyciąga. We dwie dziękują nieznajomej.

Oczywiście Zoe najbardziej przyjacielskich Nowojorczyków musi poznać w swoim Dniu Ostatecznym.

– Rozpakujmy to razem – mówi Gabriella, wracając do książki.

– Dobra.

Zoe ma nadzieję, że Gabriella nadal będzie zaprzyjaźniać się ze Zgonersami, póki może.

Życia nie powinno się przeżywać samemu. Podobnie jak Dni Ostatecznych.

MATEO

15:18

Spotkanie się z Lidią to ogromne ryzyko, ale chcę je podjąć.

Podjeżdża autobus i czekamy, aż wszyscy inni wsiądą, a sami wchodzimy na końcu. Pytam kierowcę, czy otrzymał dzisiaj powiadomienie. Mężczyzna kręci głową. Powinno być bezpiecznie. Pewnie, i tak możemy umrzeć w autobusie, ale istnieją raczej małe szanse na to, że się rozbije i zginiemy tylko my dwaj, a pozostali zostaną jedynie ranni.

Pożyczam od Rufusa telefon, żeby zadzwonić do Lidii. W mojej komórce bateria prawie się już wyczerpała, zostało raptem trzydzieści procent, a chcę mieć pewność, że szpital może do mnie zadzwonić, na wypadek gdyby mój ojciec się obudził. Idę na inne siedzenie na końcu autobusu i wybieram numer Lidii.

Moja przyjaciółka odbiera niemal od razu, ale odzywa się dopiero po chwili, podobnie jak w ciągu tygodni po śmierci Christiana.

– Halo?

– Hej – mówię.

– Mateo!

– Przepraszam, wiesz…

– Zablokowałeś mój numer, prawda? Sama cię tego nauczyłam!

– Musiałem…

– Dlaczego mi nie powiedziałeś o niczym?

– Wiesz…

– Mateo, jestem twoją pieprzoną przyjaciółką, a ty mi, do cholery, nie mówisz, że umierasz? Penny, nie słuchaj mamusi.

– Nie chciałem…

– Zamknij się. Wszystko okej? Jak się czujesz?

Zawsze uważałem, że Lidia jest jak moneta, którą się podrzuca; wypadnie reszka i jest wkurzona tak, jakby się odwracała od ciebie plecami, ale wypadnie orzeł i wtedy widzi cię takim, jakim jesteś w głębi serca. Myślę, że dzisiaj trafiło na orła, ale kto tam wie.

– Wszystko w porządku, Lidia. Jestem z kolegą. Nowym kolegą.

– Kto to? Jak go poznałeś?

– W aplikacji, Ostatni Przyjaciel. Nazywa się Rufus.

– Chcę się z tobą spotkać.

– Też bym chciał. Właśnie dlatego dzwonię. Jest jakaś szansa, żebyś podrzuciła komuś Penny i spotkała się ze mną w Arenie?

– Abuelita już tu jest. Zadzwoniłam do niej spanikowana kilka godzin temu i wyszła z pracy. Przyjadę do Areny, od razu, ale proszę, bądź ostrożny. Nie biegaj. Idź powoli, chyba że przechodzisz przez ulicę. Za każdym razem oglądaj się w obie strony. Przechodź tylko na zielonym i tylko wtedy, gdy w zasięgu wzroku nie ma żadnego samochodu, nawet jeśli stoi na czerwonym albo przy chodniku. Właściwie to w ogóle siedź w miejscu. Gdzie teraz jesteś? Przyjadę po ciebie. Nie ruszaj się stamtąd, chyba że w pobliżu wypatrzysz kogoś podejrzanego.

– Siedzę już w autobusie z Rufusem

– Dwóch Zgonersów w jednym pojeździe? Chryste. Czy ty chcesz umrzeć? Mateo, to czyste statystyczne szaleństwo. Autobus mógłby się wywrócić.

Trochę się rumienię.

– Wcale nie chcę umierać – odpowiadam cicho.

– Przepraszam. Już się nie odzywam. Tylko proszę, bądź ostrożny. Muszę cię zobaczyć ostatni… Muszę się z tobą zobaczyć, okej?

– Ty zobaczysz mnie, a ja zobaczę ciebie. Obiecuję.

– Nie chcę, żebyś się rozłączał.

– Też nie chcę.

Nie rozłączamy się. Moglibyśmy i pewnie nawet powinniśmy wykorzystać ten czas, żeby porozmawiać o wspomnieniach i zastanowić się, za co przeprosić, na wypadek gdybym nie zdołał dotrzymać swojej obietnicy, ale nie, gadamy tylko o tym, jak Penny właśnie uderzyła się w głowę dużą zabawką i wcale nie płacze, chociaż jest taka malutka. Nowe wspomnienie, z którego można się pośmiać, jest chyba równie dobre co stare. Może nawet lepsze. Nie chcę zużyć całej baterii Rufusa na wypadek, gdyby Plutoni chcieli się z nim skontaktować, więc umawiamy się z Lidią, że rozłączymy się w tym samym momencie. Naciśnięcie czerwonej słuchawki psuje mi humor i świat znowu wydaje się mroczniejszy.

DZIOBAK

15:21

Dziobak zbiera ponownie swoją bandę.

Bandę bez nazwy.

Dziobak dostał taką ksywkę, bo za jego ciosami nie idzie żadna siła. Są bardziej wkurzające niż groźne, jak dziobanie ptaszka. Jeśli chcesz, żeby ktoś dostał w skórę, trzeba na niego nasłać Kendricka. Dziobak nadaje się do tego, żeby kogoś skopać, jeśli jest akurat okazja, ale Damien i Kendrick nie trzymają go przy sobie w roli dodatkowych łap do roboty. Prawdziwą wartością Dziobaka jest jego dostęp do broni ostatecznej.

Podchodzi do swojej szafy, czując na plecak wzrok kolegów. Teraz będzie, zgodnie ze swoim pomysłem, odkrywał kolejne warstwy jak u matrioszki. Otwiera szafę, zastanawiając się, czy podoła. Otwiera kosz, zastanawiając się, czy pogodzi się z tym, że nigdy więcej nie zobaczy Aimee; dziewczyna nie wybaczy mu, gdy już dowie się, że był za to odpowiedzialny. Otwiera ostatnią skrytkę, pudełko po butach, wiedząc, że choć raz musi mieć do siebie szacunek.

Dziobak zdobędzie szacunek, pakując cały magazynek w osobę, która go nie szanowała.

– Co teraz? – pyta Damien.

Dziobak otwiera Instagrama, wchodzi na profil Rufusa i wkurza się, widząc komentarze Aimee, która pisze, jak bardzo tęskni za byłym. Raz po raz odświeża stronę.

– Teraz czekamy.

MATEO

15:26

Deszcz przechodzi w mżawkę, a nasz autobus zatrzymuje się przed Areną na rogu Trzydziestej i Dwunastej. Wysiadam jako pierwszy, słyszę pisk i głośne przekleństwo gdzieś za plecami. Odwracam się i od razu łapię za barierkę, żeby Rufus nie wypadł z autobusu na twarz, ciągnąc mnie ze sobą. Jest całkiem umięśniony, więc jego ciało ciąży mi na ramionach, ale zaraz odzyskuje równowagę.

– Mokra podłoga – rzuca. – Sorki.

Jesteśmy na miejscu.

Jesteśmy bezpieczni.

Uważamy na siebie nawzajem, żeby przeciągnąć ten dzień jak najdłużej, jakbyśmy byli letnim przesileniem.

Arena Podróżnicza zawsze przywodziła mi na myśl stadion Muzeum Historii Naturalnej, tylko że jest dwa razy większa i ma flagi krajów z całego świata rozwieszone wokół kopuły. Rzeka Hudson płynie kilka przecznic dalej, o czym nie wspominam Rufusowi. Podobno mieści się tutaj trzydzieści tysięcy ludzi naraz, czyli więcej niż trzeba dla Zgonersów, ich gości, nieuleczalnie chorych oraz wszystkich innych chętnych.

Postanawiamy kupić bilety, czekając na Lidię.

Pomaga nam jeden z pracowników. Trzy kolejki ustawia się według priorytetów, dzieli się ludzi wedle tego, czy są chorzy,

czy może czeka ich śmierć z nieznanego powodu, a ostatnia przeznaczona jest dla znudzonych gości. Wystarczy jedno spojrzenie i wiadomo, która kolejka jest która. Ta po naszej prawej stronie jest pełna śmiechu, selfików, esemesów. Po lewej nie uświadczysz żadnej z tych rzeczy. Jest za to młoda kobieta z głową obwiązaną szalikiem, która opiera się o wózek ze zbiornikiem tlenu; inni strasznie rzężą, jeszcze inni są okaleczeni albo mocno poparzeni. Smutek aż mnie dusi, nie tylko z ich powodu, nawet nie z mojego powodu, ale przez tych wszystkich stojących przed nami w kolejce, których wybudzono z bezpiecznego życia i którzy znajdą się w niebezpieczeństwie w ciągu następnych kilku godzin, może nawet minut. A przecież są jeszcze ci, którzy nie dożyli nawet tej chwili.

– Dlaczego nie możemy dostać szansy? – pytam Rufusa.

– Jakiej szansy? – Rozgląda się, robiąc zdjęcia budynku i kolejek.

– Szansy na kolejną szansę. Dlaczego nie możemy zapukać do drzwi Śmierci i błagać, przekonywać, walczyć albo zagrać o szansę na dalsze życie? Mógłbym nawet walczyć tylko o możliwość wyboru własnej śmierci. Umarłbym we śnie. – A zasnąłbym dopiero po odważnym przeżyciu życia, jako osoba, którą ktoś chciałby otoczyć ramieniem, może nawet wtulić się w brodę albo ramię i opowiadać bez końca, jak cudownie było żyć razem bez wątpliwości.

Rufus opuszcza telefon i patrzy mi w oczy.

– Naprawdę myślisz, że pokonałbyś Śmierć w siłowaniu się na rękę?

Wybucham śmiechem i odsuwam się od niego, bo rumienię się przez ten kontakt wzrokowy. Podjeżdża uber i z tyłu wyskakuje Lidia. Rozpaczliwie się za mną rozgląda i chociaż to nie jest jej Dzień Ostateczny, i tak niepokoję się, gdy prawie

wpada na nią rowerzysta. Mogłaby się przewrócić, stracić przytomność i wylądować w tym samym pokoju co tata.

– Lidia!

Wybiegam z kolejki, gdy jej wzrok pada na mnie. Omal nie potykam się z ekscytacji, jakbym nie widział jej od lat. Lidia rzuca mi się w ramiona i ściska mocno, prawie jakby sama wyciągnęła mnie z tonącego samochodu albo złapała spadającego z samolotu. Tym gestem mówi mi wszystko – każde dziękuję, każde kocham cię, każde przepraszam. Przytulam ją, by jej podziękować, by poczuła moją miłość, by ją przeprosić i wyrazić wszystko inne, co kryje się głęboko w środku i wykracza poza granice uczuć. To najsłodszy moment naszej przyjaźni, odkąd podała mi Penny tuż po jej narodzinach. Zaraz potem Lidia odsuwa się i uderza mnie mocno w twarz.

– Trzeba mi było powiedzieć – mówi, znowu mnie przytulając.

Policzek piecze, ale i tak wciskam brodę w jej ramię, a ona pachnie tym cynamonowym czymś, czym musiała nakarmić dzisiaj Penny, bo nie przebrała się z workowatej koszulki, w jakiej widziałem ją rano. Kołyszemy się, przytuleni, a ja szukam wzrokiem Rufusa stojącego w kolejce. Wydaje się zszokowany, że Lidia mnie spoliczkowała. To dziwne, że jej nie zna; nie wie, że, jak już mówiłem, jest nieustannie przerzucaną monetą. To dziwne, że znam Rufusa tylko jeden dzień.

– Wiem – mówię Lidii. – Wiesz, że mi przykro i że próbowałem cię chronić.

– Miałeś być ze mną zawsze – płacze Lidia. – Miałeś udawać złego policjanta, kiedy Penny po raz pierwszy przyprowadzi do domu chłopaka. Miałeś dotrzymywać mi towarzystwa przy grze w karcianki i w maratonach kiepskich programów

telewizyjnych, kiedy Penny wyjedzie na studia. Miałeś móc zagłosować na nią w wyborach prezydenckich, bo dobrze wiesz, że z jej manią kontroli nie spocznie, dopóki nie będzie rządzić całym krajem. Bóg jeden wie, że sprzeda swoją duszę, żeby zapanować nad całym światem, a ty miałeś pomóc mi powstrzymać ją, zanim zostanie drugim Faustem.

Nie wiem, co powiedzieć. Cały czas tylko potakuję albo kręcę głową, bo nie mam pojęcia, co robić.

– Przepraszam.

– To nie jest twoja wina. – Ściska moje ramię.

– A może jest. Może gdybym się tak nie ukrywał, potrafiłbym o siebie zadbać. Jeszcze za wcześnie, żeby rzucać oskarżeniami, ale może to będzie moja wina. – Cały dzień mam poczucie, że ktoś posłał mnie w dzicz ze wszystkimi potrzebnymi narzędziami, ale nie mam pojęcia, jak ich użyć.

– Zawrzyj gębę – rzuca Lidia. – To nie twoja wina. To my cię zawiedliśmy.

– Teraz ty zawrzyj gębę.

– To najbardziej niemiła rzecz, jaką kiedykolwiek powiedziałeś – oznajmia Lidia z uśmiechem, jakbym dawno temu obiecał być wredny. – Świat nie jest najbezpieczniejszym miejscem, wiemy to przez Christiana i innych ludzi, którzy umierają każdego dnia. Ale powinnam była pokazać ci, że czasami warto ponieść pewne ryzyko.

Czasami rodzisz dziecko, które kochasz ponad wszystko, nawet jeśli się tego nie spodziewałaś. To mi pokazała.

– Dzisiaj ryzykuję – mówię. – I chcę cię mieć przy sobie, bo tobie jest o wiele trudniej uwolnić się i przeżyć przygodę, odkąd w twoim życiu pojawiła się Penny. Zawsze chciałaś zobaczyć świat i skoro nie będziemy już mieli szansy na podróżowanie, wystarczy mi, jeśli pozwiedzamy ten świat teraz, razem. – Trzymam ją za rękę i daję znak Rufusowi.

Lidia odwraca się w jego stronę i robi tę samą nerwową minę jak wtedy, gdy siedzieliśmy w jej łazience i czekaliśmy na wynik testu ciążowego. I podobnie jak wtedy, zaraz przed tym, jak odwróciła płytkę, by zobaczyć wyniki, oznajmia:

– Zróbmy to.

Ściska moją dłoń i to na niej skupia wzrok Rufus.

– Hej, jak tam? – pyta.

– Bywało lepiej, oczywiście – odpowiada Lidia. – Jest do dupy. Przykro mi.

– Nie przejmuj się.

Lidia patrzy na mnie, jakby ciągle dziwiło ją, że tu jestem.

Docieramy na przód kolejki. Kasjer, ubrany w radośnie żółtą kamizelkę, uśmiecha się szczerze.

– Witamy w Arenie Podróżniczej. Przykro nam będzie tracić was troje.

– Ja nie umieram – wyjaśnia Lidia.

– Ach. W takim razie gość płaci sto dolarów – mówi kasjer, a potem patrzy na mnie i Rufusa. – Sugerowana darowizna dla Zgonerów to jeden dolar.

Płacimy za bilety, dorzucając z Rufusem kilka stówek, żeby arena mogła funkcjonować jeszcze przez wiele, wiele lat. To, co są w stanie zapewnić Zgonersom, wydaje się nieporównywalnie lepsze od Spraw-Sobie-Przeżycie. Kasjer dziękuje za naszą wpłatę i nie wydaje się w ogóle zdziwiony jej wysokością; Zgonersi ciągle trwonią pieniądze. Dostajemy z Rufusem żółte opaski (jako zdrowi Zgonersi), a Lidia pomarańczową (gość). Przechodzimy dalej.

Trzymamy się blisko siebie, nie odchodząc zbyt daleko. W głównym wejściu jest trochę tłoczno; Zgonersi i goście patrzą na ogromny ekran wyświetlający listę wszystkich regionów, które można odwiedzić, a także różne rodzaje

wycieczek: „Dookoła świata w 80 minut”, „Dzikie ostępy”, „Podróż do centrum Stanów Zjednoczonych” i wiele więcej.

– Wybieramy wycieczkę? – pyta Rufus. – Jestem chętny na każdą prócz „Ja, ty i głębia oceanu”.

– „Dookoła świata w 80 minut” zaczyna się za dziesięć minut – zauważam.

– Mi by się podobała – stwierdza Lidia, trzymając mnie pod rękę. Odwraca się do Rufusa, zawstydzona. – Przepraszam, mój Boże, naprawdę przepraszam. Serio, wy wybierajcie. Ja nie mam prawa głosu. Przepraszam.

– Nic się nie stało – mówię. – Rufus, pasuje ci?

– Jo, jedziemy w podróż dookoła świata.

Odnajdujemy salę numer szesnaście i wsiadamy do piętrowego wozu razem z dwudziestoma innymi ludźmi. Rufus i ja to jedyni Zgonersi z żółtymi opaskami. Jest sześciu z niebieskimi, które oznaczają chorobę. W sieci oglądałem wielu Zgonersów z nieuleczalnymi chorobami, którzy odbywali prawdziwe podróże, dopóki mieli jeszcze czas. Jednak ci, których na to nie stać, decydują się na drugą najlepszą opcję, tak jak reszta nas.

Kierowca staje w alejce i mówi przez mikrofon.

– Dzień dobry. Dziękuję za udział w tej wspaniałej wycieczce, w której obejrzycie cały świat w mniej więcej osiemdziesiąt minut. Nazywam się Leslie i będę waszym przewodnikiem. W imieniu wszystkich pracowników Areny chciałbym złożyć serdeczne kondolencje wam i waszym rodzinom. Mam nadzieję, że dzisiejsza podróż zdoła wywołać uśmiechy na waszych twarzach i pozostawi wspaniałe wspomnienia u każdego z waszych gości, którzy do nas dzisiaj dołączyli. Jeśli w którymś regionie chcielibyście pozostać chwilę dłużej, zachęcamy was do tego, lecz prosimy pamiętać, że reszta wycieczki musi podążać dalej, abyśmy skończyli podróż

dookoła świata w mniej niż osiemdziesiąt minut. A teraz proszę wszystkich o zapięcie pasów i ruszamy!

Wszyscy wykonują polecenie i zaczyna się wycieczka. Żaden ze mnie kartograf, ale nawet ja wiem, że mapa znajdująca się za każdym fotelem – przypominająca te elektroniczne w metrze – nie przedstawia geograficznej prawdy. Mimo to wycieczka zakłada odwiedzenie niebywale przekonującej repliki w każdej z sal w niebywale krótkim czasie, a całe doświadczenie wzbogacają jeszcze ciekawostki o każdym z miejsc, którymi dzieli się z nami Lidia. Jedziemy torami i widzimy Zgonersów razem z gośćmi, którzy świetnie się bawią, a niektórzy nawet machają do nas, jakbyśmy nie byli tu wszyscy turystami.

W Londynie mijamy Pałac Westminsterski, gdzie podobno nie można umierać, bo to wbrew prawu, ale najbardziej podoba mi się bicie Big Bena, nawet jeśli widok jego wskazówek sprowadza mnie na ziemię. Na Jamajce witają nas dziesiątki okazów drugiego największego motyla świata, *Papilio cresphontes*, a ci na dolnym pokładzie próbują specjalnych dań, na przykład owoców ackee z soloną rybą. W Afryce widzimy ogromny zbiornik z rybami z jeziora Malawi i tak mnie wciągają przepływające błękity i żółcie, że omal nie przegapiam nagrania na żywo z lwicą niosącą lwiątko za skórę na karku. Na Kubie widzimy Zgonersów zmagających się z Kubańczykami w domino, kolejkę po kostki cukru, a Rufus cieszy się ze spotkania ze swoimi korzeniami. W Australii napotykamy egzotyczne kwiaty, wyścigi latawców oraz dodatkowe misie koala z pluszu dla każdego najmłodszego gościa z rodzicami-Zgonersami. W Iraku słyszymy śpiew ich narodowego ptaka, góropatwy azjatyckiej, płynący z głośników dyskretnie poukrywanych za wózkami sklepowymi oferującymi piękne jedwabne szaliki i koszule. W Kolumbii Lidia opowiada nam o ich niekończącym się lecie, a nas kusi,

by kupić sobie sok. W Egipcie znajdują się tylko dwie repliki piramid, a ponieważ jest tam sucho i gorąco, pracownicy oferują do picia wodę marki Nil. W Chinach Lidia żartuje, że słyszała o zakazie reinkarnacji bez oficjalnego pozwolenia od rządu, a ja nie chcę o tym myśleć, więc skupiam się na podświetlanych replikach i ludziach grających w tenisa stołowego. W Korei Południowej widzimy kilka pomarańczowo-żółtych robotów używanych w salach lekcyjnych – nazywają ich robo-nauczycielami – oraz Zgonersów, którzy dają sobie malować twarze. W Puerto Rico autobus zatrzymuje się na czterdziestosekundową przerwę. Rufus ciągnie mnie gdzieś za rękę, a Lidia idzie za nami.

– Co się dzieje? – pytam głośno, by mógł mnie słyszeć mimo kumkania maleńkich żab (trudno powiedzieć, czy naprawdę tu są, czy to tylko nagranie) i odgłosów dzikiej przyrody, które są irytujące, bo jestem przyzwyczajony tylko do syren i klaksonów; ludzie gadający przy wózku z rumem są dla mnie ukojeniem.

– Rozmawialiśmy o tym, że chciałbyś zrobić coś ekscytującego, gdybyś tylko miał szansę podróżować, prawda? Przez cały czas trwania tej wycieczki wyglądałem czegoś takiego i patrz. – Rufus pokazuje na znak przy tunelu: SKOK W LAS DESZCZOWY! – Nie wiem, co to właściwie znaczy, ale musi być lepsze niż ten udawany skok ze spadochronem.

– Poszliście skakać ze spadochronem? – pyta Lidia i wydaje się przy tym mówić zarówno „chyba oszaleliście", jak i „strasznie wam zazdroszczę". Jest zaborcza w najbardziej opiekuńczy, siostrzany sposób, jaki można sobie wyobrazić.

Idziemy we trójkę po beżowych kafelkach, posypanych prawdziwym piaskiem. Pracownik areny podaje nam broszurkę na temat Sali Lasu Deszczowego El Yunque i oferuje audioprzewodnika, chociaż jednocześnie przyznaje, że

wtedy stracimy nieco naturalnej muzyki rozlegającej się w środku. Rezygnujemy z słuchawek i przechodzimy przez tunel, gdzie powietrze jest wilgotne i ciepłe.

Na rosnące blisko siebie drzewa pada mżawka, a sztuczne słońce przesącza się przez gęste liście. Chodzimy między powykręcanymi konarami, podążając wytyczoną ścieżką w stronę rechotu kolejnych rzekotek. Myślę o opowieściach taty, w których był w moim wieku i ścigał się z przyjaciółmi między drzewami, łapał i sprzedawał żaby innym dzieciakom, które chciały zwierzaki domowe, a czasami tylko siedział pogrążony w myślach. Im głębiej wchodzimy, tym wyraźniej kumkanie żab zostaje zastąpione głosami ludzi i wodospadu. Mylę to drugie z nagraniem, dopóki nie miniemy polany i nie zobaczymy wody spadającej z mierzącego sześć metrów klifu i ludzi bez koszulek oraz ratowników. To musi być ten skok. Nie wiem, dlaczego pomyślałem, że to będzie coś bardziej żałosnego, na przykład skakanie z kamienia na kamień po równym.

Chociaż tak dużo już zobaczyliśmy, myśl, że miałbym już wyjść, jest jak wyrwanie ze snu, na który się czekało całe życie. Ale ja nie śpię. Jestem tak obudzony, jak nigdy.

– Moja córka nienawidzi deszczu – mówi Lidia Rufusowi. – Nie cierpi wszystkiego, nad czym nie ma kontroli.

– Jeszcze zmieni zdanie.

Idziemy na krawędź klifu, skąd skaczą inni Zgonersi. Drobna dziewczyna z niebieską opaską, chustą na głowie i dmuchanymi rękawkami w ostatniej chwili robi coś niebezpiecznego – odwraca się i skacze tyłem, jakby ktoś zepchnął ją z dachu budynku. Ratownik niżej gwiżdże i inni podpływają na środek, gdzie wylądowała. Zaraz wypływa na powierzchnię, śmiejąc się, i chyba ratownicy ją strofują, ale

ona ma to gdzieś. Jak mogłaby się tym przejmować w taki dzień jak dzisiaj?

RUFUS

16:24

Tyle się nagadałem o byciu odważnym, a nie jestem pewien tego skoku. Od śmierci rodziny nie postawiłem stopy na plaży ani nie wszedłem do basenu. Najbliżej tak dużego zbiornika wody byłem wtedy, gdy Aimee łowiła ryby w East River, a potem miałem koszmary, że sam wyłowiłem samochód rodziców z rzeki Hudson. Znalazłem w nim ich szkielety w ubraniach, jakbym to ja ich porzucił.

– Będę musiał się wypisać z tego punktu, Mateo. Poradzisz sobie sam.

– I ty też powinieneś – mówi mu Lidia. – Wiem, że nie mam prawa głosu, ale wypisz się, wypisz się.

Propsy dla Mateo, że i tak staje w kolejce do skoku; chciałbym, żeby to zrobił. Nie ma już kumkających żab, więc wiem, że mnie usłyszał. Wiem, że zwróciliście już na to uwagę, ale popatrzcie tylko – właśnie czeka, żeby zeskoczyć z klifu, i założę się o wszystko, że nawet nie umie pływać. Odwraca się i macha, jakby zapraszał mnie na przejażdżkę kolejką górską. Podchodzę do niego.

– Chodź – mówi, przyglądając mi się. – Chyba że wolisz wrócić do Spraw-Sobie-Przeżycie i popływać w jednym z ich basenów. Naprawdę uważam, że poczujesz się lepiej, jeśli

wrócisz do wody… To dziwne, że teraz ja jestem tym odważniejszym, co?

– Trochę bez sensu, no.

– Będę się streszczał. Nie potrzebujemy tego całego Spraw-Sobie-Przeżycie i wirtualnej rzeczywistości. Możemy sami stworzyć sobie teraz wspomnienia.

– W sztucznym lesie deszczowym? – Również się uśmiecham.

– Nie twierdziłem, że to prawdziwe miejsce.

Pracowniczka areny mówi Mateo, że jest następny w kolejce.

– Mogę skoczyć razem z przyjaciółmi? – pyta chłopak.

– Oczywiście – odpowiada kobieta.

– Na mnie nie liczcie! – krzyczy Lidia.

– A właśnie, że skoczysz. Inaczej będziesz żałować.

– Powinienem zepchnąć cię z tego klifu, wiesz? – rzucam do Mateo. – Ale nie zrobię tego, bo masz rację.

Mogę się zmierzyć ze strachem, zwłaszcza w kontrolowanym otoczeniu, z dmuchanymi rękawkami i pod okiem ratowników.

Nie wzięliśmy ze sobą strojów kąpielowych, więc rozbieramy się do majtek i jo, nie miałem pojęcia, jak chudy jest Mateo. Unika patrzenia w moim kierunku – co jest trochę zabawne – w przeciwieństwie do Lidii, która ma na sobie tylko stanik i dżinsy i taksuje mnie wzrokiem. Otrzymujemy nasz sprzęt – nazywam tak te rękawki, bo jako „sprzęt” wydają się mniej śmieszne – i zakładamy go na siebie. Pracownica mówi, że możemy skoczyć, kiedy będziemy gotowi, ale w miarę szybko, bo za nami już się tworzy kolejka.

– Na trzy? – pyta Mateo.

– Na trzy.

– Raz. Dwa…

Łapię go za rękę, splatam nasze palce. Odwraca się do mnie, ma czerwone policzki, i chwyta dłoń Lidii.

– Trzy.

Patrzymy przed siebie i w dół, po czym skaczemy. Czuję, jakbym spadał szybciej, ciągnąc za sobą Mateo. On krzyczy i kilka sekund przed tym, jak zderzam się z wodą, ja też – a Lidia wydaje okrzyk radości. Potem spędzamy pod wodą tylko chwilę i gdy otwieram oczy, Mateo jest ciągle przy mnie. Nie panikuje, co przypomina mi, jak spokojni wydawali się moi rodzice po tym, jak mnie uwolnili. Lidia się odłączyła, nie widzimy jej. Wypływamy, wciąż trzymając się za ręce, otaczają nas ratownicy. Zbliżam się do Mateo, śmiejąc się, i ściskam go mocno za tę wolność, jaką na mnie wymusił. Zupełnie jakbym został ochrzczony albo coś, zostawiając w wodzie gniew, smutek, poczucie winy i frustrację, które równie dobrze mogą sobie na zawsze utonąć, nie obchodzi mnie to.

Woda pieni się dokoła, a ratownik odsyła nas na wzgórze.

Pracownik u podnóża podaje nam ręczniki i Mateo zarzuca sobie jeden na ramiona, trzęsąc się.

– Jak się czujesz? – pyta.

– Nieźle – odpowiadam.

Nie wspominamy o trzymaniu się za ręce ani nic, ale mam nadzieję, że rozumie, skąd to się wzięło, na wypadek gdyby miał jeszcze jakieś wątpliwości. Ruszamy na szczyt klifu, wycierając się, i odbieramy nasze ubrania, po czym zakładamy je. Wychodzimy przez sklep z pamiątkami, gdzie przyłapuję Mateo na tym, jak śpiewa piosenkę lecącą z radia.

Zbliżam się do niego, gdy sięga po jedną z kart pożegnalnych, jakie tu sprzedają.

– Zmusiłeś mnie do skoku i teraz twoja kolej.

– Przecież skoczyłem razem z tobą.

– Nie o tym mówię. Chodź ze mną do tego klubu tanecznego. Zgonersi chodzą tam się pobawić i wyluzować. Pójdziesz?

FUNKCJONARIUSZ ANDRADE

16:32

Nikt z Prognozy Śmierci nie zadzwonił do Ariela Andrade, by powiadomić go o rychłej śmierci, ponieważ Ariel dzisiaj nie umrze, ale ponieważ jest funkcjonariuszem policji, boi się takiego telefonu każdej nocy, gdy zegar wybije dwunastą. Razem z Grahamem mogliby być bohaterami filmu o kumplach-glinach, tak się dobrze dogadywali i przerzucali dowcipami przy piwie.

Andrade ciągle myśli o Grahamie i dzisiejszy dzień nie jest wyjątkiem. Ci dwaj chłopcy z rodziny zastępczej strasznie się stawiają w areszcie, bo ich brat jest Zgonerem. Nie trzeba pasującego DNA, żeby czuć się czyimś bratem, i Andrade dobrze o tym wie. A już na pewno nie trzeba mieć tej samej krwi, żeby czuć, że wraz z czyjąś śmiercią tracisz jakąś część siebie.

Andrade nie uważa, żeby ten Zgoner, Rufus Emeterio, którego przestał ścigać nad ranem, sprawiał kłopoty – o ile w ogóle jeszcze żyje. Zawsze miał szósty zmysł, jeśli chodzi o Zgonersów, którzy zamierzają w czasie swoich ostatnich godzin narobić bałaganu. Na przykład jak ten, przez którego zginął Graham.

Partner Ariela uparł się, żeby swój Dzień Ostateczny spędzić w pracy. Jeśli miał umrzeć, ratując komuś życie, był to lepszy

sposób na odejście niż ostatni odpoczynek. Policjanci ścigali Zgonera, który zapisał się na wyzwanie strony zHukiem, przez ostatnie miesiące zbierającej ogromne liczby widzów. O każdej porze dnia i nocy ludzie wchodzą tam, żeby patrzeć, jak Zgonersi zabijają się w najbardziej wymyślny sposób – żeby odejść z hukiem. Ginący w najciekawszy sposób wygrywa dla swojej rodziny całkiem sporą sumkę pochodzącą z nieznanego źródła, ale głównie można tam znaleźć po prostu bandę Zgonersów, którzy nie dostają drugiej szansy, jeśli nie zabiją się wystarczająco kreatywnie, by zadowolić oglądających. Graham próbował powstrzymać Zgonera przed zjechaniem na motorze z Mostu Williamsburg i przez to zginął.

Andrade stara się z całych sił, żeby do końca roku doprowadzić do zdjęcia tej strony. Nie ma mowy, żeby napił się z Grahamem piwa w niebie, jeśli tego nie zrobi. Chce skupić się na swojej prawdziwej pracy, a nie niańczyć czyjeś dzieciaki. Właśnie dlatego wezwał rodziców zastępczych tych dwóch, żeby podpisali zwolnienie. Wypuści chłopaków z upomnieniem, żeby mogli się wyspać.

I przeżyć żałobę.

Może nawet zdążą odnaleźć przyjaciela przed śmiercią.

Jeśli się jest wystarczająco blisko Zgonera w chwili jego odejścia, długo nie da się z tego otrząsnąć. Jednak mało kto żałuje, że spędził z umierającym każdą możliwą minutę.

DZIOBAK

16:59

– Może już nie żyje.

Dziobak włączył sobie powiadomienia z profilu Rufusa, ale i tak ciągle siedzi na jego Instagramie.

– No dalej, no dalej…

Dziobak oczywiście chce śmierci Rufusa. Jednak chce osobiście zadać ostateczny cios.

RUFUS

17:01

Kolejka przed Cmentarzem Clinta nie jest tak długa jak zeszłej nocy, kiedy wracałem do Plutonów. Nie zamierzam nawet spekulować na temat tego, czy to oznacza, że wszyscy weszli, czy może już wyszli i umarli. Lepiej, żeby to był zajebisty klub, dla Mateo. I lepiej, żeby mnie wpuścili, chociaż osiemnaście lat skończę dopiero za kilka tygodni.

– Głupio iść do klubu o siedemnastej – rzuca Lidia.

Rozdzwania się mój telefon i stawiam, że to Aimee, ale zaraz na wyświetlaczu widzę paskudną mordę Malcolma.

– Plutoni! O cholera.

– Plutoni? – pyta Lidia.

– Jego najlepsi przyjaciele – mówi Mateo, co nie oddaje nawet ułamka tego, kim dla mnie są, ale odpuszczam, bo to dziko fajne, że nawet Mateo się cieszy. Założę się, że czułbym się tak samo, gdyby nagle zadzwonił do niego ojciec.

Odbieram połączenie z FaceTime, wychodząc z kolejki. Malcolm i Tagoe są razem, totalnie zaskoczeni moim widokiem. Szczerzą zęby, jakby chcieli urządzić sobie ze mną trójkącik.

– ROOF!

– Jasna cholera – rzucam.

– Ty żyjesz! – mówi Malcolm.

– A wy nie jesteście w areszcie!

– Nie mogli nas dłużej trzymać – stwierdza Tagoe, walcząc o miejsce przed obiektywem. – Widzisz nas?

– Pieprzyć to wszystko. Roof, gdzie jesteś? – Malcolm mruży oczy, patrząc gdzieś za mnie. Ja też nie mam pojęcia, gdzie oni są.

– U Clinta. – Mogę się z nimi lepiej pożegnać. Mogę ich uściskać. – Możecie się tu z nami spotkać? Niedługo? – Przeżycie tak długo było pieprzonym cudem, ale czas ucieka. Mateo trzyma Lidię za rękę, a ja też chcę mieć tutaj moich najlepszych przyjaciół. Wszystkich. – Możecie też zabrać ze sobą Aimee? Tylko nie tego dupka, Dziobaka. Inaczej znowu skopię mu tyłek. – Jeśli cała ta draka miała mnie czegoś nauczyć, nie nauczyła. Gość zepsuł mój pogrzeb i przez niego moi kumple trafili do aresztu, więc mogę go znowu walnąć i nawet nie próbujcie mówić, że nie powinienem.

– Koleś ma szczęście, że jeszcze żyjesz – stwierdza Malcolm. – Inaczej całą noc byśmy na niego polowali.

– Nie wychodź z klubu – wtrąca Tagoe. – Będziemy tam za dwadzieścia minut. Śmierdzący więzieniem. – To zabawne, że Tagoe uważa się teraz za kryminalistę.

– Nigdzie się nie wybieram. Przyszedłem tu dla przyjaciela. Po prostu ruszcie tyłki, dobra?

– Lepiej, żebyś tam był, Roof – rzuca Malcolm.

Wiem, co ma na myśli. Lepiej, żebym był żywy.

Robię zdjęcie szyldu Cmentarza Clina i wrzucam na Instagrama w kolorze.

DZIOBAK

17:05

– Mam go – rzuca Dziobak, zeskakując z łóżka. Cmentarz Clinta. Wkłada załadowany pistolet do plecaka. – Musimy się śpieszyć. Ruszamy.

Część czwarta
KONIEC

„Nikt nie chce umrzeć. Nawet ludzie, którzy pragną iść do nieba, nie chcą umrzeć, żeby się tam dostać. A jednak śmierć czeka nas wszystkich. Nikomu nie udało się przed nią umknąć. I tak właśnie powinno być, ponieważ Śmierć to najprawdopodobniej najlepszy wynalazek Życia. To jego czynnik zmiany. Śmierć pozbywa się starego, by zrobić miejsce na to, co nowe”.

— Steve Jobs

MATEO

17:14

Ten dzień jest pełen cudów.

Znalazłem Ostatniego Przyjaciela w postaci Rufusa. Nasi najbliżsi dołączają do nas w Dniu Ostatecznym. Pokonaliśmy nasze lęki. A teraz jesteśmy w Cmentarzu Clinta, o którym dużo się mówi w sieci i który może się okazać idealnym miejscem, żebym wyrósł wreszcie ze swoich kompleksów – w ciągu najbliższych kilku minut.

Ze wszystkich obejrzanych przeze mnie filmów wiem, że bramkarze są zazwyczaj bardzo uparci i totalnie przerażający, ale tutaj, u Clinta, w drzwiach stoi młoda kobieta w czapce założonej tyłem naprzód, która składa kondolencje i dziękuje za każdą darowiznę, nawet najmniejszą.

Prosi mnie o dokument.

– Moje kondolencje, Mateo. Baw się dobrze, okej?

Kiwam głową. Wrzucam trochę gotówki do pojemnika na darowizny i czekam, aż Rufus zrobi to samo. Kobieta mierzy go wzrokiem i trochę się przez to rumienię. Wtedy jednak Rufus dogania mnie i klepie po ramieniu i teraz rumieniec piecze inaczej, jak wtedy, gdy uścisnął moją dłoń w Arenie Podróżniczej.

Zza drzwi rozlega się dudnienie muzyki, a my czekamy na Lidię.

– Wszystko w porządku? – pyta Rufus.

– Jestem poddenerwowany i podekscytowany. Głównie to pierwsze.

– Żałujesz już, że kazałeś mi skoczyć z klifu?

– A ty żałujesz, że skoczyłeś?

– Nie.

– No to nie.

– Będziesz się tutaj dobrze bawił?

– Bez ciśnienia – odpowiadam. Jest różnica między skokiem z klifu a dobrą zabawą. Kiedy już zeskoczysz, nie możesz tego cofnąć, nie możesz zatrzymać się w połowie drogi w dół. Jednak bawienie się w sposób, który wydaje się odważny i zawstydzający, na oczach zupełnie obcych ludzi, wymaga szczególnej odwagi.

– Nie ma ciśnienia – mówi Rufus. – To tylko nasze ostatnie godziny na tej planecie, żeby umrzeć, niczego nie żałując. Ale serio, bez ciśnienia.

Niczego nie żałując. Rufus ma rację.

Moi przyjaciele stoją za mną, gdy otwieram drzwi i wchodzę do świata, w którym od razu żałuję, że nie spędzałem każdej minuty. Widzę stroboskopy, migające niebieskie, żółte i szare światła. Graffiti na ścianach powstały z rąk Zgonersów i ich przyjaciół, czasami to ostatni ślad, jaki po sobie zostawili; coś, co uczyniło ich nieśmiertelnymi. Bez względu na to, kiedy się to zdarzy, każdego z nas czeka jakiś koniec. Nikt nie żyje wiecznie, ale to, co po sobie zostawiamy, utrzymuje nas przy życiu dla kogoś innego. A kiedy rozglądam się po sali pełnej ludzi, którzy dzisiaj umrą, widzę, że wszyscy żyją.

Czuję, że ktoś trzyma mnie za rękę i nie jest to ta sama dłoń, którą trzymałem mniej niż godzinę temu, bo ta niesie ze sobą historię – to ją ściskałem, gdy rodziła się moja chrześnica, a także wielokrotnie rankami i wieczorami po śmierci

Christiana. Podróżowanie z Lidią po świecie wewnątrz świata było niesamowite, ale to jej obecność tutaj – w tej chwili, której nie mogłem sobie po prostu kupić – czyni mnie szczęśliwym, chociaż mam wszelkie powody, by się smucić. Rufus podchodzi i otacza mnie ramieniem.

– Parkiet jest twój – mówi Rufus. – Scena też, jeśli się na to piszesz.

– Powoli – odpowiadam. Muszę się rozkręcić.

Na scenie stoi nastolatek o kulach, który śpiewa *Can't Fight This Feeling* i, jakby to ujął Rufus, wymiata. Za jego plecami tańczy grupka ludzi – przyjaciół, nieznajomych, kto by tam wiedział, kogo to obchodzi – a ich energia mnie napędza. Chyba mógłbym nazwać tę energię wolnością. Nikt mnie jutro nie osądzi za to, co zrobiłem. Nikt nie wyśle wiadomości do znajomych o jakimś żałosnym chłopaczku bez poczucia rytmu. I w tej chwili niczym cios w twarz uderza mnie to, jak głupi byłem, przejmując się tym.

Zmarnowałem tyle czasu, bo przejmowałem się tym, co nieważne.

– Chodzi ci po głowie jakaś piosenka?

– Nie – odpowiadam. Jest mnóstwo kawałków, które uwielbiam: *Vienna* Billy'ego Joela; *Tomorrow, Tomorrow* Elliota Smitha; *Born tu Run* Bruce'a Springsteena, jedna z ulubionych taty. Wszystkie mają dźwięki, których nie zdołam wyciągnąć, ale nie to mnie powstrzymuje. Chcę wybrać tę jedyną piosenkę.

Menu nad barem ma czaszkę i skrzyżowane piszczele; dziwnie jest widzieć, że czaszka się uśmiecha. Poniżej znajduje się napis: OSTATNI DZIEŃ NA UŚMIECH. Drinki są bezalkoholowe, co ma sens, ponieważ śmierć nie jest wymówką, żeby sprzedawać nieletnim alkohol. Kilka lat temu dyskutowano poważnie o tym, czy powinno się pozwolić

Zgonersom po osiemnastym roku życia pić alkohol. Kiedy prawnicy zaprezentowali statystyki na temat nastolatków umierających od zatrucia alkoholem i prowadzenia pojazdów po spożyciu, uznano, że powinno być tak, jak było – oficjalnie. Mimo to naprawdę łatwo dostać alkohol, jak rozumiem; zawsze tak było i zawsze będzie.

– Napijmy się – mówię.

Przepychamy się przez tłum, obcy ludzie tańczą i obijają się o nas. Didżej woła na scenę brodacza o imieniu David. David wtacza się na podium i ogłasza, że zaśpiewa *A Fond Farewell* Elliotta Smitha. Nie wiem, czy to Zgoner, czy może śpiewa dla kogoś bliskiego, ale to piękne.

Docieramy do baru.

Nie jestem w nastroju na Wściekłego Grabarza. I zdecydowanie nie na Martwego Rosjanina.

Lidia zamawia karmazynowego Terminatora. Szybko dostaje swój koktajl. Upija łyk i krzywi się, jakby zjadła garść kwaśnych cukierków.

– Chcesz?

– Nie, dzięki – odpowiadam.

– Szkoda, że nie ma w tym alkoholu. Nie chciałabym być trzeźwa, gdy odejdziesz.

Zamawiam napój gazowany. Rufus robi to samo. Kiedy każdy dostaje swoje zamówienie, podnoszę szklankę.

– Za uśmiechanie się, póki możemy. – Stukamy się szkłem i Lidia przygryza drżącą wargę, a Rufus, tak samo jak ja, uśmiecha się.

Mój Ostatni Przyjaciel przecina nasze kółko i staje tak blisko, że nasze ramiona się stykają, po czym mówi bezpośrednio do mojego ucha, żeby nie zagłuszyła go muzyka i wiwaty:

– To twój wieczór, Mateo. Poważnie. Wcześniej śpiewałeś swojemu tacie i przestałeś, gdy wszedłem. Tutaj nikt cię nie będzie oceniał. Powstrzymujesz się, a powinieneś zebrać się na odwagę.

Tamten koleś, David, kończy piosenkę i wszyscy go oklaskują, wcale nie niemrawo; można by pomyśleć, że na scenie wystąpił dla nich jakiś gwiazdor rocka.

– Widzisz? Oni chcą po prostu patrzeć, jak się dobrze bawisz, jak żyjesz pełnią życia.

Uśmiecham się i nachylam do jego ucha.

– Musisz zaśpiewać ze mną. Ty wybierasz.

Rufus kiwa głową, a potem przysuwa ją jeszcze bliżej.

– Okej. *American Pie*. Da się załatwić?

Uwielbiam tę piosenkę.

– Już ogarniam.

Proszę Lidię, żeby popilnowała naszych drinków, a sam podbiegam z Rufusem do didżeja, żeby się zgłosić. Zanim do niego dotrzemy, dziewczyna o tureckim pochodzeniu i imieniu Jasmine śpiewa *Because the Night* Patti Smith i to niesamowite, jak ktoś tak drobny może domagać się takiej uwagi i wzbudzić taką ekscytację. Brunetka z szerokim uśmiechem – tak szerokiego nie spodziewalibyście się zobaczyć u kogoś, kto umiera – prosi o piosenkę i się odsuwa. Mówię didżejowi o ksywce LouOw, jaki utwór chcemy, a on chwali nasz wybór. Kołyszę się trochę do występu Jasmine, kiwając głową, gdy wydaje mi się to odpowiednie. Rufus przygląda mi się z uśmiechem, a ja przestaję, zawstydzony.

Wzruszam ramionami i znowu zaczynam tańczyć.

Tym razem podoba mi się, że ktoś patrzy.

– To mój moment, Rufus – mówię. – Żyję w pełni. Właśnie teraz.

– Ja też, stary. Dzięki, że odezwałeś się do mnie przez *Ostatniego Przyjaciela*.

– Dzięki za to, że byłeś najlepszym Ostatnim Przyjacielem, jakiego ktoś tak zamknięty w sobie jak ja potrzebował.

Brunetka sprzed chwili, Becky, zostaje wezwana na scenę i śpiewa *Try A Little Tenderness* Otisa Reddinga. My jesteśmy następni w kolejce i czekamy przy klejących się schodkach. Kiedy utwór Becky dobiega końca, wreszcie dopada mnie trema – bo to już zaraz. Nic jednak nie jest w stanie przygotować mnie na chwilę, gdy didżej LouOw zapowiada „Rufusa i Matthew". Tak, myli moje imię, podobnie jak Andrea z Prognozy Śmierci wiele godzin temu, i czuję, jakby to mógł być inny dzień – przeżyłem dzisiaj całe życie i ten moment jest moim bisem.

Rufus wbiega po schodkach na scenę, a ja ruszam zaraz za nim. Becky życzy mi powodzenia z najsłodszym uśmiechem; modlę się, żeby nie była Zgonerką, a jeśli jest, mam nadzieję, że odejdzie, niczego nie żałując. Odkrzykuję:

– Dobra robota, Becky!

Odwracam się. Rufus wyciąga na środek sceny dwa stołki do naszej dość długiej piosenki. Dobry pomysł, bo trzęsą mi się kolana, oślepia mnie światło reflektorów i słyszę szum w uszach. Siadam obok niego i didżej LouOw przysyła kogoś, by podał nam mikrofony, przez co czuję się potężny, jakbym właśnie otrzymał Excalibura, by odmienić losy bitwy.

W głośnikach rozlegają się dźwięki *American Pie* i tłum wiwatuje, jakby to była nasza własna piosenka, jakby nas znali. Rufus ściska moją dłoń i puszcza.

– *A long, long time ago…* – zaczyna. – *I can still remember…*

– *How that music used to make me smile* – dołączam. Z oczu ciekną mi łzy. Moja twarz jest ciepła, nie, gorąca. Odnajduję

Lidię i widzę, że kołysze się w rytm muzyki. Nawet sen nie potrafiłby oddać podniosłości tej chwili.

– *…This will be the day that I die… this will be the day that I die…*

Energia w sali się zmienia. Nie chodzi tylko o moją pewność siebie mimo fałszowania, nie, nasze słowa przemawiają do Zgonersów na widowni, wsiąkają głęboko w ich skórę i przedostają się do niknących dusz, jakby gasnących świetlików, ale wciąż obecnych. Niektórzy Zgonersi śpiewają razem z nami i jestem pewien, że gdyby pozwalano tutaj na zapalniczki, wyjęliby je teraz; inni płaczą, a jeszcze inni uśmiechają się z zamkniętymi oczami – zagubieni w dobrych wspomnieniach, jak chcę wierzyć.

Przez osiem minut śpiewamy z Rufusem o ciernistych koronach, whiskey i życiu, o pokoleniu straconym w przestrzeni kosmicznej, o zaklęciu Szatana, dziewczynie śpiewającej bluesa i dniu, w którym umarła muzyka, a także wiele więcej. Piosenka się kończy, łapię oddech i wciągam razem z powietrzem ich gromkie brawa, wciągam ich miłość, a ta napełnia mnie taką energią, że ściskam dłoń Rufusa, gdy się im kłania. Sprowadzam go ze sceny i gdy tylko znajdujemy się za kurtyną, spoglądam mu w oczy, a on uśmiecha się, jakby wiedział, co się zaraz stanie. I się nie myli.

Całuję chłopaka, który dał mi życie w dniu, w którym zginiemy.

– Wreszcie! – mówi Rufus, gdy daję mu chwilę na oddech, a potem sam mnie całuje. – Co tak długo?

– Wiem, wiem. Przepraszam. Wiem, że nie ma czasu do stracenia, ale musiałem mieć pewność, że jesteś tym, za kogo cię mam. Najlepsza w tym całym umieraniu jest twoja przyjaźń. – Nigdy bym nie przypuszczał, że znajdę kogoś, do kogo mógłbym mówić takie rzeczy. Te słowa są takie ogólne,

a jednocześnie głęboko osobiste, a to uczucie jest prywatną sprawą, którą chciałbym podzielić się ze wszystkimi. Wydaje mi się, że każdy pragnie czegoś takiego. – I nawet gdybym nie zdążył cię pocałować, dałeś mi życie, którego pragnąłem.

– Ty też się mną zaopiekowałeś – mówi Rufus. – Byłem taki cholernie zagubiony przez ostatnie miesiące. Zwłaszcza zeszłej nocy. Nie mogłem już znieść tych wątpliwości i tego, że ciągle byłem taki wkurzony. Ty mi dałeś najlepsze wsparcie i pomogłeś mi znowu odnaleźć siebie. Dzięki tobie jestem lepszy, jo.

Jestem gotowy znowu go pocałować, lecz jego wzrok ucieka gdzieś dalej, za scenę i pośród widzów. Ściska moje ramię.

– Plutoni przyszli – mówi i uśmiecha się jeszcze szerzej.

HOWIE MALDONADO

17:23

Pracownik Prognozy Śmierci zadzwonił do Howiego Maldonado o drugiej trzydzieści siedem, żeby poinformować go o rychłej śmierci.

Najgorzej znosi to prawie dwa i pół miliona jego fanów na Twitterze.

Większą część dnia Howie spędził w swoim pokoju hotelowym, z zespołem uzbrojonych ochroniarzy przed drzwiami; sława dała mu to życie, ale go przy nim nie utrzyma. Jedynymi ludźmi, jakich wpuścił do siebie, byli prawnicy potrzebni do spisania testamentu oraz agent literacki, który musiał zebrać podpisy Howiego na umowach, zanim ten kopnie w kalendarz. To zabawne, że książka, której nawet nie napisał, ma przed sobą większą przyszłość niż on. Howie odbierał telefony od kolegów i koleżanek z planu, prawników, rodziców oraz kuzynki, która dzięki niemu stała się popularna w szkole.

Rodzice Howiego mieszkają w Portoryko, gdzie wrócili po tym, jak kariera ich syna nabrała rumieńców. Rozpaczliwie chciał, by pozostali w Los Angeles, gdzie teraz mieszka; proponował nawet zapłacić za nich każdy rachunek i sfinansować każdą zachciankę, jednak ich miłość do San Juan, gdzie się poznali, okazała się zbyt wielka. Howie ze

smutkiem zauważa, że chociaż rodzice będą rozpaczać, poradzą sobie sami. I tak już przyzwyczaili się do życia bez niego, do oglądania go z dystansu – tak samo jak fani.

Jak obcy ludzie.

Howie w tej chwili siedzi w samochodzie z kolejnymi obcymi. Dwie kobiety z „Inifinite Weekly" mają z nim przeprowadzić ostatni wywiad. Robi to tylko dla fanów. Dobrze wie, że mógłby żyć jeszcze dziesięć lat i dzielić się wszystkim, a i tak byłoby to za mało. Jego wielbiciele żarłocznie pochłaniają każdy „kontent" z nim, jak to nazywają jego pijarowcy i menadżerowie. Każdą zmianę fryzury. Każdą okładkę magazynu. Każdy tweet, nawet najeżony literówkami.

Wczoraj wieczorem wrzucił na Twittera zdjęcie swojej kolacji.

Wysłał już swojego ostatniego tweeta: *Dziękuję za to życie*. Dołączył selfika, na którym się uśmiecha.

– Z kim tak pędzisz się spotkać? – pyta starsza kobieta. Chyba Sandy. Tak, Sandy. Nie Sally, jak jego pierwsza dziewczyna od pijaru. Sandy.

– Czy to część wywiadu? – odpowiada Howie.

Normalnie udzielanie wywiadów nie wymaga od niego skupienia, więc w tym czasie bawi się telefonem, przeglądając Twittera albo Instagrama. Jednak nadążanie za potokiem miłości, w tym wiadomościami od autora książek ze Scorpiusem Hawthorne'em, jest dziesięć razy bardziej nienośne niż zazwyczaj.

– Może – stwierdza Sandy, podnosząc dyktafon. – Zależy od ciebie.

Howie żałuje, że nie ma przy nim jego menadżerki, żeby sama ucięła to pytanie, ale wypisał jej duży czek i odesłał do jej pokoju hotelowego, zachęcając, żeby trzymała się z dala od niego, jakby mógł zarazić ją wirusem zombie.

– Pas – rzuca Howie. Nikogo nie powinno obchodzić, że jest w drodze na spotkanie z przyjaciółką z dzieciństwa i pierwszą miłością, Leną, która przyleciała z Arkansas, żeby zobaczyć się z nim po raz ostatni. Dziewczyna mogłaby zostać więcej niż jego przyjaciółką, gdyby Howie nie żył w świetle jupiterów. Kiedyś tak za nią tęsknił, że wypisywał jej imię na mieście, na przykład na budkach telefonicznych i stolikach, nigdy nie podpisując się własnym. Ta sama dziewczyna teraz cieszy się cichym życiem u boku męża.

– Dobrze – mówi Sandy. – W takim razie, z jakiego osiągnięcia jesteś najbardziej dumny?

– Z mojej sztuki – odpowiada Howie, powstrzymując się od przewrócenia oczami. Ta druga kobieta, Delilah, gapi się na niego, jakby potrafiła zajrzeć za jego maskę. Howie nawet by się tym krępował, gdyby nie rozpraszały go jej piękne włosy, przypominające zorzę polarną, a także świeży bandaż na czole, który zakrywa bliznę podobną do tej noszonej przez Scorpiusa Hawthorne'a.

– Gdzie byłbyś teraz, gdyby nie rola Draconiana Marsha? – pyta Sandy.

– W dosłownym znaczeniu? W San Juan z rodzicami. A zawodowo… Kto wie.

– Lepsze pytanie – odzywa się Delilah. Sandy się wkurza, ale dziewczyna ją zagłusza. – Czego żałujesz?

– Przepraszam za nią. Zaraz ją zwolnię i wysiądzie na następnym czerwonym świetle.

Howie skupia uwagę na Delilah.

– Uwielbiałem swoją pracę. Ale nie wiem, kto się kryje za głosem na Twitterze i złą twarzą franczyzy.

– Co zrobiłbyś inaczej?

– Pewnie nie nakręciłbym tego gównianego filmu dla studentów. – Howie uśmiecha się, zaskoczony swoim

humorem w Dniu Ostatecznym. – Robiłbym tylko to, co dla mnie naprawdę ważne. Na przykład filmy ze Scorpiusem. To była wyjątkowa adaptacja. Ale powinienem był wykorzystać sprzyjający los do spędzania większej ilości czasu z bliskimi. Z rodziną i przyjaciółmi. Skupiłem się na tym, by dla innych ról zmienić swój wizerunek i nie kojarzyć się już ze złym nastoletnim czarodziejem. Jasna cholera, jestem w mieście po to, żeby spotkać się z wydawcą kolejnej książki, której nie napisałem.

Delilah spogląda na niepodpisany egzemplarz powieści, który leży pomiędzy nią a szefową.

Byłą szefową. Chyba.

– A co uczyniłoby cię szczęśliwym? – pyta.

Od razu przychodzi mu do głowy miłość, co jest jak uderzenie pioruna w dzień, w którym nie przewidywano burz. Howie nigdy nie czuł się samotny, bo w dowolnym momencie w sieci czekało go całe mnóstwo wiadomości. Jednak uwaga milionów i bliskość tej jednej osoby to zupełnie inne rzeczy.

– Moje życie to obosieczny miecz – mówi Howie, nie opowiadając o nim w czasie przeszłym, jak wielu pokonanych Zgonerów. – Jestem tu, gdzie jestem, bo moje życie poruszało się z taką, a nie inną prędkością. Gdyby nie tamta rola, może zakochałbym się z wzajemnością. Może byłbym prawdziwym synem, a nie kimś, komu wydawało się, że bycie kontem w banku wystarczy. Mógłbym poświęcić czas na naukę hiszpańskiego, żeby móc porozmawiać z babcią bez tłumaczki w osobie mojej mamy.

– A gdybyś nie odniósł sukcesu i miał to wszystko, czy to by ci wystarczyło? – pyta Delilah. Siedzi na krawędzi fotela. Sandy też sprawia wrażenie zainteresowanej.

– Tak mi się wydaje…

Howie milknie, a kobiety otwierają szerzej oczy.

Samochodem szarpie i Howie opuszcza powieki, czując ucisk głęboko w piersi, jak za każdym razem na kolejce górskiej, gdy wjeżdżał wyżej i wyżej, poza punkt bez wyjścia, skąd spadał z niesamowitą prędkością. Tylko że teraz Howie wie, że nie jest bezpieczny.

GANG BEZ NAZWY

17:36

Pracownicy Prognozy Śmierci nie zadzwonili do tej bandy chłopaków, żeby powiadomić ich o rychłej śmierci, więc żyją, jakby ich życie nie mogło się skończyć nawet przed śmiercią. Biegną ulicą, nie przejmując się jadącymi samochodami, jakby te nie mogły im zrobić krzywdy, jakby prawo się do nich nie stosowało. Dwóch z nich wybucha śmiechem, gdy jedno auto wpada na drugie, wyrywa się spod kontroli i uderza w ścianę. Trzeci jest zbyt skupiony na tym, by dotrzeć do celu i wyciągnąć broń z plecaka.

DELILAH GREY

17:37

Delilah wciąż żyje. Nie musi sprawdzać pulsu Howiego, by wiedzieć, że on nie. Widziała, jak jego głowa odbija się od hartowanej szyby, usłyszała obrzydliwy trzask, którego nigdy nie zapomni…

Jej serce wali jak szalone. W ciągu jednego dnia – tego samego, w którym ostrzeżono ją przed śmiercią – przeżyła nie tylko wybuch w księgarni, ale też wypadek samochodowy spowodowany przez trzech chłopaków biegnących przez ulicę.

Śmierć miała już dwie szanse i obie zmarnowała.

Delilah wie, że nie spotka się dzisiaj ze Śmiercią.

RUFUS

17:39

Chciałbym nadal trzymać Mateo za rękę, ale muszę uścisnąć swoich. Przeciskam się przez tłum, odpychając Zgonersów i innych, żeby dotrzeć do Plutonów. Wszyscy najpierw wciskamy pauzę, a potem znowu play w tej samej sekundzie, jakbyśmy byli czterema samochodami ruszającymi na zielonym. Przytulamy się wszyscy razem, czworo Plutonów w Plutonowym uścisku, na który czekałem ponad piętnaście godzin, odkąd uciekłem z własnego pieprzonego pogrzebu.

– Kocham was – mówię. Nikt nie rzuca dowcipem o gejach. Mamy to już za sobą. Nie powinno ich tutaj być, ale ryzykują w imię gry, w którą i ja gram. – Wcale nie śmierdzisz więzieniem, Tagoe.

– Musisz zobaczyć moją nową dziarę – odpowiada. – Co myśmy tam widzieli, stary.

– Gówno widzieliśmy – rzuca Malcolm.

– Wy to jesteście – mówię.

– Nie dostali nawet aresztu domowego – odzywa się Aimee. – A szkoda.

Przestajemy się przytulać, ale nie odsuwamy od siebie, jakby tłum zmuszał nas do zbicia się w kupę. Wszyscy na mnie patrzą. Tagoe wygląda, jakby chciał mnie pogłaskać. Malcolm wygląda, jakby zobaczył ducha. Aimee wygląda, jakby chciała

mnie jeszcze uściskać. Nie pozwalam, żeby Tagoe traktował mnie jak szczeniaczka, ani nie straszę Malcolma, ale przysuwam się do Aimee i przytulam ją jak pojebany.

– Przepraszam, Ames – mówię. Nie wiedziałem, że chcę ją przeprosić, dopóki nie zobaczyłem jej twarzy. – Nie powinienem był tak się od ciebie odcinać. Nie w pieprzonym Dniu Ostatecznym.

– Ja też cię przepraszam. Tylko jedno się dla mnie liczy i przepraszam, że próbowałam grać na dwa fronty. Nie zostało nam tyle czasu, ile powinno, ale ty zawsze będziesz dla mnie ważniejszy. Nawet gdy już…

– Dziękuję, że to powiedziałaś.

– Przepraszam, że musiałam mówić coś tak oczywistego.

– Nic się nie stało.

Wiem, że pomogłem Mateo żyć pełnią życia, ale on pomógł mi poukładać swoje. Chcę zostać zapamiętany takim, jaki jestem teraz, a nie jaki byłem zeszłej nocy. Odwracam się i widzę, że Mateo i Lidia stoją ramię w ramię. Przyciągam go za łokieć.

– To mój Ostatni Przyjaciel, Mateo – mówię. – A to jego najlepsza przyjaciółka, Lidia.

Plutoni witają się z Mateo i Lidią. Układy planetarne się zderzają.

– Boicie się? – pyta Aimee.

Chwytam dłoń Mateo i kiwam głową.

– Przegramy, ale najpierw wygraliśmy.

– Dzięki, że zaopiekowaliście się naszym kumplem – rzuca Malcolm.

– Oboje zostajecie honorowymi Plutonami – oznajmia Tagoe, po czym zwraca się do Malcolma i Aimee: – Powinniśmy zrobić sobie odznaki.

Relacjonuję im swój Dzień Ostateczny i tłumaczę, dlaczego na moim Instagramie zagościły kolory.

Elastic Heart Sii właśnie się kończy.

– Powinniśmy tam być, nie? – rzuca Aimee, pokazując na parkiet.

– Chodźmy – odpowiada Mateo, ubiegając mnie.

MATEO

17:48

Chwytam dłoń Rufusa i ciągnę go na parkiet akurat w chwili, gdy ciemnoskóry chłopak o imieniu Chris przejmuje scenę. Chris mówi, że za chwilę wykona własny utwór *The End*, po czym rapuje o ostatecznych pożegnaniach, o niepowstrzymanej śmierci i koszmarach, z których chcielibyśmy się obudzić. Gdybym nie stał obok Rufusa i naszych najbliższych, poczułbym się przygnębiony. Jednak zamiast tego tańczymy i to jest kolejne coś, czego bym się po sobie nie spodziewał – nie chodzi tylko o taniec, ale taniec z kimś, kto prowokuje mnie do życia.

Czuję pulsujący we mnie rytm i klaszczę z rękami nad głową, idąc za przykładem pozostałych. Głowa mi się kiwa, ramiona bujają. Rufus udaje Harlem-shake albo żeby zrobić na mnie wrażenie, albo mnie rozbawić; działa jedno i drugie, głównie dlatego, że aż emanuje godną podziwu pewnością siebie. Zbliżamy się, ręce wciąż jeszcze mamy wzdłuż boków albo nad głową, ale tańczymy obok siebie – nie zawsze w jednym rytmie, ale kogo to obchodzi – i nie odsuwamy się, gdy więcej ludzi wchodzi na parkiet. Wczorajszy Mateo uznałby to za klaustrofobiczne, ale ten teraz? Nie rusza go to.

Piosenka się zmienia na superszybką, ale Rufus zatrzymuje mnie i czuję jego dłoń na biodrze.

– Zatańcz ze mną.

Wydaje mi się, że już tańczyliśmy razem.

– A robiłem to nie tak, jak trzeba?

– Radzisz sobie super. Miałem na myśli wolny taniec.

Bit jeszcze przyśpieszył, ale my kładziemy sobie ręce na ramiona i w pasie; lekko wpijam w niego palce, pierwszy raz dotykam kogoś w ten sposób. Tańczymy powoli i choć zrobiłem dzisiaj wiele odważnych rzeczy, utrzymywanie kontaktu wzrokowego z Rufusem okazuje się naprawdę trudne; to chyba najbardziej intymny moment, jakiego kiedykolwiek doświadczyłem. Przysuwa się do mojego ucha, tym samym wywołując we mnie dziwny stan, w którym czuję ulgę, że nie muszę mu patrzeć w oczy, ale też tęsknię za nimi i za tym, jak patrzyły na mnie, jakbym był wystarczająco dobry.

– Szkoda, że nie mamy więcej czasu… Chciałbym jeździć z tobą na rowerze po pustych ulicach, wydać sto dolców na gry arkadowe i popłynąć promem na Staten Island tylko po to, by pokazać ci moje ulubione śniegowe lody.

Nachylam się do jego ucha.

– Chcę pojechać na Jones Beach i pobiec prosto do wody. Chcę bawić się na deszczu z przyjaciółmi. Ale chcę też cichych nocy, żeby gadać o głupotach i oglądać kiepskie filmy. – Chcę, żeby połączyła nas historia, coś dłuższego niż te krótkie chwile, które możemy dzielić. Chcę jeszcze dłuższej przyszłości, ale nie mogę już znieść tego, o czym nie mówimy. Opieram czoło o jego czoło, obaj jesteśmy mokrzy od potu. – Muszę porozmawiać z Lidią. – Całuję go jeszcze raz, a potem przeciskamy się przez tłum. Rufus łapie mnie za rękę i idzie za mną drogą, którą udaje mi się utorować.

Lidia widzi nasze złączone dłonie tuż przed tym, jak Rufus puszcza, a ja biorę ją za rękę i prowadzę w stronę łazienek,

gdzie jest trochę ciszej.

– Nie policzkuj mnie – mówię. – Ale sama widzisz, że poczułem coś do Rufusa i on poczuł coś do mnie. Przepraszam, że nigdy nie powiedziałem ci, że mógłbym coś poczuć do kogoś takiego jak Rufus. Myślałem, że mam jeszcze czas, żeby się zaakceptować, wiesz, chociaż właściwie nigdy nie widziałem w tym nic brzydkiego ani niewłaściwego. Wydaje mi się, że czekałem z jednego powodu; chciałem, by temu ogłoszeniu albo tej deklaracji towarzyszyło coś pięknego i niesamowitego. A teraz jest Rufus.

Lidia podnosi rękę.

– I tak mam ochotę cię spoliczkować, Mateo Torrezie. – Zamiast tego mnie obejmuje. – Nie wiem, jaki jest ten Rufus, i nie jestem pewna, na ile udało ci się go poznać w jeden dzień, ale…

– Nie znam każdego szczegółu jego historii. Wydaje mi się, że w ciągu tego jednego dnia wyciągnąłem z niego więcej, niż na to zasługuję. Nie wiem, czy to, co mówię, ma sens.

– Co ja bez ciebie pocznę?

To ważne pytanie jest powodem, dla którego nie chciałem, żeby ktokolwiek wiedział o mojej śmierci. Są pytania, na które nie znam odpowiedzi. Nie potrafię powiedzieć, jak masz żyć beze mnie. Nie mogę cię poinstruować, jak masz mnie opłakiwać. Nie mogę cię przekonać, żebyś nie czuła się winna, że zapomniałaś o rocznicy mojej śmierci albo kiedy zdasz sobie sprawę, że minęły dni, tygodnie i miesiące, odkąd ostatni raz o mnie myślałaś.

Chcę tylko, żebyś żyła.

Na ścianie wisi na gumowych paskach wiele markerów w różnych kolorach, ale większość już wyschła. Znajduję gruby pomarańczowy flamaster, który jeszcze działa, i staję na

palcach, żeby dosięgnąć pustego miejsca, gdzie piszę: MATEO BYŁ TUTAJ Z LIDIĄ U BOKU, JAK ZAWSZE.

Ściskam przyjaciółkę.

– Obiecaj, że dasz sobie radę.

– Skłamałabym, i to poważnie.

– Proszę, skłam. No powiedz, że będziesz żyła dalej. Penny potrzebuje stu procent swojej mamy, a ja muszę wiedzieć, że będziesz dość silna, żeby zaopiekować się przyszłą władczynią świata.

– Cholera, nie mogę…

– Coś jest nie tak – mówię.

Serce bije mi jak szalone. Aimee stoi między Rufusem i Plutonami a trzema kolesiami, którzy na nią wrzeszczą. Lidia łapie mnie za rękę, jakby chciała mnie odciągnąć, jakby chciała uratować mi życie, zanim się w to wpakuję. Boi się, że będzie musiała patrzeć na moją śmierć, a ja też się boję. Niższy chłopak z poobijaną twarzą wyciąga pistolet – kto mógłby chcieć zabić Rufusa?

Gość, którego napadł.

Ludzie dookoła zauważają broń i wybucha chaos. Biegnę w kierunku Rufusa, inni wpadają na mnie w drodze do wyjścia. Ktoś mnie potrąca, lądуję na podłodze i umrę stratowany, minutę przed tym, jak Rufusa zastrzelą, a może nawet w tej samej chwili. Lidia wrzeszczy na wszystkich, żeby się odsunęli, i pomaga mi wstać. Nie słyszałem jeszcze żadnego wystrzału, ale ludzie nadal uciekają. Nie da się przebić przez tłum, nie mogę dotrzeć do Rufusa i nie będę mógł dotknąć go ostatni raz, dopóki wciąż żyje.

RUFUS

17:59

Mam ochotę krzyczeć na Aimee, myśląc, że ona go tutaj przyprowadziła, ale staje między mną a jego bronią. Wiem, że dzisiaj nie umrze, lecz to nie czyni jej kuloodporną. Nie wiem, skąd Dziobak wiedział, że tu będę, ale to mój koniec.

Nie mogę być głupi. Nie mogę zgrywać chojraka.

Nie chcę się z tym godzić – może gdyby ktoś wycelował we mnie broń, zanim spotkałem Mateo i zanim odzyskałem Plutonów, wtedy spoko, naciskaj spust. Ale może życie wrzuciło wyższy bieg.

– Teraz nie jesteś już taki wygadany, co? – pyta Dziobak. Dłoń mu się trzęsie.

– Nie rób tego. Proszę. – Aimee kręci głową. – To będzie koniec także twojego życia.

– Błagasz mnie dla jego dobra, prawda? Mnie masz kompletnie w dupie.

– Jeśli to zrobisz, na zawsze stracisz u mnie szanse.

Lepiej, żeby mówiła tak tylko po to, by go uspokoić, inaczej będę ich nawiedzał jak pojebany, jeśli po tym wszystkim zostaną razem. Kusi mnie, żeby spróbować schować się za Malcolmem na moment i skoczyć na Dziobaka, ale to niewiele mi da.

Mateo.

Podchodzi do Dziobaka od tyłu, a ja kręcę głową, co zauważa Dziobak. Odwraca się, a ja rzucam się na niego, bo życie Mateo jest zagrożone. Mateo uderza Dziobaka w twarz, co jest zwyczajnie niemożliwe, a cios nie powala gościa na ziemię ani nic, ale teraz przynajmniej mamy szansę. Kumpel Dziobaka już ma urwać mu głowę, lecz wycofuje się w ostatniej chwili, jakby go rozpoznał – nie wiem, ale Mateo wreszcie się odsuwa. Dziobak rzuca się na niego, a ja rzucam się na Dziobaka, lecz Malcolm mnie ubiega i pędzi na obu niczym taran, zmiata ich z podłogi, broń upada, a on wbija tych kolesi w ścianę.

Pistolet nie wystrzelił, wszystko jest okej.

Drugi kumpel Dziobaka próbuje dorwać broń, ale kopię go w twarz, a Tagoe na niego wskakuje. Pistolet jest mój. Mogę skończyć z Dziobakiem raz na zawsze, żeby Aimee była bezpieczna. Celuję w niego, a Malcolm schodzi z drogi. Mateo patrzy na mnie jak wtedy, gdy dogoniłem go po tym, jak przede mną uciekł. Jakbym był groźny.

Rozładowuję broń.

Rzucam magazynkiem o ścianę.

Chwytam Mateo i uciekamy, bo Dziobak i jego ludzie przyszli tu zabić, a to my najprawdopodobniej skończymy z nożem w karku albo kulą w głowie.

Ten dzień brzydko ze mną pogrywa w kwestii pożegnań.

DALMA YOUNG

18:20

Nikt z Prognozy Śmierci nie zadzwonił do Dalmy Young, by powiadomić ją o rychłej śmierci, ponieważ Dalma dzisiaj nie umrze, ale gdyby ktoś zadzwonił, spędziłaby ten dzień ze swoją przybraną siostrą i może nawet Ostatnią Przyjaciółką – w końcu to ona stworzyła tę aplikację.

– Przysięgam, że nie chcesz dla mnie pracować – mówi Dalma, przechodząc przez ulicę z siostrą pod rękę. – Ja bym nie chciała dla siebie pracować. To naprawdę ciężka robota.

– Ale ten staż jest taki głupi – odpowiada Dahlia. – Jeśli mam tak ciężko pracować w branży technologicznej, równie dobrze mogę zarabiać trzy razy więcej niż teraz. – Dahlia jest najbardziej niecierpliwą dwudziestolatką w Nowym Jorku. Nie chce zwolnić i jest już gotowa, żeby przejść do następnego etapu życia. Kiedy zaczęła się spotykać z ostatnią dziewczyną, już po tygodniu zaczęła wspominać o ślubie. A teraz chce zmienić staż na posadę w Ostatnim Przyjacielu. – Nieważne. Jak poszły spotkania? Poznałaś Marka Zuckerberga?

– Spotkania poszły bardzo dobrze – mówi Dalma. – Twitter być może uruchomi dodatkową opcję już w przyszłym miesiącu. Facebook prawdopodobnie będzie potrzebował trochę więcej czasu.

Dalma prowadzi teraz rozmowy z deweloperami obu serwisów. Tego ranka przedstawiała opcję Ostatniej Wiadomości, która pozwoli Zgonersom przygotować ostatnie tweety/posty, by ich internetowa spuścizna była bardziej znacząca niż, powiedzmy, opinia o popularnym filmie albo viralowy filmik z czyimś psem.

– A jak będzie wyglądać twoja Ostatnia Wiadomość? – pyta Dahlia. – Ja pewnie wezmę ten cytat z *Moulin Rouge* o tym, że najlepsze na świecie jest kochać i być kochanym coś tam, coś tam.

– Tak, wydajesz się pałać do tego cytatu wyjątkowym uczuciem, siostrzyczko – stwierdza Dalma.

Oczywiście sama też już się nad tym zastanawiała. Przez te dwa lata od uruchomienia bety, Ostatni Przyjaciel był niezwykle przydatny, jednak już zawsze przerażać ją będzie jedenaście morderstw Ostatnich Przyjaciół z zeszłego lata. Kusiło ją, żeby sprzedać aplikację, zmyć krew z rąk. Jednak w tylu przypadkach jej dziecko pomogło, na przykład dzisiaj w metrze podsłuchała rozmowę między dwiema młodymi, uśmiechającymi się do siebie dziewczynami – jedna powiedziała, że jest sobie wdzięczna za skorzystanie z aplikacji, a druga lubi ten ruch tak bardzo, że promuje go w całym mieście za pomocą graffiti.

Promuje jej aplikację.

Zanim Dalma zdąży odpowiedzieć, mija ją dwóch nastolatków. Jeden ma krótko przycięte włosy i ciemną karnację niewiele jaśniejszą od jej własnej, drugi ma okulary, dłuższe brązowe włosy i tak jasną skórę jak Dahlia. Pierwszy się potyka, drugi pomaga mu wstać i zaraz znowu pędzą w sobie tylko znanym kierunku. Zastanawia się, czy nie są przyrodnim rodzeństwem z jednej matki. A może długoletnimi

przyjaciółmi, którzy ciągle coś knują i ciągle się nawzajem podnoszą.

A może dopiero się poznali.

Dalma spogląda na uciekających nastolatków.

– W swojej Ostatniej Wiadomości napisałabym, żeby ludzie szukali swojego miejsca na Ziemi. I traktowali każdy dzień jakby był całym życiem.

MATEO

18:24

Jesteśmy bezpieczni, osuwamy się po ścianie, tak jak wcześniej, kiedy miałem moment załamania po ucieczce z mieszkania Lidii. Chcę znaleźć się gdzieś, gdzie nic nam nie będzie grozić, na przykład w zamkniętym pokoju, nie tu, gdzie ktoś może wyśledzić Rufusa. Mój Ostatni Przyjaciel trzyma mnie za rękę i obejmuje ramieniem, przysuwając blisko.

– Propsy za przywalenie Dziobakowi – mówi.

– Pierwszy raz kogoś uderzyłem – odpowiadam. Ciągle jestem w szoku po tym, jak pierwszy raz wystąpiłem na scenie, pocałowałem Rufusa, uderzyłem kogoś, słyszałem huk wystrzału z bliska.

– Chociaż lepiej nie bić uzbrojonych ludzi. Mogłeś tego nie przeżyć.

Gapię się na ulicę, ciągle ciężko mi się oddycha.

– Czy ty krytykujesz mnie za to, że uratowałem ci życie?

– Gdybym się odwrócił, już byś nie żył. Nie pozwolę na to.

Niczego nie żałuję. Wracam myślami do tamtej chwili i wyobrażam sobie, że jestem trochę wolniejszy, może się potykam i tracę cenny czas, tracę cennego przyjaciela, gdy kula przechodzi przez jego piękne serce.

Prawie straciłem Rufusa. Zostało nam niecałe sześć godzin i jeśli to on odejdzie pierwszy, zostanę zombie, który

doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że trzyma już głowę na pieńku. Kiedy spotkałem Rufusa o trzeciej nad ranem, nie spodziewałem się, że połączy nas coś takiego.

Ten dzień jest tak niesamowicie cenny, a jednocześnie zupełnie, zupełnie nieznośny.

Zaczynam się rozklejać i nie mogę się powstrzymać. Wreszcie płaczę, bo chcę przeżyć więcej poranków.

– Tęsknię za wszystkimi – mówię Rufusowi. – Za Lidią. Za Plutonami.

– Ja też, ale nie możemy więcej ryzykować ich życia.

Kiwam głową.

– To oczekiwanie mnie dobija. Nie mogę już dłużej tu być, muszę wrócić do domu.

Coś mnie ściska w piersi. Istnieje ogromna różnica między życiem bez strachu, tak jak wreszcie żyję, a świadomością, że masz się czego bać. – Znienawidzisz mnie, jeśli pójdziemy do domu? Chcę położyć się w swoim łóżku i odpocząć. I chcę, żebyś poszedł ze mną, ale tym razem zaproszę cię do środka. Wiem, że chowałem się tam całe swoje życie, ale też starałem się, jak mogłem, żeby żyć. I chcę pokazać ci to miejsce.

Rufus trzyma mnie za rękę.

– Zabierz mnie do domu, Mateo.

PLUTONI

18:33

Nikt z Prognozy Śmierci nie zadzwonił do trójki Plutonów, by poinformować ich o rychłej śmierci, bo nie umrą dzisiaj, ale czwarty z nich otrzymał powiadomienie i to załamało ich tak samo. Plutoni omal nie zostali świadkami śmierci najlepszego przyjaciela, Rufusa, gdy ktoś mierzył do niego z broni. Ostatni Przyjaciel Rufusa pojawił się znikąd niczym superbohater i uderzył Dziobaka w twarz, ratując koledze życie – przynajmniej na chwilę dłużej. Plutoni wiedzą, że Rufus nie dożyje końca dnia, ale nie stracili go w wyniku aktu przemocy ze strony kogoś, kto chciał się na nim zemścić.

Stoją teraz razem na krawężniku przed Cmentarzem Clinta, a ulicą pędzi radiowóz, zabierając gang bez nazwy.

Chłopaki wiwatują i mają nadzieję, że tamci spędzą za kratkami więcej czasu niż oni dzisiaj.

Dziewczyna żałuje roli, jaką odegrała w tym wszystkim. Jednocześnie czuje ulgę, że jej niepewny siebie, zazdrosny chłopak nie został mordercą. Były chłopak.

Chociaż sami nie muszą stawiać czoła Śmierci, od jutra ich życie będzie wyglądało zupełnie inaczej. Będą musieli zacząć od nowa, tak jak już robili to w przeszłości; przeżyli więcej niż większość nastolatków. Śmierć ich przyjaciela, jakkolwiek do

niej dojdzie, zostanie z nimi na zawsze. Życie nie jest lekcją, lecz daje lekcje.

Rodziny się nie wybiera, ale przyjaźnie już tak. Niektóre należy z czasem zerwać. Za inne warto zaryzykować wszystko.

Trójka przyjaciół przytula się, w ich układzie brakuje jednej planety, lecz nigdy nie zostanie zapomniana.

RUFUS

19:17

Przechodzimy obok miejsca, gdzie Mateo pochował rano bezgłowego ptaka, a ja byłem wtedy jeszcze tylko nieznajomym na rowerze. Powinniśmy już zdrowo panikować, bo niedługo odchodzimy, zaraz skończy się nasza data przydatności, ale jakoś się trzymam u boku Mateo, on chyba też.

Prowadzi nas do swojego bloku.

– Jeśli nie chcesz już nic robić, Roof, pomyślałem sobie, że moglibyśmy znowu odwiedzić mojego tatę.

– Czy ty właśnie nazwałeś mnie Roof?

Kiwa głową i krzywi się, jakby powiedział kiepski żart.

– Pomyślałem, że spróbuję. Nie masz nic przeciwko?

– Zdecydowanie nie. I twój plan brzmi spoko. Możemy odpocząć chwilę, a potem ruszać.

Zastanawiam się, czy nie prowadzi mnie do siebie, żeby uprawiać seks, ale chyba mogę bezpiecznie założyć, że nie to mu teraz chodzi po głowie.

Już ma przywołać windę, kiedy przypomina mu się, że tego nie robimy, zwłaszcza nie tak późno. Otwiera drzwi na klatkę schodową i zaczyna ostrożnie wchodzić. Cisza między nami jest dziko niezręczna. Chcę się z nim ścigać tak, jak moglibyśmy się ścigać na Jones Beach, ale wtedy to już na pewno nie dotarlibyśmy do jego mieszkania.

– Tęsknię… – Mateo zatrzymuje się na trzecim piętrze. Wydaje mi się, że chce wspomnieć o tacie, może Lidii. – Tęsknię za czasami, kiedy byłem na tyle mały, żeby nie wiedzieć jeszcze, że należy się bać śmierci. Tęsknię za wczoraj, kiedy mój strach był po prostu paranoją.

Ściskam go, bo w ten sposób mówię wszystko, chociaż nie mam nic do powiedzenia. On odwzajemnia uścisk i razem pokonujemy resztę stopni.

Mateo otwiera drzwi do mieszkania.

– Nie mogę uwierzyć, że po raz pierwszy w moim kończącym się już życiu przyprowadzam do domu chłopaka i nawet nie mam ci kogo przedstawić.

Ale by było dziko, gdybyśmy weszli, a tam czekałby na nas jego tata.

Wchodzimy, ale nikogo nie ma.

Urządzam sobie wycieczkę po salonie. Przyznaję, że jestem trochę nerwowy, jakby jakiś dawny przyjaciel rodziny, a teraz wróg miał zaraz wyskoczyć zza rogu, bo uznał, że Mateo jest bezbronny bez taty. Wszystko jednak wydaje się okej. Patrzę na zdjęcia klasowe Mateo. Na kilku nie ma okularów.

– Kiedy zacząłeś nosić okulary?

– W czwartej klasie. Miałem farta, bo śmiali się z nich tylko przez tydzień. – Gapi się na swoje zdjęcie ze szkoły, gdzie jest ubrany w biret i togę. Trochę to wygląda, jakby patrzył na wersję siebie z jakiegoś alternatywnego wszechświata. Powinienem cyknąć mu fotkę, bo wygląda spoko, ale jak tak na niego patrzę, to tylko mam ochotę znowu go uścisnąć. – Założę się, że rozczarowałem go, zapisując się na zajęcia internetowe. Był taki dumny ze mnie, gdy skończyłem szkołę, i na pewno miał nadzieję, że zmienię zdanie i pójdę do normalnego college'u.

– Jeszcze mu opowiesz o wszystkim, co zrobiłeś – mówię. Nie zostaniemy zbyt długo. To bardzo ważne dla Mateo, żeby zobaczył się jeszcze z tatą.

– Chodź za mną.

Idziemy krótkim korytarzem do jego pokoju.

– Czyli to tutaj się przede mną ukrywałeś – mówię.

Na podłodze walają się książki, jakby ktoś próbował okraść mieszkanie. Mateo to nie dziwi.

– Nie ukrywałem się przed tobą. – Kuca i układa książki w sterty. – Miałem wcześniej atak paniki. Nie chciałbym, żeby tata po powrocie ze szpitala widział, że się bałem. Musi wierzyć, że od początku byłem odważny.

Klękam i podnoszę książkę.

– Masz jakiś system?

– Już nie.

Wspólnie robimy porządek, układając książki na półkach i zbierając różne rzeczy.

– Mi też się nie podoba, że się bałeś – mówię.

– Nie było tak źle. Nie martw się o dawnego mnie.

Rozglądam się po jego pokoju. Widzę konsolę, keyboard, jakieś głośniki i mapę, którą sam sprzątnąłem z podłogi. Prostuję ją w dłoniach, myśląc o tych wszystkich zajebistych miejscach, które odwiedziliśmy z Mateo, a potem zauważam czapkę Luigiego między komodą a łóżkiem. Biorę ją, a Mateo uśmiecha się, gdy zakładam mu ją na głowę.

– To do tego kolesia zagadałem dzisiaj rano.

– Luigiego?

Śmieję się i wyciągam telefon. Mateo nie uśmiecha się do aparatu, tylko do mnie. Nie czułem się tak dobrze ze sobą od czasu związku z Aimee.

– Zróbmy całą sesję. Skacz na łóżku albo coś.

Biegnie do łóżka i skacze, ląduje twarzą w dół. Wstaje i skacze jeszcze raz, i jeszcze, obracając się szybko do okna, jakby się bał, że odbije się dziwnie od materaca i wyleci jak z katapulty.

Nie przestaję robić zdjęć temu niesamowitemu, zupełnie nowemu Mateo.

MATEO

19:34

Zachowuję się inaczej i Rufusowi się to podoba. Mnie też.

Przestaję skakać i siadam na krawędzi łóżka, próbując odzyskać oddech. Rufus zajmuje miejsce obok i chwyta mnie za rękę.

– Zaśpiewam ci coś – mówię. Nie chcę puszczać jego dłoni, ale obiecuję sobie w duchu, że wykorzystam swoje do czegoś dobrego.

Siadam przed keyboardem.

– Szykuj się. Nie będzie powtórki. – Oglądam się przez ramię. – Czujesz się już wyjątkowy?

Rufus udaje, że nie robi to na nim wrażenia.

– Czuję się okej. Właściwie trochę jestem już zmęczony.

– No to obudź się i poczuj wyjątkowo. Tata kiedyś śpiewał to dla mamy, chociaż ma o wiele lepszy głos niż ja.

Zaczynam grać melodię do *Your Song* Eltona Johna i serce mi wali, chociaż nie jestem już taki czerwony na twarzy jak wtedy w Cmentarzu Clinta. Nie żartowałem, mówiąc Rufusowi, że powinien się czuć wyjątkowy. Fałszuję, ale przy nim mnie to nie obchodzi.

Śpiewam o człowieku mieszającym magiczne mikstury w obwoźnym show, że ta piosenka to mój dar, że siedzę na dachu i słońce grzeje, a jego oczy są najsłodszymi, jakie

kiedykolwiek widziałem. W czasie przerwy odwracam się i widzę, że Rufus nagrywa mnie telefonem, więc uśmiecham się do niego. Wtedy podchodzi i całuje mnie w czoło, a ja śpiewam z nim u boku: *Mam nadzieję, że się nie gniewasz, mam nadzieję, że się nie gniewasz, że zapiszę to na kartce… jak wspaniałe jest życie teraz, gdy na świecie jesteś ty…*

Kończę i uśmiech Rufusa to moje zwycięstwo. Chłopak rozkleja się i mówi:

– Szkoda, że ukrywałeś się przede mną, Mateo. Zawsze chciałem natknąć się na kogoś takiego jak ty i szkoda, że musiałem cię znaleźć przez głupią aplikację.

– A ja lubię tę aplikację. – Rozumiem, dlaczego to powiedział, ale ja nie zmieniłbym okoliczności naszego pierwszego spotkania. – Potrzebowałem towarzystwa i znalazłem ciebie, a ty znalazłeś mnie i postanowiliśmy się spotkać, bo tak nam podpowiedział instynkt. Jak wyglądałaby alternatywa? Nie mogę obiecać, że nie zostałbym tutaj i że nasze drogi by się nie przecięły, nie jeśli został nam tylko jeden dzień. Pewnie, to byłaby świetna historia, ale wydaje mi się, że aplikacja pomaga wyjść na świat bardziej niż cokolwiek innego. Dla mnie oznaczała tyle, że musiałem przyznać się do samotności i chęci znalezienia z kimś wspólnego języka. Po prostu nie liczyłem na coś takiego, co połączyło mnie z tobą.

– Masz rację, Mateo Torrezie.

– Takie rzeczy się zdarzają, Rufusie Emeterio. – Pierwszy raz powiedziałem jego nazwisko na głos i mam nadzieję, że prawidłowo je wymówiłem.

Idę do kuchni i wracam z przekąskami. To dziecinne, ale oto bawimy się w dom. Smaruję dla niego krakersy masłem orzechowym – najpierw upewniając się, że nie ma alergii – i podaję mu je ze szklanką mrożonej herbaty.

– Jak ci minął dzień, Rufusie?

– Najlepiej – odpowiada.

– Mnie też.

Rufus poklepuje miejsce obok siebie.

– Chodź tutaj.

Siadam i układamy się wygodnie, splatając nasze ręce i nogi. Opowiadamy sobie więcej o naszej przeszłości. Na przykład Rufus mówi, że za każdym razem, kiedy zaczynał się wściekać, rodzice zmuszali go do siadania na środku pokoju. Podobnie robi mój tata, każąc mi wziąć prysznic na uspokojenie. Opowiada mi o Olivii, a ja jemu o Lidii.

Potem przestajemy mówić o przeszłości.

– To nasza bezpieczna przystań, nasza mała wyspa. Nie podniesiemy się już stąd. Nic nam nie grozi, dopóki nie wstaniemy. Brzmi spoko?

– Może się udusimy nawzajem – mówię.

– To i tak lepsze od tego, co nas czeka, jeśli stąd wyjdziemy.

Biorę głęboki wdech.

– Ale gdyby ten plan z jakiegoś powodu nie zadziałał, musimy obiecać sobie, że odnajdziemy się w życiu po śmierci. Musi być jakieś życie po śmierci, Roof, bo jeśli nie, to umieranie tak młodo jest strasznie niesprawiedliwe.

– Zrobię tak, żebyś bardzo łatwo mógł mnie znaleźć. Jakieś neony. Orkiestry dęte.

– Dobrze, bo mogę nie mieć swoich okularów. Nie wiem, czy zabiorę je ze sobą.

– Jesteś pewien, że w życiu po śmierci będzie kino, ale nie jesteś pewien okularów? Wygląda na to, że w twoim planie jest dziura. – Rufus zdejmuje mi okulary i zakłada je sobie na nos. – Wow, jesteś ślepy.

– Nie pomagasz mi w ten sposób. – Widzę go jak przez mgłę, tylko jego kolor skóry, żadnych rysów twarzy. – Założę się, że głupio w nich wyglądasz.

– Zrobię zdjęcie. Właściwie to nachyl się w moją stronę.

Nic nie widzę, ale patrzę przed siebie, mrużąc oczy, i się uśmiecham. Rufus zaraz znowu zakłada mi okulary i sprawdzam, jak wyszło. Wyglądam, jakbym dopiero co się obudził. Moje okulary na jego nosie to miła oznaka bliskości, jakbyśmy znali się dość długo, żeby robić takie głupoty. Nie liczyłem na to.

– Kochałbym cię, gdybyśmy mieli więcej czasu – wypalam, bo właśnie to czuję w tej chwili i czułem przez wiele chwil, minut i godzin wcześniej. – Może już kocham. Nie gniewaj się, że to mówię, ale wiem, że jestem szczęśliwy. Ludzie mają własne teorie na temat tego, ile czasu powinno się kogoś znać, zanim nabędzie się prawo do takiego wyznania, ale nie okłamałbym cię bez względu na to, jak niewiele czasu nam zostało. Wszyscy inni marnują czas, czekając na właściwy moment, żeby to powiedzieć, ale nas na to nie stać. Gdybyśmy mieli przed sobą całe nasze życie, założę się, że znudziłbyś się tym, ile razy mówię ci, że cię kocham, bo na pewno tak to by się skończyło. Ponieważ jednak zaraz umrzemy, mogę to mówić tyle razy, ile tylko zechcę: kocham cię, kocham cię, kocham cię.

RUFUS

19:54

– Jo. Dobrze wiesz, że ja też cię kocham. – Rany, tak mocno to czuję, że aż boli. – Nie myślę fiutem, wiesz, że to nie w moim stylu. – Chcę znowu go pocałować, bo dzięki niemu zmartwychwstałem. Gdybym stracił resztki zdrowego rozsądku, gdybym nie walczył tak ciężko o to, kim jestem, zrobiłbym znowu coś głupiego i walnął w coś, bo taki jestem wkurzony. – Świat jest zajebiście okrutny. Zacząłem swój Dzień Ostateczny, lejąc gościa za to, że spotyka się z moją byłą, a teraz jestem w łóżku ze świetnym gościem, którego znam krócej niż dobę… Do bani. Myślisz, że…

– Co takiego? – Dwanaście godzin temu Mateo bałby się zadać to pytanie; zadałby je, ale odwróciłby wzrok. A teraz nie przestaje patrzeć mi w oczy.

Nie chcę o to pytać, ale może on też się nad tym zastanawia.

– Czy umrzemy, bo się poznaliśmy?

– Mieliśmy umrzeć, jeszcze zanim się poznaliśmy.

– Wiem. Ale może tak nam to zostało zapisane w gwiazdach czy gdzieś: dwóch kolesi poznaje się, zakochuje w sobie i umiera. – Jeśli taka jest prawda, będę walił w każdą ścianę, jaką zechcę. I niech nikt nie próbuje mnie powstrzymać.

– Nie tak wygląda nasza historia. – Mateo ściska moje dłonie. – Nie umieramy z powodu miłości. I tak dzisiaj

odejdziemy, bez względu na wszystko. Dzięki tobie nie tylko pożyłem dłużej, ale pożyłem pełnią życia. – Wspina mi się na kolana, przysuwa bliżej. Przytula mnie tak mocno, że czuję bicie jego serca. Założę się, że on czuje bicie mojego. – Dwóch kolesi poznało się. Zakochało. Żyło. To jest nasza historia.

– Lepsza. Tylko trzeba popracować nad zakończeniem.

– Zapomnij o zakończeniu – mówi mi do ucha. Odsuwa się, żeby spojrzeć mi w oczy. – Wątpię, żeby świat miał ochotę na cud, więc nie liczmy na szczęśliwy finał. Interesują mnie tylko te zakończenia, które dzisiaj przeżyliśmy. Na przykład to, że przestałem być kimś, kto boi się świata i ludzi.

– A ja przestałem być kimś, kogo nie lubię. Nie spodobałbym ci się.

Uśmiecha się ze łzami w oczach.

– A ty nie poczekałbyś, aż znajdę w sobie odwagę. Może jeden dobry dzień jest lepszy od całego życia błędów.

Ma rację we wszystkim. Liczę, że umrzemy we śnie; to chyba najlepszy sposób.

Całuję swojego Ostatniego Przyjaciela, bo świat nie może być przeciwko nam, skoro nas ze sobą połączył.

MATEO

20:41

Budzę się z uczuciem, że jestem niezwyciężony. Nie sprawdzam godziny, bo nie chcę, by cokolwiek popsuło ten nastrój. W mojej głowie jest już kolejny dzień, a ja jako pierwsza osoba w historii udowodniłem Prognozie Śmierci błąd. Zakładam z powrotem okulary, całuję Rufusa w czoło i patrzę, jak śpi. Sięgam do jego serca, zestresowany, i z ulgą zauważam, że wciąż bije. On też jest niezwyciężony.

Wyswobadzam się z jego objęć i obstawiam, że własnoręcznie by mnie zabił, gdyby przyłapał mnie na opuszczaniu naszego bezpiecznego azylu. Chcę jednak przedstawić go tacie. Wychodzę z pokoju i ruszam do kuchni, gdzie przygotowuję dla nas herbatę. Stawiam czajnik na kuchence i przeszukuję szafki, po czym wybieram miętę.

Kiedy uruchamiam kuchenkę, z żalu aż mnie boli serce. Nawet kiedy wiesz, że śmierć nadchodzi, jej nagłość i tak zaskakuje.

RUFUS

21:48

Budzi mnie ogłuszający ryk alarmu, krztuszę się dymem. Nie wiem, co się dzieje, ale rozumiem, że to jest ten moment. Wyciągam rękę, żeby obudzić Mateo, lecz w ciemności nikogo nie znajduję, tylko mój telefon, który wkładam do kieszeni i wstaję.

– MATEO!

Alarm przeciwpożarowy zagłusza moje krzyki i duszę się, ale i tak wołam. Blask księżyca wpada przez okno i to jedyne światło, na jakie mogę liczyć. Chwytam swoją bluzę i obwiązuję nią twarz. Czołgając się po podłodze, wyciągam przed siebie rękę, szukając Mateo, który powinien być gdzieś tutaj, na podłodze, a nie w pobliżu źródła tego całego dymu. Odrzucam myśl o płonącym Mateo, bo nie, to się nie może dziać. To niemożliwe.

Dostaję się do drzwi frontowych i otwieram je, wypuszczając w ten sposób trochę czarnego dymu. Kaszlę i kaszlę, krztuszę się i krztuszę, więc rozpaczliwie potrzebuję świeżego powietrza, lecz ta przeklęta panika nie pozwala mi się podnieść. Oddychanie jest tak cholernie trudne. Na korytarzu zebrało się kilku sąsiadów, o żadnym z nich Mateo mi nie opowiadał. Jeszcze tak wielu rzeczy nie zdążył mi opowiedzieć.

Nic nie szkodzi: wciąż mamy przed sobą kilka godzin razem, gdy tylko go znajdę.

– Wezwaliśmy już strażaków – mówi jedna kobieta.

– Niech ktoś mu przyniesie wody – oznajmia krągły mężczyzna, poklepując mnie po plecach, gdy kaszlę.

– Dostałem wcześniej wiadomość od Mateo – odzywa się inny. – Napisał, że ma dzisiaj umrzeć i żeby nie martwić się już o kuchenkę… Kiedy wrócił do domu? Pukałem wcześniej i go nie było!

Wreszcie udaje mi się jako tako opanować kaszel i odpycham krągłego faceta z większą siłą, niż bym się spodziewał. Wbiegam z powrotem do płonącego mieszkania, kierując się prosto w stronę pomarańczowej łuny z kuchni. Ze środka bije żar, jakiego nigdy nie czułem; najbliżej tego było prażące słońce na plaży w czasie moich wakacji z rodziną na Kubie. Nie wiem, dlaczego Mateo nie został w łóżku, mieliśmy pieprzoną umowę. Nie wiem, jaki był problem z kuchenką, ale na ile znam Mateo, a znam cholernie dobrze, założę się, że przygotowywał coś miłego dla nas, coś absolutnie niewartego jego życia.

Wchodzę między płomienie.

Już mam wbiec do kuchni, kiedy potykam się o coś twardego. Padam na kolana i łapię to coś, co okazuje się ramieniem, które miało mnie obejmować, gdy się obudziłem. Moje palce wpijają się głęboko w ugotowaną skórę i zanoszę się strasznym płaczem, szukając drugiej ręki chłopaka i ciągnąc go z dala od ognia, od dymu, w stronę tych sukinsynów, którzy wrzeszczą do mnie z progu, ale nie mieli dość odwagi, żeby pobiec na ratunek dwóm nastolatkom.

Na ciało Mateo pada światło z korytarza. Ma paskudnie poparzone plecy. Obracam go; połowa jego twarzy jest

spalona, reszta ciemnoczerwona. Obejmuję go za szyję i tulę, kołysząc.

– Obudź się, Mateo, obudź się, obudź – błagam. – Dlaczego musiałeś wstać z łóżka… Obiecaliśmy sobie, że nie wstaniemy… – Nie powinien był tego robić, nie powinien był zostawiać mnie samego w tym mieszkaniu pełnym ognia i dymu.

Przybywa straż. Sąsiedzi próbują oderwać mnie od Mateo, staram się trzasnąć jednego w nadziei, że wtedy wszyscy inni się odpieprzą, inaczej wepchnę ich do płonącego mieszkania. Chcę spoliczkować Mateo, żeby go obudzić, ale nie powinienem bić go po oparzonej twarzy. Tylko że ten głupi dzieciak nie chce otworzyć oczu, cholera jasna.

Strażak klęka obok mnie.

– Daj go nam zanieść do karetki.

Wreszcie się poddaję.

– Nie dzwonili do niego dzisiaj – kłamię. – Zabierzcie go szybko do szpitala, proszę.

Zostaję z Mateo, gdy wiozą go na dół windą, przez lobby i na zewnątrz, w stronę ambulansu. Ratownik sprawdza mu puls i patrzy na mnie ze współczuciem. Co za gówno.

– Musimy go zabrać do szpitala, przecież widzicie! No dalej! Przestańcie się opierdalać! Już!

– Chłopcze, on już odszedł.

– WASZYM ZADANIEM JEST ZABRAĆ GO DO SZPITALA!

Inny ratownik otwiera tylne drzwi karetki, ale nie umieszcza tam Mateo z noszami. Wyciąga za to czarny worek.

Nie ma mowy.

Wyrywam mu worek z ręki i rzucam w krzaki, bo takie worki są na trupy, a Mateo nie umarł. Wracam do niego i krztuszę się z płaczu.

– No dalej, Mateo. To ja, Roof. Słyszysz mnie, prawda? To ja, Roof. Obudź się. Proszę, obudź się.

21:16

Siedzę na krawężniku, gdy ratownicy pakują Mateo Torreza do worka.

21:24

Opatrują mnie w karetce, po drodze do Strouse Memorial. Przypomina mi się śmierć rodziny. Czuję pieczenie w sercu i jestem strasznie wkurzony na Mateo za to, że umarł przede mną. Nie chcę tutaj być, powinienem znaleźć jakiś rower albo przebiec się, nawet jeśli oddychanie boli, ale nie mogę go przecież tak zostawić.

Mówię chłopakowi w worku o wszystkim, co mieliśmy zrobić razem, ale on mnie już nie słyszy.

Rozdzielają nas, gdy docieramy do szpitala. Mnie zabierają na OIOM, a Mateo wiozą do kostnicy na obserwację.

Serce mnie piecze.

21:37

Leżę na szpitalnym łóżku i oddycham dobrym powietrzem z maski tlenowej, sprawdzając wszystkie wyrazy miłości, jakie Plutoni zostawili pod moimi zdjęciami na Instagramie. Nie ma gównianych płaczących emotek, bo wiedzą, że mnie to nie

jara. To ich wiadomości pod ostatnią fotką z Mateo tak mnie rozwalają:

@tagoeaway: Będziemy żyć za Ciebie, Roof! #Plutoni4life #Plutoniforever
@manthony012: Kocham Cię, stary. Widzimy się w następnym życiu. #Plutoni4life
@aimee_dubois: Kocham Cię i będę Cię szukać każdego dnia. #KonstelacjaPlutonów

Nie każą mi uważać na siebie ani nic takiego, bo wiedzą, co i jak, ale na pewno trzymają za mnie kciuki.

Pisali do mnie pod wszystkimi zdjęciami, żałując, że nie mogą nam towarzyszyć na Arenie Podróżniczej, w Spraw-Sobie-Przeżycie i na cmentarzu. Wszędzie.

Otwieram nasz grupowy czat i wysyłam im bolesną wiadomość: „Mateo nie żyje".

Ich kondolencje spływają tak dziko szybko, że aż kręci mi się w głowie. Nie pytają o szczegóły, ale założę się, że Tagoe musi walczyć z pokusą. Cieszy mnie, że się powstrzymuje.

Muszę na chwilę zasnąć. Nie na długo, bo nie mam czasu. Jednak na wypadek, gdybym się już nie obudził z powodu jakiejś komplikacji, piszę do nich jeszcze: „Cokolwiek się ze mną stanie, rozrzućcie moje prochy w parku Althea. Krążcie wokół siebie jak pojebani. Kocham Was".

22:02

Budzę się nagle z koszmaru. Mateo był w nim cały w płomieniach i obwiniał mnie o swoją śmierć, tłumacząc, że nie umarłby, gdyby mnie nie poznał. Jego słowa przeszywają

mój umysł, ale otrząsam się z tego, bo to tylko koszmar – prawdziwy Mateo nigdy nie obwiniałby mnie o nic.

Mateo nie żyje.

Ta śmierć do niego nie pasuje. Mateo powinien odejść, ratując komuś życie, bo jest taki altruistyczny. Nie, nawet jeśli nie umarł śmiercią bohatera, umarł jako bohater.

Mateo Torrez zdecydowanie uratował mnie.

LIDIA VARGAS

22:10

Lidia jest w domu i siedzi na kanapie, jedząc słodycze na poprawę humoru, i pozwala Penny nie spać do późna. Jej babcia już poszła do łóżka, wykończona po opiekowaniu się Penny, małej też już kończą się siły. Nie jęczy, nie marudzi, zupełnie jakby przeczuwała, że jej mama potrzebuje przerwy.

Dzwoni telefon. To ten sam numer, z którego wcześniej telefonował Mateo. Numer Rufusa.

– Mateo!

Penny spogląda na drzwi, ale nie znajduje Mateo.

Lidia czeka, aż usłyszy jego głos, lecz on nic nie mówi.

– …Rufus?

Serce bije jej szybko, oczy się zamykają.

– Tak.

Stało się.

Lidia rzuca komórkę na kanapę, zaczyna bić w poduszki, czym straszy Penny. Nie chce wiedzieć, jak do tego doszło, nie dzisiaj. Serce i tak ma już złamane, nie chce, żeby jeszcze roztrzaskało się na kawałeczki. Drobne rączki odsuwają dłonie Lidii od twarzy i, podobnie jak wcześniej, mała płacze, bo jej mama płacze.

– Mama – mówi Penny. To jedno słowo jest dla niej wszystkim; Lidia może się rozpaść, ale zaraz się poskłada.

Jeśli nie dla siebie, to dla swojej córki.

Całuje małą w czoło i podnosi telefon.

– Jesteś tam, Rufus?

– Tak – mówi jeszcze raz. – Przykro mi.

– Mi również. Gdzie jesteś?

– W tym samym szpitalu, co jego tata.

Lidia chce zapytać, czy wszystko z nim w porządku, ale wie, że to nie potrwa długo.

– Odwiedzę go – mówi Rufus. – Mateo chciał mu mnie przedstawić, ale… nie zdążył. Powinienem mu o nas powiedzieć? Czy to dziwne, że ja to zrobię? Ty znasz go najlepiej.

– Ty też dobrze go znasz. Jeśli ty nie dasz rady, ja dam.

– Wiem, że mnie nie usłyszy, ale chcę mu powiedzieć, jak odważny był jego syn.

Był. Mateo teraz już był.

– Ja cię słyszę. Powiedz to najpierw mnie.

Lidia bierze Penny na kolana, a Rufus opowiada jej wszystko, czego Mateo nie zdążył jej powiedzieć. Jutro Lidia złoży regał, który Mateo kupił dla małej, i porozkłada jego zdjęcia po całym jej pokoju.

Zachowa po nim żywą pamięć w jedyny sposób, jaki zna.

DELILAH GREY

22:12

Delilah pisze nekrolog na podstawie wywiadu, po którym jednak nie została zwolniona. Howie Maldonado może i pragnął innego życia, ale jego słowa są ważne – w życiu chodzi o równowagę. Wykres kołowy z równymi kawałkami we wszystkich sferach dla maksymalnego szczęścia.

Dziewczyna była pewna, że nie spotka się dzisiaj ze Śmiercią. Ale może Śmierć ma po prostu inne plany wobec niej. Wciąż zostało mniej niż dwie godziny do północy. W tym czasie przekona się, czy dzisiaj kierował nią przypadek czy przeznaczenie, miotając nią to tu, to tam.

Delilah siedzi teraz w jadłodajni Althea, nazwanej tak na cześć parku po drugiej stronie ulicy, gdzie po raz pierwszy spotkała Victora, i już prawie skończyła pisać nekrolog człowieka, którego znała właściwie tylko z daleka, zamiast w prawdopodobnie ostatnich godzinach swojego życia skonfrontować się z kimś, kogo kocha.

Odsuwa laptopa, robiąc miejsce na to, by zakręcić pierścionkiem zaręczynowym, którego Victor nie chciał wczoraj przyjąć z powrotem. Delilah postanawia zagrać. Jeśli szmaragd wskaże na nią, podda się i zadzwoni do niego. Jeśli nie, po prostu dokończy nekrolog, wróci do domu i prześpi się, a jutro zastanowi, co dalej.

Kręci pierścionkiem i szmaragd pokazuje prosto na nią; nawet odrobinę nie zbacza w kierunku jej ramienia czy innych klientów.

Delilah wyciąga telefon i dzwoni do Victora z rozpaczliwą nadzieją, że on tylko z nią pogrywa. Może jedną z wielu tajemnic Prognozy Śmierci jest ta, że to oni postanawiają, kto umrze. Jak w jakiejś loterii, w której nikt nie chciałby wygrać.

Może Victor poszedł do pracy, podał kartkę z jej nazwiskiem panu Wysoko Postawionemu i oznajmił:

– Bierzcie ją.

Może złamane serce zabija.

VICTOR GALLAGHER

22:54

Nikt z Prognozy Śmierci nie zadzwonił do Victora Gallaghera, by poinformować go o rychłej śmierci, bo Victor dzisiaj nie umrze. Protokół informowania pracownika o Dniu Ostatecznym wymaga wezwania Zgonera przez menadżera na „spotkanie". Nigdy nie jest jasne, czy chodzi o śmierć czy zwolnienie – pracownik zwyczajnie nie wraca już do swojego biurka. Victor nie przejmuje się tym jednak, bo nie umrze dzisiaj.

Victor był mocno przybity, bardziej niż zwykle. Jego narzeczona – nadal nazywa Delilah swoją narzeczoną, bo ona wciąż ma pierścionek jego babci – próbowała zerwać z nim zeszłej nocy. Chociaż utrzymywała, że powodem są różnice w ich uczuciach, on wie, że tak naprawdę chodzi o to, że ostatnio nie był sobą. Odkąd trzy miesiące temu zaczął pracować dla Prognozy Śmierci, miał – z braku lepszego określenia – pietra. Spędza trzy dni w tygodniu u zakładowego terapeuty, do którego mogą zgłaszać się wszyscy zatrudnieni w Prognozie Śmierci, ponieważ nie tylko chce z nim zerwać narzeczona, ale też ta robota go zabija – ignorowanie błagań i pytań, na które nie zna odpowiedzi – i wszystko to go przytłacza. Za to pieniądze są cholernie dobre i ubezpieczenie zdrowotne jest cholernie dobre, a Victor naprawdę by chciał,

żeby sytuacja między nim a narzeczoną była znowu cholernie dobra.

Victor wchodzi do budynku – oczywiście jego lokalizacja jest trzymana w tajemnicy – z Andreą Donahue, współpracowniczką, która nie staje, by podziwiać wiszące na żółtych ścianach portrety uśmiechniętych ludzi z czasów wiktoriańskich. Estetyka biur Prognozy Śmierci jest inna, niż można by się spodziewać. Nie ma w sobie nic z ponurości. Postanowiono, że atmosfera powinna być nieco mniej profesjonalna i bardziej radosna, jak w żłobku, żeby heroldowie nie oszaleli, powiadamiając ludzi o ich Dniu Ostatecznym, stłoczeni w boksach. Z tego też powodu zdecydowano się na dużo otwartej przestrzeni.

– Cześć – wita Andreę, wciska guzik windy.

Andrea pracuje dla Prognozy Śmierci od samego początku i desperacko potrzebuje tej pracy, chociaż jej nie cierpi, ponieważ ta cholernie dobra pensja pozwala jej opłacić absurdalnie wysokie czesne jej córki, a cholernie dobre ubezpieczenie zdrowotne pozwala pokryć koszty leczenia chorej nogi.

– Hej – odpowiada Andrea.

– Jak kociak? – Menadżerowie Prognozy Śmierci zachęcają pracowników do prywatnych rozmów przed i po zmianie; każda z nich to szansa na nawiązanie relacji z kimś, kto ma jeszcze jutro.

– Wciąż jest kociakiem.

– Fajnie.

Pojawia się winda. Victor i Andrea wsiadają, a Victor naciska szybko guzik zamykania drzwi, żeby nie musiał dzielić przestrzeni z tymi współpracownikami, którzy ciągle tylko paplają o nieistotnych rzeczach, na przykład o najnowszych ploteczkach i kiepskiej telewizji, chociaż za chwilę mają

zrujnować komuś życie. Victor i Delilah nazywają ich „przełącznikami” i oboje nienawidzą ich z całego serca.

Nagle jego komórka w kieszeni zaczyna wibrować. Victor stara się nie nakręcać myślą, że może dzwonić Delilah, i puls mu przyśpiesza, gdy widzi jej imię na wyświetlaczu.

– To ona – mówi do Andrei, odwracając się do niej, jakby była wtajemniczona; tymczasem ona jest zainteresowana jego życiem prywatnym tak samo, jak on jej kotkiem. Victor odbiera połączenie. – Delilah! Cześć. – Trochę rozpaczliwe, pewnie, ale w końcu chodzi o miłość.

– Zrobiłeś to, Victor?

– Co takiego zrobiłem?

– Nie pogrywaj sobie ze mną.

– O czym ty mówisz?

– O Dniu Ostatecznym. Kazałeś komuś mnie dręczyć, bo się wkurzyłeś? Jeśli tak, nie doniosę na ciebie. Powiedz mi teraz prawdę i możemy o wszystkim zapomnieć.

Victor dotarł na dziesiąte piętro i upadł na duchu.

– Dostałaś telefon?

Andrea już miała wysiąść, ale zostaje w windzie. Victor nie wie, czy to dlatego, że się o niego martwi, czy raczej jest zaciekawiona. Nie obchodzi go to. Wie za to, że Delilah nie próbuje nim manipulować. Zawsze potrafił poznać jej kłamstwo po tonie głosu, a poza tym wie, że właśnie oskarżyła go o prawdziwe przestępstwo, za które z całą pewnością by na niego doniosła.

– Delilah – mówi. Dziewczyna milczy. – Delilah, gdzie jesteś?

– W Althei.

W jadłodajni, w której się poznali – czyli wciąż go kocha, wiedział to.

– Nie ruszaj się stamtąd, okej? Już jadę. – Wybiera znowu przycisk zamykania drzwi, więżąc Andreę w windzie. Naciska

guzik lobby jakieś trzydzieści kilka razy, nawet kiedy już zjeżdżają.

– Zmarnowałam ten dzień – płacze Delilah. – Myślałam… Jestem taka głupia. Jestem taka cholernie głupia. Zmarnowałam ostatni dzień.

– Nie jesteś głupia i wszystko będzie dobrze – odpowiada Victor, po raz pierwszy okłamując Zgonerkę. Delilah jest Zgonerką. Winda zatrzymuje się na drugim piętrze i Victor wybiega na schody, tracąc zasięg na klatce. Pędzi przez lobby, mówiąc Delilah, jak bardzo ją kocha i że jest już w drodze. Sprawdza zegarek: zostały niecałe dwie godziny, ale równie dobrze może i niecałe dwie minuty.

Victor wsiada do auta i pędzi do Althei.

RUFUS

22:14

Ostatnim zdjęciem, jakie wrzucam na Instagrama, jest to z moim Ostatnim Przyjacielem, które zrobiliśmy w jego pokoju. Założyłem jego okulary, a on mruży oczy i obaj się uśmiechamy, bo udało nam się zaznać trochę szczęścia przed jego odejściem. Skroluję wszystkie fotki, dziko wdzięczny za te kolory, które dał mi Mateo w nasz Dzień Ostateczny.

Pielęgniarka chce, żebym został w łóżku, ale jako Zgoner mam pełne prawo odmówić opieki. Nie ma mowy, żebym się zaszył w tej sali, skoro muszę zobaczyć ojca Mateo.

Wiem, że zostały mi niecałe dwie godziny życia, i nie wyobrażam sobie lepszego sposobu na spędzenie tego czasu, jak uszanowanie ostatniego życzenia Mateo, by spotkać się z ojcem, tylko tym razem naprawdę. Udało mi się poznać człowieka, który wychował Mateo na chłopaka, w którym zakochałem się w ciągu niecałego dnia.

Ruszam na ósme piętro w towarzystwie nieugiętej pielęgniarki. Tak, rozumiem, ma dobre intencje i chce mi pomóc. Tylko że brakuje mi w tej chwili cierpliwości. Nawet się nie waham, wchodząc do pokoju. Po prostu tam wmaszerowuję.

Pan Torrez nie wygląda tak, jak wyobrażam sobie, że Mateo wyglądałby w przyszłości, ale jest wystarczająco podobny.

Wciąż jest pogrążony w śpiączce, zupełnie nie zdając sobie sprawy, że jeśli się kiedyś obudzi, syn nie będzie czekał na niego w domu. Nie wiem nawet, ile zostało z ich domu. Mam nadzieję, że strażacy powstrzymali ogień, zanim się rozprzestrzenił.

– Hej, panie Torrez. – Siadam obok niego. W tym samym miejscu Mateo wcześniej śpiewał. – Nazywam się Rufus i byłem Ostatnim Przyjacielem pańskiego syna. Udało mi się go wyciągnąć z mieszkania; nie wiem, czy już to panu powiedział. Był naprawdę odważny. – Wyjmuję z kieszeni telefon. – Z pewnością od początku pan w niego wierzył i jest z niego bardzo dumny. Znałem go tylko jeden dzień, a sam też jestem z niego dumny. Miałem szansę zobaczyć, jak staje się kimś, kim zawsze chciał być.

Przeglądam fotki, które robiłem od samego początku, omijając te z czasu sprzed poznania Mateo, i zaczynam od pierwszej kolorowej.

– Dużo dzisiaj żyliśmy. – Zdaję mu pełną relację, przechodząc od zdjęcia do zdjęcia: zrobione znienacka Mateo w Krainie Czarów, którego w końcu mu nie pokazałem; nas dwóch przebranych za spadochroniarzy w Spraw-Sobie-Przeżycie; cmentarz budek telefonicznych, przy których rozmawialiśmy o śmiertelności; Mateo śpiący w metrze, z klockowym sanktuarium na kolanach; Mateo siedzący w na wpół wykopanym grobie; okno Otwartej Księgarni, kilka minut przed eksplozją; tamten gość na rowerze, którego już nie chciałem, bo Mateo bał się, że przez niego zginiemy, ale i tak raz się nim przejechaliśmy; nasze przygody w Arenie Podróżniczej; przed wejściem do Cmentarza Clinta, gdzie śpiewaliśmy, tańczyliśmy, całowaliśmy się i uciekaliśmy przed śmiercią; Mateo skaczący dla mnie na łóżku. Pokazuję też

nasze ostatnie wspólne zdjęcie, ze mną w jego okularach i z nim mrużącym oczy, ale tak strasznie szczęśliwym.

Ja też jestem szczęśliwy. Nawet teraz, gdy znowu jestem w kawałkach, Mateo potrafi mnie poskładać z powrotem.

Puszczam nagranie, którego mógłbym słuchać bez końca.

– A tutaj śpiewał mi *Your Song*, którą podobno pan dobrze wykonuje. Mateo mówił, że śpiewa, bo chciał, żebym się poczuł wyjątkowo, i niewątpliwie tak było, ale wiem, że śpiewał też dla siebie. Uwielbiał to robić, chociaż nie szło mu najlepiej, ha. Ale kochał śpiewanie i kochał pana, i Lidię, i Penny, i mnie, i wszystkich.

Wykres pracy serca pana Torreza nie pokazuje żadnej jego reakcji na piosenkę Mateo czy moje historie. Żadnych zaburzeń, nic. To wszystko jest takie dołujące. Pan Torrez utknął tutaj żywy, nigdzie się nie może ruszyć. Może to nawet gorsze niż umieranie młodo. Ale może jeszcze się obudzi. Nie zdziwiłbym się, gdyby po utracie syna poczuł się jak ostatni człowiek na ziemi, nawet jeśli każdego dnia będą otaczać go tysiące ludzi.

Na szafce przy łóżku leży zdjęcie. Jest na nim Mateo jako dzieciak, jego tata oraz tort z motywem Toy Story. Mały Mateo wydaje się tak cholernie szczęśliwy. Aż żałuję, że nie znałem go od dzieciństwa.

Albo chociaż tydzień dłużej.

Godzinę dłużej.

Po prostu dłużej.

Z tyłu jest wiadomość:

Dziękuję za wszystko, tato.
Będę odważny i będzie dobrze.
Kocham Cię stąd dotąd.
Mateo

Gapię się na jego charakter pisma. Napisał to dzisiaj i nie skłamał.

Tata Mateo musi wiedzieć, co robił jego syn. Sięgam do kieszeni i znajduję swój rysunek świata z tamtego śniadania w mojej ulubionej jadłodajni. Jest pognieciony i trochę mokry, ale ujdzie. Biorę długopis z szuflady i piszę wokół świata.

Panie Torrez,

Nazywam się Rufus Emeterio i byłem Ostatnim Przyjacielem Mateo. Stał się odważny w swoim Dniu Ostatecznym.

Cały czas robiłem zdjęcia na Instagramie. Musi Pan zobaczyć, jak Mateo żył. Nazwa mojego profilu to @RufusonPluto. Naprawdę cieszę się, że Pański syn odezwał się do mnie w dniu, który mógł być najgorszym.

Moje kondolencje,

Rufus (5.09.2017)

Składam wiadomość i zostawiam razem ze zdjęciem.

Wstaję i wychodzę. Nie idę szukać ciała Mateo. Nie chciałby, żebym tak spędził swoje ostatnie minuty.

Opuszczam szpital.

22:36

Kończy się piasek w klepsydrze. Robi się dziwnie. Wyobrażam sobie, że Śmierć gdzieś już się czai, chowa za samochodami i krzakami, gotowa ściąć mi głowę swoją przeklętą kosą.

Jestem dziko zmęczony. Nie tylko fizycznie, ale i emocjonalnie. Właśnie tak się czułem po utracie rodziny.

Tylko czas mógłby mi pomóc uwolnić się od tego duszącego żalu, a przecież wiemy, że go nie mam.

Wracam do parku Althea, żeby przeczekać tam tę noc. Chociaż to dla mnie takie normalne, nie mogę przestać się trząść, ponieważ mógłbym być teraz zajebiście uważny, a i tak nie zmienię tego, co stanie się już niedługo. Poza tym tęsknię za rodziną i Mateo. Lepiej, żeby życie pozagrobowe naprawdę istniało, i lepiej, żeby faktycznie ułatwił mi odnalezienie siebie, jak obiecał. Ciekawe, czy już spotkał się z matką. Ciekawe, czy opowiedział jej o mnie. Jeśli najpierw znajdę swoją rodzinę, wyściskamy się porządnie, a potem zabiorę ich ze sobą na polowanie na Mateo. Kto wie, co będzie dalej.

Zakładam słuchawki i oglądam filmik, na którym Mateo mi śpiewa.

Widzę w oddali park Althea, moje miejsce wielkich zmian.

Spoglądam znowu na filmik, głos Mateo dudni mi w uszach.

Wchodzę na jezdnię i nie ma nikogo, kto by mnie powstrzymał.

KONIEC

PODZIĘKOWANIA

Przetrwałem tworzenie kolejnej książki! I zdecydowanie nie dokonałem tego sam.

Jak zawsze serdecznie dziękuję swojej agentce, Brooks Sherman, za zielone światło dla moich niedających spać pomysłów oraz za znajdowanie najlepszych domów dla moich książkopodobnych rzeczy. Nigdy nie zapomnę, jaka była podekscytowana, gdy powiedziałem jej, że piszę książkę o tytule *Nasz ostatni dzień*, albo jak odpisała mi koło szóstej rano, gdy skończyłem pierwszy szkic. Dziękuję też mojemu redaktorowi, Andrew Harwellowi, bo zasłużył na dziesięć tysięcy podwyżek za pomoc w przeobrażeniu tej książkopodobnej rzeczy w „mroczną grę w Jengę" – to jego genialne słowa, nie moje. Niekończące się poprawianie tej powieści nie było łatwe, ale bez uważnego wzroku Andrew i jego mądrego serca oraz głowy byłoby to niemożliwe.

Jestem ogromnie wdzięczny całemu zespołowi redakcyjnemu z HarperCollins za przyjęcie mnie z otwartymi ramionami. Rosemary Brosnan jest promykiem radości w tym wszechświecie. Erin Fritzsimmons i Simonowi Pradesowi za tę niesamowicie śliczną i przemyślaną okładkę – to była miłość od pierwszego spojrzenia. Margot Wood zawsze potrafi rzucić epickie zaklęcia. Dziękuję Laurze Kaplan za wszystko, co związane z pijarem; Bess Braswell i Audrey Diestelkamp za

wszystko, co związane z marketingiem; a Patty Rosati za wszystko, co związane ze szkołami i bibliotekami. Dzięki Janet Fletcher i Bethany Reis wyglądałem mądrzej. Kate Jackson była orędowniczką tej książki, jeszcze zanim mnie poznała. Dziękuję również wielu ludziom, których odciski palców znalazły się na tej książce. Nie mogę się doczekać, kiedy was poznam i nauczę się waszych imion.

Bent Agency, szczególnie Jenny Bent, za wspieranie moich książek.

Uroczemu zespołowi z Simon & Schuster UK, którzy stali się moją rodziną zza oceanu: Lucy Rogers, Hannah Cooper, Jackowi Noelowi, Jane Griffiths, Elisie Offord oraz Laurze Hough. Dziękuję za przyjęcie mnie i moich książek z dziką miłością.

Mojemu asystentowi, Michaelowi D'Angelo, za ciągłe rozstawianie mnie po kątach. I łzawe selfiki.

Moja grupa przyjaciół rozrosła się dzięki słowom, które napisaliśmy, a to zawsze będzie dla mnie fajne. Mojej siostrze/zawodowej żonie, Becky Albertalli, a także bratu/przyszywanemu mężowi, Davidowi Arnoldowi-Silverze, za grupowe czaty i grupowe uściski. Coreyowi Whaleyowi, pierwszej osobie, do której odezwałem się, gdy w grudniu 2012 roku wpadłem na pomysł napisania tej książki. Moim bogactwem są niesamowici przyjaciele, czyli Jasmine Warga, Sabaa Tahir, Nicola Yoon, Angie Thomas, Victoria Aveyard, Dhonielle Clayton, Sona Charaipotra, Jeff Zentner, Arvin Ahmadi, Lance Rubin, Kathryn Holmes oraz Ameriie. A także przyjaciele, którzy pojawili się na długo przed *Bardziej szczęśliwym niż nie*, na przykład Amanda i Michael Diaz, którzy wytrzymują ze mną od prawie samego początku naszego życia, oraz Luis Rivera, który dosłownie ratuje mi tyłek. Dziękuję wam wszystkim za to, że zawsze wiecie, kiedy

odciągnąć mnie od laptopa i ostatecznie zainspirować do powrotu do każdej opowieści.

Lauren Oliver, Lexo Hillyer i cała bando z Glasgow – nigdy nie dostąpiłem zaszczytu napisania z wami książki, ale nauczyłem się wiele dzięki pracy z waszą więcej niż utalentowaną grupą.

Jestem wdzięczny za uwagi od Hannah Fergesen, Dahlii Adler, Tristiny Wright oraz wielu innych.

Dziękuję mamie, Persi Rosie, a także duchowej siostrze, Cecilii Renn, moim idolkom i cheerleaderkom, które zawsze zachęcały mnie do pogoni za każdym marzeniem (i każdym facetem).

Keegan Strouse, która udowodniła, że można zmienić nastawienie do kogoś w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Każdemu czytelnikowi, bibliotekarzowi, nauczycielowi i wydawniczemu wymiataczowi, którzy dają z siebie wszystko, żeby książki nadal żyły. Wszechświat jest trochę mniej do bani dzięki wam.

A na koniec dziękuję także każdemu nieznajomemu, który nie wzywał policji, kiedy pytałem: „Co byś zrobił, gdybyś dowiedział się, że niedługo umrzesz?”. Żadna z waszych odpowiedzi nie zainspirowała mnie do napisania tej książki, ale czy nie jest fajnie, gdy obca osoba sprawia, że zwracasz uwagę na własną śmiertelność?

Przeczytaj fragmenty książek „Leah gubi rytm”, „Zostawiłeś mi tylko przeszłość” oraz „Piękno, które pozostanie”

Becky Albertalli
AUTORKA BESTSELLEROWEJ POWIEŚCI
SIMON ORAZ INNI HOMO SAPIENS
LEAH
gubi
RYTM

1

Nie chciałabym zabrzmieć dramatycznie, ale niech Bóg zlituje się nade mną i nie pozwoli Morgan wybierać piosenek. Ta dziewczyna to tatusiek z przedmieść z kryzysem wieku średniego w ciele licealistki.

Właśnie klęczy na podłodze i korzysta ze stołka do keyboardu jako biurka, a każdy tytuł na jej liście to jakiś mierny klasyk rocka. Jestem bardzo tolerancyjna, ale jako Amerykanka, muzyk i szanujący się człowiek uważam za swój obowiązek i przywilej zawetować to gówno.

Pochylam się i zaglądam jej przez ramię.

– Żadnego Bon Joviego. Zapomnij o Journey.

– Serio? – rzuca Morgan. – Ludzie uwielbiają *Don't Stop Believin'*.

– Ludzie uwielbiają heroinę. Czy to znaczy, że mamy zacząć brać heroinę?

Anna unosi brwi.

– Leah, czy ty właśnie…

– Czy właśnie porównałam *Don't Stop Believin'* do heroiny? – Wzruszam ramionami. – Owszem, zrobiłam to.

Anna i Morgan wymieniają Spojrzenie. To Spojrzenie mówi „popatrz tylko, zaraz się zacznie".

– Posłuchajcie. Ta piosenka to jeden wielki bajzel. Tekst nie trzyma się kupy.

Uderzam lekko w werbel, żeby mój tekst lepiej wybrzmiał.

– A mi się podoba – stwierdza Anna. – Niesie nadzieję.

– Nie chodzi o to, czy niesie nadzieję. Chodzi o to, jak strasznie nieprawdopodobne jest, by istniał pociąg o północy, który jedzie, cytuję, „gdziekolwiek".

Znowu wymieniają Spojrzenie, tym razem wzruszając nieznacznie ramionami.

Tłumaczenie: „ma trochę racji".

Tłumaczenie tłumaczenia: „Leah Catherine Burke jest prawdziwym geniuszem i nie powinnyśmy były kwestionować jej gustu muzycznego".

– Chyba nie powinnyśmy dodawać niczego nowego, dopóki Taylor i Nora nie wrócą – oznajmia Morgan.

I ma rację. Przez próby do szkolnego musicalu Taylor i Nora były poza zasięgiem od stycznia. Chociaż reszta składu spotyka się kilka razy w tygodniu, beznadziejnie się ćwiczy bez wokalistki i głównej gitarzystki.

– Okej – mówi Anna. – W takim razie skończyłyśmy już, tak?

– Pytasz, czy skończyłyśmy próbę?

Cóż, chyba niepotrzebnie wspominałam Journey. Naprawdę to czaję. Jestem biała, powinnam uwielbiać słabego klasycznego rocka. Ale myślałam, że wszystkim nam podoba się żywa dyskusja na temat muzyki i heroiny. Może jednak wymknęła się spod kontroli, bo teraz Morgan składa keyboard, a Anna pisze do mamy, żeby ją odebrała. No to chyba gra się skończyła.

Moja matka przyjedzie dopiero za jakieś dwadzieścia minut, więc zostaję jeszcze w sali muzycznej. Właściwie nie przeszkadza mi to. Nawet całkiem fajnie jest grać samej. Pozwalam, by pałeczki mnie prowadziły, od wielkiego bębna do

werbla i z powrotem. Trochę dopełnienia na tonach. Trochę czzz czz czzz na hi-hacie, a potem crash.

Crash.

Crash.

I jeszcze raz.

Nie słyszę wibracji telefonu, dopóki nie rozlega się powiadomienie z poczty głosowej. To musi być moja mama. Zawsze dzwoni, esemesy pisze tylko w ostateczności. Można by pomyśleć, że ma pięćdziesiąt albo milion lat, ale w rzeczywistości zaledwie trzydzieści pięć. Ja osiemnaście. Śmiało, policzcie. Można powiedzieć, że jestem grubą Rory Gilmore ze Slytherinu.

Nie odsłuchuję wiadomości, bo mama zawsze w takiej sytuacji wysyła mi od razu esemesa. I faktycznie, za moment dostaję to: BARDZO CIĘ PRZEPRASZAM, KOCHANIE. NIE DAM RADY SIĘ WYRWAĆ. MOŻESZ POJECHAĆ DZISIAJ AUTOBUSEM?

JASNE, odpowiadam.

JESTEŚ NAJLEPSZA. Emotikonka z buziakiem.

Szefowa mamy w kancelarii to niepowstrzymany robot i pracoholiczka, więc to się często zdarza. Albo to, albo randka. To nawet nie jest zabawne, w życiu uczuciowym mojej matki dzieje się więcej niż w moim. W tej chwili spotyka się z jakimś kolesiem o imieniu Wells. Jest łysy i bogaty, ma takie malusie uszy, a do tego wydaje mi się, że dobiega pięćdziesiątki. Widziałam się z nim raz, przez pół godziny, a on w tym czasie zdążył powiedzieć sześć żartów słownych i dwa razy rzucić „kurna".

Tak czy inaczej, kiedyś miałam własny samochód, więc to nie miało wielkiego znaczenia – jeśli wracałam do domu przed mamą, po prostu wchodziłam do środka przez garaż. Jednak w zeszłe lato auto mamy się zepsuło, więc musiałam oddać jej moje, a to z kolei oznacza, że dzisiaj jadę do domu

z trzydziestoma pięcioma pierwszoklasistami. Nie to, żebym była zgorzkniała.

Powinnam opuścić salę muzyczną do piątej, więc rozkładam perkusję i zanoszę do magazynku, bęben po bębnie. Tylko ja korzystam ze szkolnej perkusji. Wszyscy inni mają własne, w wyszykowanych piwnicach osobistych willi. Mój przyjaciel Nick posiada Yamahę DTX450K, który można dopasować do własnych potrzeb, a nawet nie jest perkusistą. Mnie nawet za milion lat nie będzie stać na taki sprzęt. Ale tak to już jest w Shady Creek.

Autobus odjeżdża dopiero za pół godziny, więc chyba pójdę pooglądać próbę. Nikogo nie obchodzi, że wejdę na widownię, chociaż przedstawienie ma premierę w piątek. Szczerze mówiąc, bywam tam tak często, że ludzie pewnie biorą mnie już za część obsady. Większość moich przyjaciół gra – nawet Nick, który nigdy wcześniej nie starał się o żadną rolę. Jestem pewna, że zrobił to wyłącznie po to, by spędzać czas ze swoją obrzydliwie uroczą dziewczyną. Ponieważ jednak jest żywą legendą, dostał od razu główną rolę.

Idę bocznym korytarzem, który prowadzi prosto na salę prób, i wślizguję się za drzwi. Oczywiście pierwszą osobą, jaką widzę, jest jedyny w swoim rodzaju Simon Spier, mój brach numer jeden i wielki pożeracz Oreo.

– Leah! – Stoi za kulisami, częściowo przebrany, otoczony przez kolegów. Nie mam pojęcia, jakim cudem pani Albright zdołała namówić tylu facetów do wzięcia udziału w castingu. Simon odsuwa się od nich. – Przyszłaś w samą porę, żeby posłuchać mojej piosenki.

– Tak właśnie planowałam.

– Naprawdę?

– Nie.

– Nienawidzę cię. – Najpierw trąca mnie łokciem, a potem przytula. – Nie, kocham cię.

– W ogóle mnie to nie dziwi.

– Nie mogę uwierzyć, że zaraz usłyszysz, jak śpiewam.

Uśmiecham się szeroko.

– Pełna ekscytacja.

Zaraz pada wyszeptane polecenie, które nie do końca słyszę, i chłopcy ustawiają się w rzędzie, zwarci i gotowi. Szczerze mówiąc, nie mogę na nich patrzeć bez rozbawienia. Tytuł musicalu to „Józef i cudowny płaszcz snów w technikolorze", a wszyscy bracia Józefa noszą puszyste sztuczne brody. Nie wiem, może tak było napisane w didaskaliach w Biblii czy coś.

– Nie życz mi powodzenia – rzuca Simon. – Tylko połamania nóg.

– Chyba powinieneś już iść.

– Dobra, ale słuchaj, nie jedź autobusem. Po próbie wybieramy się do Waffle House.

– Przyjęłam.

Chłopaki wchodzą na scenę, a ja chowam się głębiej za kulisami. Teraz, gdy tłum się przerzedził, widzę Cala Price'a, inspicjenta, siedzącego za biurkiem za kotarą.

– Hej, Wiewióra.

Właśnie tak się do mnie zwraca, chociaż żaden ze mnie rudzielec. Nie przeszkadza mi to – Cal jest słodki jak bułeczka cynamonowa – ale za każdym razem, kiedy to słyszę, czuję ukłucie w sercu.

Tata nazywał mnie Wiewiórą. Kiedy jeszcze do mnie dzwonił.

– Widziałaś już tę scenę? – pyta Cal, a ja kręcę głową. Uśmiecha się i daje mi znak, żebym podeszła.

Chłopcy się zataczają. Nie potrafię inaczej tego opisać. Nauczyciel szkolnego chóru wygrywa jakąś brzmiącą

francusko piosenkę na pianinie, a Simon wychodzi na środek, przyciskając dłoń do serca.

– *Czy pamiętasz tamte dobre lata w Kanaan…*

Głos mu drży, tylko troszeczkę, a jego francuski akcent to katastrofa. A jednak jest niesamowicie zabawny – pada na kolana, łapie się za głowę, jęczy – i nie chcę przesadzać, ale możliwe, że właśnie patrzę na najbardziej ikoniczny występ w historii teatru.

Nora staje obok mnie.

– Zgadnij, ile razy słyszałam, jak śpiewa to w sypialni.

– Proszę, powiedz, że nie ma o tym pojęcia.

– Nie ma pojęcia, że go słyszę.

Przykro mi, Simon, ale jesteś zbyt cenny. Gdybyś nie był gejem i w związku, totalnie bym za ciebie wyszła. I bądźmy szczerzy, poślubienie Simona byłoby czymś wspaniałym – i nie tylko dlatego, że byłam w nim żałośnie zakochana przez większość podstawówki. Nie, chodzi o coś więcej. Chętnie dołączyłabym do tej rodziny, bo Spierowie są dosłownie idealni. Nora zostałaby moją szwagierką, a do tego mają jeszcze zarąbistą starszą siostrę w college'u. A poza tym Spierowie mieszkają w wielkim, wspaniałym domu, w którym nie roi się od porozrzucanych wszędzie rzeczy. Kocham nawet ich psa.

Piosenka milknie, a ja wymykam się i idę na sam koniec widowni. To miejsce znane jest dzieciakom z teatru jako Alejka Macanek. Ale teraz siedzę tu zupełnie sama i poświęcam próbie tylko część uwagi. Oglądam wszystko z daleka. Nigdy nie brałam udziału w przedstawieniu, chociaż mama ciągle próbuje namówić mnie na casting. Rzecz w tym, że można spędzić całe lata na rysowaniu beznadziejnych prac w szkicowniku i nikt nie musi ich oglądać. Możesz grać na perkusji w pustej sali, dopóki nie poczujesz się wystarczająco

pewnie na koncert. A jednak aktor nie może poświęcić kilku lat na graniu z dala od ludzi. Aktor ma publiczność od pierwszego dnia.

Rozbrzmiewa muzyka. Abby Suso wychodzi na środek, ma na sobie wielki naszyjnik z koralików i perukę Elvisa. I śpiewa.

Oczywiście jest niesamowita. Co prawda nie posiada takiej skali jak Nick i Taylor, ale potrafi pociągnąć nutę i jest zabawna. Właśnie w tym rzecz: na scenie totalnie się wygłupia. W pewnym momencie pani Albright wybucha śmiechem. A to już coś – nie tylko dlatego, że jej śmiech to wręcz rechot, ale dlatego, że pani Albright widziała to już tysiące razy. Abby jest aż tak dobra. Nawet ja nie potrafię odwrócić od niej wzroku.

Kiedy występ dobiega końca, pani Albright zaprasza aktorów na scenę, żeby wygłosić uwagi. Wszyscy rozkładają się na platformach, ale Simon i Nick trzymają się tyłu sceny, blisko Abby. Oczywiście.

Nick otacza ją ramieniem, a ona przytula się do niego. Oczywiście.

Nie ma tutaj Wi-Fi, więc nie mam się czym zająć i muszę słuchać uwag pani Albright, a później także dziesięciominutowego, nieproszonego monologu Taylor Metternich o „zatraceniu się w odgrywanej postaci". Ukułam taką prywatną teorię, że Taylor podnieca się brzmieniem własnego głosu. Jestem pewna, że przeżyła już serię małych orgazmów, i to na naszych oczach.

Pani Albright wreszcie kończy próbę i wszyscy wychodzą, po drodze zabierając plecaki – ale Simon, Nick i Abby nadal stoją niedaleko orkiestry. Podnoszę się i przeciągam, po czym ruszam w ich stronę. W głębi ducha chciałabym obsypać ich komplementami, jednak coś mnie powstrzymuje. Może to zbyt

boleśnie szczere, trochę zbyt w stylu Leah z piątej klasy. Nie wspominając już o tym, że na samą myśl o wychwalaniu Abby robi mi się niedobrze.

Przybijam Simonowi piątkę.

– Byłeś zajebisty.

– Nie wiedziałam nawet, że tu jesteś – rzuca Abby.

Trudno powiedzieć, co właściwie ma na myśli. Może to jakiś ukryty przytyk. Na przykład „Co ty w ogóle tutaj robisz, Leah?". Albo: „Nawet nie zwróciłam na ciebie uwagi, jesteś taka nieistotna". Może przesadzam. Nieraz już mi się to zdarzało w przypadku Abby.

Kiwam głową.

– Słyszałam, że wybieracie się na gofry.

– Tak, czekamy tylko na Norę.

Mija nas Martin Addison.

– Hej, Symeonie – mówi.

– Hej, Rubenie – odpowiada Simon, podnosząc wzrok znad telefonu.

Tak nazywają się grani przez nich bohaterowie. Tak, Simon gra postać o imieniu Symeon, bo pani Albright chyba nie mogła sobie darować. Ruben i Symeon są braćmi Józefa, a ja jestem pewna, że wszystko to byłoby bardzo urocze, gdyby nie brał w tym udziału Martin Addison.

Martin nie zatrzymuje się, a z oczu Abby lecą gromy. Naprawdę trudno wyprowadzić ją z równowagi, a Martinowi udaje się to osiągnąć samym istnieniem. I tym, że ciągle próbuje zagadywać do Simona, jakby zeszły rok nigdy się nie wydarzył. Jest taki cholernie bezczelny. Simon nie rozmawia z Martinem zbyt wiele, ale wkurza mnie, że w ogóle to robi. Oczywiście nie mogę mu mówić, do kogo ma się odzywać. Wiem jednak – po prostu to widzę – że Abby wkurza się tak samo jak ja.

Simon wraca do telefonu, najwyraźniej pisząc do Brama. Spotykają się trochę ponad rok i są jedną z tych par, które przyprawiają o mdłości swoim szczęściem. Nie chodzi o to, że robią nie wiadomo co na oczach innych ludzi. W szkole prawie się nie dotykają, pewnie dlatego, że jest tutaj pełno dinozaurów, którzy są dupkami wobec gejów. Ale Simon i Bram cały dzień piszą do siebie i rzucają sobie tak wymowne spojrzenia, jakby nie mogli wytrzymać pięciu minut bez bliskiego kontaktu. Jeśli mam być zupełnie szczera, trudno im nie zazdrościć. Nie chodzi nawet o ten cały cukierkowo-magiczno-erotyczny romans jak z bajki. Chodzi o to, że się odważyli. Mieli jaja, żeby powiedzieć „walić to, walić Georgię, walić wszystkich dupkowatych homofobów".

– Bram i Garrett spotkają się z nami na miejscu? – pyta Abby.

– Tak. Właśnie schodzą z boiska. – Simon się uśmiecha.

Ostatecznie ląduję na fotelu pasażera w samochodzie Simona. Z tyłu siedzi Nora i przekopuje się przez swój plecak. Ma na sobie dżinsy z podciągniętymi nogawkami, całe upaćkane farbą, a włosy spięła w bezładny koczek. Jedno ucho ma poprzekłuwane na całej długości, a w nosie mały niebieski kolczyk, który założyła sobie w zeszłe wakacje. Dziewczyna jest po prostu przeurocza. Uwielbiam to, jak bardzo przypomina Simona, oraz to, że oboje wyglądają jak ich starsza siostra. Są dosłownie rodziną kopiuj-wklej.

Wreszcie Nora wyściubia nos z plecaka, pokazując ogromną, nieotwartą jeszcze torebkę M&M'sów.

– Umieram z głodu.

– Przecież jedziemy do Waffle House – mówi Simon, ale i tak wyciąga rękę po cukierki.

Biorę garść i są idealnie rozpuszczone – co znaczy tyle, że nie do końca, po prostu trochę miękkie w środku.

– Czyli nie było tragedii, co? – pyta Simon.

– Mówisz o sztuce?

Kiwa głową.

– Ani trochę. Było super.

– No, ale ludzie ciągle jeszcze mylą tekst, a premiera już w piątek. A pieprzony Potifar skopał dzisiaj całą piosenkę. Boże, potrzebuję gofra.

Wyciągam telefon i sprawdzam Snapchata. Abby opublikowała epicko długą story z próby, a wygląda to jak profesjonalna komedia romantyczna. Krótkie ujęcie Nicka i Taylor śpiewających na scenie. Selfie Abby i Simona, z bardzo bliska. A potem jeszcze większe zbliżenie na twarz Simona, na którym jego dziury w nosie są takie wielkie. Abby wrzuciła w jedną z nich emoji z pandą. A potem znowu Abby i Nick, i tak w kółko.

Wkładam komórkę z powrotem do kieszeni. Simon skręca na autostradę Mount Vernon. Czuję się dziwnie podenerwowana – jakby coś mnie niepokoiło, ale zapomniałam co. Jakby ktoś wbijał mi małą szpilkę w mózg.

– Nie rozpoznaję piosenki, którą wygrywasz – oznajmia Nora.

Dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, że zwraca się do mnie, a kolejny moment zajmuje mi zauważenie, że pukam w drzwiczki schowka.

– Ha. Nie mam pojęcia.

– To leci jakoś tak – mówi Nora, wystukując prosty rytm na oparciu mojego fotela. *Bum-tap-bum-tap.* Całe osiem nut, szybkich i rytmicznych. Mój umysł natychmiast uzupełnia resztę.

To *Don't Stop Believin'*. Mój mózg to dupek.

„URZEKAJĄCO DRUZGOCZĄCA,
PEŁNA PASJI I SZCZEROŚCI, LUDZKA W SPOSÓB
ZAPIERAJĄCY DECH W PIERSI".

BECKY ALBERTALLI, AUTORKA *SIMON ORAZ INNI HOMO SAPIENS*

ZOSTAWIŁEŚ MI TYLKO PRZESZŁOŚĆ

AUTOR BESTSELLERA *MORE HAPPY THAN NOT. RACZEJ SZCZĘŚLIWY NIŻ NIE*

ADAM SILVERA

TERAZ

PONIEDZIAŁEK, 20 LISTOPADA 2016

W alternatywnym wszechświecie wciąż żyjesz, Theo, ale ja pozostaję na tym prawdziwym, gdzie tego ranka masz pogrzeb. Wiem, że podsłuchujesz. I powinieneś wiedzieć, że naprawdę się wkurzyłem, bo przysięgałeś nigdy nie umierać, a jednak oto leżysz w otwartej trumnie. A jeszcze bardziej boli świadomość, że to nie pierwsza złamana przez ciebie obietnica.

Raz jeszcze przypomnę szczegóły tego przyrzeczenia. Złożyłeś je w sierpniu zeszłego roku. Uwierz mi, że nie mówię do ciebie z wyższością, w detalach wspominając tamtą i inne chwile. Wątpię, żebym nawet cię czymś zaskoczył, bo przecież zawsze żartowaliśmy z tego, w jaki dziwny sposób działa twój mózg. Znałeś tyle nieistotnych faktów, że można by wypełnić nimi całe zeszyty, ale od czasu do czasu zapominałeś o czymś ważnym, na przykład o moich urodzinach w tym roku (siedemnasty maja, nie osiemnasty), a do tego nigdy nie ogarniałeś należycie wieczornych zajęć, chociaż kupiłem ci fajny organizer z zombiakami na okładce (który pewnie Sam

Wiesz Kto kazał ci wyrzucić). Po prostu chciałbym, żebyś pamiętał pewne rzeczy tak, jak ja je zapamiętałem. A jeśli wspominanie przeszłości wkurza cię teraz – a wiem, że wkurzało, gdy wyjechałeś z Nowego Jorku do Kalifornii – wiedz, że mi przykro, ale nie bądź na mnie zły, że znowu to wszystko przeżywam. Zostawiłeś mi tylko przeszłość.

Złożyliśmy sobie kilka obietnic tamtego dnia, kiedy zerwałem z tobą, żebyś mógł zrobić swoje tam, w Santa Monica, bez oglądania się na mnie. Niektóre z nich skończyły się źle, chociaż nie zostały złamane – na przykład przyrzekłem nie znienawidzić cię, chociaż dałeś mi ku temu wiele powodów, a ty nie przestałeś być moim przyjacielem nawet wtedy, gdy poprosił cię o to chłopak. Jednak tego dnia, kiedy szliśmy z Wade'em na pocztę, żeby wysłać twoje kartony do Kalifornii, ty maszerowałeś tyłem i omal nie wpadłeś pod samochód. Wiedziałem, do czego zmierzamy – chcieliśmy móc znowu odnaleźć siebie nawzajem, kiedy nadejdzie odpowiedni moment, bez względu na wszystko – i kazałem ci przyrzec, że zawsze będziesz o siebie dbał i nigdy nie umrzesz.

– Dobra. Nigdy nie umrę – powiedziałeś wtedy i przytuliłeś mnie.

Jeśli istniała jakaś obietnica, którą mogłeś złamać, to zdecydowanie nie tę. A teraz została godzina do momentu, kiedy będę zmuszony podejść do trumny i pożegnać się z tobą.

Tylko że to nie będzie pożegnanie.

Zawsze będziesz przy mnie, zawsze mnie wysłuchasz. Jednak ujrzenie twojej twarzy po raz pierwszy od lipca i jednocześnie po raz ostatni będzie zupełnie nieznośne; zwłaszcza w niechcianym towarzystwie twojego chłopaka.

Nie będę dzisiaj wspominał jego imienia tak długo, jak to tylko możliwe, dobrze? Jeśli mam mieć jakieś szanse na przetrwanie tego i kolejnych dni, muszę wrócić do samego

początku, kiedy to dwóch chłopców zaprzyjaźniło się przy układaniu puzzli. I pokochało.

Dopiero kiedy ci przeszło, wszystko potoczyło się w złym kierunku. To te wydarzenia po naszym rozstaniu sprawiają, że robię się nerwowy. Teraz, gdziekolwiek jesteś, widzisz mnie. Wiem, że jesteś tutaj i obserwujesz mnie, by samemu wszystko poskładać. Nie tylko te wstydliwe czyny doprowadzają mnie do szaleństwa, Theo. Także świadomość, że to jeszcze nie koniec.

WSPOMNIENIA

NIEDZIELA, 8 CZERWCA 2014

Ten dzień przejdzie do historii.

Czas biegnie szybciej niż pociąg, ale dobrze, bo siedzę obok Theo McIntyre'a. Znam go od szkoły podstawowej, kiedy to przyciągnął moje spojrzenie w trakcie przerwy. Pomachał i powiedział: „Pomóż mi, Griffin. Odbudowuję Pompeje". Oczywiście chodziło o puzzle z Pompejami, składające się ze stu elementów. Wtedy nie miałem pojęcia, czym są Pompeje; myślałem, że Wezuwiusz to kryjówka jakiegoś komiksowego imperatora. Oczarowały mnie dłonie Theo, którymi wybierał elementy według koloru jeszcze przed rozpoczęciem układania, oddzielając granitowe ulice od pokrytych popiołem ruin. Pomogłem mu z niebem, ale zupełnie spartoliłem chmury. Niewiele udało nam się wtedy ułożyć, za to od tamtej chwili staliśmy się sobie bliscy.

Dzisiaj wybieramy się na przejażdżkę z Manhattanu na Brooklyn, żeby sprawdzić, czy ukryte na pchlim targu skarby mają faktycznie tak mocno zawyżone ceny, jak wszyscy mówią. Bez względu na to, gdzie jesteśmy – na Brooklynie czy

Manhattanie, w szkole czy w Pompejach – postanowiłem tego nieparzystego dnia przenieść naszą znajomość z Theo na wyższy poziom. Mam tylko nadzieję, że mi na to pozwoli.

– Przynajmniej mamy przedział dla siebie – mówię.

To nawet trochę podejrzane, że jest tu tak pusto. Ale nie kwestionuję tego zrządzenia losu. Jestem zbyt zajęty wyobrażaniem sobie, jakby to było już zawsze dzielić tę czy jakąkolwiek inną przestrzeń z tym wszechwiedzącym miłośnikiem kartografii, puzzli, animacji i testowania ludzkiej cierpliwości. Normalnie w zatłoczonym pociągu siedzimy z Theo bardzo blisko siebie, dotykamy się biodrami i ramionami. To prawie jak przytulanie, tylko że nie muszę tak szybko puszczać. Szkoda, że teraz Theo siedzi naprzeciwko, ale przynajmniej mogę na niego popatrzeć. Spoglądam w te niebieskie oczy, które wszystkim się zachwycają (nawet reklamami wybielania zębów, które wiszą w pociągu); na te jasne włosy, które mokre robią się ciemniejsze; na ten podkoszulek z *Gry o tron*, który kupiłem mu na urodziny w lutym.

– O wiele trudniej jest gapić się na ludzi, kiedy ich nie ma – oznajmia Theo i patrzy mi w oczy. – Zostałeś mi tylko ty.

– Jestem pewien, że na pchlim targu znajdą się jacyś interesujący ludzie. Na przykład hipsterzy.

– Hipsterzy to nie ludzie, to postaci – poprawia mnie Theo.

– Nie kpij z nich. Niektórzy pod tymi czapeczkami i flanelami skrywają prawdziwe uczucia.

Theo wstaje i robi jakąś marną pompkę na barierce; dzięki umysłowi dostaje najwyższe noty, ale mięśnie ma za słabe, by wyniosły go tak wysoko. Poddaje się i zaczyna podskakiwać między ławkami, niczym jakiś gimnastyk. Wolałbym, żeby zrobił przewrót i usiadł obok mnie. Trzyma się barierki i rozciąga nogę tak, że kładzie ją na przeciwległe siedzenie,

a jego koszulka podnosi się tak, że skupiając wzrok na szerokim uśmiechu Theo, mogę jednocześnie zobaczyć fragment nagiej skóry. To może być ostatnia ku temu okazja.

Pociąg kołysze się i zatrzymuje, a my wreszcie wysiadamy.

Manhattan to nasz dom i w ogóle, więc Theo nigdy na niego nie narzeka, ale wiem, że chciałby widzieć więcej graffiti na ścianach, jak w Brooklynie, oświetlanych przez promienie letniego słońca. Po drodze na pchli targ Theo pokazuje swoje ulubione prace: małego chłopca w czerni i bieli, idącego po kolorowych literach układających się w słowo SEN; puste lustro domagające się odnalezienia najpiękniejszej na świecie w idealnie pochylonej kaligrafii, która mogłaby rywalizować z idealnym charakterem pisma Theo; samolot okrążający Neptuna, który jest tak fantazyjny, że nie kręci mi się w głowie od lęku przed lataniem; rycerze siedzący wokół Ziemi jak wokół okrągłego stołu. Żaden z nas nie ma pojęcia, co to miałoby znaczyć, ale i tak jest fajne.

Droga na pchli targ jest długa i gorąca, idziemy aż na East River. Theo zauważa trucka z napojami i wydaje dziesięć dolarów na dwa kubki lemoniady, tylko że ta zaraz się kończy i zostaje nam tylko ssanie kostek lodu, żeby nie umrzeć z przegrzania.

Theo zatrzymuje się przy stoliku z gadżetami z *Gwiezdnych wojen*.

– Siedemdziesiąt dolarów za zabawkowy miecz świetlny? – rzuca Theo, krzywiąc się.

Wewnętrzny głos Theo jest do bani. To problem.

Czterdziestoletnia sprzedawczyni podnosi wzrok.

– To słynny miecz świetlny – stwierdza beznamiętnie. – Jest rzadki i powinnam życzyć sobie za niego jeszcze więcej.

Napis na jej koszulce głosi: KSIĘŻNICZKA LEIA NIE JEST DAMĄ W OPAŁACH, KTÓREJ SZUKASZ.

Theo odpowiada uśmiechem na jej groźne spojrzenie.

– Czy ktoś tutaj odstawił Obi-Wana i uciął komuś rękę?

Moja wiedza na temat *Gwiezdnych wojen* jest dość ograniczona, a to samo dotyczy wiedzy Theo na temat Harry'ego Pottera. Jest jedynym znanym mi szesnastolatkiem, który nie interesuje się słynnym czarodziejem. Jednego wieczoru kłóciliśmy się przez całą godzinę o to, kto wygrałby pojedynek między Lordem Voldemortem i Darthem Vaderem. Jestem zaskoczony, że wciąż się przyjaźnimy.

– Pokrywa baterii łatwo wychodzi i dzieci ciągle wkładają ją sobie do ust – mówi kobieta, już nie do Theo, lecz do równie niezadowolonego faceta w jej wieku, który nie może ogarnąć zegarka R2-D2.

– Dobra. – Theo żegna się i odchodzi.

Spacerujemy przez kilka minut (dokładnie cztery).

– To już koniec? – pytam. Jest gorąco, zaraz się rozpuszczę, a do tego przekonaliśmy się już, że niektóre z tych skarbów są nieprzyzwoicie drogie.

– Nie ma mowy – rzuca Theo. – Nie możemy wrócić z pustymi rękami.

– Więc kup coś.

– A może ty mi coś kupisz?

– Nie potrzebujesz tego miecza świetlnego.

– Nie, głupku, kup mi coś innego.

– Mogę założyć, że ty kupisz coś mnie, prawda?

– Brzmi sprawiedliwie – oznajmia Theo i stuka w swój niebezpieczny zegarek słoneczny. Jest naprawdę niebezpieczny i nie powinien go nosić, a ja nie wiem nawet, jak i dlaczego go zdobył. Jego ostre wskazówki podrapały już wystarczająco dużo niczego niespodziewających się ludzi, w tym mnie, by Theo wrzucił to cholerstwo do ognia, a potem pozwał

producenta. A jednak on nadal go nosi, bo jest wyjątkowy. – Spotkajmy się przy wejściu za dwadzieścia minut. Gotowy?

– Start.

Theo odbiega, omal nie wpadając na brodatego mężczyznę, który niesie na barkach dziewczynkę. Znika w ciągu kilku sekund. Sprawdzam czas na telefonie – szesnasta osiemnaście, parzyście – i pędzę w przeciwnym kierunku, do labiryntu pełnego pamiątek na sprzedaż. Biegnę między skrzynkami starych tenisówek, obok przekrzywionej wystawki brudnych luster – jak w opuszczonym gabinecie w parku rozrywki, mijam stojaki z kwiecistymi paszminami powiewającymi jak na wietrze z ukrytego wiatraka, a także kosze z muszelkami sprzedawanymi razem z pędzlami malarskimi.

Muszelki są nawet fajne, ale nie krzyczą do mnie: „Theo! Jesteśmy idealne dla Theo!".

Jakąś minutę później docieram do miejsca, które naprawdę przemawia do mnie językiem Theo. Łapacz snów z wiklinowym kołem zafarbowanym na jego ulubiony odcień zielonego. Cały stolik maleńkich statków w butelkach. Niedawno czytał o misternym budowaniu takich modeli, mając nadzieję wykonać jeden samodzielnie. Tylko że teraz zamiast zwykłego statku chce kosmiczny, bo on wszystko robi w swoim stylu.

Wciąż mam bardzo dużo czasu, całe dwanaście minut. Szkoda, że Theo nie jest większym fanem fantasy, bo znajduję naprawdę kozackie nożyki do listów. W sumie liczę, że zdążył już tutaj dotrzeć i zaskoczy mnie jednym z nich, najlepiej takim z pochewką jak od miecza albo tym z kościaną rączką. Nic nie szkodzi, mam jeszcze mnóstwo czasu… Właściwie to już nie, bo według mojego telefonu zostało tylko dziewięć minut; nieparzysta liczba wzbudza we mnie niepokój, więc znowu biegnę, drapiąc się po dłoni. Jakimś cudem wracam do

świata pomyłek. Theo nie przyda się zestaw garnków i patelni śniadaniowych, bo woli jadać płatki z sokiem pomarańczowym. Na pewno nie potrzebuje narzędzi do ogrodu, chyba że razem z nimi można kupić instrukcję, jak za ich pomocą wyhodować gry i programy komputerowe za darmo.

A potem trafiam w dziesiątkę.

Puzzle.

Zerkam jeszcze raz na telefon: zostało sześć minut. Nie czuję już niepokoju, zastąpiła go ekscytacja. Wiem, że Theo nie ma żadnej z tych układanek: ani steampunkowej stodoły lecącej na skrzydłach zbudowanych z fragmentów satelity; ani sani świętego Mikołaja, ciągniętych przez delfiny pod wodą (nie chcę wiedzieć, co jest w tych zapakowanych prezentach, ale chciałbym usłyszeć domysły Theo); ani puzzli 3D w kształcie piłki nożnej – fajnie, że trójwymiarowe, ale niefajnie, że sportowe. Nie jestem pewien, co Theo myśli o puzzlach 3D, ale te konkretne chyba by go nie przekonały.

I nagle bum, mam to. Czwarta układanka z kolei: przeklęty statek piracki. Piraci lądują za burtą, wyrzucani przez silny wiatr i pochłaniani przez wzburzone fale; niektórzy próbują wspiąć się z powrotem, podczas gdy jeden z nich wisi na wysuniętej desce. Wiem, że Theo wymyśliłby do tego obrazka jakąś kapitalną historię. Sprzedawczyni wkłada puzzle do brązowej siatki i chociaż kosztują dziewięć dolarów, daję jej dychę i biegnę z powrotem.

Theo czeka na mnie przy wejściu, oparty o ścianę, żeby schować się w cieniu, niczym wampir, który za późno wstał – a może za wcześnie? Nie dziwię mu się. Obaj jesteśmy solidnie spoceni. Spogląda na swój zegarek słoneczny.

– Zostały tylko dwie minuty! Wynośmy się stąd, zanim obaj staniemy w płomieniach, albo gorzej, spalisz sobie skórę.

Wracamy do metra, a ja mam tylko jedną wskazówkę: pudełko, które jest idealnym sześcianem. Nie potrafię sobie wyobrazić, co mogłoby skrywać. Stacja metra znajduje się pod ziemią, ale w tłumie jest równie nieznośnie, co na słońcu, jakbyśmy rozbili obóz na szczycie wulkanu i zamknęli szczelnie namiot. Jakimś cudem udaje nam się przetrwać sześć minut czekania i gdy otwierają się drzwi pociągu, biegniemy na siedzenie w kącie, by zająć miejsce, zanim zrobi to dwóch kolesi na oko w wieku studenckim. Klimatyzacja działa i wreszcie czuję się bardziej sobą.

– Prezenty? – pyta Theo, celując palcem w moją torbę.

– Ty skończyłeś zakupy wcześniej, więc zaczynasz – mówię, przesuwając nieco nogę, żeby nasze kolana od czasu do czasu przypadkiem się ocierały.

– Nie wiem, co to za pokręcona logika, ale niech ci będzie.

Podaje mi pudełko, które okazuje się zawierać coś niezbyt ciężkiego i grzechoczącego w środku. Otwieram i wyjmuję figurkę samego Rona Weasleya, najlepszego przyjaciela Harry'ego Pottera.

– I co myślisz? – pyta Theo. – Wiem, że to twój ulubiony bohater, więc pewnie już masz jego figurkę, ale pomyślałem, że ta jest całkiem fajna. Zwłaszcza że wydaje się taka poobijana, jakby niejedno przeszła.

Kiwam głową. To prawda: mały Ron Weasley jest nieźle poturbowany, farba odłazi na jego rudych włosach i czarnej pelerynie. Ale to nie Ron jest moim ulubionym bohaterem. Łatwo o ten błąd, bo jego lubię najbardziej z trójki protagonistów – przykro mi, Harry i Hermiono – a przecież nikt nie robi figurek drugoplanowych postaci, które były ważne tylko w jednej książce. A jednak moim najulubieńszym bohaterem w całej serii jest Cedrik Diggory. Właściwie to ze wszystkich książek w ogóle, nie tylko świata Harry'ego

Pottera. Kiedy Cedrik zginął na końcu Turnieju Trójmagicznego, płakałem o wiele dłużej, niż miałbym odwagę przyznać. Jego śmierć to bez wątpienia najboleśniejsza strata, jaką przeżyłem. Ale to nic, przecież ja też nie wiem, kogo Theo lubi najbardziej z *Gwiezdnych wojen*. Powiedziałbym, że Yodę, ale to głupio brzmi, nawet dla mnie. Nieważne, liczą się chęci.

– Super – mówię. – I wcale nie mam jego figurki, więc dzięki.

Zastanawiam się, czy poprzedni właściciel znudził się tą serią i oddał Rona w lombardzie za pięćdziesiąt centów czy coś. Ktoś stracił, by zyskać mógł ktoś inny.

– Dobra, twoja kolej.

Brakuje mi tej pustki, jaka towarzyszyła nam w podróży na Brooklyn. Teraz czuję na sobie wzrok pasażerów przyglądających się naszej wymianie, wysnuwających wnioski na temat tego, co musi nas łączyć. Szkoda, że się mylą. Podwójnie szkoda, że Theo po dzisiejszym dniu będzie zbyt wystraszony, żeby być choćby moim przyjacielem.

Tymczasem wyjmuję z torby układankę i widzę, jak jego oczy otwierają się szeroko.

– Rany, osiemset elementów. Musisz to ułożyć razem ze mną.

– A jaka kryje się za nimi historia?

Theo przygląda się przez chwilę obrazkowi.

– To oczywiście początek apokalipsy zombie.

– Oczywiście. Powiedz mi, jak to się stało, że piraci zostali zarażeni jako pierwsi?

– Wirus zombie istniał od zawsze, ale naukowcy rozumieli, że najlepiej trzymać go jak najdalej od lądu. Doskonale zdawali sobie sprawę, że człowiek jest z natury głupi i znudzony, więc prędzej czy później sprowadzi na świat zagładę, żeby tylko nie iść w poniedziałek rano do pracy. Dlatego umieścili wirusa na wyspie. Nie zdradzę ci jej nazwy, bo aż tak ci nie ufam, Griff. Niestety nie wzięli pod uwagę

możliwości wystąpienia tego niezwykle silnego sztormu, który widzisz na obrazku. Burza zniszczyła wyspę i uwolniła wirus do powietrza, a ten w pierwszej kolejności dotarł do piratów. No, właściwie to najpierw zaraził papugę kapitana Hoyta-Sumnera, a ona przeniosła chorobę na pokład *Łupieżczej Mary*.

Nie mogę już dłużej zachować powagi i się uśmiecham.

– Skąd ty bierzesz te nazwy?

– Nie zmyśliłem jej, wszystko można odnaleźć w źródłach. Mógłbyś poczytać o historii twojej przyszłości – odpowiada Theo.

– A jak się nazywa papuga?

– Fulton, ale wszyscy nazywają ją Zgniłkiem po tym, jak przez nią wszyscy piraci stali się chodzącymi trupami. W późniejszym czasie przemianowali statek na *Wstrętnego szwendacza*, co wydaje się trafne.

Naprawdę chciałbym spędzić godzinę w jego głowie, powspinać się po tych różnistych trybikach.

– Ci piraci zombie są dość inteligentni, żeby nawigować statek? – dopytuję. – Mamy przerąbane.

– Lepiej dołącz do mnie – odpowiada Theo. – Wiem, jak nas uratować.

Theo zaczyna tłumaczyć różne strategie przetrwania apokalipsy. Będziemy musieli zbudować fortecę gdzieś wysoko, z działami i innymi praktycznymi broniami, na przykład wojskowymi kuszami, którymi można wypuszczać płonące strzały. To łatwe: chyba potrafiłbym takiej używać, tyle się naczytałem książek fantasy. Najwyraźniej będę musiał nauczyć się też gotowania, ponieważ Theo będzie zbyt zajęty trzymaniem warty – jest pewien, że do czasu, aż pojawią się między nami nieumarli, pozna sposób na uniezależnienie się

od snu – i nie będzie mógł sam gotować, więc jeśli ja tego nie zrobię, sami staniemy się obiadem.

– Brzmi nieźle, prawda?

– Nie mogę obiecać, że uda mi się przygotować coś zjadliwego, ale w takiej sytuacji nie będziemy mogli wybrzydzać.

Theo wyciąga rękę i uściskiem dłoni przypieczętowujemy naszą umowę, pewni już naszych ról na wypadek pirackiej apokalipsy zombie. Dotyk jego skóry przyprawia mnie o szybsze bicie serca.

– Muszę ci coś powiedzieć – oznajmiam, puszczając jego dłoń.

Pociąg metra jedzie szybko i głośno, a ciekawskie spojrzenia już zdążyły się od nas odwrócić. Wszyscy są pogrążeni we własnych światach.

– Ja też muszę ci coś powiedzieć – stwierdza Theo.

– Kto pierwszy?

– Zagramy w papier, kamień, nożyce?

Obaj pokazujemy kamień.

– Może powiemy to na trzy cztery? – proponuje.

– Nie wydaje mi się, żeby moje coś nadawało się do tego. Ty mów pierwszy.

– Zaufaj mi. Założę się, że chcemy powiedzieć to samo. W ten sposób będzie łatwiej – stwierdza Theo.

Nie zamierzam się kłócić. Może on ma do powiedzenia coś gorszego niż ja i nie będę się czuł tak źle.

– Na trzy?

– Cztery.

Theo uśmiecha się lekko, a potem kiwa głową.

– Raz, dwa, trzy, cztery.

– Chyba tracę rozum – wyrzucam z siebie w tej samej chwili, gdy Theo mówi:

– Podobasz mi się.

Theo rumieni się, jego uśmiech znika.

– Zaraz, czekaj? – Wierci się i gapi przez okno, ale jesteśmy w podziemnym tunelu, więc widzi tylko ciemność i własne odbicie. – Myślałem, że powiesz, że ci się podobam. Czy ty w ogóle jesteś gejem, Griff?

– Tak – przyznaję, po raz pierwszy w życiu, co sprawia, że serce bije mi jak szalone, a twarz płonie. Wiem tylko, że każdego innego bym okłamał.

– Dobrze. To znaczy, fajnie – odpowiada Theo. Chyba kusi go, żeby znowu spojrzeć mi w oczy, ale ostatecznie wbija wzrok z powrotem w okno. – Dlaczego bałeś się o tym powiedzieć? O tym, że chyba wariujesz?

– Racja, to druga rzecz. Chyba mam zespół natręctw.

– Musiałbyś mieć zdecydowanie większy porządek w pokoju – oznajmia Theo.

– Tu nie chodzi o bycie zorganizowanym. Zauważyłeś, że ostatnio zawsze próbuję iść po lewej stronie innych osób? Nie robiłem tego, gdy byliśmy dziećmi. No i jest jeszcze ta moja obsesja liczenia, wolę, by wszystko było parzyste, oprócz kilku wyjątków, na przykład jedynki i siódemki. Głośność, timer na mikrofalówce, liczba rozdziałów do przeczytania przed odłożeniem książki, liczba przykładów w zdaniu. To denerwujące, jestem nieustannie nakręcony.

Theo kiwa głową ze zrozumieniem.

– Też kiedyś tak miałem. Może nie aż tak mocno, ale moim zdaniem to oznaka twojego geniuszu. O ile dobrze pamiętam, Nikola Tesla miał obsesję na punkcie trójki i czasami okrążał budynek trzy razy, zanim do niego wszedł. Ale Griff, równie dobrze twoje natręctwa mogą być tylko niegroźnymi dziwactwami. – Jego spojrzenie znowu odnajduje moją twarz. – Możemy później o tym poczytać!

Może ma rację. Może wcale nie jestem jakimś wariatem z tikami nerwowymi, który drapie swoje dłonie, gdy się niepokoi, woli chodzić po lewej stronie, ciągnie za płatki uszu i operuje wyłącznie parzystymi liczbami. Może to jak automatyczne wyostrzenie w aparacie i skupiam się na jednej rzeczy, ignorując całą resztę.

– Trochę mnie to przeraża, bo nie wiem, jaki będę w przyszłości. Boję się, że to się rozwinie i za kilka lat stanę się takim Griffinem, z którym zbyt trudno będzie ci się przyjaźnić. – Nie mogę uwierzyć, że mu się z tego zwierzam; czuję się przedziwnie, ale nie mogę przestać. Może ta spowiedź odpędzi chorobę.

Theo przysuwa się do mnie.

– Ja mam prawdziwe powody do zmartwień, chłopie, na przykład nie wiem, czy piraci zombie będą potrafili używać haków i zamków lontowych, czy może zabiją nas za pomocą zębów i paznokci. Nie przerażasz mnie i nigdy nie staniesz się zbyt trudny dla naszej przyjaźni. – Theo klepie mnie po kolanie. Jego dłoń spoczywa na nim przez pełną minutę. – I przepraszam, jeśli właśnie zmusiłem cię, byś przyznał się do swojej orientacji. Czekaj… Czy ja jestem pierwszą osobą, której to powiedziałeś?

Kiwam głową, słysząc dudnienie w uszach.

– Do niczego mnie nie zmusiłeś. Okej, właściwie to może trochę, ale i tak chciałem ci to wyznać. Nie miałem tylko jaj ani przygotowanej przemowy. Bałem się, że intuicja źle mi podpowiedziała. W rodzinie od strony matki zdarzały się urojenia.

– Nie masz urojeń – zapewnia Theo. – I nie jesteś wariatem.

Sięga po moją rękę i nie chodzi o przybicie piątki. Wiem, że świat nie uległ zmianie, wciąż działają prawa fizyki, ale nagle moja perspektywa przesunęła się nieco na prawo i do przodu.

Dostrzegam przed sobą wreszcie coś, co zawsze chciałem zobaczyć. W tej chwili jestem tak zdesperowany, że nie powiem nic, co mogłoby znowu przesunąć świat na lewo.

Ściskam dłoń Theo, sprawdzając, co my tutaj właściwie robimy. Czuję, jakbym odpowiadał na pytanie, którego nie mam odwagi zadać.

– Zostań ze mną, dobra? – mówi Theo.

– Przecież nie wysiądę z jadącego pociągu.

Theo puszcza. Zapadam się trochę w sobie, jakbym go zawiódł.

– Nigdy nikomu o tym nie mówiłem, ale od kilku lat wymyślam alternatywne wszechświaty. Znasz mnie i wiesz, że ciągle się zastanawiam, co by było, gdyby… – Odwraca się na moment. – Ostatnio zadawałem sobie to pytanie coraz częściej i częściej. Wiele z tych gdybań to fajna zabawa, ale część dotyczy rzeczy bardzo osobistych. Każdej nocy przed zaśnięciem przeglądam wszystkie notatki na papierze albo na telefonie i zapisuję w specjalnym zeszycie. Dziesiątki alternatywnych światów.

Nagle się zatrzymujemy. Jedni pasażerowie wychodzą, inni odsuwają się, dając nam nieco przestrzeni – ale gdy tylko drzwi się zamkną, Theo znowu ma moją niepodzielną uwagę.

– Wcześniej napisałem coś po wewnętrznej stronie ramienia, jeszcze w czasie polowania na prezenty – ciągnie. – Nie pokażę ci teraz. Będzie bez spojlerów. Ale przypomniałem sobie o czymś. W każdym wszechświecie, jaki ostatnio stworzyłem, pojawiała się twoja twarz. I pomyślałem, że jeśli nie będzie ci to odpowiadać, nie znienawidzę cię, ale będę potrzebował trochę czasu dla siebie, aż zdystansuję się na tyle, bym mógł wymyślać światy bez ciebie.

Theo odwraca się i widzę napis nad jego lewym łokciem; nie przypomina typowej dla niego pięknej kaligrafii, bo nawet on

nie potrafi ładnie pisać na własnej skórze. Napis głosi: *Alternatywny wszechświat: Griffin Jennings jest moim chłopakiem i tyle.*

– Nie wiem, czy to ma dla ciebie jakiś sens, ale chcę, żeby to była prawda – tłumaczy Theo, wciąż wyciągając do mnie rękę, jakby chciał wypalić te krzywe litery w mojej pamięci. – Jeśli to niemożliwe, zrozumiem i mam nadzieję, że nadal zdołamy być przyjaciółmi. Po prostu nie wyobrażam sobie nie spróbować. – Wreszcie opuszcza ramię. – Musisz teraz coś powiedzieć.

Czuję się, jakby ktoś wrzucił mnie do alternatywnego świata pełnego wspaniałości. Nie mogę uwierzyć, że właśnie prowadzimy tę rozmowę. Nie mogę uwierzyć, że flirtuję z Theo, a on flirtuje ze mną. Ten nowy świat doskonale mi pasuje. Nie mogę mu tego wszystkiego powiedzieć, przynajmniej na razie.

– Właśnie miałem taki zamiar.

– Dobra, ale tylko jeśli to coś dobrego. Jeśli nie, siedź cicho.

– Już od jakiegoś czasu stresowałem się o to samo, stary. Nie wiem, kiedy bym się zebrał na odwagę, ale pewnie i tak nie pobiłbym tego twojego tekstu o alternatywnych światach. Zwyczajnie powiedziałbym, że mi się podobasz.

– Wspomniałbyś chociaż o tym, jaki jestem przystojny?

– Przystojny to może dużo powiedziane, ale na pewno fajnie na ciebie popatrzeć.

– Dobrze wiedzieć.

Powinienem zdradzić mu, jak bardzo lubię brzmienie jego prozy; słów, które zapisuje w zeszytach, garbiąc się przy biurku. Zawsze chcę je poznać. Powinienem powiedzieć o moich fantazjach, że przy następnym nocowaniu w jego domu moglibyśmy spać w jednym łóżku, że nie musielibyśmy używać oddzielnych kołder i nie byłoby dziwnie. Powinienem powiedzieć mu, jak miło jest patrzeć, jak odwraca klepsydrę

i sprawdza, czy zdąży ułożyć wielką układankę samodzielnie. Zawsze mu wtedy kibicuję, bo wiem, jak się cieszy z sukcesu. Powinienem powiedzieć mu, jak bardzo się cieszę, że od jakiegoś czasu zbliża się do mnie. Ale nie mówię ani jednej z tych rzeczy teraz, bo może będę mógł to zrobić wtedy, gdy nadejdzie właściwy moment.

– Dlaczego dzisiaj, Theo?

– Przez zdjęcie, które Wade zrobił nam wczoraj – wyjaśnia.

Zdaję sobie sprawę, że przez cały czas trwania tej przygody ani razu nie pomyślałem o Wadzie. Jesteśmy we trzech paczką i nawet nie wkurza mnie ten brak parzystości. Może dlatego, że to jakoś zawsze działało – jeden wyjątek tego wszechświata. Na przykład wczoraj po południu u Theo urządziliśmy sobie turniej – Theo i ja przeciwko Wade'owi grającemu z komputerem, drużyny powstałe dzięki ciągnięciu losów z czapki Wade'a – i było niełatwo, bo Wade jest naprawdę dobry, a poziom komputera był ustawiony na najwyższy, ale wygraliśmy. Wstaliśmy i triumfalnie rzuciliśmy się sobie w ramiona, jakbyśmy dopiero co wygrali wojnę z obcymi albo, co teraz pasowałoby bardziej, z piratami zombie.

Wade kazał nam zapozować do zdjęcia. Przybraliśmy z Theo poważne miny, ale i tak zaraz się roześmialiśmy.

– Zobaczyłem nas i pomyślałem, że dość tego. Już od jakiegoś czasu chciałem z tobą być. Zdjęcie zrobione przez Wade'a sprawiło, że bez ciebie było mi jeszcze trochę trudniej – tłumaczy Theo.

– Ja chyba czuję to samo – odpowiadam. – Co teraz? Jak przypieczętujemy nasz związek? Pewnie jakimś pocałunkiem, ale akurat nie mam nastroju. – Przy ostatnich słowach głos mi się trochę łamie, bo to kłamstwo. Postanawiam powiedzieć nieprawdę, bo prawda mogłaby przynieść tego rodzaju szczęście, które otwiera nieskończoną ilość alternatywnych

wszechświatów. Naprawdę żałuję, że nie mam gumy, ale to Wade zawsze je przy sobie nosi. – Może uściśniemy sobie ręce?

Robimy to i żaden z nas nie puszcza.

– To fajne, ale dziwne – mówię.

– Bardzo fajne i bardzo dziwne – stwierdza Theo. – Ale chyba pasujemy do siebie, co nie?

– Na pewno, Theo.

Nie mogę się doczekać ciągu dalszego.

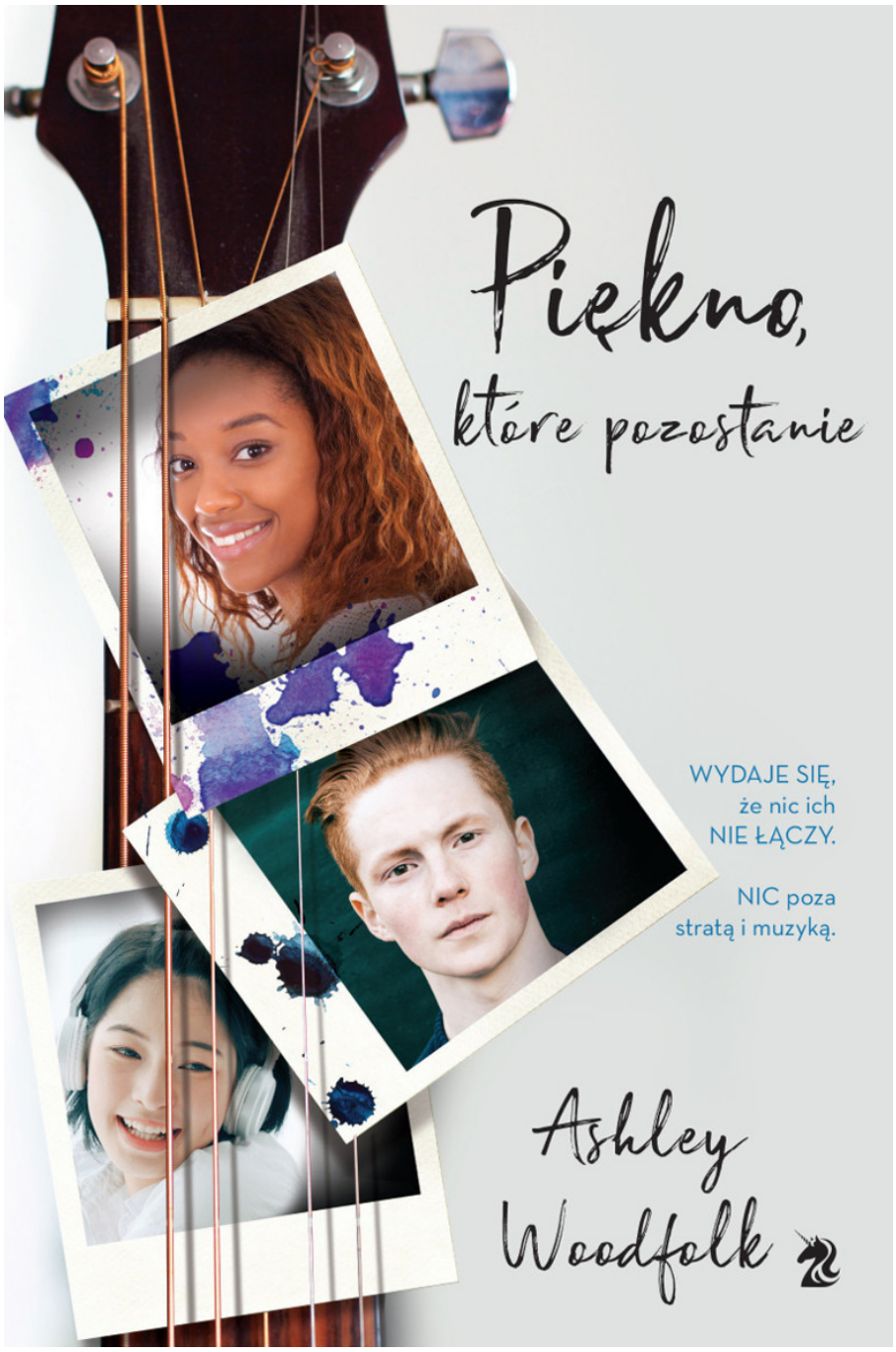
Piękno,
które pozostanie
WYDAJE SIĘ,
że nic ich
NIE ŁĄCZY.
NIC poza
stratą i muzyką.
Ashley
Woodfolk

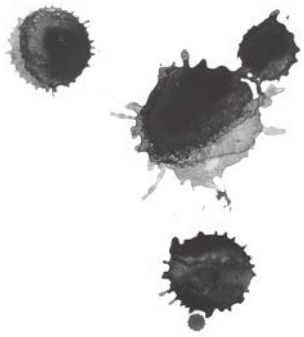

1

AUTUMN

14 STYCZNIA, 10:48

Widziałam cię zaledwie wczoraj.
Niemożliwe, żeby to była prawda. To nie może być prawda.
Cały czas czekam na twój telefon.
Użytkownik Tavia nie korzysta teraz z Hangouts. Odczyta twoje wiadomości później.

Od: HeCalledItAutumn@gmail.com
Do: TaviaViolet@gmail.com
Data: 16 stycznia, 17:17
Temat: <brak tematu>

Prawie cały twój pogrzeb gapiłam się w telefon.
Mogłabym cię pożegnać w swoim pokoju ze świeczkami o zapachu wanilii, kilkoma twoimi ulubionymi piosenkami, fiołkami i puszką pomarańczowego napoju gazowanego. Ale zamiast tego musieliśmy odbyć ten publiczny rytuał,

podczas którego wszyscy stoją i oglądają nawzajem swoje łzy. Już po przebudzeniu wiedziałam, że to będzie najgorszy dzień w moim życiu.

Kiedy docieramy do kościoła, twój brat idzie na sam przód i całuje wieko trumny, ale ja nie mogę tam podejść. Więc po prostu kieruję się do drugiego rzędu ławek i siadam na samym końcu. Patrzę w telefon, oglądam niekończący się strumień twoich zdjęć i staram się nie rozglądać. Po raz pierwszy doceniam, że robiłaś sobie tyle selfie, i trochę mi głupio, bo zawsze sobie z ciebie żartowałam, że jesteś próżna. Nie jestem pewna, czy umiałabym jeszcze oddychać bez tych setek cyfrowych kwadratów z twoją twarzą. Po chwili podnoszę wzrok i wykorzystuję inne kwadraty – te z zabarwionego światła słonecznego wlewającego się przez witrażowe okna – odmierzam nimi czas, kiedy wędrują po wnętrzu.

Siedzę z twoją rodziną. Twoja mama ściska w dłoni różaniec i płacze w zupełnie bezgłośny sposób. Twój tata utkwił wzrok gdzieś przed sobą, ale tak naprawdę na nic nie patrzy. Dante pocałował trumnę i siedzi obok mnie, a po tym, jak jego ramię ociera się o moje, poznaję, że płacze.

Jakaś część mnie chce się od niego odsunąć, ale jestem jak sparaliżowana.

Moja rodzina siedzi kilka rzędów za mną. Sukienka mojej matki jest nieskazitelna, ale jej niebieskie oczy są smutne, a mój tata cały czas pochyla głowę, jakby świat bez ciebie nie był wart oglądania. Pomiędzy ich blond głowami wyróżnia się geometryczny czarny bob Willow i strasznie spodobałaby ci się ta fryzura, gdybyś tu była. Gdzieś pomiędzy końcem ferii zimowych a wczoraj rozjaśniła obcięte tępymi nożyczkami końcówki i zafarbowała je na ostry róż. Wygląda jak gwiazda k-popu, pomijając spuchnięte, czerwone oczy. Kiedy

przyleciała wczoraj z college'u, położyła się ze mną na łóżku zaraz po wejściu do domu i masowała mi plecy małymi okrężnymi ruchami.

Willow widzi, że na nią patrzę, więc wstaje ze swojej ławki i podchodzi do mojej. Wiesz, że w ogóle nie wyglądam jak moja siostra, nawet w te lepsze dni. Ale z takimi włosami, jakie ma teraz – gęstymi, kanciastymi i różowymi (a moje wyglądają jak zawsze: za długie i cienkie, i płaskie) – wyglądamy jak obce sobie dziewczyny. Ja przypominam postać z koreańskiej dramy, które razem oglądałyśmy – jeszcze zanim w cudowny sposób stanie się piękna.

Ale kiedy Willow do mnie podchodzi, dotyka moich prostych, czarnych włosów, jakby to był jedwab. Trzyma mnie za rękę, jak gdyby była ze szkła, i przygląda mi się odrobinę zbyt uważnie. Ściskam jej palce, zanim ją puszczę, żeby znów móc używać telefonu, a ona odsuwa się i dalej milczy. Nawet nie próbuje mnie zmusić do rozmowy, co jest jakimś cudem, bo myślałam, że będzie się narzucać – wiesz, jaka bywa moja siostra. Ale zachowuje się idealnie. Ludzie zapominają, jak bardzo w takich chwilach pomaga cisza.

Nikt z mojej rodziny niczego nie powiedział, ale poznaję, co czują, po tym, jak siostra sięga do mojej ręki. Po tym, jak patrzy na mnie matka. Po tym, w jaki sposób ojciec wypowiada moje imię. Są tacy szczęśliwi, że nie byłam z tobą tamtego wieczoru, aż nie mogą oderwać ode mnie rąk, oczu ani głosu. Ale za każdym razem, kiedy myślę o tym, że mnie tam nie było, czuję, jakbym tonęła.

Kiedy pojechałaś beze mnie na imprezę Aleksy, było mi przykro, że nie poprosiłaś mnie, żebym z tobą poszła; że pojechałaś, chociaż ja wcale nie chciałam się tam wybierać. To głupie, ale zabolało, a Margo i Faye też tam były, więc nawet

nie miałam do kogo napisać i ponarzekać. Zamierzałam zjeść lody, poczytać książkę i położyć się wcześnie spać.

Wtedy zadzwonił Dante.

Poszłam do twojego domu, żeby z nim posiedzieć – przyjemnie spędzić czas bez ciebie, bo ty robiłaś coś beze mnie.

A teraz muszę z tym żyć: flirtowałam z nim, kiedy powinnam była cię powstrzymywać.

Z jakiegoś powodu ksiądz prosi wszystkich o powstanie. Nie zwracam na niego uwagi, więc kiedy Dante podnosi mnie i stawia obok siebie, nie od razu zdaję sobie sprawę, że to czas na modlitwę. Jego dotyk wyciąga mnie ze świata wewnątrz mojego telefonu, gdzie nadal się uśmiechasz, śpiewasz i żyjesz. I na sekundę po prostu uwieszam się na twoim bracie.

Nie umiem stać na własnych nogach w świecie, w którym nie istniejesz.

Dante odczytuje ciężar mojego ciała jako zaproszenie. Przytula moją głowę pod swoją brodą i czuję, jak kilka jego łez spada mi na przedziałek na głowie.

To zbyt skomplikowane – to, co do niego czuję – ale nie mogę myśleć o tym teraz, kiedy ledwo stoję na nogach. Więc opieram się dłonią na jego biodrze i mocno trzymam. A kiedy powracają do mnie dźwięki wokół i słyszę modlitwę księdza, zamiast zamknąć oczy, patrzę na twoje zdjęcie stojące z przodu kościoła w wieńcu fiołków.

Po kilku minutach takiego stania przy wsparciu Dantego trochę przestaję czuć się tak, jakbym tonęła. A przynajmniej, gdybym opadła, on nie pozwoliłby mi uderzyć o dno samej.

Na cmentarzu Willow znowu chwyta mnie za rękę jak dobra starsza siostra, a ja opieram się o nią tak, jak o Dantego w kościele. Płacze i płacze, kiedy ksiądz spryskuje grób wodą

święconą, a ja po prostu patrzę na brudny rąbek jego szaty. Wymawia twoje pełne imię w taki sposób, w jaki robi to twoja babcia, w tym samym czasie, kiedy czytam je w nekrologu, który z jakiegoś powodu nadal trzymam w ręce.

– *Ołk-taaa-wia Wi-ooo-lee-taa So-toł.*

Octavia Violeta Soto.

A mnie robi się zimno.

Kilka minut później mam rzucić garść ziemi do twojego grobu, jak wszyscy inni, ale po tym, jak twój tata zaczyna płakać, po prostu nie mogę. Kiedy przychodzi moja kolej, pada już deszcz, i większość ziemi i tak zamieniła się w błoto. Więc tylko wciskam zamokły nekrolog do kieszeni. Obrywam płatki z żółtej róży, po jednym, i pozwalam im opaść – jaśnieją na tle czarnej ziemi wokół – tuż przed opuszczeniem trumny do ziemi.

Szarpiąc kolejne aksamitne płatki, nie próbuję się domyślić, czy ktoś mnie kocha, tak jak ty to zwykle robiłaś („Czy on mnie kocha? Nie kocha? Autumn, on mnie kocha!"). Po prostu mówię tej róży, jak bardzo będę za tobą tęsknić. Jak bardzo już tęsknię.

Tęsknię za tobą.

Tęsknię za tobą.

Tęsknię za tobą.

Nigdy nie pada *Nie tęsknię.*

A na kwiatku nie ma dość płatków. Nie ma dość płatków na świecie.

W limuzynie Dante musi wyjąć kolczastą łodygę z mojej drżącej ręki, bo nadal ją ściskam, mimo że pozostał na niej tylko nagi, brzydki pąk.

Wiele godzin później, gdy nasi znajomi, twoja dalsza rodzina oraz moja rodzina opuszczają twój dom, ja zostaję. Pomagam

Dantemu ogarnąć wszystkie mrożone casserole, gulasze i espanady, które ludzie zostawili na stole w waszej kuchni.

Kiedy kończymy, wyciągam znowu telefon i zatracam się w nim. Ale Dante zaczyna spacerować po waszym salonie, obecny tu i teraz.

Kopie w nogę waszego stołu. Uderza pięścią w ścianę i mówi, że to wszystko bzdury. Nie chcę tu być, żeby patrzeć, jak Dante wybucha, ale odkąd umarłaś, nie potrafię opuścić twojego domu. Wciąż nie mogę się zmusić do wyjścia.

Dante otwiera i zamyka dłoń po uderzeniu w ścianę. Zwija ją w zaciśniętą pięść, jakby trzymał jedną ze swoich pałeczek perkusyjnych. Patrzy na mnie ciemnymi, zmrużonymi oczami.

– Twoim zdaniem to też są bzdury, prawda?

Chodzi mu o komentarze pod twoimi zdjęciami. Pojawiają się bez przerwy przez cały tydzień.

Milczę. Zerkam do telefonu i czytam kilka najnowszych.

Nie mam prawa nic mówić. Przeglądam twoje zdjęcia od wypadku, tak samo jak wszyscy inni. Klikam w każde, jakie opublikowałaś, czytam twoje podpisy i hasztagi, jakby to były modlitwy. Ignoruję wszystkie wiadomości typu „Spoczywaj w pokoju", „Będziemy tęsknić" czy „Najlepsi umierają młodo" od ludzi, którzy prawie z tobą nie rozmawiali, a teraz piszą tak pod twoimi selfie. W komentarzach jest więcej ikonek złamanego serca niż dzieciaków w naszej szkole.

Ale Dante ma rację. To wszystko bzdury. Więc patrzę na niego i kiwam głową.

Po moim potwierdzeniu Dante przenosi wzrok na przeciwległy kraniec pokoju. Nie potrafię przewidzieć, co teraz powie.

– Musimy to pokasować.

Zapomniałam, że wasz ojciec siedzi cały czas z nami w pokoju, a to do niego teraz mówi Dante, pewnie dlatego, że

wasz tata zawsze był tym typem ojca, który się wszystkim zajmuje. Jak wtedy, kiedy kłócił się z naszym nauczycielem o to, że kazał nam zostać po lekcjach za przekazywanie sobie karteczek, podczas gdy tak naprawdę podałam ci tylenol w pudełku origami, bo bolał cię brzuch. Albo wtedy, gdy zgłosił się do trenowania naszej drużyny piłki nożnej dziewczyn w gimnazjum, po tym jak opłacony trener został zwolniony. Ale od czasu twojego wypadku po prostu siedzi, jakby nic już nie miało znaczenia. A może jakby wszystko miało jakieś znaczenie, tylko on nie wiedział, od czego zacząć.

Dante nie może usunąć twoich kont. Twoja mama zlikwidowała już twoją komórkę. Wiem to tylko dlatego, że w kółko dzwoniłam na twój numer, kiedy siedziałam wczoraj na szkolnym parkingu – wyłącznie po to, żeby twój głos wypełnił przestrzeń wokół mnie, jak dawniej.

Chciałam zapamiętać, jak brzmiałaś. Kiedy zmieniałaś ton, i jak mogłam dosłyszeć grającą cicho piosenkę w tle. Teraz nie mogę pozbyć się twojego głosu z głowy.

„Cześć, tu telefon Tavii. Pewnie leży w mojej kieszeni, w torebce albo na łóżku, i jestem pewna, że naprawdę chcę z tobą porozmawiać. Więc zostaw mi jakąś uroczą wiadomość, bo cię kocham".

Kiedy zadzwoniłam po raz ostatni, zamiast tego odtworzyła się automatyczna wiadomość. I to było straszne, zamiast ciebie usłyszeć: „Przepraszamy. Dodzwoniłeś się do numeru, który został zawieszony lub nie istnieje. Jeżeli uważasz, że ta wiadomość jest błędna, sprawdź numer i spróbuj jeszcze raz".

Nie musiałam sprawdzać twojego numeru, ale spróbowałam jeszcze raz.

Nie patrząc na twojego tatę ani Dantego, wyszukuję twoje imię, wybieram twój numer i ustawiam telefon na tryb głośnomówiący. A kiedy ten nagrany głos robota mówi nam, że

numer został zlikwidowany, twój tata zerka na mnie z drugiego końca pokoju. Kręci głową, jakby nie mógł sobie z tym poradzić; mamrocze coś po hiszpańsku, wstaje i wychodzi. Minutę później słyszę trzaśnięcie frontowych drzwi.

Spoglądam na Dantego, a w nim wszystko łagodnieje. Surowe kąty jego twarzy zmieniają się w łuki. Onyksowa czerń jego oczu roztapia się w melasę.

– Wiedziałeś – pytam – że jej telefon już umarł?

Rumienię się trochę, kiedy słyszę, jak wypowiadam ostatnie słowo. On kręci głową.

Żałuję, że nie zrobiłam screenshotów wszystkich zdjęć, jakie mi wysyłałaś, każdego selfie z filtrami, które dodawały blasku twoim oczom albo przyprawiały ci uszy i oczy jakiegoś uroczego zwierzątka, bo one były prywatne, przeznaczone tylko dla mnie – a te, które chce usunąć Dante, są publiczne, każdy może je zobaczyć. Te prywatne rzeczy trwały jednak tylko kilka sekund, a teraz przepadły na zawsze, podobnie jak ty. Skoro twój telefon też nie działa, muszę zachować każdy fragment ciebie, który jeszcze nie zniknął.

A skoro Dante sprawia wrażenie łagodniejszego, proszę go, żeby nie pozbywał się twoich kont.

– Skoro nie ma już jej telefonu, to zdjęcia są jednymi z ostatnich rzeczy, które pozostały, a należą tylko do niej.

Nadal wygląda tak, jakby chciał w coś uderzyć, ale tylko przygląda mi się w milczeniu.

– Zobaczę, czy jest jakiś sposób, żeby wyłączyć komentarze – obiecuję, chociaż wiem, że nie ma.

Marszczy brwi, ale po chwili kiwa głową.

– I napiszę jakąś prośbę do ludzi, żeby przestali – dodaję.

Nie przyznaję, że znam wszystkie twoje hasła i mogłabym usunąć każdy twój ślad w zaledwie kilka sekund.

Nie przyznaję, że nadal wysyłam ci wiadomości prywatne i maile, ani że w każdej wolnej chwili oglądam stare filmiki, na których śpiewasz i grasz na pianinie. Nie przyznaję się Dantemu, że kiedy tylko wyjdę z tego domu, założę słuchawki i zadzwonię na swoją pocztę głosową, bo sześć miesięcy temu zostawiłaś mi zabawną wiadomość, i całe szczęście, że jakoś nigdy jej nie usunęłam.

Ani razu nie płakałam, ale do tego też się nie przyznaję. Ręce mi drżą za każdym razem, kiedy myślę o twoim imieniu, a Dante nie może o tym wiedzieć.

Dość ma na głowie.

Po jego minie widzę, że myśli o tym, jak dowiedzieliśmy się o wypadku. Jakiś idiota z naszego liceum zrobił zdjęcie wywróconego samochodu i wrzucił je na swoją relację z czarno-białym filtrem i podpisem „KUUUURDE. Właśnie widziałem straszny wypadek". I akurat Perry wysłał mi zrzut ekranu z tym zdjęciem i wiadomością:

„Cholera. To chyba nie jest auto Tavii?"

To było jej auto. Naklejka na zderzaku z logo Unraveling Lovely, które zaprojektowałyśmy ubiegłego lata na trasę koncertową, nie pozostawiała żadnych wątpliwości.

Wiedziałam, że byłaś w drodze, żeby zobaczyć się z Perrym, ale on nie miał o tym pojęcia. Nawet mu nie odpisałam.

Czuję, że Dante na mnie patrzy. Pewnie wie, że też wspominam tamten wieczór.

– Wszystko w porządku? – pyta.

Ciągle to do siebie teraz mówimy, kiedy tylko jedno przyłapie drugie na tym, że gdzieś odpływa; zawsze kiedy jest oczywiste, że myślimy o tobie. Kiwam głową, chociaż już nigdy nie będę się czuła w porządku, ale nie wiem, co innego mogłabym powiedzieć.

Zadaję mu to samo pytanie.

– A z tobą?

I on też kiwa głową, dopełniając błędnego koła kłamstwa, które powtarzamy sobie od wielu dni, odkąd po raz pierwszy zobaczyliśmy tamto zdjęcie twojego samochodu.

Kłamstwo jest naszym nowym językiem. To jedyny sposób, w jaki w ogóle potrafimy rozmawiać.

Dante przez cały dzień trochę za dużo mi się przyglądał i zaczyna to do mnie docierać, więc wstaję. Już od jakiegoś czasu nie widziałam twojej mamy. Ciężki wzrok twojego brata podąża za mną jak cień, kiedy wychodzę z pokoju. Ale nie oglądam się za siebie.

Kiedy znajduję twoją mamę, siedzi na twoim łóżku. Trzyma na kolanach zwinięty różaniec.

Siadam na podłodze u jej stóp. Uśmiecha się i głaszcze mnie po głowie, jakbym była szczeniakiem, a cały ten pokój pachnie tobą. Aromat wanilii zawsze unosił się z twoich otwartych opakowań szamponów, kremów do rąk, z twoich świeczek. Dziś jest tak samo, tylko ciebie tutaj nie ma, a sam ten zapach bez ciebie wydaje się niewłaściwy, jak echo słyszane wiele kilometrów dalej od osoby, która je wywołuje. To więcej, niż mogę znieść.

Z drugiego końca korytarza zaczyna grać głośna muzyka. Twoja mama wzdycha, a ja odwracam głowę, ale żadna z nas nie wstaje, żeby zajrzeć do Dantego.

– Hej, Autumn – mówi trochę za późno, ale uśmiecha się szczerze. Twoja mama zawsze była taka opanowana, ale ręce jej się trzęsą, tak jak przed tym, kiedy zemdlała w szpitalu.

– Dobry wieczór – odpowiadam. Naciągam rękawy na własne drżące palce.

A potem po prostu siedzimy tam w milczeniu i obie za tobą tęsknimy, bo powitania są miłe i zgrabne, dużo prostsze od pożegnań.

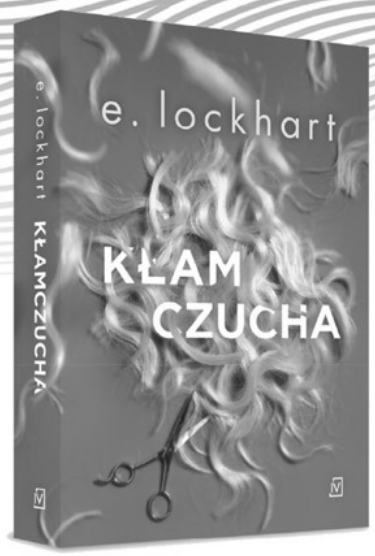

Wierzyła, że im więcej wypocisz na treningu, tym mniej wycierpisz w walce.

Wierzyła, że najlepszym sposobem, by uniknąć złamanego serca, jest udawać, że się go nie ma.

Wierzyła, że to, jak mówisz, jest często ważniejsze niż to, co masz do powiedzenia.

Wierzyła też w filmy akcji, trening siłowy, potęgę makijażu, ćwiczenie pamięci, równe prawa oraz to, że z filmików na YouTube można się nauczyć miliona rzeczy, których na próżno szukać w college'u.

Jule West Williams to wojowniczka, dziewczyna kameleon, zawsze gotowa do ataku.

Imogen Sokoloff to dziedziczka fortuny i zagubiona w życiu sierota. Co przyniesie przyjaźń tych dwóch tak różnych dziewczyn?

Nowa powieść autorki „Byliśmy łgarzami". Thriller New Adult pełny suspensu, intryg i nieczystych zagrywek. E. Lockhart stworzyła porywającą historię młodej kobiety, której diaboliczne umiejętności stały się przepustką do wygodnego życia.

BESTSELLER „NEW YORK TIMESA"!

„Tej ekscytującej, pięknej i piekielnie mądrej książki absolutnie nie da się zapomnieć" – John Green, autor bestsellerowej książki *Gwiazd naszych wina*

„Połkniesz ją od razu w całości" – Gayle Forman, autorka bestsellerowego *Zostań, jeśli kochasz*

„Ambitna powieść z intrygującą bohaterką, sprytnie skonstruowaną fabułą i doskonałym stylem" – The New York Times Book Review

„Nie da się od niej oderwać. Lepiej zapamiętaj ten tytuł. To opowieść o skrywającej mroczny sekret dziewczynie, z zaskakującym, lecz satysfakcjonującym zakończeniem" – Entertainment Weekly

„Fascynująca, wysmakowana… Pełna zwrotów akcji i doskonale napisana" – The Wall Street Journal

Oszałamiający debiut!
Alice Broadway po mistrzowsku łączy
fantastykę z tajemnicą i utopią.

Każde zachowanie, każdy uczynek, każda ważna chwila zostawia ślad na Twojej skórze. Leora jest przekonana, że jej zmarły ojciec powinien zostać zapamiętany na zawsze. Wie, że zasługuje, aby wszystkie jego tatuaże zostały usunięte i przekształcone w księgę skóry jako dowód dobrego życia, jakie wiódł.

Jednak kiedy odkrywa, że jego tusz zmieniono, a księga jest niekompletna, zaczyna się zastanawiać, czy tak naprawdę kiedykolwiek go znała.

CIRCUS LUMOS WCIĄGNIE CIĘ W ŚWIAT GWIAZD I DEMONÓW, CYRKOWYCH SZTUCZEK I MIŁOŚCI.

Nocni Łowcy, Supernatural, Caraval – brzmi znajomo?
Sięgnij po serię Aleksandry Polak i daj się oczarować!

Alicja jest w ostatniej klasie liceum, do tej pory jej życie przebiegało spokojnie, by nie powiedzieć, że nudno. Jednak los bywa przewrotny, a seria nieprzewidzianych zdarzeń rzuca ją na głęboką wodę magii i miłości. Kiedy poznaje Hadriana z Circus Lumos, wie, że nic nie będzie takie jak dawniej.

Kiedy magiczny cyrk powraca, ciemność znów atakuje. Takiego obrotu wydarzeń nikt się nie spodziewał! Alicja walczy o przetrwanie w mrocznych podziemiach Hadesu, gdzie brat Hadriana, Tristan, staje się jej jedynym sprzymierzeńcem. Gdy dziewczyna w końcu ucieka, okazuje się to początkiem niebezpiecznych przygód. W nadziei na złamanie klątwy ciążącej nad braćmi, Circus Lumos wyruszają w daleką drogę i odkrywają sekrety potężnych magów. Pomiędzy Alicją a Tristanem nawiązuje się nić sympatii i życie dziewczyny kolejny raz przewróci się do góry nogami.
Jak potoczą się dalej losy cyrku? Co wydarzy się między Alicją a Tristanem? Kim jest tytułowa Perłowa Dama? Sięgnij po książkę i wyrusz w podróż z cyrkową trupą świateł i cieni.

Czytanie *Króla Kier* zaczęłam z wielkim sentymentem, ponieważ Alicja do bólu przypominała mnie ze szkolnych lat. Następnie wkroczyła magia wraz z klimatyczną aurą nieziemskiego cyrku i wtedy... ta książka porwała mnie do reszty!
Maja Kłodawska, Maja K.

Lektura obowiązkowa dla miłośników *Darów Anioła*, *Cyrku Nocy* oraz... *Mean Girls*. *Król Kier* to nowa przygoda, tajemnicza magia, historia doprawiona nastoletnim życiem i miłością nie z tej ziemi! Nie mogę się doczekać następnego tomu.
Paweł Dębowski, P42

AUTORKA NAGRODZONA GOODREADS AWARDS 2016

Piasek pustyni wypełnia jej duszę!

Bestsellerowa seria, która pozbawi cię tchu i będzie trzymać w napięciu, dopóki nie opadnie kurz po ostatecznej bitwie!

Kiedy Amani Al-Hiza uciekała z zabitego deskami miasteczka, nie sądziła, że dołączy do rewolucjonistów, a co dopiero, że stanie na czele rebelii. Ale nie ma innego wyjścia, gdy żądny krwi Sułtan Miraji więzi Księcia Buntownika w mitycznym mieście Eremot.

Amani uzbrojona jedynie w rewolwer, zimną krew i potężną moc Półdżina musi przeprowadzić grupę rebeliantów przez bezlitosną pustynię. Jednak ma wrażenie, że jedyne, co jej się naprawdę udaje, to prowadzenie ich na pewną śmierć.

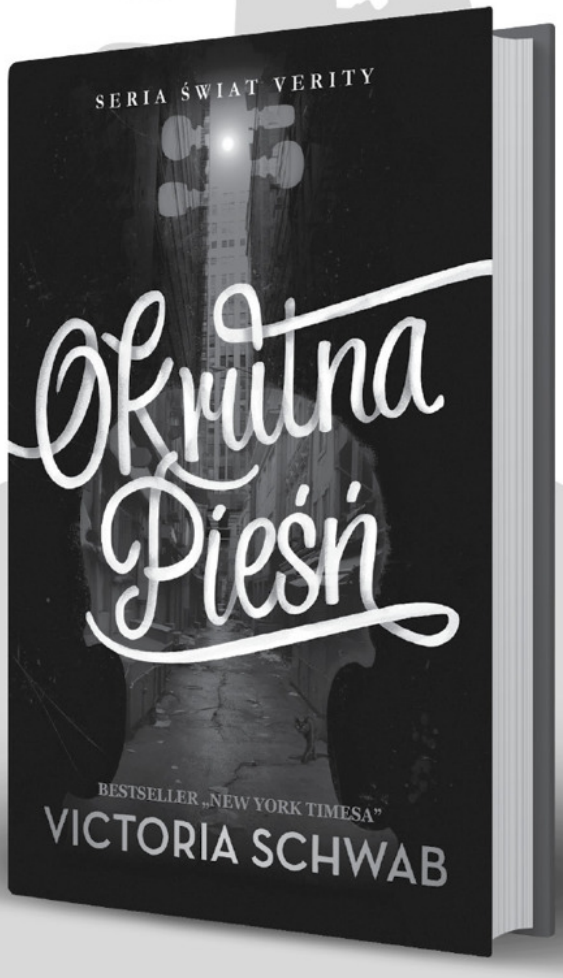

AUTORKA GŁOŚNYCH „ODCIENI MAGII" POWRACA W WIELKIM STYLU!

Kate Harker i August Flynn są następcami przywódców podzielonego miasta, gdzie z przemocy narodziły się prawdziwe potwory.